

Lynne Griffin

Życie bez Lata

Ten dzień cudowny nad słonecznym morzem...

Bryza przynosi znajome zapachy:

Cmentarnych zniczy i lipowych kwiatów.

Ten dzień cudowny na zawsze zostanie

Bramą, za którą tak wiele rozpaczy

I nowym kluczem do innych wszechświatów.

Henry W Longfellow *Letni dzień nad morzem*

tłum. Jerzy A. Masłowski

Część 1

Jesień

*Lynne Griffin – jak Jodi Picoult – przemawia
do kobiet wrażliwych i inteligentnych*



Życie bez Lata

Lynne
GRIFFIN

18. dzień bez Abby

Głuchy stuk, gdy małe ciało uderza o stalowy błotnik. Żadnego krzyku, tylko lekkie westchnienie, zdziwione: „Och!”, gdy uniosła się z ziemi, by natychmiast opaść z powrotem. Słyszę to. Widzę to. Chociaż mnie tam nie było.

Jak każdego ranka od dwunastu dni odwoziłam Abby do przedszkola. Wybiegła z domu, żeby wsiąść do minivana. Duży plecak na ramionach prawie zasłaniał kędzierzawą główkę. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszałam w tamten prześwietlony słońcem poranek, był jej szczebiot, gdy mnie poganiała. Spadło już trochę liści, ale i tak nie usłyszałam ich szelestu pod jej stopami. Na nogach miała nowe baletki; nie rozstawała się z nimi, odkąd je jej kupiłam na rozpoczęcie roku. Jazda do przedszkola Jasna Przyszłość trwała tylko siedem minut i Abby cały czas gadała, zastanawiając się, czy zajęcia rozpoczną się dziś w sali, czy na dworze. Żadna z nas nie mogła wiedzieć, że lekki uścisk i buziak, gdy żegnałyśmy się przed bramą, będą ostatnie.

Wciąż na nowo odtwarzam w głowie każdy szczegół tamtego ranka. Gdybym zatrzymała ją w domu, bo miała lekki katar... Gdybym to ja miała tego dnia dyżur w przedszkolu... Może gdybym zmieniła wtedy choć jedną rzecz, wszystko byłoby dziś inaczej?

Nie rozumiem, jak pisanie o tym miałoby mi pomóc, ale Celia mówi, że pomoże. Wczoraj spotkałyśmy się po raz pierwszy. Od dwóch tygodni nie wychodziłam na dwór; zesłałam, ściskając poręcz, po schodkach naszego wiejskiego domu i natychmiast zdałam sobie sprawę, że płócienne rybaczki i klapki japonki nadawały się na lato, a nie na jesienny chłód, który chlasnął mnie po łydkach, gdy szłam do samochodu. Ale nie miałam siły, żeby wrócić i się przebrać. Klapnęłam na fotel, odsunięty za daleko jak dla mnie; moim voyagerem musiał jeździć Ethan; posprzątał w środku, wnętrze wyglądało czyściej niż kiedykolwiek. Na siedzeniu pasażera nie było już dziecięcego fotelika. Sięgnęłam w dół, żeby przysunąć fotel, i natrafiłam ręką na sztywną figurkę plastikowej baletnicy. Abby szukała jej od tygodni.

Przycisnęłam do piersi maleńką tancerkę i ruszyłam do miasta, żeby rozmawiać z jakąś obcą kobietą o moim życiu bez Abby. Jaki to ma sens?! To Ethan chce, żebym spotykała się z Celią. Mówi, że zachowuję się nienormalnie, bo śpię w łóżeczku Abby, przytulając jej kocyk i zszarganego pluszowego królika. Może tak uważać, mam to gdzieś. Nie jest normalne stracić jedyne dziecko, jakie się miało czy będzie mieć kiedykolwiek. Nie jest normalne potracić czteroletnią dziewczynkę i nie przystanąć, żeby jej pomóc, nie jest normalne nie powiedzieć matce, dlaczego to się musiało wydarzyć.

Moje życie już nigdy nie będzie normalne.

20. dzień bez Abby

Tej nocy spałam dłużej niż dwie godziny. Ustanowiłam nowy rekord: trzy i pół. Wolałabym nie spać tak długo, bo kiedy się obudziłam w jej łóżeczku, z przyciśniętym do piersi królikiem Tootsie, kilka sekund trwało, zanim sobie przypomniałam. Byłam w jej łóżku nie dlatego, że zasnęłam przy czytaniu *Wynken, Blynken i Nod* czy dlatego że usypiałam Abby, gdy obudził ją zły sen. Nie – to mnie śni się koszmar.

Nienawidzę siebie za każdą straconą chwilę. Boję się, że jeśli potrafię zapomnieć na parę sekund, to któregoś dnia mogę zapomnieć na parę minut, a może nawet na parę godzin. A ja nie chcę zapomnieć.

Wstałam i wygładziłam prześcieradło, kołdrę, narzutę. Upchnęłam brzegi pod materac, tak żeby nie zwisały na dywan. Nie wyglądało to zbyt dobrze, ale specjalnie tak słałam jej łóżeczko. Chciałam jak najdłużej zachować w pościeli ślad zapachu Abby.

Na podeście piętra nie było potrzeby zaglądać do sypialni. Po holu przewalały się koty kurzu, a z dołu dochodziła woń kawy: Ethan już wstał. Mogłam wrócić z powrotem do ciepłego łóżeczka Abby i cierpieć z bólu, który przeszywał mi wnętrzności, ilekroć spójrzałam na obłoki – wymalowałam je na ścianie, gdy byłam w ciąży. I mogłam zaryzykować to nieznośne sam na sam z Ethanem na parterze. Wybrałam parter. Schodząc powoli po nierównych stopniach, musiałam wymyślić, co by mu powiedzieć. W ciągu tych paru tygodni nasze rozmowy, kiedyś tak ożywione, prawie przestały istnieć.

Siedział i gapił się w okno. Jego twarz była wyprana z jakiegokolwiek wyrazu. Bez uśmiechu, który ożywiał mu oczy, sprawiał wrażenie całkiem innej osoby. Nalałam sobie kawy, lekko musnęłam jego ciemną, falistą czuprynę, żeby wiedział, że jestem, i usiadłam naprzeciwko.

– Zdarza ci się zapomnieć, choćby na minutę? – spytałam. Wbił teraz wzrok w dno kubka.

– Jeszcze nie. – Upił łyk i odstawił kubek.

Nie zapytałam, czy chce zapomnieć. Myślę, że tak. Ja nie zapomnę nigdy. Wolę, żeby za każdym razem na dźwięk jej imienia przebijał mnie miecz, niż kiedykolwiek zapomnieć. Abigail Anna Gray.

– Spałaś? – Przesunął po stole rękę w moją stronę. – Brakowało mi cię w łóżku.

Podniosłam filiżankę do ust. Za wszelką cenę chciałam uniknąć jego dotyku.

– Trochę. Nie idziesz do pracy? – Wiedziała, że idzie, bo miał na sobie granatowy garnitur w prążki. Liczyłam, że zmieniając temat, uniknę rozmowy o naszym nowym sposobie sypiania.

– Najpierw jadę na posterunek – odparł. – Zabierzesz się ze mną? Potem podrzuciłbym cię z powrotem po drodze do pracy. – Uporczywe spojrzenie niebieskich oczu błagało o „tak”.

Wyprostowałam się.

– Była wiadomość od Caulfielda? Nie słyszałam, żeby dzwonił telefon.

Ethan odchylił się na oparcie. Opuszczone ramiona mówiły jasno, że to, czego tak obawiałam się usłyszeć, jest prawdą.

– Nie, detektyw Caulfield nie dzwonił – powiedział z naciskiem na „detektyw”. – Kiedy rozmawiałem z nim ostatnio, powiedział, że zamierza dokończyć przesłuchanie ludzi z Beach Rose i nauczycieli i dopiero wtedy się skontaktuje. To było cztery dni temu.

Nie potrzebuję, żeby mnie Ethan poprawiał. Akcentował, że opuściłam słowo „detektyw” – tak jakbym uważała, że ten, którego nam przydzielono, to kolejny przejaw pecha.

Spotkałam się z detektywem Hollisem Caulfieldem tylko raz, ale wystarczyło, bym miała pewność, że go nie lubię. Wcześniej pojawiło się dwóch jego asystentów z wiadomością, że trwa śledztwo w sprawie śmierci Abby. Podczas jedynej jak dotąd wizyty zachowywał się arogancko. Musiała to być rutynowa wizyta, potrzebna tylko do dokumentacji z przebiegu czynności służbowych, bo nie miał do powiedzenia nic ponad to, co już wiedzieliśmy.

Nikt nic nie widział. Nikt nie wie, jak to się stało.

Trzy dni po śmierci Abby detektyw Caulfield, w blezerze, który nie przykrywał nawet jednej trzeciej brzucha, wparował do naszego starego domu. Ten budynek kiedyś był domem. Teraz przepełniały go obrazy, dźwięki i zapachy tragedii. W kuchni i pokoju dziennym tłoczyli się sąsiedzi we łzach, ściskający w rękach zmięte ligninowe chusteczki. Rzucił na nich okiem znad okularów, w prawo, w lewo, tak jakby oczekiwał, że zrobią mu przejście, choć nie zadał sobie trudu, by choćby mruknąć „przepraszam”. Gwar ścichł do szmeru: wszyscy zdali sobie sprawę, że ten facet nie jest zbyt miły. Był policjantem. A ja wiedziałam już wtedy, że nieźle da nam w kość.

Ethan dolał mi do kawy odrobinę mleka. Wciąż czekał na moją odpowiedź co do wizyty na posterunku.

– Nie, jedź sam. Nie spałam na tyle długo, żebym miała teraz siłę wziąć prysznic, ubrać się i użerać z tym facetem. Jeśli ci to nie przeszkadza, wolę zostać. Nie zlekceważy cię tak jak mnie i pewnie więcej ci powie. On chyba nie cierpi kobiet.

– A ja nie cierpię, kiedy mi robisz coś takiego. – Ethan, odstawiając czajnik na kuchenkę, odwrócił się do mnie plecami.

– Ale co? Zlituj się, przecież w parę sekund można się było zorientować, że facet szanuje tylko mężczyzn. Nie patrzył mi w oczy podczas rozmowy, a gdy go o coś pytałam, zwracał się do ciebie. „Żona”, „proszę powiedzieć żonie”... Na litość boską!

– Faktycznie, ciężko się z nim rozmawia. Ale to nie powód, żeby zakładać najgorsze. Nic nie da najeżenie się. – Dawniej któreś z nas zakończyłoby to zdanie żarciem, w rodzaju: „Wiesz, jaka potrafi być Tessa”. Teraz Ethan, dyplomata, powiedział tylko: – Zgoda?

Nie lubiłam Caulfielda. Nie zamierzałam obiecać, że nie będę go prowokować. Jeżeli puszcza, mi nerwy, będę. Jedyne, co mogłam przyznać, to to, że nie chciałam się kłócić z Ethanem.

– I właśnie dlatego lepiej, żebym została. Jedź sam. A po powrocie powiesz mi, co mówił... jeśli będziesz miał ochotę. – Na więcej nie potrafiłam się zdobyć.

Coś poruszyło się za oknem. Po długim konarze klonu biegła wiewiórka. Natrafiła na węzeł sznura, na którym zawieszona była opona – huśtawka Abby – i przeskoczyła go.

Ethan nachylił się i pocałował mnie w policzek.

– Opowiem.

Dwie godziny później zastał mnie w tym samym miejscu, w którym mnie zostawił. Sączyłam zimną kawę.

– Naprawdę powinnaś coś zjeść. Dostaniesz wrzodów żołądka.

Otworzył pudełko z ciastkami, jedno z czterech leżących na blacie, i podał mi wczorajszego pączka oraz papierową serwetkę we wzór w uśmiechnięte buźki.

– Caulfield znowu odesłał mnie z niczym. Nie do wiary, że to tak długo trwa... Jeszcze z nikim nie rozmawiał. Czeka na wyniki analizy danych z miejsca wypadku. – Przełknął ślinę. – I na wynik sekcji zwłok.

Seria uderzeń, jakie stanowiły te cztery słowa: „analiza danych z miejsca wypadku”, mniej zabolęła niż te dwa: sekcja zwłok.

– Wiem. Wenonah Falls to nie Boston – zauważyłam, bo lepiej było myśleć o potworze w sedanie niż o Abby na zimnym blacie sekcyjnego stołu. – Ale powinien być coś ustalonych przez ten czas, obojętne czy ktoś coś widział, czy nie. – Zaczęłam wyskubywać nitkę z za dużej na mnie góry od piżamy Ethana, którą na sobie miałam.

– Nie byłoby nic do ustalania, gdyby nie nauczycielka Abby. Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie policzyła dzieci, kiedy wracali z placu zabaw. – Ethan pogładził dłonią marynarkę, usiłując rozprostować zagniecenia.

Przed oczami stanęła mi nienaganna sylwetka panny Janie, gdy równym nauczycielskim głosem mówiła, że od wejścia do budynku przedszkola Jasna Przyszłość do chwili, gdy wybiegła z powrotem i znalazła Abby na jezdni, upłynęły raptem dwie-trzy minuty.

Abby musiała zostać trochę z tyłu za resztą dzieci. Pewnie coś sobie podśpiewywała i mogła nie usłyszeć, jak nauczycielka mówi, że pora wracać. Może zobaczyła kwiatek albo piórko sójki. Zawsze zbierała różne rzeczy, to były jej skarby. Trudno uwierzyć, że wystarczyły dwie-trzy minuty, żeby zniszczyć moją rodzinę. Ale tak się stało!

– Tessa, kochanie... co z tobą? – Ethan rozgiął mi palce, jeden po drugim, i wyjął z ręki pączek, który machinalnie kruszyłam na coraz mniejsze kawałki. Wróciłam myślami do kuchni. Od

czterech lat nie zdarzyło nam się wypić tu filiżanki kawy, bo zawsze coś przeszkodziło.

– No więc co jeszcze Caulfield ci powiedział? Nie mów mi, że to wszystko.

– Obiecał, że zadzwoni, kiedy przeanalizują dane, i ustosunkuje się do każdego nowego faktu, który zostanie ujawniony, ale na razie nic więcej nie mamy. Powiedział, żebyśmy byli cierpliwi. Musimy po prostu poczekać.

Wiedziałam, że nie powinnam krzyczeć na Ethana, ale krzyknęłam. Powinien wiedzieć, że na słowa „cierpliwość” i „czekać” dostanę ataku furii.

– Łatwo mu mówić, bo to nie jego dziecko! Co nam przyjdzie z czekania? Ma sprawdzić każdy samochód w mieście! Ma tu przyjść i powiedzieć, kto przejechał półtoratonową maszyną moje ważące czternaście kilo dziecko!

Ethan wsparł łokcie na stole, najpierw jeden, potem drugi, i złożył głowę w dłoniach.

22. dzień bez Abby

Dziś rano przyszła Rosemary z Matthew. Wie, że środa to najgorszy dzień. Od trzech tygodni.

Byłam w pokoju Abby. Odtwarzałam w głowie różne scenariusze, starałam się wyobrazić przebieg wypadku. Nie cierpię tego słowa: wypadek. Wypadek jest wtedy, kiedy człowiek stłucze talerz czy szklankę, a nie kiedy straci dziecko... Prawie każdy dzień spędzam w jej pokoju, w bujanym fotelu przy oknie. Wszystko stąd wygląda niemal tak samo. Kiedy zmęczy mnie siedzenie, chodzę po pokoju, dotykam przedmiotów, biorę je do ręki.

Wdycham słodki zapach małej dziewczynki: szampon No More Tangles plus mleczko do ciała Country Apple. Sukienki wiszą w szafie, gotowe, by je włożyć. Dziś wybrałabym tę z jaskraworóżowego trykotu w stokrotki, bo ma rękawki trzy czwarte: dzień jest chłodny, powinna mieć na sobie coś cieplejszego. Wyobrażam sobie, jak wkładam jej sukieneczkę przez kędzierzawą głowę, obciążam rękawy na chudych ramionkach, spódniczkę wokół wiotkiej talii... Nalegałabym, żeby włożyła rajstopy, a ona kaprysiłaby, że szwy ją uwierają. Potem przeszłybyśmy do kuchni, gdzie ona jadłaby jak zwykle chrupki ryżowe z jeżynami, a ja piłabym kawę i czytała jej *Niesfornego królika*.

Rosemary próbowała poprawić mi samopoczucie swoim pogodnym nastrojem i świeżo upieczonym ciastem z jagodami. Miała na sobie cienkie wąskie spodnie, bez jednego zagniecenia czy fałdki, i jaskrawoniebieską bluzkę z dekoltem w szpic. Rosemary jest odrobinę wyższa niż ja, ma ciemne włosy, ja jasne. Przez całe życie porównywano nas z racji odmiennego wyglądu. Dziś wynik byłby dla mnie okrutny: miałam na sobie poplamione portki od dresu i rozciągnięty bawełniany podkoszulek. Rosemary wyglądała jak zawsze, bez zarzutu, a ja – jakby coś było potwornie nie tak.

Nigdy dotąd nie przeszkadzało mi, że wpada. Teraz mam po uszy jej nalegań, żebym coś zjadła, żebym się ubrała... To dwie z miliona rzeczy, których wykonywania sobie nie wyobrażam.

– No, Śnieżka... Lepiej się poczujesz, kiedy się wykąpiesz i przebierzesz. Napuszczę ci wody do wanny i przyniosę czyste ciuchy. Dobrze?

Użyła mego przezwiska z dzieciństwa. Jedyna rzecz, jaka została nam po tacie. Na mnie mówił „Śnieżka”, a na nią „Różyczka”; to był jego sposób na rozróżnianie córek urodzonych w odstępnie dwóch lat.

Rozejrzała się po pokoju. Zatrzymała wzrok na małym wózku, w którym leżała lalka Dolly.

– Chyba nie powinnaś spędzać tu tyle czasu. – Miała łzy w oczach. – Może pójdziemy na spacer?

– Wytarła palcem jedno oko. – Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszła na świeże powietrze.

– Przestań. – Ledwie nad sobą panowałam – Kąpiel i spacer nic nie zmienią. Nie chce mi się jeść

i nie obchodzi mnie, co mam na sobie! – O mało nie wrzasnęłam: „Ona nie żyje!”, ale tuż obok Matthew huśtał się na koniku Abby.

Kocham Rosemary, lecz kiedy jest obok, działa mi na nerwy. Traktuje mnie, jakbym była odziedziczoną po prababce bezcenną porcelanową wazą. Czy nie wie, że ta waza rąbnęła o podłogę i rozpadła się na milion kawałków? Nie mogę być bardziej rozbita. I nie mogę znieść wyrazu jej twarzy: „Dzięki Bogu, że nie mnie się to zdarzyło”. Ukrywa tę ulgę. Ale widziałam taką samą u tylu innych matek, że dostrzegam ją pod każdą maską, obojętne jaką.

Nie mogę znieść, kiedy przyprowadza ze sobą Matthew, i nie mogę znieść, kiedy zostawia go w domu. Gdy mały jest tu, czuję bezsilną, jeszcze większą rozpacz, że jej dziecko żyje. Kiedy przychodzi sama, jestem wściekła, że myśli, iż nie potrafię znieść widoku matki i dziecka. Idealnej Rosemary ze swoim idealnym synkiem.

Matthew nie przeszkadzało, że siedzimy w pokoju Abby. Poklepał końską grzywę, a potem wdrapał mi się na kolana.

– Gdzie jest Abby, ciociu? Chcę, żeby wróciła do domu.

Rosemary usiadła na drugim końcu łóżka Abby. Wciąż trzymała w rękach swój głupi chleb. Wtuliłam twarz w kark Matthew. Załaskotało mnie w całym ciele od bliskości realnego dziecka. Byłam dumna z Matthew: powiedział na głos, co czuje, bez krążenia na paluszkach wokół tematu. Tęsknił za Abby i chciał, żeby wróciła. Tak jak ja.

Piątek, 28 października, godz. 16.30

Wyjęłam gazetę z torby i przekreśliłam fotel, tak by stał przodem do okna. Mój gabinet od dawna wymaga jakiejś zmiany, a widok parku będzie stanowić inspirację. Dobrze jest znowu pisać. Lubię czuć, jak pióro ślizga się po papierze. Tyle zamieszania było tego roku... Ale mam to już za sobą. Wierzę, że będę odtąd bardziej konsekwentna w notowaniu.

Nowa pacjentka przypomniała mi, jak leczniczo działa prowadzenie dziennika. Już na pierwszej sesji podchwyciła moją sugestię, aby notować swoje myśli i uczucia. Muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło. Jest dziennikarką freelancerką, ale nie sądziłam, że znajdzie energię, aby pisać z potrzeby serca.

Czteroletnia córeczka Tessy zginęła w wypadku samochodowym, tuż obok przedszkola. Sprawca uciekł z miejsca wypadku. Kiedy przeczytałam o tym w „Globe”, a potem słyszałam, jak wszyscy o tym mówią, od kasjerki w banku po listonosza, wiedziałam, że będzie potrzebować terapii. Co za ironia, że wybrała właśnie mnie.

Jest taka drobna. Trudno uwierzyć, że dźwiga taki ciężar. Ma trzydzieści trzy lata, ale – może z powodu jasnych, niemal białych włosów związanych byle jak w kitkę – wydaje mi się bliższa wiekiem łanowi niż mnie. Choć ma znacznie więcej pewności siebie niż jakikolwiek nastolatek, jakiego znam.

Weszła, uściśnęła mi rękę i usiadła na miejscu przeznaczonym dla pacjentów. Po paru sekundach zrzuciła sandały, podwinęła nogi pod siebie i zaczęła opowiadać o swojej córeczce. W pierwszej chwili przeszkadzało mi, że trzyma bose stopy na fotelu. Wystarczyła jednak minuta, aby jej opowiadanie stało się ważniejsze niż tapicerka.

Przejmuję się sytuacją Tessy bardziej niż zwykle. Utrata dziecka to najgorsza rzecz, jaka może przydarzyć się matce. Każdą przeraża taka myśl. Dzięki Bogu, tylko nielicznym przychodzi się z tym zmierzyć. Nic by jej nie pomogło, gdybym powiedziała, że ból z czasem zmaleje albo że dobrze, że w ogóle miała córkę. To takie banalne, puste wyrażenia... Niektórzy powiedzieliby: bezlitosne.

Nie pomagają.

Odtąd stale o niej myślę. Kiedy po spotkaniu wracałam wczoraj do domu, stanęła mi nagle przed oczami jej twarz o rysach regularnych jak z obrazka. Siłą zepchnęłam ją we właściwy zakątek umysłu i próbowałam się skoncentrować na krętej jezdni, prowadzącej znad oceanu do mojego skrytego wśród wysokich sosen domu, gdzie czekał na mnie mój nowy mąż. Smutne historie lepiej zostawić w gabinecie.

A wtedy w miejsce Tessy pojawiła się twarz Iana. Pokręciłam głową, tak jakbym mogła wyrzucić w ten sposób uwierającą myśl. Nie mogę pozwolić, aby lęk, że i ja mogę stracić syna, zagnieździł się w moim umyśle choćby na chwilę.

Ian ma piętnaście lat i jest wspaniały. Falujące włosy, wyraziste rysy, smukła sylwetka tworzą wizerunek naprawdę ładnego chłopaka. Nie zapowiadał się na takiego, kiedy był mały. Będzie wysokim mężczyzną, już jest wyższy ode mnie, a przecież trudno i o mnie powiedzieć „niska”. Myślę, że jest wyższy i od Aldena, ale czy ktoś widział, aby ojczym i pasierb stawali do siebie plecami, żeby porównać wzrost? Harry’ego widziałam kilka razy, odkąd się rozwieliśmy, ale od ostatniego spotkania minęło sporo tygodni i teraz Ian musi być wyższy także od ojca.

Niewiele rozmawiamy z Ianem o Harrym. Staram się być matką, która nie krytykuje ojca i nie deprecjonuje go w oczach dziecka. A że trudno mówić o Harrym, nie krytykując go, wolę wypowiadać się o nim jak najrzadziej.

„Staraj się nie używać dziecka jako narzędzia w małżeńskim sporze. Szanuj dziecko na tyle, by

szanować jego ojca”. Siedzę w moim kremowej barwy fotelu, patrzę, jak deszcz obrywa barwne liście z gałązek, i słyszę własną, radę, jakiej udzieliłam dziś nie jednej, ale dwóm matkom. I jak tyłu innych terapeutów czuję, że łatwiej udzielić rady, niż samemu się do niej zastosować.

24. dzień bez Abby

Byłam dziś u Celi. Za pierwszym razem nie zwróciłam uwagi na jej lodowate oczy. Rosemary spytała mnie przedwczoraj, jak Celia wygląda, ale nie potrafiłam jej opisać. Ta pierwsza wizyta to jedna mgła, jak wszystko od blisko miesiąca. Pamiętam tylko, że terapeutka była sztywna, choć mówiła w pewnym sensie kojącym głosem.

Dziś przyjrzałam się Celi i jej gabinetowi dokładniej. Przede wszystkim zwróciło moją uwagę, że w poczekalni jest bardzo czysto i porządknie. Dwa fotele ustawiono idealnie pod kątem przy stoliku do kawy. Czy ktoś stale układa te czasopisma w równiutki stosik, czy też nikt ich nigdy nie czyta? Żaden obraz na ścianie nie wisi krzywo. Żadnego żółtego listka czy kurzu na roślinach doniczkowych. Tabliczka na drzwiach „Celia M. Reed, dr psychologii” wygląda na fabrycznie nową, chyba że ktoś nieustannie ją poleruje, tak samo jak meble. Na dywanie widać świeże ślady odkurzacza. Poczułam nagły impuls, aby zatrzeć je moimi adidasami.

Celia była zaskoczona, że tak łatwo zgodziłam się prowadzić dziennik. Pewnie proponuje to każdej matce, która straciła dziecko.

– Pisanie to mój zawód, więc chyba mogę pisać i dziennik. Co innego mi pozostaje, skoro muszę czekać, aż policja ustali, kto zamordował moje dziecko?

– Wygląda na to, że jest pani zła, Tesso. – Celia złożyła dłonie na podolku. Kontakt wzrokowy przychodzi jej z łatwością. – „Zamordował” to bardzo mocne słowo.

Mało brakowało, żebym powiedziała: Za to ci płacę? Do takiej gadki nie potrzeba doktoratu z psychologii.

– Tak, jestem zła.

– Złość to istotny etap w przepracowywaniu uczuć w trakcie żałoby. Trzeba wyrazić swoje emocje, zwłaszcza negatywne. W ten sposób można zapobiec głębszej depresji.

Powiedziała to tak gładko, że nie mogłam nie pomyśleć: ciekawe, ile razy dziennie powtarza to różnym ludziom, którzy siedzą na moim miejscu.

– Och, wiem, jak sobie radzić z depresją. Nie o to chodzi. Ale nie można stać z założonymi rękami i pozwolić, żeby morderca uszedł wolno i zabił kolejne dziecko kolejnej matce! –

Rozplotłam nogi i skrzyżowałam je w drugą stronę. Sztywna sylwetka Celi prowokowała mnie do jakiegoś ruchu, żeby zrekompensować jej sztywność. – Czy ten, co zabił Abby, w ogóle o tym wie? A może drań był pijany, w środę o dziewiątej rano?

Leciutko nachyliła się ku mnie, nie więcej niż o kilka centymetrów. Tak pewnie przejawia się u niej zainteresowanie.

– Dlaczego policja myśli, że kierowca był pijany?

– Nie wiem, co myśli czy co robi policja. Facet, który prowadzi śledztwo, o niczym nam nie mówi.

Celia nie śpieszyła się, aby przerwać milczenie. W gabinecie pociemniało: za oknem gromadziły się burzowe chmury. Bez słowa wstała, by włączyć lampy, strategicznie rozmieszczone po mojej prawej i lewej stronie. Czekala, aż dokończę. Chyba już uznała mnie za gadułę.

– Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego można potrącić dziecko i spokojnie pojechać dalej. Kto tak robi?

Celia milczała.

Nie wiem, czy potrafi mi pomóc. Konsekwentnie utrzymuje postawę typu: być z pacjentką blisko, ale nie za blisko. Jest dosyć miła; nalegała nawet, żebym wzięła jej parasolkę, bo lunęło, kiedy wychodziłam. Ale różne rzeczy w niej mnie drażnią. Miała dziś na sobie ten sam sweterek i naszyjnik z perełek co w ostatni piątek. Trochę zanadto przypomina mi doktora Rogersa z

telewizji. Może ja nie chcę, aby mi pomóc? Może nie chcę, żeby ktoś się o mnie troszczył, skoro płaci za to moje towarzystwo ubezpieczeniowe? Mimo wszystko nadal do niej chodzę.

W domu, do niedawna wypełnionym radosnym hałasem, dialogami z telewizora, w których bohaterowie seriali rozwiązywali swoje drobne problemy, chwytliwymi dźwiękami muzycznych przebojów – i śmiechem Abby... – teraz panuje śmiertelna cisza. Nie mam nic innego do roboty. Nie zamierzam wracać do pracy. Nie wyobrażam sobie, bym miała odpytywać specjalistów od wychowania na okoliczność niegrzecznych dzieci czy udzielać pierwszej pomocy w nagłych wypadkach dotyczących mody. Jak mogliśmy tak zatytułować tę kolumnę? „Nagle wypadki”... Co za bezmyślność! Niejednego to pewnie zraniło. Wątpię, czy potrafiłabym się teraz powstrzymać od napisania: „Jeśli twoim jedynym problemem jest to, czy nosić skórzaną kurtkę do lnianych spodni, to masz szczęście, ty sukinsynu”.

– Nie zalecałabym podejmowania w tej chwili żadnych ostatecznych decyzji – powiedziała Celia.

– Może mogłaby pani przesunąć niektóre terminy?

– Za późno. Już zrezygnowałam ze współpracy z wszystkimi redakcjami. Wiem, że nigdy więcej nie będę robić tego, co robiłam. Praca to najmniejszy z moich problemów.

– Ma pani rację, z czasem życie zawodowe samo się ułoży. Sugerowałam tylko, żeby pani nie zamykała za sobą drzwi do współpracy w przyszłości. – Wygładziła brzeg spódnicy, choć nie zmieniła pozycji ani o włos, odkąd usiadła. Przykryła dłonią płamę na spodniach.

– Ethan wrócił do pracy już po dwóch tygodniach. Nie wiem, jak on to potrafił. Mówiłam mu, że gdyby chciał wziąć sobie wolne, choćby na trochę, możemy sobie na to pozwolić. Powiedział, że najgorsze będą pierwsze dwa dni.

Przez tych pierwszych kilka wieczorów, odkąd wrócił do pracy, trzymałam się od niego z daleka.

Schowałam się w mojej pracowni, udając, że czytam kartki kondolencyjne. Wiedziałam, że inaczej nie potrafię się powstrzymać i powiem mu, jak mnie to wkurza, że tak szybko się pozbierał. A potem któregoś wieczoru wyjrzałam przez okno i dostrzegłam jego sylwetkę.

Wyjmował swoje rzeczy z tylnego siedzenia auta. Płaszcz deszczowy Burberry. Torba z laptopem na ramieniu. Nawet w ciemności widziałam, że jest skonany.

Przypomniało mi się, jak wracał do domu krótko po narodzinach Abby. Był wtedy bardziej niewyspany niż ja. To on wstawał do niej w nocy. Przynosił mi ją do karmienia i w świetle nocnej lampki trzymał za rączkę, kiedy klepałam i masowałam jej plecki. A rano wstawał o właściwej porze i jechał na cały dzień do pracy. Powtarzało się to przez pięć, a nawet sześć dni z rzędu.

– A czy te pierwsze dni rzeczywiście były takie trudne, jak się oboje spodziewaliście? – spytała Celia. Zabrzmiało to szczerze.

– Nawet jeśli tak, to nic mi o tym nie mówił – odparłam. Brakowało mi energii na przejmowanie się, że Celia uzna mnie za złą żonę. Co to zmieniało? I tak już byłam złą matką.

– Nie chodzę nawet do naszego spożywczaka – mówiłam. – Po co mi to? Żeby patrzeć na te współczujące twarze i słuchać sztucznego „jakże mi przykro”?

– Na razie może pani uniknąć pewnych rzeczy – powiedziała Celia. – Ale w którymś momencie będzie pani zmuszona do konfrontacji z tym bolesnym doświadczeniem. – Splotła dłonie i złożyła je na biurku. – To nie jest dobry pomysł, Tesso, schować się przed życiem.

Czy ta Celia tak serio? „Z tym bolesnym doświadczeniem”, „schować się przed życiem”... Ona nie ma najmniejszego pojęcia, jak to jest budzić się co rano w łóżeczku dziecka tylko po to, aby sobie przypomnieć, że moje życie się skończyło.

Nie ma radości. Nie ma jasności. Nie ma miłości.

Nie ma Abby.

Piszę po ciemku, tylko przy świeczce. Nie chcę, aby było widać, że jesteśmy w domu. Nie wytrzymałabym, gdybym miała otworzyć drzwi gromadce dzieci przebranych za duchy czy hordzie nastolatków żądających słodyczy. Na nieszczęście nasza ulica nadaje się idealnie do zabawy pod hasłem „cukierek albo psikus”. Domy stoją blisko siebie. Na wysadzanym drzewami ulicy prawie nie ma ruchu.

Przedszkole Jasna Przyszłość też znajduje się przy idealnej ulicy.

Na jej pierwsze Halloween ubraliśmy Abby w śliczną koszulkę, a na główkę włożyliśmy koronę księżniczki. Miała wtedy sześć miesięcy i przespała cały wieczór. W drugim roku chowała się za mną, ale ilekroć otwierałam drzwi, zerknęła z ciekawością.

W zeszłym roku Ethan zbierał z nią słodycze. Sama zdecydowała, że przebierze się za Kopciuszką: w niebieską sukienkę wyszywaną srebrnymi cekinami. Nosiła ją przez cały poprzedzający Halloween tydzień, a ostatniego wieczoru nawet w niej spała. Parę tygodni później wyrzuciłam ją. Nie wiem, co ja sobie myślałam... W tym roku nie mieliśmy jeszcze wybranego kostiumu. Nie mogła się zdecydować, za kogo się przebierze.

Dziś, w dniu, który miał być jej czwartym Halloween, siedzę w ciemnym pokoju. Ethan obok mnie słucha tego śmiesznego CD o przeżywaniu żaloby przez mężczyznę. Ciekawe, czy to ksiądz Mikę mu pożyczył, czy poszedł do biblioteki i spytał, co mają na ten temat...

Ethan. Tata Abby. Mój najlepszy przyjaciel. Mój czuły kochanek. Brak mi go, ale wyprzedził mnie na drodze do miejsca, które nazywa się: życie bez Abby. Nie chcę jeszcze wyruszyć w tę podróż, lecz on nalega, próbuje pociągnąć mnie za sobą. Ale to tak jak z grą Candy Land, o której Abby mówiła: „Mamo, musisz poczekać, aż dostaniesz kartę, żeby dojść do końca planszy”.

Ostatni raz kochaliśmy się przed. Nie mam nic przeciwko jego dotykowi, nie chcę tylko dalszego ciągu. Nie jest trudno unikać Ethana: spiam w pokoju Abby, a on nie przestąpi jego progu. Mogłabym pójść do niego; seks mógłby być przyjemny. Ale ja nie chcę, żeby mi było przyjemnie. Po wszystkim, cośmy przeszli, żeby mieć drugie dziecko – niezliczone wizyty lekarskie, seks według kalendarza, ciągłe zmartwienie, że *coś* jest nie tak – myśl, że mogę zajść w ciążę, wydaje mi się teraz nie do przyjęcia.

Siedzimy więc, samotni we dwoje, kryjąc się przed sąsiadami. Możliwe że wcale by nie zadzwonili – kto miałby ochotę przypominać Grayom, że im się to więcej nie przydarzy? Dziś rano, kiedy wstałam na kawę, podsłuchałam rozmowę dwóch kobiet: skarżyły się, że nie cierpią całego tego kiczu, tego włóczenia się z dziećmiakami po zimnie, tych idiotycznych gór cukierków... O mało nie wykrzyczałam im w twarz: nawet nie wiecie, ile bym dała, żeby powłóczyły się jeszcze z Abby choć raz! Ale nie wykrzyczałam. Rozplakałam się. Płakałam cały czas po drodze na policję.

Wypiąłam dużą czarną i poszłam zobaczyć się z Caulfieldem. Nadal nie mamy od niego żadnej wiadomości. Czy to się Ethanowi podoba, czy nie, jedno z nas musi spytać go wprost o wyniki śledztwa.

Ludzie na posterunku rzucali mi ukradkowe spojrzenia. Caulfield naturalnie kazał czekać na siebie dwadzieścia minut. Ethan mówi, że to zawsze jest dwadzieścia minut, nie piętnaście ani trzydzieści. Dokładnie tyle, ile trzeba, aby dać człowiekowi do zrozumienia, że nie może wpadać ot tak, bez zapowiedzi. Znam ten typ: taki gość nie chce, aby ktokolwiek odniósł wrażenie, że nie jest zajęty. Ale Caulfield nie wiedział, że każąc mi czekać, okazał się kiepskim strategiem. W

miarę jak mijał czas, wpadałam w coraz większy szal.

Nie miałam nic do roboty, więc zaczęłam liczyć biurka i policjantów. Dwa rzędy po trzy biurka w każdym, ciemne, podniszczone. Tylko trzy były zajęte; policjanci popijali wodę sodową i przerzucali od niechcenia akta, tak jakby to były kolorowe magazyny. A ja chciałam widzieć gorączkową bieganinę. Dzwoniące telefony.

Kiedy Caulfield wyłonił się ze swojego przeszklonego gabinetu, ociekał nadmiarem. W tłustych łapach trzymał gigantyczną filiżankę z kawą. Złote pierścienie miały wielkość spodków.

– Witam, Tereso. Jak się pani miewa?

Nie wiem, co bardziej mnie irytowało: ciężki od rzekomego współczucia saksofonowy baryton głosu czy to, że nadal nie pamięta mojego imienia. Nazywam się Tessa, nie Teresa. Oczywiście, jedyna rzecz, która była w nim mała, zdradzała, że ten brak pamięci jest zamierzony. Przeprowadziłam dostatecznie dużo wywiadów, żeby od razu rozpoznać w kimś bierną agresję. Ustawiał blokadę między prowadzącym śledztwo a rodziną ofiary.

– Zapraszam do gabinetu, będziemy mieć więcej swobody. – Wziął akta z biurka policjanta niewiele starszego od Abby i wykonał zapraszający gest ręką. Zanim usiadłam, zobaczyłam w koszu na śmieci dwa opakowania: po nikotynowej gumie do żucia i po drażetkach Good & Plenty.

– Popatrzmy... Z pewnością chciałyby się pani dowiedzieć o postępy w śledztwie. – Pochylił głowę i spoglądał na mnie znad okularów. – Przykro mi to powiedzieć, ale niewiele mamy materiału wyjściowego. Czekam na wyniki analizy materiału dowodowego: odłamka szkła, drobin lakieru. Ale nie ma żadnych naocznych świadków. Podejrzanych też nie.

Siedział w rogu biurka. Jedynym dostrzegalnym ruchem było poruszanie się jego oczu i ust.

– To już prawie miesiąc. Dlaczego sprawy posuwają się tak wolno?

– Mówiłem już pani mężowi, że robię, co w mojej mocy. Nie ma sensu poganiać ludzi z laboratorium. Denerwują się, kiedy naciskam, a ja od czasu do czasu muszę poprosić ich o przysługę. – Puścił oko. – Rozumie pani.

Gdyby moja ręka nie była za krótka, gdyby nie dzieliła nas zbyt duża odległość, strzeliłabym go w tę jego szczękę, wielką i wystającą jak u Jaya Leno.

– Dlaczego w tym przypadku nie poprosi ich pan o przysługę? – Wzbierała we mnie wściekłość, czułam, że krew nabiega mi do twarzy. Odwróciłam się. Może nie zauważył.

W kącie pokoju stały na podłodze dwa pudła. Słyszałam, że niedługo odchodzi na emeryturę. Choć nie miałabym nic przeciw temu, aby już teraz pił guinnessa na jakimś polu golfowym na Florydzie, wiedziałam, że jest mi potrzebny, żeby ustalić, kto zabił Abby.

Zdjął okulary o grubych jak denka szklach i schował je do kieszonki na piersi.

– To najtrudniejszy element mojej pracy. – Urwał. – Bywa, że choć byśmy nie wiem jak starali się wyjaśnić, co konkretnie zaszło, po prostu nie mamy dostatecznych dowodów. Bardzo mi przykro.

– Więc co pan zamierza? Nie chce pan chyba powiedzieć, że umarza pan śledztwo w sprawie śmierci mojej córeczki? – Ściągnęłam twarz w grymasie odbijającym jego nieszczerłość.

– Wiem, że chciałyby pani, abym sprawdził każdy samochód w Wenonah. Ale ja nie mogę tego zrobić. Sama pani rozumie. – Założył na piersi tłuste owłosione ręce gestem, który mówił, że rozmowa dobiega końca.

Zsunęłam się na brzeżek krzesła, przyciskając do brzucha torbę konduktorę i dzinsową kurtkę.

– Nie, nie rozumiem. Żądam, żeby pan zrobił wszystko, co niezbędne. Być może potrzebna jest panu pomoc. Czy zaangażowano już policję stanową?

Mówiłam jednym tchem; być może chciałam mu pokazać, na czym polega pośpiech. Patrzył na mnie jak na wariatkę, co rozwścieczało mnie tym bardziej.

– Przewiduje pan zwrócenie się o pomoc do ludzi, którzy wiedzą, jak postępować w przypadkach takich jak ten, prawda? Bądź co bądź całe życie pracował pan tylko w Wenonah. Może dla pana sprawa jest zbyt skomplikowana.

Siedział bez ruchu, więc wstałam.

– Pan wie, detektywie, że mam kontakty w „Globe” i w „Herald”. Jeśli będę zmuszona, doprowadzę do tego, że opublikują tę historię na pierwszej stronie z podkreśleniem, że pan sobie nie radzi ze sprawą. Czytelnicy uwielbiają tajemnicze historie. Zwłaszcza gdy ich tematem jest śmierć dziecka i matka w żałobie.

Popatrzył w przestrzeń poza mną i skinął głową. Dwa cienie przesunęły się wzdłuż rzędów biurek w stronę jego drzwi. Przypomniało mi to postaci w garniturach przesuwane wzdłuż kościelnych ławek ku malutkiej białej trumience Abby. Caulfield dźwignął się zza biurka i otworzył szklane drzwi.

– Spokojnie, spokojnie. Oczywiście zwróciliśmy się do odpowiednich władz. Wcale nie mówię, że śledztwo zostaje umorzone. Tylko musi pani być cierpliwa, Tereso. Na pewno pani nie chciała, żeby to, co pani mówi, zabrzmiało jak groźba. To pewnie smutek przez panią przemawia.

– Nie, detektywie – wycedziłam. – To przemawiam ja. Ma pan ustalić, kto zabił moje dziecko, albo przekazać sprawę komuś, kto potrafi to zrobić.

Nie czekałam, aż mnie ktoś odprowadzi, ruszyłam do wyjścia. Walcząc z opornym rękawem kurtki, upuściłam torbę. Podniósł ją młody policjant siedzący przy biurku koło drzwi Caulnelda. Pomógł mi włożyć rękę w rękaw i podał torbę.

– Pracujemy nad tym, pani Gray – szepnął. – Przysięgam pani, pracujemy.

Lepiej niech na serio się do tego wezmą... Nie mają pojęcia, jak uparta i nieobliczalna potrafi być matka, która musi wiedzieć. Nie odpuszczę. W nosie mam, że będę upierdliwa. Albo znajdą sprawcę, albo zrobię to ja.

Wtorek, 1 listopada, godz. 8.00

Postanowiłam trzymać dziennik w biurze. Będę mogła pisać swobodnie, mając go pod ręką w górnej szufladzie biurka. Tylko tu nie wypatrzą go ciekawskie oczy.

Nie zliczę pacjentów, którzy mówili mi, jakie to trudne – oprzeć się pragnieniu, by przeczytać pamiętnik dziecka czy zapiski żony. Dla mnie to tabu. Jak otworzenie cudzego listu. Nigdy nie posunęłabym się do tego.

Harry powiedziałyby, że mam paranoiczne urojenia. Zabawne. Bo gdybym miała wskazać osobę, która na pewno uległaby pokusie, moim jedynym i stuprocentowym typem byłby Harry Hayes. On sam był jak otwarta książka, nigdy nie potrafił zrozumieć mojej potrzeby prywatności. Na szczęście nie muszę już martwić się, co myśli o moim postępowaniu.

Za to Alden nigdy nie przeczytałby mojego dziennika. Jesteśmy małżeństwem od trzech miesięcy, znamy się od dziesięciu i jestem więcej niż pewna, że nawet by go nie kusilo. Dowiódł wielokrotnie swoim zachowaniem, że szanuje moją potrzebę własnej przestrzeni. Wczoraj wrócił do domu wcześniej niż ja i kiedy weszłam do kuchni, na stole czekała już porcelanowa filiżanka, a w czajniczku naciągała herbata, moja ulubiona. Na blacie leżała poczta dla mnie; ani jedna koperta, duża czy mała, nie została rozcięta. Była też paczka z książkami. Harry na pewno by ją otworzył. Trudno powiedzieć, co podziałałoby jak magnes: obietnica dobrej lektury czy zwykła ciekawość.

Gdyby ktoś spytał mnie parę lat temu, czy zajrzałby do mojego dziennika Ian, odpowiedź brzmiałaby: wykluczone. Wówczas nie przeżywał jeszcze burzy hormonalnej. Dziś nie byłabym już taka pewna.

Wczoraj wieczorem, jak zawsze, odkąd wprowadził się Alden, Ian tylko mi mignął. Zszedł tylnymi schodami, przez kuchnię, zajrzał do lodówki, po czym wymknął się do biblioteki po słownik. I bez słowa, przeskakując po dwa stopnie naraz, wrócił do swojego pokoju.

Brak mi mojego chłopca, który mieszka ze mną pod jednym dachem. Zanim się położyłam, zapukałam do niego. Usłyszałam roztargnione „proszę” i otworzyłam drzwi. Na podłodze leżały ciśnięte dzinsy, z otwartych drzwi szafy zwisał podkoszulek, biurko pokrywały papiery.

– Przyniosłam ci kakao. Jak lekcje?

Ekran komputera migotał szaleńczo niczym światła w dyskotecce. Na marginesie widniały ikonki trzech innych plików. Jasne, że wcale nie odrabiał lekcji.

– Zaraz się kładę. Jestem wykończona.

Odchylił się na oparcie krzesła i patrzył, jak stoję w progu, niepewna, czy posunąć się dalej.

– Wejdz, mam, nic takiego nie robię. Przepraszam za ten bałagan. Postawiłam kubek na jego biurku i przysiadłam na niezasłanym łóżku.

– Mam nadzieję, że przesiadujesz wciąż u siebie nie dlatego, że czujesz się z nami niezręcznie.

Wiem, że to musi być dla ciebie trudne – mieszkać z Aldenem pod tym samym dachem. A zwłaszcza patrzeć, jak wchodzi i wychodzi z mojego pokoju.

Położył obie ręce na biurku.

– Och, mam. Za dużo informacji. Nie mam ochoty nawet myśleć o tobie i Aldenie, a co dopiero rozmawiać o tym. – Zamykał kolejne strony, nawet nie usiłując ukryć przede mną MySpace.

Strony, której nadal nie lubię i nie mam do niej hasła dostępu.

– Wiem, że nie lubisz tego portalu, mam, ale spoko – mówił. – Ja tylko czytam to, co napisały inne chłopaki. Od czasu do czasu wrzucę komentarz. Zresztą tata uważa, że wszystko w porządku, dopóki mam na liście znajomych tylko tych chłopaków, których znam.

Ekran zgasł. Ciemność pokoju rozświetlała tylko lampka.

– Ja nie przesadzam, Ian. Nie lubię być odmiennego zdania niż tata... ale on nie wysłuchuje tych okropnych historii o chłopcach w twoim wieku, którzy wchodzą na te strony. A ja tak.

Nie przewrócił oczami. Nie westchnął.

– Może dostanę jakieś punkty za to, że nic przed tobą nie ukrywam? – Uśmiechnął się, ale półgębkiem, a ja pomyślałam: kiedyż to ostatni raz widziałam, jak uśmiecha się szeroko, otwarcie, z całego serca?

– Jasne. Wiesz, że u mnie zawsze zbierasz punkty. – Miałam ochotę spytać o Lacey. Nie widziałam jej od tygodni. To rekord jak na tę cichą dziewczynę, która niemal cały lipiec i sierpień przesiedziała z podwiniętymi nogami na mojej kanapie i podśpiewywała, brzdąkając na gitarze, Ian twierdził, że to tylko koleżanka, lecz ja widziałam, jak odrzucała włosy z ramienia, jak chętnie się śmiała, gdy cokolwiek powiedział i wnioskowałam coś innego. Ale nie spytałam. Pochyliłam się nad nim i kładąc mu ręce na uszach, pocałowałam w grzywkę, tak jak robiłam co wieczór, przez całe jego życie. – Obiecuj mi, że będziesz ostrożny – powiedziałam tylko. Podeszłam do drzwi i kiedy je otworzyłam, ku mojemu zaskoczeniu stał w nich Alden. Koszula i spodnie wyglądały na nim jak, jak spod żelazka, choć miał je na sobie od dwunastu godzin. Nie odezwał się i ja też nie. I bez słów stanowił dla lana twarde przypomnienie faktu, że małżeństwo jego rodziców nie istnieje. Choć nie chciałam skrzywdzić syna, musiałam w końcu rozwiązać jego dziecięcą mrzonkę, że uda się nam z Harrym naprawić nasz dwudziestoletni związek, psuty konsekwentnie od lat dziesięciu.

Ian wobec Aldena jest niemową. Ten wieczór też nie stanowił wyjątku. Nie rzucił kąśliwej uwagi, nie spojrział gniewnie w stronę mojego męża. Po prostu udał, że nie istnieje.

Wyszłam, a Alden zamknął za mną ciężkie dębowe drzwi, tak jakby przyszedł tylko w jednym celu: żeby mnie odzyskać. Szłam do sypialni, którą dzieliłam niegdyś z ojcem lana, trzymając za rękę innego mężczyznę. Zastanawiałam się, co mój syn teraz sobie myśli.

Środa, 2 listopada, godz. 15.00

Podczas przerwy na lunch wstąpiłam do Harbor Liquors, żeby kupić butelkę Cabernet do dzisiejszej kolacji. Postawiłam ją na ladzie i wyciągnęłam z portmonetki dwudziestkę.

– To co, szykuje się dziś u państwa przyjęcie? – Człowiek za ladą, którego twarz była mi znana, ale nazwisko uciekło mi z głowy, z szelestem włożył butelkę do papierowej torby.

– Słucham? – Czyżby Alden też kupował wino? Ale to niemożliwe, w porze lunchu?

– Ano, pani druga połówka też dopiero co tu była. Kupił parę butelek cutty stark.

Harry... Harry nie jest moim mężem. I nadal pije.

Nie potrafię wyobrazić sobie Harry'ego inaczej niż z kieliszkiem w ręce. Właściwie to trudno mi sobie przypomnieć sytuację, kiedy nie miałby w ręce kieliszka. No chyba że sięgam do czasów prehistorycznych... Wtedy, owszem, trzymał zwykle w ręce inne rzeczy: żagiel jachtu albo moją dłoń, kiedy zśliśmy plażą.

Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, siedział na pomoście i majtał w wodzie nogami: jedną, potem drugą. Nawet nie wiedząc, że jest żeglarzem, mogłam się tego domyślić. Kiedy spojrzałam na niego po raz pierwszy, pomyślałam: lato.

Zawsze opalony, ze zwisającymi na kolorowej tasiemce słonecznymi okularami, lubił miękkie bawełniane bluzy i buty wkładane na gołe stopy, bez skarpetek. Naszą pierwszą randkę zaaranżowała dziewczyna, którą ledwie pamiętałam ze studiów podyplomowych. Spotkaliśmy się w porcie. Nasze miasto leży na wybrzeżu, więc wydawało mi się to w pełni naturalne. Nie miałam pojęcia, że zaplanował przejażdżkę jachtem. „Tak jak lubisz” był ośmiometrowym

slupem, choć w tamtej chwili widziałam w nim wyłącznie przyjemną łódź i nic poza tym. Harry wyłożył mi w skrócie zasady żeglowania. Później, kiedy odpłynęliśmy kawałek i od innych łodzi dzieliła nas bezpieczna odległość, kazał mi usiąść za sterem. Z początku wahałam się niepewna, czy poradzę sobie z otwartym oceanem. Pod koniec dnia byłam już zakochana. W oceanie... A choć przez parę miesięcy nie chciałam się przyznać sama przed sobą, w Harrym też. Owinięci w polarowe koce gadaliśmy o Szekspirze i Paleyu. Przy Harrym śmiałam się, czułam się jak nigdy dotąd swobodnie. A przynajmniej od dawna... To, co zaczęło się jako niepewny, typowy dla pierwszej randki śmieszek, zmieniło się w radosny śmiech z głębi, serca, popłynęło w morską dal i tam zostało. Siedziałam na jachcie i patrzyłam na majaczący w oddali port.

Wszystko wyglądało inaczej, wszystko zdawało się możliwe.

Dziś Harry ma obrzękłą twarz alkoholika, a szczupła talia zniknęła pod naporem pustych kalorii i opróżnianych kolejno butelek. Nie wiem, dlaczego czekałam tak długo. Powinnam wcześniej ułożyć sobie życie na nowo; Ian byłby krócej poddany destrukcyjnym wpływom alkoholu. Pozostawiłam wspomnienia o Harrym w sklepie z trunkami i ruszyłam z zakupami do domu. Dźwigając w ręce trzy torby, otworzyłam drzwi. Z wnętrza popłynęła muzyka – Puccini – i woń karmelizowanej cebuli.

– Alden? Nie spodziewałam się, że ktoś będzie w domu! Nie widziałam na podjeździe twojego auta... – W samą porę postawiłam torby na blacie; tylko rolka papierowych ręczników wysliznęła się z jednej na podłogę.

– Jest w warsztacie. Nic takiego, trzeba wymienić opony. A co ty robisz w domu w środku dnia? Popsułaś mi niespodziankę.

Z rękami na desce do krojenia i z grymasem na twarzy od szczypiącej w oczy cebuli odwrócił łysiejącą głowę i cmoknął mnie w policzek.

– Robię ci coś dobrego na kolację.

Wstawiłam do szafki pudełko płatków śniadaniowych i słoik migdałów, a twarożek i odtłuszczone mleko do lodówki. Alden nadal siekał.

– Nie miałam w grafiku nikogo na popołudnie, więc pomyślałam, że kupię coś niecoś na kolację. Ale na pewno twoje będzie lepsze.

– No jasne. Skoro nie musisz sama kucharzyć... – Zaśmiał się. – Moja mama często mówiła, że jedzenie smakuje dużo lepiej, jeśli przygotował je ktoś inny.

Nie chciało mi się wracać do pracy. Przyjemnie pobawić się w dom z Aldenem. Chciał mi zrobić niespodziankę, przyrządzić kolację. Nawet Ian będzie musiał przyznać, że to miły gest. Zależy mi tylko na tym, żeby on szanował Aldena, tak jak Alden szanuje jego.

Od samego początku wszystko, co robimy, ma na uwadze lana. Nasz ślub w lipcu był prosty, zwyczajny, tak by nie eksponować naszego szczęścia. Codzienne ubrania, standardowy posiłek. Żadnych publicznych przejawów czułości, żadnych toastów, żadnych głośnych obietnic uczucia do grobowej deski. Wprowadzenie się Aldena do naszego domu było równie stopniowe jak wyprowadzka Harry'ego gwałtowna.

To, że Alden przystał, by większość swoich rzeczy trzymać na razie w przechowalni, jest z jego strony przejawem wielkiej wyrozumiałości. Ceni bowiem urodę przedmiotów. Plan, by wprowadzać jego rzeczy po trochu, był próbą, żeby nie zmieniać pejzażu zbyt gwałtownie.

Zabrał ze sobą tylko skórzany fotel, swoje nienagane ubrania i parę pudeł ukochanych historycznych książek. Wydawało się jedynie słuszne, by wydzielić dla niego jakąś przestrzeń, którą mógłby nazwać własną. Miałam opory przed proponowaniem mu czegoś, co przedtem należało do Harry'ego. Ale Harry'ego i mnie już nie było. Był Alden.

Spakowałam stare książki Harry'ego i pozwoliłam Aldenowi zająć połowę półek w bibliotece.

Był wdzięczny za ten gest i starał się zachowywać dyskretnie, gdy rozlokowywał na regale swoje

książki. Żadne z nas nie chciało dawać Ianowi kolejnej okazji do demonstrowania niechęci wobec ojczyma.

Od samego początku Alden bardzo się starał nawiązać z Ianem kontakt. Kiedy po raz pierwszy wyszliśmy razem z nim, zabraliśmy go do Muzeum Sztuk Pięknych. Alden zaproponował, żebym poszła obejrzeć Milleta, a on w tym czasie przejdzie się z Ianem po skrzydle ze sztuką współczesną. Będą mieli okazję się poznać. Później powiedział, że trudno jest poznać kogoś, kto konsekwentnie nie chce z tobą rozmawiać.

Patrzyłam teraz, jak Alden szykuje dla mnie kolację, i marzyłam, aby Ian dostrzegł, jakim dobrym jest człowiekiem. To nie Harry, jasne, ale przecież nie oczekuję, że mój syn pokocha Aldena jak ojca. Musimy po prostu być cierpliwi. Z czasem Ian sam do tego dojdzie.

Wyładowałam zakupy i objęłam Aldena od tyłu.

– Nie wstępowałaś wcześniej do sklepu z alkoholem, prawda?

– Nie. Chyba mamy w domu przynajmniej jedną butelkę pinota... Będzie doskonale pasować do tego, co szykuje.

Przytuliłam policzek do jego swetra. Nie, sprzedawca nie pomylił moich niemożliwych do pomylenia mężów.

– To co, powiesz mi w końcu, co dziś mamy na kolację?

– Uproszczoną wersję muszli świętego Jakuba.

Powinłam była pomyśleć, zanim otworzyłam usta. Nie zrobiłam tego.

– Ian nie lubi owoców morza.

Piątek, 4 listopada, godz. 15.00

Każdy pacjent i pacjentka zwraca uwagę na widok z mojego okna. Ozdobna kapusta na klombach i różnokolorowe chryzantemy mimo chłodu pięknie się rozwijają. Opadłe liście tworzą na ziemi barwne wzory. Typowy pejzaż Nowej Anglii. Można by namalować znakomitą akwarelę... gdybym się tym jeszcze zajmowała.

Trudno zapomnieć dzień, kiedy po raz ostatni umoczyłam pędzel w farbie.

Cieszę się, że mam z okna ten widok, zwłaszcza w dni takie jak ten, kiedy pacjent nie przychodzi na zamówioną wizytę i nie dzwoni wcześniej, żeby ją odwołać. Wyglądam przez okno i nie czuję się wtedy jak w pułapce. To irytujące, kiedy trzeba siedzieć w gabinecie i nie ma nic, czym można by wypełnić czas. Oczywiście, można się zająć rachunkami czy porządkowaniem notatek na temat pacjentów, ale jeśli już się do tego zabiorę, irytację budzi następny pacjent czy pacjentka.

Spróbuję w takim razie zapisać coś o poprzedniej pacjentce. Sesja z Tessą okazała się łatwiejsza, niż przypuszczałam. Ustaliłyśmy, że będzie przychodzić raz na tydzień. Co piątek.

Lubię jej sposób bycia. Jest bezpośrednia, niezależna, impulsywna. Jak dziecko. Zapewne przeżywała typowe huśtawki emocji: od szczytu radości spadała na dno smutku.

Ma silną, wyrazistą osobowość. Taka intensywność przeżywania wiele wnosi do życia rodzinnego. Pozytywnie wpływają ożywione, błyskotliwe rozmowy, zaraźliwy śmiech. Miło byłoby spędzać czas z Tessą pełną entuzjazmu. Uśmiechniętą. Szczęśliwą. Przez jakiś czas taka nie będzie, o ile w ogóle.

Niepokoi mnie mroczna strona jej osobowości; napór negatywnych emocji. Zagłębia się coraz bardziej w tunel żaloby, a ja, czy tego chcę, czy nie, towarzyszę jej w tej podróży. Wiedziałam od naszej pierwszej telefonicznej rozmowy, w co wchodzi. Czuję się na siłach sprostać zadaniu.

Wyglądam przez okno na graniczący z zielonym skwerem parking i widzę jak zmierza w stronę gabinetu, ale jak większość pacjentów nie spieszy się na spotkanie. Ciekawe, czy nadal będziemy mówić o śledztwie... Mam nadzieję, że nie dostrzegła, jak się kurczę wewnątrz na dźwięk słów „morderstwo” i „jazda po pijanemu” użytych w jednym zdaniu. Odkąd Harry'ego aresztowano po raz pierwszy, aż do ostatniego dnia naszego małżeństwa stale się bałam, że kogoś potrafił. Hipoteza Tessy odgrzebała moje stare lęki.

Nie miałabym nic przeciw temu, aby opowiedziała mi więcej o swoim mężu, Emanie. Pomóc jej ominąć małżeńską rafę – o tak, to bym potrafiła. Wiem coś niecoś o szczelinach w małżeńskim monolicie.

Wystarczyły dwa spotkania, abym nabrała pewności, że Tessa chce się skoncentrować na bólu związanym z tym, że nie wie, jak zginęła Abby. Nie zdaje sobie jednak sprawy, że nie uzyska odpowiedzi na pytanie: dlaczego ja? Wielka szkoda, że nie ma drugiego dziecka, które dawałoby jej powód, aby budzić się co rano, wołałoby jeść, zmuszałoby, aby się z nim bawić. Aby je kochać.

Nie sądzę, żeby rezygnacja z pracy była dobrym pomysłem. Próbowałam ją przekonać, aby raczej ograniczyła liczbę zajęć, zwolniła tempo. Co do mnie, to bardzo się cieszę, że mam tę pracę, ten gabinet, tych moich wymagających pacjentów. To moja strefa bezpieczeństwa, dzięki której nie przywiązuję się nadmiernie do bycia matką. Potrzebuję jej. Z perspektywy lat widzę, że to bardzo mądre rozwiązanie. O wiele mniej ryzykowne niż poświęcenie się bez reszty macierzyństwu.

Kiedy zostałam matką, zaczęłam wyczekiwać magicznego momentu, gdy poczuje się kimś innym. Ale gdyby nie pozioma blizna na brzuchu i przygarbienie pod koniec dnia, w ogóle bym nie uwierzyła, że mam dziecko. Nie oczekiwałam anielskich pień ani różowych obłoków, a mimo to oczekiwałam baśni.

Pięć lat minęło, zanim zdałam sobie sprawę, że czarowne życie, za którym tęskniłam, jest tym, które mam. Miałam zdrową, szczęśliwą rodzinę. Jak każdy piękny sen, i ten musiał się skończyć. Harry powiedział, że z dnia na dzień stałam się nadopiekuńcza. Pilnie czytałam etykiety na produktach w sklepie spożywczym, sprawdzając, czy nie zawierają czynników rakotwórczych. Kupowałam góry witamin. Próbowałam nawet własnoręcznie zainstalować filtr do wody na kuchennym kranie.

Rodzicielstwo stało się zawodem, serią zadań do wykonania. I wszystkie te zadania, jak w mojej pracy, wiązały się z troską o kogoś innego, nie o mnie. W pewnym stopniu tamte lata są dla mnie stracone. Nie mam ochoty analizować, jaką byłam wtedy matką. Nie ma po co wracać do przeszłości. Chodzi o to, bym teraz była dla lana najlepszą matką, jaką potrafię.

„Wymagaj, ale nie za wiele. Bądź zaangażowana, ale kształtuj niezależność”. Wskazówki specjalistów od wychowania... Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

Ian, mój mały synek w ciele mężczyzny, nie potrzebuje już fizycznej pielęgnacji. Mimo to nadal pilnuję, żeby poszedł do lekarza. Choć pracuję na cały etat, udaje mi się połączyć robienie zakupów z praniem jego rzeczy. I niemal każdego wieczoru spotykamy się przy posiłku.

Pogodziłam się z tym, że macierzyństwo to często ciężka robota, za którą nikt nam nie podziękuje. Można przez cały dzień robić wszystko z myślą o dziecku, a *ono* i tak znajdzie jakiś drobiazg, który mu się nie spodoba. Wczoraj wieczorem Ian się przyczepił do jedzenia, które kupuję.

Stał z ręką na otwartych drzwiach szafki i wpatrywał się w jej wnętrze, tak jakby mogło się w ten sposób wypełnić bardziej atrakcyjnymi przekąskami.

– Nie mogłabyś czasem trochę zaszaleć, mammo, i kupić jakichś chipsów i wody gazowanej? Mam już potąd tego zdrowego gówna.

Rzuciłam mu spojrzenie, które zawsze stosuję, kiedy chcę dać mu do zrozumienia, że nie lubię, gdy używa brzydkich słów. Sięgnęłam do miski na blacie i podałam mu jabłko, a równocześnie wyjęłam z szafki torbę precelków. Wziął jedno i drugie, westchnął ciężko i ruszył po schodach do swojego pokoju.

Staram się nie przejmować tego typu zachowaniem, bo Ian nigdy nie złości się długo. Tego wieczoru przyszedł do mnie, kiedy czytałam w bibliotece; to było miłe. Zrezygnowałam już z zapraszania go, aby dołączył do mnie i Aldena. Przysiadł na otomanie i niezręcznie spróbował nawiązać rozmowę; to jego sposób na okazanie skruchy.

– Jak tam dziś w pracy? – spytał. Zerknął na mnie, ale szybko uciekł spojrzeniem w bok.

– W porządku. Mam nowy przypadek, dosyć angażujący. Ale niespecjalnie mogę o tym opowiadać. – Zamknęłam książkę i położyłam obok. – A co u ciebie?

Włosy, dłuższe niżbym chciała, opadły mu na czoło. Nadal jednak widać było oczy w kształcie migdałów, ocienione bujnymi rzęsami.

– Mam ci coś do powiedzenia. – Skubnął ciemnoczerwony sznurek na obiciu.

– Coś się stało? Strasznie poważnie wyglądasz. – Położyłam dłoń na jego dłoni, Ian lekko rozprostował ramiona.

– Tata...

– Proszę, i kogo tu mamy! – Ton Aldena był mieszanką miłego zaskoczenia i lekkiej irytacji. Wraz z książką i kieliszkiem porto wniósł ze sobą powiew nadmorskiego wiatru, tak silny, że nasza poufna pogawędka zgasła.

Ian wstał i odwrócił się do mnie tyłem.

– Cześć, Al – powiedział. – To nie przeszkadzam. Poczytajcie sobie.

– Ian, przecież miałeś mi coś powiedzieć. Czy coś się stało z ojcem?

– No wiesz... nic takiego. Wszystko jest okej. Po prostu mam trochę kłopotu z chemią... i tata powiedział, żebym cię uprzedził, że mogę jutro niespecjalnie wypaść w teście.

– Chwileczkę – włączył się Alden. – To może ja wyjdę, żebyście mogli sobie porozmawiać? Nie umiem powiedzieć, czy był to gest wielkoduszności, czy delikatna sugestia, żebyśmy skończyli rozmowę.

Ian nie czekał, aż odpowiem na pytanie Aldena. Nachylił się, tak żebym mogła pocałować go w głowę.

– Nie nie, nie trzeba. Wszystko jasne. To pa, mamó. Dobranoc, Alden. – I przeskakując po dwa stopnie naraz, pobiegł na górę.

Przyszedł do mnie. Próbował porozmawiać. Odezwał się do Aldena. To postępek. Nie jest źle. Szkopuł tylko, że nie radzi sobie z chemią.

31. dzień Bez Abby

Jutro piąty listopada. Nie do wiary... Przeżyłam bez niej już cały miesiąc. Dziś po południu odbyłam trzecie spotkanie z Celią. Tym razem nie miałam nic przeciw tej wizycie. Nie tylko dlatego, że dzięki temu mam coś do roboty. Lubię jej czyściutki, porządny gabinet, stwarzający wrażenie, że wszystko ma pod kontrolą. Lubię siedzieć w wielkim fotelu w granatowo-różowe pasy i mając przed oczami ten malowniczy widok za oknem, mówić bez konieczności tłumaczenia detali. I choć znowu była w tym cholernym swetrze, to przynajmniej nie włożyła perełek.

Poprosiła mnie, żebym jej opisała swój typowy dzień. Przed i po.

Przed. Zwykle wstawałam wcześniej niż Abby i robiłam sobie kawę. Co ranka, gdy tylko postawiłam stopy na podłodze, czekałam na woń kawy i dwadzieścia minut miałam tylko dla siebie. Mogłam pozbierać myśli i zaplanować dzień: kiedy popracuję nad tekstami, kiedy zrobię co trzeba w domu. Wszystko kręciło się wokół Abby. Jeśli szła tego dnia do przedszkola, pisałam podczas jej nieobecności, a potem jeszcze raz, kiedy spała po obiedzie. Kiedy zostawała w domu, szłyśmy do centrum Wenonah na pączka albo do biblioteki poczytać. Abby uwielbiała książki. Ostatnio była na etapie *Madeline*. Czytałyśmy ją tyle razy, że dotąd mogę wyrecytować całość z pamięci. Zawsze się zatrzymywała, żeby policzyć dwanaście dziewczynek w dwu równych szeregach.

Gdy nie szła do przedszkola, pracowałam podczas jej poobiedniej drzemki, a później wieczorem, kiedy poszła spać. Zawsze pomagała mi przy obiedzie, choć najczęściej była to jajecznicca albo fałszywa pizza na bazie pokrojonego w plastry muffinka. Uwielbiała rozbijać jajka, a ja nie przejmowałam się, że robi bałagan. Przeważnie jadłyśmy same, bez Ethana. Abby co wieczór o niego pytała. Zmęczona byłam od ciągłego powtarzania: tatuś jest w pracy.

Nigdy nie musiałam z Abby walczyć, tak jak to słyszałam od innych matek. Jadła, co jej dałam. Spała, kiedy należało spać. Abby była aniołkiem. Przed. A i teraz, po, pewnie też.

Po.

– Co pani teraz robi przez cały dzień? – spytała Celia.

Nie powiedziałam jej, że nadal wcześnie wstaję, ale piję zimną kawę, która została z poprzedniego dnia. Zamiast czytać Abby historyjki, szukam w gazetach artykułów o niej. W „Globe” od trzech tygodni nic nie było. To okropne, że wciąż muszę szukać jakichś strzępów informacji w prasie, bo od Caulfielda nie ma żadnych wiadomości! Ileż można czekać!

Pragnąc uzyskać jakiegokolwiek informacji o czymkolwiek, odkurzyłam laptop i zaczęłam szukać w sieci, w jaki sposób policja wykorzystuje drobiny lakieru jako materiał dowodowy w śledztwie. Nie wiedziałam, że istnieje krajowa baza danych, gdzie próbki są zestawione z tysiącami podpowłok, co bardzo zawęży przedział potencjalnych sprawców. Jeśli policja dysponuje dostatecznie dużą próbką, można ją porównać z kształtem brakującego kawałka na karoserii konkretnego samochodu. Skoro wyczytałam to na stronie internetowej, to głowę daję, że Caulfield o tym wie. A nie wspomniał ani słowem podczas spotkania i od tamtej pory nie dał znaku życia. Rozproszona uwaga oraz wizyty Rosemary i Pam powstrzymały mnie od zastanawiania się, czy zadzwonić do Caulfielda, czy pofatygować się na posterunek i spytać wprost.

Pam, idealna sąsiadka, jest chyba jedyną osobą, której nie przeszkadza, że łażę po domu obszarpana, smutna, nieobecna. Duża, dobrze zbudowana, chętnie przejmuje ciężar na swoje barki. Przynosi świeżo przyrządzoną lasanię. Składa pranie. Rozmawia ze mną o Abby. Nie waha

się, czy pytać mnie o postępy śledztwa, czy nie; Pam zawsze mówi to, co myśli.

Codziennie spędzam parę godzin w pokoju Abby otoczona jej rzeczami. Rosemary uważa, że siedzę tam za długo. Ethan chce, żeby oddać jej rzeczy komuś innemu. Powiedziałam o tym Celi.

– Mówi, że ilekroć przechodzi koło jej pokoju, widzi ją, jak buduje zamek z klocków albo czyta lalce książeczkę. Mówi, że nie może tego wytrzymać. A ja potrzebuję, żeby wszystko zostało tak jak dawniej. Czy to coś złego pragnąć, żeby pokój mojego dziecka został przez jakiś czas tak jak dawniej?

Celia nie zamierzała opowiedzieć się po żadnej ze stron. Popatrzyła przez okno i przeniosła wzrok na mnie.

– Skoro mowa o pokojach... Czy nie będzie pani przeszkadzać, jeśli uchylę drzwi? Trochę tu za ciepło. Jest pani moją ostatnią pacjentką na dziś, więc nikt nas nie podsłucha.

Moim zdaniem temperatura w gabinecie była całkiem normalna, ale skinęłam głową. Wracając, zdjęła sweter.

– Ma pani żal do męża, że chce zmienić urządzenie pokoju Abby? – Usiadła na powrót przy biurku.

– Jestem wściekła... i tak jakby zraniona. Jak on tak może? Błagałam, żeby mnie nie zmuszał do wyrzucenia jej zabawek. Jej ubrań. Zmusiłam go, żeby mi obiecał, że nic nie usunie z tego, co po niej zostało.

– Zgodził się poczekać? – Celia skubnęła paznokiec dużego palca. Nie pasował do niej ten gest.

– Tak. Ale powiedział, że nie możemy tego tak zostawić na zawsze. – Podała mi chusteczkę, zanim jeszcze zdałam sobie sprawę, że płaczę.

– Są rodzice, którzy sądzą, że będzie im lżej, jeżeli usuną to, co zostało po dziecku. Liczą, że ból złagodnieje, jeśli nie będą ciągle natrafiać na związane z dzieckiem przedmioty. – Celia mówiła jak robot, odmierzając słowa, ale jej ton nie był pozbawiony emocji. – Inni, tak jak pani, Tesso, chcieliby, aby każdą zabawkę, każdy drobiazg zostawić dokładnie w tym miejscu, gdzie pozostawiło je dziecko.

Osuszyłam oczy. Wciąż na nowo wypełniały się łzami. Nie mogłam ich powstrzymać ani wydobyć z siebie głosu.

– Może lepiej nie spieszyć się z tą decyzją. Niektórzy rodzice potrzebują zamknąć sprawę przez odsunięcie rzeczy na bok. W przenośni i dosłownie. Wydaje mi się, że pani poszukuje innego rozwiązania.

Zamknęłam moją teczkę, dając sygnał, że rozmowa zbliża się do końca. Otworzyła książkę pacjentów, żeby sprawdzić, czy termin następnego spotkania mi odpowiada. Skinęłam głową.

– Może spróbuje pani dodać coś do swojej listy codziennych zajęć? Coś, co zdoła pani udźwignąć. Na przykład wyjście z Rosemary na zakupy albo z Ethanem na lunch...

Chyba nie jest zachwycona moim porządkiem dnia. Niemal wszystkie spotkania poświęciłyśmy szczegółowemu analizowaniu, jak wyglądało moje życie przedtem i teraz. Największa korzyść z dzisiejszej sesji: dostałam broń, dzięki której Ethan odczepi się ode mnie i od pokoju Abby.

34. dzień bez Abby

Obudził mnie dziś szum wody w łazience. Znajdowałam się we własnym łóżku. Nie pamiętam, żebym w nim zasnęła albo żeby Ethan skłonił mnie w nocy do zmiany miejsca. Choć muszę przyznać, że widok obficie udrapowanych, wzorzystych zasłon i srebrzystej barwy ścian

nie był tak znów bolesny. W sypialni nie ma aż tyle błękitu, żeby człowieka rozboleły zęby. Chłód desek pod bosymi stopami przypomni mi o zmianie pogody. Jest zimno, pochmurno, nie wychodzę już na spacer. A kiedyś tak lubiłam powłóczyć się po porcie, trzymając w dłoni jej małą rączkę. Staralybyśmy się znaleźć najtrafniejsze określenie dla odcienia błękitu, jaki ma dziś woda. Jak niebo. Jak szafir. Ilekroć czuję chłód, nie potrafię myśleć o niczym innym niż o Abby w zamarznętej ziemi.

Przy śniadaniu wspomniałam o tym Ethanowi. Rzucił parę banałów o niebie, o tym, że ona ma już spokój, że to my cierpimy, a nie ona... Nie do wiary, że po wczorajszej kłótni ośmiela się plunąć mi w twarz religią.

Leżałam zagrzebana w pościeli w jej łóżku, wycofana i nieobecna. Zapomniałam, kim i gdzie jestem. Zawołał na mnie z drugiego końca holu na piętrze. Nawet nie podszedł do drzwi.

– Tessa, nie śpisz już? Idę na mszę.

Dźwignęłam się z łóżka i żeby zyskać na czasie, podjęłam codzienny rytuał ścielenia. Zawołał mnie po imieniu jeszcze raz. Wreszcie spotkaliśmy się w holu. Gdyby nie to, że nie mieliśmy broni, wyglądałoby jak przed rozpoczęciem pojedynku. On w bawełnianej koszuli i dokersach. Ja w znoszonej piżamie.

– Bardzo mi zależy, żebyś ze mną poszła.

– Nie mogę. Nie mam nastroju do tego całego „pokój z wami” czy „bezpieczni od wszelkiego zamętu”. Sam chyba widzisz, że to kompletnie bez sensu.

– Nie wyśmiewaj się z kościoła. Jeśli nie masz ochoty iść, po prostu powiedz: nie.

– Coś takiego! No więc nie mam ochoty iść. – Minęłam go i ruszyłam ku schodom. Moją religią jest w tych dniach poranna kawa.

Chciałabym się nie przejmować tym, że on nadal chodzi do kościoła, czyta te wszystkie książki i rozmawia o stracie z księdzem Mikiem. Wiem, że nie powinnam się na niego złościć, że radzi sobie po swojemu, ale to nie my straciliśmy Abby. To ona została nam zabrana. Ethan stara się zaakceptować krzyż, który Bóg każe nam dźwigać. A ja nie. Nie rozumiem nawet, dlaczego dał mi takie zadanie. Wystarczyłoby mi to jedno dziecko. Gdyby Bóg mi powiedział, że mam zrezygnować z drugiego, wymazałabym wszystkie terminy wizyt lekarskich z kalendarza i wyrzuciłabym pergonał do kubła na śmieci. Zrobiłabym wszystko, czego by ode mnie zażądał. Tylko nie to.

Kiedy Ethan wyszedł, postanowiłam, że sama zabiorę się do tej sprawy. Nie mogę żyć, nie wiedząc. Mam dość beznadziejnego czekania na Caulfielda. Przecież Celia proponowała, żebym dodała coś do mojej listy zajęć, prawda?

Usiadłam na kanapie w pokoju dziennym i okryłam się gazetami jak kocem. Zamiast szukać nowych artykułów zaczęłam czytać jeszcze raz stare i notować różne szczegóły. Nawet teraz trudno mi uwierzyć, że to wszystko jest o mojej ślicznej córeczce.

Czytałam i próbowałam udawać, że po mszy poszli oboje z Ethanem na jagodowego muffinka. Albo wstąpili do Rosemary, żeby Abby pobawiła się z Matthew. Tylko patrzeć, jak wbiegnie w podskokach i powie: „Cześć, mamusiu, tęskniłam za tobą”. A ja przytulę ją tak mocno, mocno... Mocniej niż odważyłam się kiedykolwiek wcześniej, bo była taka szczuplutka. Tym razem bym jej nie wypuściła.

Chyba tylko cudem przebrnęłam przez opisy tego, jak leży na skraju jezdni i jak z chwilą przybycia do szpitala lekarze stwierdzają zgon. Zdałam sobie sprawę, że niewiele wiadomo o tym, co zaszło. W każdym razie do gazet dotarły tylko ogólne informacje.

Caulfield musi wiedzieć więcej, niż mówi. Jedyne, jakiej się dowiedziałam z gazet, to to, że samochód jechał szybko i że był to duży wóz, ale nie terenówka. Cytowano jakiegoś policjanta,

który twierdził, że da się to wywnioskować ze śladów opon. Caulfield nie powiedział, że były jakieś ślady opon. Mówił tylko o kawałkach szkła i drobinach lakieru. Raczej nie był to samochód głośny, bo starsza pani, która mieszka tuż obok, nic nie słyszała. Ale może jest głucha jak pień.

Ciekawe, czy policja przesłuchiwała ją tylko bezpośrednio po, czy też wracali, żeby sprawdzić, czy sobie czegoś nie przypomniała. Może dałoby się z niej coś wydobyć.

No i jest jeszcze nauczycielka Abby, Janie. Nie mogłam na nią patrzeć, a co dopiero z nią rozmawiać. Nie przyszła po pogrzebie na obiad, bo sprzeciwiłam się kategorycznie. Ale teraz chcę się z nią zobaczyć. Chcę porozmawiać. Dowiedzieć się, co ona wie. Jest ostatnią osobą, która dotykała żywego, ciepłego ciała Abby. Muszę poznać początek mojego życia bez Abby.

Poniedziałek, 7 listopada, godz. 8.30

Znowu mieliśmy w domu starcie. Wciąż te starcia... Przemówiliśmy się wczoraj z Ianem o to, że nie chodzi do kościoła. Ostatnio w niedzielę zawsze coś mu wypadło: a to miał wyjątkowo dużo lekcji do odrobienia, a to jakieś zajęcia ekstra. Wymówki brzmiały dość prawdopodobnie, więc mogłam sobie pozwolić na udawanie sama przed sobą, że wszystko w porządku. Dziś stało się jasne: to stanowisko, nie zbieg okoliczności. Podniesionym jak rzadko głosem powiedziałam, że ma chodzić razem z nami, z Aldenem i ze mną, do Świętego Jakuba na nabożeństwo, Ian przyjął klasyczną taktykę dziecka rozwiedzionej pary:

– Tata nie chodzi do kościoła, to dlaczego ja mam chodzić? – Dresowe spodnie i pognieciony podkoszulek podkreślały jego stanowisko.

Szczupła sylwetka niewiele zajmowała przestrzeni w bibliotece, a zarazem niski głos robił, co mógł, by uznać go za głos dorosłego. Utkwiłam spojrzenie w stojącym z tyłu za nim, na półce z książkami, podwójnym zdjęciu. Na jednym był mój mały ośmioletni synek w białym garniturku: pamiątka Pierwszej Komunii. Na drugim, zrobionym zeszłej wiosny, Ian w czerwonej szacie podczas uroczystości bierzmowania. Niemal słyszę, jak wypowiada swoje nowe imię, Ian Francis John Hayes. Przyjął je na cześć mojego ojca. Pamiętam, jak się śmialiśmy, bo szata nie chciała mu przejść przez głowę. Wreszcie ze zwojów tkaniny wyłoniła się uśmiechnięta twarz. Kiedy przeniosłam wzrok na stojącego przede mną realnego młodzieńca, nie było na niej śladu uśmiechu.

– Aldenowi bardzo zależy, żebyśmy chodzili na mszę jak rodzina. – Ściszyłam głos i podeszłam bliżej do Iana. Nie chciałam, żeby Alden zauważył, że tracę kontrolę. – Zawsze z nami chodziłeś... Nic nie mówiłeś ostatnio, że nie masz ochoty.

– Byłaś dosyć zajęta. – Rzucił okiem w stronę holu, gdzie Alden zdejmował z wieszaka płaszcz.

– Tak czy siak, ja tak dłużej nie mogę. Widzę, kto siedzi koło mnie w kościele... Znam tych hipokrytów. Nie idę. Nie możesz mnie zmusić. – Dla wzmocnienia efektu założył ręce na piersi. Brzmiało to jak prowokacja dziecka, które wystawiło nogę z łóżka, a miało już spać. Stał nieruchomo, z rysującym się na szczęce cieniem zarostu. Może to ja jestem tą hipokrytką, którą odkrył koło siebie w kościele? Nie mogłam go zmusić, a dyskutować nie chciałam. Poszłam z Aldenem. Ian został w domu.

Kiedy wróciliśmy, był w swoim pokoju i najprawdopodobniej odrabiał lekcje. Wszedł dopiero na wspólny obiad. Bolesny posiłek złożony z jagnięcych kotletów, pieczonych kartofli i milczenia. Łatwiej było przekroić mięso niż można by gęste od napięcia powietrze. Po obiedzie Alden zabrał swój kieliszek sherry i poszedł do biblioteki.

– Zły jesteś na mnie, Ian? – spytałam. Zarzucił mi rękę na ramię i cmoknął w policzek.

– Skąd. W życiu.

Więcej go tego dnia nie widziałam.

Alden nie skomentował zachowania Iana. Ostatnio mało, jeśli w ogóle, ma do powiedzenia na tematy rodzinne. Kiedy poznaliśmy się na serii wykładów „Wiara i rozum”, od razu mi powiedziałam, że mam syna. W ciągu tych siedmiu miesięcy znajomości omówiliśmy chyba wszystko, co dotyczy Iana. Alden był przekonany, że może stać się dla Iana drugim ojcem, a przynajmniej zaprzyjaźnić się z nim. Niewiele czasu upłynęło, by przyjął bardziej wygodną postawę: „To twój syn, a nie mój”. Typowe dla większości ojczymów. A może po prostu nie cierpi konfliktów jeszcze bardziej niż ja.

Dokończyłam zmywanie i zaniósłam do biblioteki tacę z herbatą ulung i paluszkami chlebowymi.

– Zaparzyłam naszą ulubioną. Możemy pogadać?

Alden podniósł wzrok znad najnowszej książki o wojnie secesyjnej. Po twarzy przemknął mu cień zniecierpliwienia. Nie wyprostował się, ale zdjął okulary i przyłożył do ust oprawkę.

– Jasne. O czym?

– Bardzo bym chciała, żebyśmy byli rodziną. Nie musisz krępować się, jeśli chodzi o opinie na temat lana. Chętnie skorzystam z twojego wsparcia.

Ta część rozmowy poszła dobrze. Błąd popełniłam dopiero, kiedy poprosiłam go, żeby mniej pił.

– Ian wiele przeszedł przy Harrym. Picie, aresztowania. – Ta informacja i odstawienie przeze mnie filiżanki najwyraźniej podziałały jak oficjalny anons, że miesiąc miodowy został zakończony.

– Zachowanie Harry'ego i moje jest nieporównywalne. To, że ktoś nie potrafi kontrolować swojego zachowania, nie znaczy, że ktoś inny także nie potrafi. Nawet jeśli ty nie widzisz różnicy, to jestem pewien, że Ian ją dostrzeże.

Włożył z powrotem okulary i brzęknąwszy książką o klamrę od paska, z powrotem umieścił ją w pozycji do czytania.

Nie mogę nic wymyślić, ani jednej rzeczy, w czym Alden przypominałby Harry'ego. A jednak siedziałam w otoczeniu pamiętającym oba małżeństwa i czułam się sprowadzona przez mężczyznę do parteru. Dokładnie tak, jak to bywało przy Harrym.

Widziałam się z nauczycielką Abby. Nie chciałam się z nią umawiać w domu ani w przedszkolu, więc spytałam, czy nie mogłabym przyjść do niej. Oczywiście zgodziła się. W jej sytuacji nie mogła odmówić. Nie powiedziałam Ethanowi ani Rosemary, że zamierzam się z nią zobaczyć. Nie zniosłabym, gdyby mnie przekonywali, że nie powinnam, albo chcieli mi towarzyszyć, albo pouczali, żebym jej nie atakowała. Nie miałam pojęcia, co powiem. Nie wiedziałam, jak zareaguję na jej widok. Ale przyszedł czas.

Pojechałam dłuższą drogą nie byłam w stanie zmusić się, żeby przejechać obok przedszkola Jasna Przyszłość. Port teraz nie tętnił życiem – większość jachtów wyciągnięto już na zimę z wody. Nie było spacerujących turystów, tylko kilku wędkarzy moczyło kije. W miarę jak zbliżałam się do jej domu, coraz bardziej trzęsły mi się ręce; silnie zaciskałam dłonie na kierownicy. W jakiejś chwili o mało nie zawróciłam voyagera. Nie rozumiem, dlaczego minivanom nadaje się nazwy, które sugerują, że człowiek będzie w nich podróżować na koniec świata: voyager, quest, odyssey. Na litość boską, przecież matki, które wożą nimi dzieci do szkół, pokonują najczęściej wciąż ten sam trzykilometrowy odcinek tam i z powrotem, dzień po dniu, tydzień po tygodniu!

Duży dom Janie, grafitowy z białym wykończeniem, był tak podobny do mojego, że znowu miałam odruch, aby zawrócić. Powstrzymała mnie żniwna dekoracja na ganku – z niedużych dyń i chryzantem. Janie czekała w drzwiach. Nie musiałam pukać. Cały mój niepokój zniknął, tak jak trema, kiedy wychodzimy zza kulis na scenę. Jej twarz wyglądała dokładnie jak moja tego ranka, gdy odważyłam się po raz pierwszy spojrzeć w lustro.

Z początku nie było żadnych słów. Tylko niezręczne milczenie, którego – jestem pewna – obie żeśmy się spodziewały. Chociaż spotkałyśmy się wcześniej trzykrotnie, za każdym razem była między nami Abby. Pamiętam te spotkania wypełnione błahymi rozmówkami, lepkie rączki i dziecięcy śmiech. Abby była między nami i teraz. Nasz ból był tak namacalny, że wprost wisiał w powietrzu niby mgła. Dopóki Janie nie przemówiła.

– Trzymałam ją cały czas, zanim przyjechała karetka. Głaskałam po głowie i śpiewałam tę kołysankę... tę, o której pani mówiła, że Abby lubi jej słuchać, kiedy się czegoś przestraszy. Śpiewała jej naszą kołysankę... *Wszystkie śliczne koniki*. Kiedy Abby poszła do przedszkola, powiedziałam Janie, żeby jej zaśpiewała w razie potrzeby tę piosenkę. Jeśli na przykład będzie za mną tęsknić, wyobrażałam sobie. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, w jakich okolicznościach będzie jej potrzebować.

– Czy żyła? Choćby przez chwilę?

– Nie, była.

Głos Janie załamał się i wybuchnęła szlochem. Objęłyśmy się, żadna nie próbowała powstrzymać rozpaczliwego łkania. Dopiero chyba po godzinie przeszłyśmy z holu do kuchni.

Stół był nakryty. Wystrój konsekwentnie utrzymano tylko w dwóch kolorach:

jaskrawoniebieskim i białym niczym piach na plaży. Jak na mój gust trochę za dużo tu było motywów muszli. Może to ta tkwiąca w niej nauczycielka, a może sama ma małe dzieci... w każdym razie kuchnię zdobiły, jak w przedszkolnej sali, liczne jesienne dekoracje. Na szybach przyklejono rogi obfitości z folii samoprzylepnej, na stole stała kompozycja z barwionych kolb kukurydzy i tykw. Widać było, że włożyła wiele nerwowego wysiłku, by wewnątrz wyglądało miło w moich oczach. Układała owoce, kroїła chleb, doskonale wiedząc, że nic nie weźmiemy do ust. Kiedy w końcu usiadła, znów zapadło milczenie. I znów ona była tą, która je przerwała.

– Mam coś dla pani, Tesso. – Splotła dłonie i na powrót je rozplotła. – Może jeszcze za wcześnie, żeby to pani dać. A może będzie pani na mnie zła, że tak długo zwlekałam. Nie wiedziałam, co robić. Czułam, że muszę dać to pani osobiście. Wiedziałam, że to dla pani ważne. Przerwałam ten potok słów.

– Co takiego, Janie?

Wzięła do ręki stojący na sąsiednim krześle wiklinowy koszyczek. Był śliczny, chyba ręcznie wyplatany, ale miałam pewność, że nie o koszyczek chodzi. Na dnie leżało trochę siana, a na nim – skorupka od jajeczka rudzika. Błękitna, nakrapiana, delikatna. Spojrzałam na Janie i łzy popłynęły mi po policzkach. Już wiedziałam, jakie będą jej następne słowa.

– Trzymała to jajeczko w ręce.

Piątek, 11 listopada, godz. 8.30

Wczoraj wieczorem nieoczekiwanie pokazał się Harry. W każdym razie dla mnie była to niespodzianka. Przyszedł, żeby zabrać lana na długi weekend. Upłynął już ponad miesiąc, odkąd Ian nocował u Harry'ego; nawet mi nie powiedział, że znowu ma zamiar. Właśnie kończyłam obiad dla nas trojga, gdy odezwał się dzwonek. Alden poszedł otworzyć. Wyjrzałam do holu tylko po to, by uderzył we mnie niemożliwy do pomylenia bostoński akcent Harry'ego:

– Cześć, Al. Jak ci się mieszka w moim domu?

Alden najwyraźniej usiłował wymyślić jakąś odpowiedź, a ja zbiegłam pospiesznie na dół i ściągając po drodze fartuch, rzuciłam się do drzwi. Nie zdołałam jednak powstrzymać Harry'ego, który parł do środka.

– Co ty tu robisz?

– Cześć, C. Przyszedłem zabrać lana na weekend. Czy nie... Spojrzał ku górze, gdzie właśnie rozległ się łomot stóp na schodach.

Ian zbiegł, przeskakując po dwa stopnie, z przerzuconym przez ramię plecakiem.

– Tato, przecież ci mówiłem, że będę na ciebie czekać w Birch Street. – Ian spojrział bystro na Harry'ego i pociągnął nosem. Dziecko pijaka nie ma problemów z oceną sytuacji.

– Birch Street Tavern? – spytałam. – Ale ja zrobiłam obiad.

– Oj dobra, mam, To ja ci nie mówiłem? Zostaję na parę dni u taty. – Cmoknął mnie w policzek; Aldena minął jak powietrze. – Nawet nie będzie ci mnie brakować.

I już był na dworze. Harry ociągał się. Szturchnął Aldena w żebra i tym razem on pociągnął nosem.

– Rzymska pieczeń jest świetna, ale jak spróbujesz do tego zapiekanki z ziemniaków z serem... Na pewno będzie ci smakować obiad, Al.

– Tato! – Ian zabębnił pięścią w drzwi.

Zanim przyszło mi do głowy, żeby zaproponować im podwiezienie, już oddalali się ulicą. Harry obejmował lana ramieniem. Miał przed sobą jeszcze pół roku, zanim odzyska prawo jazdy. Mogłam pobiec za nimi, ale wściekłam się na Harry'ego, że obraził Aldena, i na lana, że nie uprzedził mnie o swoim zamiarze. Nic im się nie stanie, jeśli przespacerują się dwadzieścia minut do wynajętego rancza Harry'ego. Jedyna dobra rzecz w tej całej sytuacji: Harry był trzeźwy. Patrzyłam, jak się oddalają, i usiłowałam się zorientować, które oszustwo zaskoczyło mnie bardziej: to, że Harry przyszedł po lana, choć umówili się inaczej, czy to, że Ian nie powiedział mi o swoich planach spędzenia weekendu z ojcem. Ponieważ motywy Harry'ego rzadko bywały jasne, doszłam do wniosku, że to przemilczenie ze strony lana ubodło mnie najbardziej.

Ręka Aldena na moim ramieniu przypomniała mi, że nie jestem sama.

– Co ci jest? – spytał.

– Przykro mi, że Harry ciebie obraził. Obawiam się, że zawsze będzie przywiązany do tego domu.

Poprawił okulary. Jego wzrok wypalał dziurę w oddalających się plecach Harry'ego.

– W ogóle się nim nie przejmuję. Zwrócił spojrzenie na mnie.

– Coś jest nie tak, Celia?

Włożyłam z powrotem fartuch i ruszyłam do kuchni zła, że muszę mu mówić, co mnie uwiera. Alden szedł za mną.

– Nie mogę spać, ile razy Ian jest u ojca. Harry'emu nie robi różnicy, świątek czy piątek – każdy dzień jest dobry na randkę z butelką. Równie dobrze mogłam włożyć łanowi do plecaka pół

litra... bo i tak na pewno będzie przy nim pił.

Alden wstawił talerz do szafki. Na twarzy miał *cień* uśmiechu. Wyjęłam z pieca pieczeń rzymską i odstawiłam. Lepiej się kroi, kiedy trochę przestygnie.

– Może niepotrzebnie się martwisz, Ian potrafi odróżnić dobro od zła. Zrobiłaś co mogłaś, naprawdę. Znakomicie wykonałaś swoje zadanie.

Myślenie życzeniowe. ... W wykonaniu mężczyzny bezdzietnego. Który niedawno ożenił się i musi dzielić się żoną z jej niechętnym nastoletnim synem.

Schował do szafki trzy szklanki, które stały na blacie, i wyjął dwa kieliszki do czerwonego wina. Unikając kontaktu wzrokowego, zabrał się do otwierania butelki shiraza.

– Ja dziękuję – powiedziałam. Przykrość, jaką sprawiło mi zignorowanie mnie przez Iana, ustąpiła miejsca dezaprobacie wobec Aldena. – Rodzicielskie zadanie nigdy się nie kończy. – Wróciłam do tematu. – Nie sądzę, żeby Ian też pił, i nie chcę, żeby zaczął. Dorośli w jego życiu powinni mu dawać możliwie najlepszy przykład. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ten, jaki daje mu pewna osoba.

Ramiona korkociągu stanęły w pozycji horyzontalnej. Alden przerwał otwieranie.

– Czy ty mówisz o picciu Harry'ego, czy przerzuciłaś się na mnie? – Jedną ręką ścisnął szyjkę butelki, drugą uderzył w blat. – Na litość boską, Celia! Ja piję wino!

– Mówiłam ci nieraz, jakie *to* trudne być żoną człowieka, który topi rodzinę w alkoholu. To część mojej tożsamości.

– Równie dobrze może *to być* zamknięty rozdział twojego życia. To nie należy do naszej wspólnej historii, twojej i mojej. – Alden mówił lżejszym tonem, ale nie zrobił ruchu, by do mnie podejść. Otworzył butelkę.

Nie chciałam ciągnąć tej rozmowy. Wiedziałam, że jeśli będziemy ją kontynuować, Alden powie, że jestem nadwrażliwa. Naturalnie miał rację: był to dla mnie gorący temat.

Poczekaliśmy, aż naleje do pełna dwa *kieliszki*.

– Iana tu nie ma. – Podał mi jeden. – Możesz sobie pozwolić bez rodzicielskich wyrzutów sumienia.

– Nie, dzięki.

Zaczęłam nakładać jedzenie na talerze. Krojenie było łatwe.

Kiedy dowiedział się o moich odwiedzinach u Janie, nie odważyłam się pójść sama. Spróbowałam zastosować jedną z sugerowanych przez Celię technik podtrzymywania komunikacji i zadzwoniłam do niego do pracy. Ethan eksplodował.

– Janie? Byłaś u Janie beze mnie? Po prostu nie do wiary. Mogłaś mi przynajmniej powiedzieć, że się wybierasz! Jak mamy przez to przejść, jeśli mi o niczym nie mówisz?

Próbowałam mu coś wytłumaczyć, ale z miernym skutkiem. Zmęczona jak pies pozwoliłam mu się na mnie wściekać. Na jakimś poziomie nawet mi to odpowiadało. W porządku – jest zły.

Witaj w moim świecie.

Wczoraj przyjechał do jego firmy przedstawiciel Netco, żeby przygotować zespół do wyjazdu do Nowego Jorku w przyszłym tygodniu. Wrócił do domu wieczorem i za ciemno już było, żeby jechać na cmentarz.

Dziś rano wziął wolne i pojechaliśmy razem.

Szliśmy powoli wzdłuż rzędów płaskich kamiennych płyt, uważając, żeby na którąś nie nastąpić.

Jakaś cząstka mnie pragnęła, żeby tu nie być. Zabrakło mi tchu, kiedy zobaczyłam na gładkiej nagrobnej tablicy jej imię i nazwisko:

„Abigail Anna Gray ukochana córeczka”

Kolejny surrealistyczny obraz do zapamiętania: nagrobek mojej córki. Przyniosłam ze sobą wszelkie potrzebne dekoracje: kwiaty, baloniki. Zawsze uważałam, że przystrojone w ten sposób dziecięce nagrobki wyglądają głupio. Kiedyś poszliśmy z Rosemary do mamy na cmentarz; patrzyłam na nagrobne płyty zastawione zwierzętami maskotkami czy różnymi zabawkami, myślałam po cichu: po co oni to robią? Przecież ich dziecko nie ucieszy się z tych prezentów ani ich nie doceni. A teraz krzaliśmy się z Ethanem, usiłując sprawić, by nagrobek Abby był najpiękniejszy na cmentarzu. Dla niej? Nie. Bo co sobie inni pomyślą? Nie. Robiliśmy to dla siebie. Człowiek musi coś robić, żeby czas spędzony w tym miejscu miał jakiś cel. A co poza tym można zrobić?

Dobrze, że Celia zgodziła się mnie dziś przyjąć, choć był to Dzień Weterana. Po pierwsze, dlatego że miałam pretekst, aby pozbyć się Ethana. A po drugie, bo mogłam z kimś porozmawiać o tym, jakie to okropne: iść na grób dziecka, żeby sprawdzić, czy prawidłowo napisano jego imię. Kiedy powiedziałam o tym Celi, rzuciła mi zagadkowe spojrzenie.

– Zastanawiam się, dlaczego wolała pani przyjść tu, aby o tym porozmawiać, skoro była tam pani z Ethanem.

No proszę... A więc mamy sesję na temat małżeństwa. Chciałam porozmawiać o moim spotkaniu z Janie. Chciałam porozmawiać o śledztwie czy raczej jego braku. A wyszło na to, że rozmawiamy o Ethanie.

– Jestem na niego zła. Nie chciałam jej posyłać do przedszkola. Gdzie jest napisane, że każde czteroletnie dziecko musi chodzić do przedszkola? Doskonale czuła się ze mną w domu. Wiem, że mu jej brakuje, ale mnie brakuje bardziej. Byłam jej matką. Czy nadal mogę mówić, że jestem jej matką?

Celia wyprostowała się jeszcze bardziej – jak zawsze, kiedy chce zrobić jakąś istotną, jej zdaniem, uwagę.

– Każda więź między dzieckiem a rodzicem jest złożona i jedyna w swoim rodzaju. Jestem przekonana, że Ethan na swój sposób bardzo przeżywa śmierć Abby.

– Czy to w książkach jest napisane, że tak należy rozmawiać z pacjentem, czy mówi pani na podstawie osobistego doświadczenia? Ma pani w ogóle dzieci?

– Tak, mam. Kilkunastoletniego syna, który ze mną mieszka. Ale wolałabym nie rozmawiać o mojej rodzinie. Najważniejsze, żebyśmy skupiły się na rodzinie pani.

Czy ona wie, co mówi? Przecież tak naprawdę nie mam już rodziny. Niemniej odczytałam jej wyraźny przekaz: nie wtykaj nosa w moje sprawy.

– Niepotrzebnie martwi się pani o mnie i mój gniew. Kiedy w zeszłym roku umarła mama, byłam wściekła na Rosemary. Ale jakoś sobie z tym poradziłyśmy. – Zdjęłam gumkę z włosów i na nowo związałam je w kucyk. Gumka pękła, splątane pasmo opadło mi na twarz.

– Dostrzegam tu pewien wzorzec. Jest pani zła na innych, kiedy próbuje pani sobie poradzić z własnymi silnymi uczuciami. – Przechyliła głowę i zmarszczyła brwi. – Czy to trafne spostrzeżenie?

Miałam ochotę walnąć ją pięścią prosto w nos, ale być może zostałyby to odebrane jako przejaw gniewu.

– Wszystko przeżywam intensywnie. Czy to coś złego? Ethan wie, że trzeba mi zostawić własną przestrzeń i wszystko się ułoży. – Spojrzałam na zegarek. Wołałam, żebym to ja decydowała, przychodząc, o czym będziemy rozmawiać.

– Mężczyźni i kobiety często odmiennie przeżywają ból po stracie – dowolnej stracie – i obierają różne drogi zdrowienia. Ma pani prawo przepracować smutek na swój sposób i w swoim tempie. Proszę tylko uważać, żebyście nie oddalili się od siebie tak daleko, że nie zdołacie znaleźć drogi z powrotem. – Wsparła dłońią podbródek i czekała, aż coś powiem.

Miałam ochotę powiesić ją na tym cholernym sznurku pereł. Mimo to siedziałam w fotelu przeznaczonym dla ludzi podróżujących niewłaściwą drogą i nie powiedziałam ani słowa.

Poniedziałek, 14 listopada, godz. 8.30

Ian przetrwał weekend bez szwanku i w porę wrócił w niedzielę na obiad. Na oko wyglądał nie gorzej niż przed wyjściem. Nie spytałam go o Harry'ego, bo nie chciałam sprawić mu przykrości, gdyby czuł się zawiedziony po tej wizycie. A może nie spytałam, bo nie chciałam wiedzieć, jak się sprawy mają. Przez pierwszą godzinę po powrocie prawie się nie odzywał, z wyjątkiem pytania o biurko.

Myślałam o nim przez cały weekend, choć nie ujawniałam swoich uczuć. Nie chciałam zepsuć tego, co zaplanował dla nas na sobotę Alden. Biedny człowiek zasługuje na chwilę wytchnienia od nieustannej rywalizacji z moim synem. Dzień był doskonały na spacer, zostawiliśmy więc samochody na podjeździe i ruszyliśmy piechotą do Corcoran Village.

– Są tam dwa sklepy z antykami, do których chciałbym zajrzeć – mówił Alden. – Liczę, że znajdę coś, co mogłoby posłużyć jako stolik do pisania. Jeśli nie masz nic przeciw temu, wstawiłbym go do wolnego pokoju na piętrze. Znakomite miejsce do sprawdzania prac studentów. Na dole trudno o spokój.

Z początku Alden trzymał mnie za rękę. Z czasem okazało się to niewygodne: był sporo wyższy. Puściłam jego dłoń i usiłowałam wymyślić *coś*, *co* powstrzymałoby go od zakusów na pokój.

– Nie, nie mam nic przeciw temu, ale muszę uzgodnić z łanem. Nawet jeśli znajdziesz odpowiedni mebel, będziemy musieli przyjechać po niego jeszcze raz autem.

Szliśmy zgodnym krokiem, dopóki nie dołączył do nas Ian.

– Celio, nie mów mi, proszę, że chcesz pytać nastoletniego syna, czy pozwoli ci korzystać z pokoju w twoim własnym domu. – Uniósł krzaczaste brwi, a uśmiech przeczył słowom, gdy dał mi do zrozumienia, że moje metody wychowawcze są złe.

– Nie zamierzam kazać mu decydować w tej sprawie. Po prostu chciałabym respektować jego uczucia, łanowi niełatwo jest poradzić sobie z tymi wszystkimi zmianami. – Przyspieszyłam kroku.

– Świetnie. Czyli że jeśli nie wstawimy stolika do tamtego pokoju, znajdziemy dla niego inne spokojne miejsce, tak?

– Bezwzględnie. Myślałam o tym, żeby uprzętać pracownię na dole. Nie korzystam już z niej... Mógłbyś się tam urządzić.

Przez resztę drogi milczeliśmy. Nie czułam potrzeby, aby każdą chwilę wypełnić gadaniem, i on też nie.

Milczenie z Aldenem w niczym nie przypomina milczenia z Harrym. Może czasem wynikać z braku czegoś istotnego do powiedzenia, ale nigdy z tego, że powiedziało się zbyt wiele.

Weszliśmy do pierwszego sklepu i natychmiast poczułam, że muszę wyjść z ciasnego pomieszczenia napchanego najróżniejszymi sprzętami. W powietrzu wisiała ciężka woń butwiejącego drewna – sklep nie miał okien.

– Może poczekam na dworze – powiedziałam.

– Spójrz, coś w tym stylu by mnie interesowało. – Głos Aldena był równy, spokojny, ruchy dokładnie odmierzone. Przeszedł przez sklep i choć wszędzie zalegały warstwy kurzu, sztruksowa kurtka mojego męża pozostała nieskazitelnie czysta. Stałam przy drzwiach i patrzyłam na rozgrywającą się akcję. Zdecydowany sposób bycia Aldena i starannie przystrzyżona broda sprawiały, że właściciel sklepu traktował go z respektem. Podobało mi się to.

– Ten mebel to unikat, szanowny panie. Jedyne w swoim rodzaju.

– Czy na pewno mamy na uwadze ten sam? Mnie interesuje to dziewiętnastowieczne biurko, a nie nocny stolik. – Alden wskazał biurko, umożliwiając sprzedawcy odzyskanie wiarygodności. – Co za nieskazitelna forma.

Sprzedawca szybko zorientował się, że Alden potrafi odróżnić antyk od grata z cotygodniowej wyprzedaży w garażach. zaproponował, że pokaże mu więcej rzeczy, które trzyma na zapleczu. Wymknęłam się na dwór, na słońce. Chwilę trwało, zanim oczy przyzwyczyły się do blasku. Przymknęłam powieki. Nie po to, aby ochronić oczy przed nadmiarem światła, tylko żeby nasiąknąć słońcem, grzejącym dziś o wiele silniej niż w typową listopadową sobotę.

– A, jesteś!

Głos i dotyk ręki Aldena na moim ramieniu sprawił, że gwałtownie otworzyłam oczy.

– Chciałbym poznać twoje zdanie, zanim kupię biurko. Bądź co bądź, będzie stało w naszym domu. – Pocałował mnie w policzek. – To będzie pierwszy mebel kupiony wspólnie. Chodź, zobacz, na pewno ci się spodoba.

Wziął mnie za rękę i pociągnął z powrotem w ten klaustrofobiczny koszmar. Jego entuzjazm i przekonanie o słuszności wyboru były zaraźliwe. Kupiliśmy biurko.

Zjedliśmy szybki lunch i wróciliśmy piechotą do domu, po czym Alden pojechał jeszcze raz, aby je przewieźć. Gdy Ian wrócił, stało jeszcze na dole. Dopiero kiedy zobaczyłam twarz syna, pożałowałam, że uległam impulsowi Aldena, żeby je kupić.

– Co to jest?

– To jest biurko. – Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc aby zyskać na czasie, powiedziałam to, co oczywiste.

– Widzę. A co ono tu robi? – Ian wpatrywał się w mebel. Alden uznał za stosowne spróbować swoich sił jako rodzic.

– Kupiliśmy je z twoją mamą. Chcemy wstawić do tego wolnego pokoju na górze, żebym miał gdzie się schronić, kiedy będę musiał sprawdzać prace studentów. – Wyprostował się i jakby nieco urósł, dumny z naszej zмовy.

Ian powoli zwrócił głowę ku mnie i utkwiał spojrzenie w moich oczach.

– Moja mama powiedziała, że możesz korzystać z tego pokoju?

41. dzień bez Abby

Drażni mnie uprzejmość Celi. Po tym, jak w piątek spuściła mi cegłę na głowę, wrzucając wąż mojego małżeństwa, przyrządziłam Ethanowi posiłek. O ile można nazwać posiłkiem śniadanie w moim wykonaniu. Jajecznicza była wysuszona, a grzanki lekko przypalone; nie zyskałabym głównej nagrody w konkursie na szefa kuchni.

Ethan wszedł do pokoju, ciągnąc za sobą bagaż na kółkach. Wsadził głowę do kuchni, jak gdyby chciał sprawdzić, czy przypadkiem przez pomyłkę nie obudził się w niewłaściwym domu.

– Wydawało mi się, że coś tu ładnie pachnie. Czy to wszystko dla mnie?

„To wszystko” składało się z papierowych talerzyków i serwetek, prawdziwych kubków oraz mleka w ceramicznym dzbanku, a nie – jak zwykle – w ciśniętym na stół kartoniku.

– Nic takiego. Wiem, że nie cierpisz jeść śniadania na lotnisku. Wyjeżdżał na tydzień.

Wiedziałam, że to podróż ważna dla jego firmy, ale i tak słuchałam piąte przez dziesiąte. Fuzja, akcjonariusze... Kiwałam głową, udając zainteresowanie. Kiedy skończył jeść, odprowadziłam go do drzwi.

Ujął moją twarz, powiódł dłońmi po policzkach, podbródku, szyi. Dotyk warg koił. Z oczu spłynęły mu dwie łzy. Jakie to dziwne – wiedzieć, że ma dla mnie tyle uczucia, gdy moje jest zaledwie śladem dawnego... Gdyby to pożegnanie było zaledwie dwa krótkie miesiące temu, ja także bym płakała.

Ten tydzień będzie dla mnie trudny, ale nie z powodów, o jakie posądzałyby mnie większość ludzi. Nie dlatego, że będę sama – i bez Abby, i bez Ethana. Dlatego że Ethan najprawdopodobniej zaalarmował całą okolicę, żeby miała na mnie oko podczas jego nieobecności. Założę się, że będę cały czas pod lupą. A ja przecież nie zamierzam się zabić, na litość boską. W każdym razie jeszcze nie.

Nie do wiary, ale poczułam ulgę, kiedy wyjechał. Ja, która zakochałam się w Ethanie od pierwszej chwili, kiedy osiem lat temu zobaczyłam go na gwiazdkowym przyjęciu u Rosemary. Od razu wyłuskałam go z wypełniającego pokój tłumy. Pierwsze, co zauważyłam, to ciemna fala włosów opadająca na czoło i gładka, starannie ogolona twarz. Oczy i dołeczek w policzku, kiedy się uśmiechał, przypominały mi Clarka Kenta.

Rozmowa nie miała końca. Od tamtej pory nigdy nie przestaliśmy rozmawiać. Do dnia, w którym straciliśmy Abby. Nawet kiedy umarła moja matka, rozmawialiśmy. Nawet w tym głupim czasie, kiedy staraliśmy się o drugie dziecko – wizyty lekarskie, zaplanowane współzycie – rozmawialiśmy.

A teraz cieszę się, że wyjechał? W życiu bym nie pomyślała, że mogę poczuć z tego powodu prawie radość. Ciekawe, czy i on czuje ulgę, że się ode mnie na chwilę uwolnił. Od żony, która rzadko wychodzi z domu czy z łóżka zmarłej córki. Musi chyba wyczuwać, że niemal wszystko, co robi, mnie irytuje. Dobrze mieć chwilę wolnego od prób wspólnego życia bez Abby.

Skoro nie ma Ethana, który by się sprzeciwiał, oficjalnie rozpoczynam własne śledztwo.

Spotkałam się po południu z tą starszą, panią Dwyer. Zadzwoniłam, żeby się umówić; nie chciałam pukać w nieskończoność, zanim się zorientuje, że ktoś stoi pod drzwiami.

– Naprawdę nic nie wiem, kochanie – powiedziała. – Ale z przyjemnością zaproszę panią na herbatę i opowiem, co widziałam po wypadku. O ile tylko ta wizyta nie będzie dla pani przykra.

W tamtej chwili myślałam, że po prostu jest uprzejma. Zdawałam sobie sprawę, że to będzie trudne – konfrontacja twarzą w twarz z miejscem, gdzie zginęła Abby. Ale na ołtarz przed domem pani Dwyer w ogóle nie byłam przygotowana. Stał tu krzyż z przytwierdzonymi na szczycie, sflaczałymi już balonikami. Były zblakłe pamiątkowe karty, pomarszczone od deszczu

plakaty, podniszczone pluszowe zwierzątka. Wszystko nosiło ślady rączek dzieci; tęskniły za koleżanką, za moją córką.

Nie wiem, czy choć raz zaczerpnęłam tchu, odkąd skręciwszy w Beach Rose Lane, zaparkowałam na podjeździe i stanęłam przed tym podniszczonym pomnikiem na cześć Abby. Nie wiem, ile czasu tak stałam. Próbowалам czytać poszczególne kartki, ale zatrzymywała mnie to dziecięca nieczytelna bazgranina, to niekonwencjonalna pisownia, to rosnąca mi w gardle kula wzruszenia. „Kohana Abby, tęsknie za tobom. Czy w niebie jest ładnie?”

Kiedy wreszcie potrafiłam przełknąć ślinę, oderwałam się od ołtarzyka i ruszyłam do wejścia. Pani Dwyer otworzyła dopiero, gdy zapukałam po raz trzeci; wyrazisty powód, dla którego tak mało zarejestrowała z tego, co wydarzyło się w tamten słoneczny ranek. Z wyrazu jej twarzy zorientowałam się, że muszę wyglądać strasznie.

– Och, złotko... Proszę, proszę bliżej. Wiedziałam, że będzie to dla pani o wiele trudniejsze, niż pani przypuszcza. Zapraszam.

Okazało się, że nie wie nic.

– Dopiero, kiedy usłyszałam sygnał straży pożarnej, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam całe to zbiegowisko. Był już ambulans. Ludzie rozstąpili się, żeby zrobić przejście ratownikom, i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że potracono jakieś dziecko.

Poklepała mnie po ręce. Wiedziała, że nie mogę mówić. Dławiły mnie łzy.

– Podobno zmarła następnego dnia. Potem przyszedł ten detektyw... Wie pani, ten grubas... spytał, czy czegoś nie widziałam. Włazł mi prosto w grządkę chryzantem. Zorientował się, że to widziałam, ale nawet nie przeprosił. No, ale to bez znaczenia, prawda?

Pokiwałam głową. Tak, to podobne do Caulfielda. Albo mu się nie chciało obchodzić ogródka, albo celowo chciał onieśmielić starą kobietę.

– Powiedziałaś mu, że w ogóle nic nie widziałam. Oglądałam telewizję. – Pani Dwyer nadal mówiła, jak to samotne starsze panie. – Jakie to smutne, maleńkie dzieci tu przychodzą, żeby wspominać pani córeczkę... A te ich podarunki są takie słodkie. Widziała pani te wszystkie kartki? Zachowam je i dam pani, kiedy już będzie gotowa. Co za tragedia... Żeby potracić dziecko i tak po prostu zostawić?

43. dzień bez Abby

Dziś rano zadzwoniła Rosemary z pretensją, że nie oddzwaniałam.

– Nie odsłuchiłaś moich wiadomości? Martwiłam się o ciebie. Dzwoniłam chyba ze trzy razy! Nawet podjechałam, żeby zobaczyć, co się z tobą dzieje... Gdzieś ty była?

Pozwoliłam jej wygadać się i zrzucić ciężar z piersi, potem opowiedziałam o mojej wizycie u pani Dwyer i o ołtarzyku. Słyszałam, że rodzice z dziećmi coś tam kładą, ale nie miałam pojęcia, jak wiele się tego zgromadziło od dnia wypadku.

– Wiedziałaś o tym wszystkim? – spytałam. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, odkroiłam cząstkę grejpfruta i włożyłam gorzkawy miąższ do ust.

– Tak... Pomyśleliśmy z Ethanem, że lepiej żebyś nie czytała tych kartek. Sami przebrnęliśmy raptem przez kilka... Rozdzierają serce.

Rosemary jest moją najlepszą przyjaciółką. Nie do wiary, że muszę jej przypominać, iż nie ma potrzeby chronić przed rozdarciem serca, które i tak już jest rozdarte. Wbiłam nóż w grejpfruta.

– Jak często rozmawiacie o mnie z Ethanem za moimi plecami?

– Mówisz tak, jakbyśmy utrzymywali to w jakiejś tajemnicy. Dzwonię do niego od czasu od czasu... Przecież musi z kimś porozmawiać.

Moja wczorajsza rozmowa z Ethanem, gdy zadzwonił wieczorem, była sztuczna: ani on nie

wspomniał o Abby, ani ja. Nie powiedziałam mu, co zastałam na trawniku u pani Dwyer, ani o moim czekaniu na Caulfielda. Nawet nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy... W każdym razie nie o tym, co miał w głowie lub co ja miałam w sercu.

– To znaczy, że ze mną nie może, bo jestem co? Jędza, tak?

– Nie, tylko...

– Słuchaj, Rosemary. Nie możesz wszystkim dyrygować, tak jak po śmierci mamy. To się zdarzyło mnie, rozumiesz? Mnie. Nie omawiaj moich spraw z Ethanem. I żebyś się nie ważyła trzymać coś przede mną w tajemnicy. Jestem twoją siostrą, a nie małym dzieckiem. – Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że grejpfрут jest cały podziabany nożem. – Nie ukrywaj przede mną nic, co dotyczy Abby. Rozumiesz?

Milczała. Gdyby to był ktoś inny, odwiesiłabym słuchawkę. Ale Rosemary nigdy nie przerywa w ten sposób rozmowy, kiedy jest wściekła.

Bez przekonania, myśląc o czym innym, spytałam ją o Kevina. Chciał, żeby wyjechali w ten weekend, a ona uważała, że to za blisko świąt. Chyba z pięć minut stawiałam właściwe pytania i mówiłam właściwe rzeczy.

– A jak tam Mattie? Dalej pyta o Abby? – Na to pytanie naprawdę chciałam znać odpowiedź.

– Bez przerwy. Włożyłam do albumiku parę zdjęć ich dwojga i teraz przed snem nie prosi o bajkę, tylko ogląda zdjęcia.

– Dobra, to kończmy na razie. – Nie mogłam mówić, gardło miałam ściśnięte. Obraz trzyletniego chłopczyka, który stale ogląda zdjęcia zmarłej kuzynki, to było więcej, niż mogłam znieść.

– Idę niedługo na spacer. Chcesz dołączyć? – zaproponowała. – Przyjdę, kiedy zechcesz, zaraz albo trochę później... Jak wolisz.

– Nie dziś. Może kiedy indziej, dobrze? – Nie miałam siły, żeby iść lub rozmawiać, a co dopiero jedno i drugie naraz.

– Tessa, zła jesteś na mnie? Im bardziej się staram, żeby ciebie nie zmartwić, tym gorzej mi to wychodzi. – Głos jej się łamał. Byłam pewna, że płacze.

– Nie jestem zła. Wszystko jest okej. – Zakończyłam rozmowę, wiedząc, że skłamałam.

44. dzień Bez Abby

Dwa dni z rzędu spędziłam w czytelni. Mogłam pracować w domu, ale w każdej chwili coś mogło mi przeszkodzić. Telefony, niezapowiedziane wizyty, wciąż jakieś nowe wiadomości. Straciłam nie tylko dziecko, ale i prywatność.

W ciągu dnia w czytelni było cicho, choć złościło mnie jak cholera, kiedy ktoś zaczynał mówić pełnym głosem. Całkiem jakby wpadł na ulicy na dawno niewidzianego znajomego. Czy przestała obowiązywać zasada, że w czytelni rozmawia się szeptem?

Za pierwszym razem wyszłam około trzeciej. Musiałam, bo nagle poczułam się, jakbym grała w serialu *Boy Meets World*. Biblioteka zmieniła się w żłobek dla maluchów, których rodzice pracują. Biedne wymęczone bibliotekarki ledwie sobie radziły z tym kramem: na jedną przypadało chyba z piętnaścioro dzieciaków. Dzieci też nie sprawiały wrażenia zadowolonych, że muszą parkować w bibliotece aż do obiadu.

W ciągu tych dwu dni, jakie tam spędziłam, dowiedziałam się sporo o sytuacjach potrącenia i ucieczki, choć niewiele o wypadku Abby. Znalazłam w sieci psycholożkę, która pracuje z rodzinami ofiar takich wypadków. Jej syn zginął w ten sposób, kiedy w sobotę wracał z pracy do domu, i od tej pory zdecydowała się pomagać innym. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tyle różnych przyczyn, dla których ludzie uciekają z miejsca wypadku. Zakładałam, że był to pijak. I

nadal jest to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Alkohol to najczęstsza przyczyna ucieczki. Założę się, że usprawiedliwienie sprawcy brzmiałoby tak: „Byłem pijany i nawet nie zdawałem sobie sprawy, że potrafiłem dziecko”. Musiałeś nawalić się już o dziewiątej rano, ty gnido? Co prawda miła pani psycholog nie sformułowałaby tego w ten sposób na swojej stronie. Gelia chyba też nie.

Następna przyczyna to agresywna jazda. Taka osoba zapewne tłumaczyłaby się stresem. I wreszcie są ludzie, którzy uciekają z miejsca wypadku ze strachu. Na przykład ktoś, kto ma na koncie wiele wykroczeń, a tym razem wyjątkowo był trzeźwy. Albo kierowca bez prawa jazdy. Mimo wszystko nie potrafię zrozumieć, jak strach może wziąć górę nad wszystkim innym, gdy widzi się na poboczu drogi bezwładne ciało małej dziewczynki.

Im dłużej czytałam, tym większy miałam niesmak. Ale czytałam. Tak jakby wiedza o tym, kto mógł to zrobić, przybliżała mnie do ustalenia, kto to zrobił.

Rozmawialiśmy wieczorem z Ethanem. Dzieliące nas czterysta kilometrów sprawiło, że łatwiej było poruszyć ten temat. Nie musiał wiedzieć, że podczas rozmowy siedzę w bujanym fotelu Abby i trzymam na kolanach jej lalkę.

– Zastanawiałaś się kiedykolwiek, kto to zrobił? – Posadziłam lalkę na łóżku Abby i podeszłam do jej komody. Wysunęłam górną szufladę i powiodłam dłonią po jej ulubionej nocnej koszulce.

– Zastanawiam się bez przerwy – odparł. – Przez cały czas. Może to ktoś, kto mieszka w Wenonah? Może przechodziłem nieraz obok drania i wcale o tym nie wiedziałem? Albo przejeżdżałem obok niego, a on siedział za kierownicą samochodu, który zabił moje dziecko? Ale powiedziałem sobie: stop, bo jeśli będę dalej tym torem, zwariuję.

– A ja idę – powiedziałam.

To była najdłuższa i najbardziej znacząca rozmowa, jaką mieliśmy dotąd na ten temat. A potem Ethan powiedział coś innego.

– Nie wracam do domu.

Zamknęłam szufladę, tak jakby mnie przyłapał na tym, że w niej grzebię. Chyba z minutę trwało, zanim zrozumiałam, co naprawdę ma na myśli – i dopiero wtedy wrócił mi dech.

– Trzeba obgadać dużo różnych detali w związku z tą fuzją, a że w przyszłym tygodniu wypada Święto Dziękczynienia, nie możemy zwlekać. Zostaję tu do wtorku.

– Ach tak. No dobrze.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak to odbierze.

– No cóż, w takim razie w porządku – powiedział trochę zdławionym z rozczarowania głosem. – Pozamykam tu sprawy i wrócę, kiedy tylko będę mógł.

Już drugi raz w ciągu ostatnich paru dni skłamałam. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafiłam się przyznać, że chciałabym, aby był w domu.

– Dam sobie radę. Wiem, że musisz to załatwić. Nie jestem przecież sama. – Znowu wzięłam na ręce lalkę Dolly i kołysałam. – Co dzień wpada Rosemary, żeby mieć na mnie oko.

Znowu zrobiło mi się głupio. Nie chciałam, aby pomyślał, że mam mu za złe konszachty z Rosemary. Wpadałaby i tak, czy ją prosił, czy nie.

– W takim razie do zobaczenia we wtorek, tak? Przez chwilę nic nie mówił i ja też nie.

– Tessa... wiesz, że w każdej chwili możesz do mnie zadzwonić, prawda? Obojętne w jakiej sprawie. Nieważne, co będę robił, odbiorę. Zawsze.

Ethan, kochany Ethan. Choćbym nie wiem jak go odpychała, choćbym nie wiem jak była wściekła, zawsze znajdzie sposób, żeby mnie rozbroić.

Czwartek, 17 listopada, godz. 9.00

Było zaledwie wpół do siódmej, kiedy napełniłam trzy kubki i ustawiłam je w trójkąt wokół talerza z muffinkami z żurawiną, Ian wmaszerował do kuchni jednym wejściem, Alden drugim. Obu przyciągnęła woń skórki pomarańczowej i świeżo zaparzonej kawy.

– Uwielbiam muffinki. Dawno ich nie piekłaś. – Ian cisnął plecak do kąta i padłszy na krzesło, obdarł papier z gorącego ciastka.

– Coś tu bosko pachnie. – Alden pocałował mnie w kark, pozwalając, by ręka spoczęła dłużej na moich ramionach, Ian zeszytywniał, więc wywinęłam się i usiadłam na swoim miejscu. Alden przybliżył nos do talerza i głośno zawęszył.

– A co to za okazja?

– Mam propozycję dla obu panów i próbuję was przekupić. Chodzi o Święto Dziękczynienia. Żaden nie podniósł wzroku, aby spojrzeć na drugiego. Uwagę obu pochłaniało jedzenie.

– Chciałabym, żebyśmy nasze pierwsze wspólne Dziękczynienie świętowali w pensjonacie.

Może w New Hampshire albo w Vermont. Myślę, że wyjazd dobrze by nam zrobił. –

Przygotowałam sobie bardziej przekonujące argumenty, ale w tej chwili wyleciały mi z głowy.

Dziwne, ale ani Alden, ani Ian nie powiedzieli „nie”. Wrażliwy Ian, który zawsze się martwił, co zrobić w święta z Harrym, nawet o nim nie wspomniał.

– Może będę mógł któregoś popołudnia pojeździć na nartach – powiedział z nadzieją.

– Czemu nie – podchwycił Alden. – Ty, Celio, oderwiesz się od codzienności, Ian pojeździ sobie na nartach. Jeśli wybierzemy zajazd, który serwuje tradycyjny świąteczny obiad, wszyscy będą zadowoleni.

Ian wysiorbał kawę, złapał kolejnego muffinka i wstał.

– Muszę lecieć. Dziękuję za śniadanie. Wracam późno. – Cmoknął mnie w policzek i ruszył ku drzwiom.

– Tak, wszyscy będą zadowoleni – rzuciłam bezwiednie, nie kierując tego do nikogo.

Piątek, 18 listopada, godz. 17.30

Przez cały dzień trudno mi było się skoncentrować. W przerwach między pacjentami zapisywałam sobie, co muszę przed wyjazdem załatwić: włączyć czujniki światła, wyłączyć ogrzewanie, znaleźć kogoś, kto odśnieży podjazd, gdyby padało. Notowałam, co powinnam zapakować: ciepłą bieliznę i rajstopy, długie buty, dodatkowe rękawiczki. Ta lista w ogóle nie przypominała wcześniejszych spisów rzeczy potrzebnych: kiedy dawniej wyjeżdżaliśmy gdzieś całą rodziną, wszystko kręciło się wokół żeglowania.

Od tamtego dnia nie widziałam jachtu. Nie chodziłam do portu, żeby na niego spojrzeć. Nie przyniosłoby mi to dobrych wspomnień, za to na pewno smutek. Pewnie nadal jest piękny.

Złociste tekowe drewno na pokładzie, głęboki mahoń pod. Na każdej przystani oglądali się za nim ludzie, jak lubił mówić Harry każdemu, kto miał ochotę słuchać. Po czym, nie chcąc wprawiać mnie w zakłopotanie, dodawał szeptem: „Tak samo jak za tobą, C”.

Kurtki. Szaliki. Grube skarpety. Ocieplane narciarskie spodnie.

Wczoraj wieczorem złapałam się na tym, że poświęcam planowaniu tego wypadu zaskakująco dużo czasu. Ale jeszcze przed wyjazdem ujawniło się parę nieoczekiwanych korzyści.

Alden zrezygnował z czytania swoich dwustu stron, żeby przejrzeć ze mną foldery i ulotki, które

znalazłam w starej teczce z napisem „Przyszłe podróże”, Ian przyszedł z laptopem i pokazał mi, jak szukać pensjonatów w Internecie. Nie mogłam uwierzyć, że siedzimy w trójkę i pracujemy zgodnie nad tym samym.

Najpierw zmęczył się tym rozważaniem różnych opcji Ian, potem Alden, i kolejno poszli na górę, do łóżek. Ja wciąż kombinowałam, jakie miejsce byłoby najlepsze, żeby zjednoczyć moją rodzinę. Poprzednia rozpadła się na morzu; może drugą uda mi się scalić w górach?

W końcu zdecydowałam się na śliczny pensjonat w Vermont, niecałe trzy godziny drogi od Wenonah Falls. Nazywał się „Wrzos” i był położony u stóp Killington Peak, w małym miasteczku Tama Ridge. Postanowiłam, że przekażę im te szczegóły dziś wieczorem. No, chyba że Ian wyjdzie z domu, wówczas poczekam na jego powrót. Zależy mi, żeby powiedzieć im równocześnie.

Może w to Dziękczynienie naprawdę będę miała powód do wdzięczności.

Poniedziałek, 21 listopada, godz. 8.00

Wczoraj wieczorem zdradziłam w końcu Ianowi i Aldenowi szczegóły naszego wyjazdu. Przesadna radość Aldena była zawołaną próbą pocieszenia mnie po sprzeczce z Ianem, związanej z semestralnym świadectwem. Powiedział, że nie ma nic zadane, wręczył mi świadectwo, bez słowa przeszedł do jadalni i usiadł przy stole. Tak jakby w ogóle nie było o czym mówić i jakby już podawano obiad.

– Inni rodzice może by nie uważali tych stopni za złe, ale Iana zdecydowanie stać na więcej. – Przejrzałam świadectwo jeszcze raz i podałam je Aldenowi. Zaraz tego pożałowałam, widząc, jak z dezaprobatą przygryzł wargę. Całe szczęście, że Ian nie widział.

– Same te B i C to niespecjalny powód do radości, ale najbardziej martwią mnie uwagi. – Wzięłam od niego świadectwo.

Poszłam do jadalni. Alden został w kuchni.

– Rozproszona uwaga na zajęciach. Praca zrywami – przeczytałam na głos z kartki.

– Wyniki poniżej możliwości. Wiem, czytałem. Spoko, przecież nie jest tak źle.

Wszedł Alden z wazą zupy. Ian odepchnął się oburącz od stołu i wyszedł do holu.

– Ian, zostań – powiedziałam.

Przystanął i gestem dał mi znak, żebyśmy przeszli do salonu. Usiedliśmy twarzą w twarz na sofie.

– Nie chciałem o tym rozmawiać przy profesorze Plumie* [Profesor Plum – jeden z bohaterów angielskojęzycznej wersji detektywistycznej gry planszowej *Cluedo* oraz filmu pod tym samym tytułem; roztargniony nauczyciel chemii, specjalista od trucizn (przyp. tłum.)]. – Przerwał, aby sprawdzić, czy przewisko zrobiło na mnie wrażenie na tyle, żeby zakończyć rozmowę o stopniach.

– To niepotrzebne, Ian. I niepodobne do ciebie. Zamknął oczy.

– Pokazałaś mu, prawda? – Odchylił się na podłokietnik i czekał na moją odpowiedź.

– Powinnam była cię najpierw spytać. Więcej tego nie zrobię. – Odłożyłam świadectwo na stół i sięgnęłam do lampy, żeby ją zapalić. – Jesteś taki zdolny. Przykro mi, mógłbyś wypaść dużo lepiej.

Światło padło mu na twarz. Zaczął się tłumaczyć – mętnie i nieprzekonująco jak na tak bystrego chłopaka.

– Chemia jest niemożliwa. A facet od geometrii nudny... i okropnie wymagający. – Zrzucił kopnięciem buty. Już miał podwinąć nogi, ale uchwycił moje spojrzenie i wyciągnął je przed

siebie. Ze spuszczoną głową zaczął skubać paznokcie.

– Dobrze, że już nie będę pracować – powiedział. – Michael mówi, że jesienne mycie okien się kończy i już mu nie jestem potrzebny. Mamy spokój do wiosny.

– Pracujesz? Od kiedy? – Trzepnęłam go po ręce i przestał zajmować się paznokciami.

Nie doczekałam się odpowiedzi, bo Alden niechcący zrobił łanowi przysługę swoim wejściem do pokoju.

– Może zechcielibyście do mnie dołączyć, moi kochani? – zaproponował, gładząc bródkę. Tak jakby to on musiał podjąć decyzję.

– Mamo, szkoła to nie koniec świata – mruknął Ian, kiedy wracaliśmy do jadalni. – Bądź spokojna, wszystko mam pod kontrolą.

Cóż, dobrze, że choć jedno z nas odnosi takie wrażenie.

Usiedliśmy z powrotem przy stole, Ian ze spuszczoną głową grzebał łyżką w talerzu, wsparty o blat jednym łokciem. Nie wziął do ust ani kęsa.

– No to powiedz nam, Celio, co wymyśliłaś w związku z naszym świątecznym wyjazdem. – Alden podał mi koszyk z pieczywem. Sobie wybrał rogalik o idealnym kształcie półksiężyca i położył na talerzyku do chleba.

Nie byłam już tak podekscytowana jak poprzednio, Ian i jego świadectwo sprawiły, że moje ożywienie zgasło. Niemniej za dwa dni czekał nas wyjazd i nadal wiązałam z nim wielkie nadzieje na idealne rodzinne święta. Opowiedziałam im o pensjonacie w Tama Ridge.

– Na pewno będzie fantastycznie. – Alden pogładził moją dłoń.

Ian spojrzał na jego rękę spoczywającą na mojej i z brzękiem – celowo – upuścił łyżkę.

– Pójdę się pouczyć.

Odsunął krzesło, wstał i wyszedł. O tym, że przed chwilą tu był, przypominało tylko jego nakrycie i samotne krzesło na środku pokoju. A wydawało mi się, że nie ma nic zadane. Tak mówił.

48. dzień bez Abby

Jest dość ciepło jak na listopad, ale w domu panują chłód i cisza. W kuchni tygodniowy bajzel. Przepelniające zlew brudne naczynia nieprędko mają szansę na pozmywanie, bo butelka z płynem jest prawie pusta, a z rolki papierowego ręcznika pozostał skrawek. Przechodzę do pokoju: rzeczy do prania ledwie mieszczą się w dwóch wielkich koszach, a z szafy zwisa ubranie Ethana przeznaczone do czyszczenia chemicznego. Stolik do kawy zasłany gazetami, na dywanie też ich pełno.

Każda matka, włącznie ze mną, miewa czasem fantazje, że jest sama w domu i ma wreszcie mnóstwo czasu, żeby odwalić tę całą robotę. Marzy o samotności. Dopóki marzenie się nie spełni.

Nie mam siły, żeby posprzątać. Cała energia idzie mi na tęsknotę za Ethanem. Choć nie brakuje mi go aż tak, jak Abby. Wiąże się to z faktem, że wraca. Wreszcie. Przez cały czas jego pobytu w Nowym Jorku byłam zajęta, ale to już osiem dni i chcę, żeby wrócił.

W piątek przyszedłam do Celi dosyć wcześnie. Sama mi zaproponowała. Pewnie ktoś odwołał i miała lukę. Zanim usiadła, wyrównała stosik folderów na biurku.

– Święto Dziękczynienia – powiedziała z leciutkim, przelotnym uśmiechem. Tak szybkim, że prawie go nie zauważyłam.

Zignorowałam to. Święto Dziękczynienia to ostatnia rzecz, o jakiej miałam ochotę rozmawiać.

– Brak mi Ethana o wiele bardziej, niż myślałam. Przyjeżdża dopiero we wtorek. – Spróbowałam przejąć ciężar prowadzenia rozmowy.

– Być może ten wyjazd okaże się dla was korzystny. Nie bez powodu mówi się, że rozłąka ożywia uczucia – Znowu się uśmiechnęła, tym razem dłużej.

– Czy ja należę do kobiet, które cenią tylko to, co niedostępne? – Ledwie wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że są nieprawdziwe. Oczekałam, żeby usłyszeć, co na to Celia. Niezły test: można sprawdzić, na ile mnie zna.

– Sama wie pani o tym lepiej niż ja. Ale myślę, że chodzi raczej o to, iż silne uczucia bezpieczniej jest rozpoznać z dystansu. – Położyła moją teczkę na kolanach. Nie notowała w niej tak dużo jak na początku.

– Rozmawialiśmy przez telefon więcej niż w ciągu tych pięciu tygodni. To znaczy, że bezpośrednio, twarzą w twarz, już nie potrafimy?

– No cóż, to zależy w pewnym stopniu od pani. Powie mu pani po powrocie, że za nim tęskniła? Wyjrzałam przez okna. Wygodnie było móc odwrócić uwagę, kiedy nie chciałam wchodzić tam, gdzie kierowała mnie Celia. W parku spacerowało mnóstwo ludzi, wykorzystywali ostatnie ciepłe jesienne dni. Nie interesowali mnie właściciele psów i uprawiający jogging. Moją uwagę przyciągnęła para starszych ludzi, którzy trzymali się za ręce, i kobieta z wózkiem.

– Wiem, że powinnam. Ostatnio byłam dla niego jędzą.

Celia skrzywiła się leciutko. Nie lubi, kiedy używam mocnych słów, co sprawia, że tym bardziej mam ochotę ich używać. Czasem kusi mnie, żeby ją zranić. Nie wiem dlaczego. Jest przecież dla mnie dobra.

Może po prostu nie mam spokoju, dopóki komuś nie dogryzę? Dogryzam Celi. Mam ochotę przywalić Caulfieldowi. A zarazem naprawdę nie chcę zrazić do siebie Ethana. Trudno mi się w tym połapać.

Och, dosyć mam tego analizowania przebiegu sesji z Celią. Znowu skuliłam się w łóżeczku Abby. Jestem zmęczona widokiem panującego w domu bajzlu. Zmęczona bólem. Zmęczona

całym tym życiem. Po prostu zmęczona.

50. dzień bez Abby

Wczoraj wieczorem wyciągnęłam się w fotelu przy oknie i czekałam. Jak w transie wpatrywałam się w dwa klony, rosnące po przekątnej po obu stronach drogi. Jeden był już całkiem nagi, na drugim trzymało się jeszcze kilka liści. Tak jakby drzewo wciąż nie chciało ich oddać, choć wiedziało, że w końcu będzie trzeba. I wbrew tej konieczności – walczyło.

Kiedy zza zakrętu dobiegł odgłos samochodu, poczułam ulgę i strach. Ethan wysiadł i zobaczył mnie. Z szerokim uśmiechem ruszył do wejścia, zostawiając bagaże w aucie. Wyszłam mu naprzeciw. Spotkaliśmy się w drzwiach. Objęliśmy się.

Z początku nie mówiliśmy nic, trwaliśmy tylko w mocnym uścisku. Potem zaczął mnie gładzić po włosach gestem, który – wiedział* o tym – sprawia, że czuję się pożądana i otoczona czułą troską. Uwielbiam, kiedy uwodzi w ten sposób, poczynając od czubka głowy. Kochaliśmy się w pokoju dziennym. Ciekawe, czy zwrócił uwagę na ten szczegół... Tyle czasu już upłynęło, odkąd czuliśmy się swobodnie gdzie indziej niż w zamkniętej na klucz sypialni. Zawsze baliśmy się, że Abby mogłaby się przestraszyć, gdyby przypadkiem weszła i zobaczyła nas w spazmach namiętności. Dziś dawne rytuały przestały mieć znaczenie.

Była intensywność w tym zbliżeniu, ale bez szaleńczego głodu, który każe zrywać z siebie nawzajem ubranie. Pasja zrodziła się z poczucia przemijania, ze słów, które nie padły między nami, ze wspólnego cierpienia. Połączyła nas. Kiedy leżeliśmy w ciepłe naszych ciał, okryci starą narzutą, którą zgarnął z oparcia Ethan, zdałam sobie sprawę, że nikt oprócz niego nie wie tak naprawdę, jak to jest. Przez te wszystkie tygodnie miałam wrażenie, że nikt nie rozumie, co czuję. Matka bez dziecka. W tamtej chwili pojęłam, że kochał Abby tak samo jak ja. Był jedynym człowiekiem na świecie, którego twarz mówiła, gdy na nią patrzył: „Jaka ona śliczna... Nie mogę uwierzyć, że to nasze dzieło”. Tylko on wiedział, jak strasznie, jak głęboko boli mnie jej brak. I właśnie dlatego dobrze było z nim leżeć. Pozwoliłam sobie na to uczucie. Pograżyłam się w nim, wiedząc, że gdy rano zderzę się z rzeczywistością kolejnego dnia bez Abby, przeminie.

Dłuższy czas leżeliśmy w milczeniu. Zwykła cisza, która następuje po zbliżeniu. Potem jednak zmieniła charakter. Zaczęła przypominać milczenie typowe dla przypadkowego spotkania na jedną noc: towarzyską niezręczność, gdy przed chwilą dzieliło się coś tak cennego i ważnego z kimś, kto nawet nie zna twojego imienia. Ale to był Ethan. Nasze milczenie więcej miało wspólnego z tym, jak zacząć na nowo, niż z tym, jak zgrabnie coś zakończyć. I tak jakby każde z nas chciało być tym, które da drugiemu w darze nowy początek, zaczęliśmy mówić równocześnie. Roześmieliśmy się – i ten dźwięk, którego tak długo nie było słychać w tym domu, miał niezwykłą siłę, strzaskał lód między nami.

Opowiedział mi o wyjeździe. Pracował intensywnie i w wielkim stresie, ale pomyślnie doprowadził do skutku większość spraw związanych z fuzją. Jeśli nie liczyć pewnych detali, które mógł załatwić tu, na miejscu, był wolny aż do poniedziałku.

Nie śpieszyłam się z informowaniem go, co ja robiłam w tym czasie. Nie chciałam zburzyć bliskości, która dopiero po dwu miesiącach zdołała ożyć na nowo. Najpierw pomyślałam, że może potrafię mu powiedzieć. Później postanowiłam nie ryzykować.

Choć było ciasno i niewygodnie, spaliśmy na kanapie. Nie szukałam pomocy w pokoju Abby, aby odnaleźć sen. Zabawne... Oboje czuliśmy, jak krucha jest ta odnowiona więź.

Zrezygnowaliśmy z wygodnego łóżka, tak jakby bycie obok siebie miało nam pomóc ochronić bliskość emocjonalną i przenieść ją w nowy dzień.

52. dzień bez Abby

Święto Dziękczynienia było upiorne. Za dużo jedzenia, za dużo banalnych rozmówek, za mało dziękczynienia. Na mnie w tym roku przypadała kolej, powinnam być gospodynią, ale bez żadnego ustalania wylądowaliśmy u Rosemary. Naprawdę doceniałam jej wysiłki, żeby było miło i wystawnie. Nie zamierzałam wszystkiego popsuć.

Tata odszedł dawno temu, mama i Abby nie żyją. Nasza rodzina, zamiast się rozrastać, kurczy się. Pod pretekstem, że pragnie urządzić prawdziwe Dziękczynienie w stylu Nowej Anglii, Rosemary zaprosiła brata Kevina z rodziną, z Nevady. Wiedziałam, że tak naprawdę zaprosiła ich, bo nie zniosłaby powtórki z zeszłego roku, gdy obchodziliśmy pierwsze Dziękczynienie po śmierci mamy. Biedna Rosemary, na nią zawsze spada urządzanie świąt, gdy ktoś umrze. Próbując wprowadzić zmiany, rozszerzyła listę gości. Usunęła z salonu eleganckie kanapy. Przez całą długość pokoju ciągnął się stół. Nie było w tym roku stolika dla dzieci. Każde nakrycie zdobiła karta umieszczona przed niewielkim talerzykiem w wykwintny wzór. Lśniły nowe kobaltowe szklanki i kieliszki. Ładnie prezentowała się kompozycja z chryzantem, tykw i ozdobnych pnączy o barwnych owocach. Tradycyjne potrawy zostały wzbogacone o nowe, typowe dla domu akcenty. Wszystko odnotowałam, wszystko zauważyłam. Nie było tylko nakrycia dla Abby.

Ethan miał przyklejony do twarzy idiotyczny uśmiech. Na użytek mnie i Rosemary. Piłam. Pierwszy kieliszek pinota grigio był cierpki i zimny. Zatrzymałam wino w ustach, a potem pozwoliłam, by powoli spłynęło do gardła. Po czwartym – a może piątym? – straciłam rachubę. Matthew nawet nie zauważy, jeśli jego pijana ciotka zmyje się do pokoju telewizyjnego na mały odpoczynek na kanapie... A co sobie pomyśli rodzina Kevina, miałam w nosie. Nie przypominam sobie, że bym coś jadła, choć pamiętam, jak wspaniale wszystko pachniało. Szałwia, żurawina, ciasto z dyni.

Ustala się tradycja, że psuję Rosemary Święto Dziękczynienia. W zeszłym roku pokłóciłam się z nią publicznie o sprzedaż domu po mamie. W tym roku naprawdę nie chciałam jej zranić. Po prostu nie mogłam znieść całego tego świętowania. Towarzyskiego nastroju. Tego, że byliśmy z Ethanem parą, gdy powinniśmy być rodziną.

Myśl, że miałabym zadzwonić do Rosemary z przeprosinami, budziła mdłości. Jeszcze gorsze niż nieustannie tkwiąca mi w gardle kula. Ale trzeba było. Za dużo jej się dostało z mojej strony. No więc zadzwoniłam. Płakała. Ja też płakałam. No i mamy sprawę z głowy. Pierwsze świąteczne fiasko za nami. Nie mogę się już doczekać kolejnego – na Boże Narodzenie.

Poniedziałek, 28 listopada, godz. 7.00

Muszę to wszystko opisać. Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o kilku minionych dniach. Nie pojmuję, jak to się stało, że wszystko ułożyło się inaczej, niż powinno. Gorzej niż źle.

Moje marzenie o malowniczej podróży drogami Nowej Anglii zderzyło się z rzeczywistością już po godzinie od wyruszenia z domu. Tłok na jezdni, niemal zderzak w zderzak, przypominał raczej ewakuację z powodu katastrofy niż weekendowy wyjazd w piątkowy wieczór.

Ian, rozwalony na tylnym siedzeniu Aldenowego lexusa, słuchał cały czas muzyki na tym drogim sprzęcie, który podarował mu na wyjazd Harry. Tak jakby były mu potrzebne kolejne gadżety... Harry zawsze kupował mu przedmioty, próbując wynagrodzić brak ważniejszych rzeczy, których nie mógł mu dać. Nie było go w samochodzie, a i tak zdołał ukraść nam miłą, lekką rozmowę, której oczekiwałam.

Alden, poirytowany stresującą jazdą, wypowiedział przez całą drogę najwyżej kilkanaście słów. Miałam ochotę powiedzieć, że sam sobie winien, bo nie musieliśmy przed wyjazdem iść jeszcze na przyjęcie na jego wydziale. Dopiero kiedy zjechaliśmy z autostrady i sunęliśmy wijącymi się, pełnymi opadłych liści drogami okręgu Rutland, sytuacja się poprawiła: zaczęliśmy grzecznie rozmawiać. Nawet Ian się włączył. W miarę zbliżania się do zajazdu B&B moja wizja idealnych rodzinnych świąt nabierała rumieńców.

Pokoje wprawiły mnie w zachwyt. My z Aldenem mieliśmy duży, narożny, z wysokim podwójnym łóżkiem na wprost okna, którego framuga niczym rama obrazu obejmowała malowniczy górski pejzaż. Przed kamiennym kominkiem była strefa wypoczynku; już widziałam, jak spędzamy tam we trójkę wieczory na czytaniu książek lub grze w karty. Przytulny pokój lana tonął w słońcu. Takie pomieszczenie na pewno sprzyja zachowaniu pogody ducha. Gospodarze zaproponowali, żebyśmy rozlokowali się, a potem zeszli na pogawędkę do salonu – uroczonego pokoju z sięgającymi sufitu półkami pełnymi książek; interesującym elementem wystroju były prace amerykańskich prymitywistów.

I właśnie w pensjonacie znów poczuliśmy napięcie. Wkradło się między nas i narastało. Alden, który od razu przybrał swój profesorski ton, zorientował się, że na gospodarzach zrobił wrażenie temat jego badań na uczelni, i aż się palił, by z nimi pogawędzić. Nie zdążyłam jeszcze wyjąć rzeczy z walizki, gdy odnalazł mnie Ian i zaczął się skarżyć.

– Nie każ mi tam schodzić. ... Przecież poszedłem na to głupie przyjęcie na historii... a teraz podobno jesteśmy na wakacjach. Nie dość, że człowiek musi się zastanawiać, o czym rozmawiać z Alem... – Rzucił się na moje łóżko. Materac jęknął. Nie cierpię tego.

– Dobrze wiesz, jakie to ważne dla Aldena – otrzymanie stanowiska dziekana. Nie ma wyjścia, musimy dbać o wizerunek. Podziękował ci przecież osobiście, że poszedłeś, prawda?

Przetoczył się w moją stronę, gniotąc narzutę. Złożyłam moje rzeczy i przeniosłam je na biurko.

– Zostawmy Ala i niech im sam przynudza o tej swojej głupiej szkole. A my chodźmy gdzieś.

Kiedy jechaliśmy, widziałem po drodze sporo galerii. Chodźmy, dobra?

Usiłując podtrzymać dobry nastrój, zaproponowałem kompromis. My z Aldenem przez godzinę rozmawiamy z gospodarzami, a Ian tymczasem pospaceruje sobie po okolicy. A potem pójdziemy w trójkę do miasta. I dopiero kiedy pokłóciliśmy się przy świątecznym obiedzie, zdałam sobie sprawę, iż to, że wybrałam Aldena zamiast lana, stanowiło początek końca mojej próby wmontowania rodziny w obraz Normana Rockwella, który wisiał w tutejszym salonie.

Środowy wieczór minął bez szczególnych napięć, w każdym razie nie większych niż zwykle. W czwartek rano napięcie zaczęło rosnąć, Ian zszedł na śniadanie w ostatniej chwili; był szwedzki

stół, złapał talerz i załadował go obficie. Do tej pory nie rozumiem, dlaczego Alden musiał to skomentować.

– Ach, ten klasyczny dylemat wieku dorastania: za długo spać czy za dużo jeść. Widzę, że znalazłeś sposób, aby pogodzić te sprzeczności. – Uniósł do ust filiżankę z chińskiej porcelany. Niemal oczekiwałam, że odstawi mały palec.

Ian nie powiedział ani słowa i nie zjadł ani kęsa.

W ciszy jechaliśmy do Killington Peak, żeby zebrać informacje dotyczące jazdy na nartach. Robiłam co mogłam, by polepszyć nastrój. Gadanią o niczym usiłowałam wypełnić milczenie w nadziei, że uda mi się odzyskać ich obu. I na krótko mi się udało.

Kiedy Ian i Alden, odświętnie ubrani, spotkali się w holu, wymienili uścisk dłoni, tak jakby od rozstania nie upłynęła raptem godzina. A potem poszliśmy do sali, gdzie czekał na nas świąteczny posiłek. A przynajmniej na taki się zapowiadał.

Gdy każde z nas miało na talerzu ciepłą babeczkę, a w ręce kieliszek z alkoholem lub innym napojem, wzniosłam toast. Zwyczajny, jak mi się zdawało.

– Za naszą rodzinę!

Kieliszki zatrzymały się w pół drogi, Ian i Alden przemówili równocześnie.

Alden jedynie wyrazem twarzy zakwestionował wyrażenie „nasza rodzina”, Ian użył słów:

– Wypijmy za coś innego. Nie ma z nami taty.

– Na dziś ja mogę chyba być twoim tatą – powiedział Alden. Kieliszki stuknęły o stół.

– Już mam jednego. Innego nie chcę. Nie można być ojcem na jeden dzień czy na weekend. – Ian drobił swoją babeczkę na kawałki.

Zanim zdążyłam Aldena powstrzymać, wybuchnął.

– O tak... Nikt nie wie o tym lepiej niż ty, skoro masz takiego ojca jak Harry. A myślałem, że jesteś gotów, żeby go wymienić na innego. – Pociągnął wielki łyk caberneta.

Pełzający dotąd żar wybuchnął płomieniem, Ian wstał i cisnął w moją stronę serwetką.

– Wiesz co? On nie jest zbyt miły. Naprawdę tata był taki okropny, że musiałś go przehandlować na tego idiotę? – I na odlew walnął w szklankę z wodą przy nakryciu Aldena. Strugi chlusnęły na stół.

Alden niezręcznie zabrał się do wycierania. Szklanka rąbnęła o podłogę, a moje serce rozpadło się na kawałki, Ian był już dwa stoły dalej.

– Wybieram tatę! – krzyknął.

Inne rodziny patrzyły na naszą dysfunkcyjną niczym publiczność śledząca grę aktorów na scenie teatru. Dzieci gapily się bez skrpułów, nastolatki kontynuowały jedzenie. Rodzice, rzuciwszy okiem, szybko odwracali wzrok. Nie wiem, czy uważali to za komedię, czy tragedię.

Kurtyna w dół. Dziękczynienie zakończone*

55. dzień bez Abby

Ethan wrócił dziś do pracy. Jeśli pominąć upiorne Dziękczynienie i mojego kaca, weekend był w porządku. W sobotę przespacerowaliśmy się po wypranym z barw porcie, okutani w szale, rękawiczki i ciepłe kurtki. Ethan trzymał mnie za rękę. Nie skomentował ani słowem, że włożyłam rękawiczki Abby z jednym palcem, w śniegowe gwiazdki. Ocean był ciemny, płaski, bez śladu fal. Od czasu do czasu któreś z nas coś mówiło, ale przeważnie milczeliśmy, pogrążeni w swoich myślach. Niemniej dobrze było być razem.

W niedzielę czytaliśmy „Globe”. Ethan przyrządził obfite śniadanie, po którym byliśmy syści aż do późnego popołudnia. Wróciłam do przeglądania gazet.

Nie powiedziałam mu, że to nie jest zwykła lektura. I nie wspomniałam o śledztwie. On zaczął.

– W zeszłym tygodniu dzwoniłem do Caulfielda tylko raz. Trochę z braku czasu, bo ta cała fuzja i Święto Dziękczynienia... A trochę dlatego, że nie miałem ochoty znowu usłyszeć: „Nic nowego, kochany”.

Czyli nadal nie ma żadnych wiadomości. Sposób, w jaki Ethan przedrzeźnił Caulfielda, to jedyna zabawna rzecz w tym wszystkim.

– Powiedział mi, że byłeś u nich. I że sobie nie radzisz. Nie pospieszyłam z wypełnieniem pauzy, a on nie naciskał.

– Powiedział: „Teresie naprawdę potrzebna jest pomoc”. A ja odpowiedziałem, że najlepszą pomocą dla Tessy będzie, jeśli on, Caulfield, złoży do kupy dane i ustali w końcu sprawcę. Siedzieliśmy po przeciwległych stronach kanapy. Spotkaliśmy się w połowie, żeby wymienić pocałunek.

– To miło z twojej strony, że jesteś solidarny z żoną wariatką.

Nie wiem, czy to dlatego, że przeciwstawił się Caulfieldowi, czy że o tym rozmawialiśmy, w każdym razie zdecydowałam się pociągnąć temat.

– Dużo czytałam o ucieczkach z miejsca wypadku. Odwrócił wzrok. Kiedy przemówił, drżał mu głos.

– Ja też. Wiesz co, my się nigdy nie dowiemy. Jeśli nie ustalili tego dotąd, to już nie ustalą. Nigdy. – Przetarł oczy.

– Ja też o tym czytałam. I nie przyjmuję tego do wiadomości. – Wyprostowałam się.

– Może lepiej nie wiedzieć... Naprawdę myślisz, że potrafiłabyś znieść proces? Bo ja nie jestem pewien. Czytałaś, jaki za to grozi wyrok? Nawet jeśli znajdą faceta i mu udowodnią, dostanie półtora roku do pięciu. To dla mnie żadne zadośćuczynienie.

Napięłam każdy mięsień, żeby opanować pełgający gniew i nie doprowadzić go jak zwykle do wybuchu.

Ethan wyszedł. Może dlatego, że bał się uszkodzić naszą świeżo odzyskaną więź, a może dlatego, że w głębi duszy nie miał nic przeciw temu, abym poszukała odpowiedzi za nas oboje. Wstałam i poszłam zrobić obiad. Opiekane bajgle plus dżem.

Wtorek, 29 listopada, godz. 16.00

Pieką mnie oczy, jakbym miała pełno piasku pod powiekami. Nie spałam całą noc, a dziś jak na złość mój grafik był szczelnie wypełniony: osiem osób, z zaledwie dziesięciminutową przerwą między jednym a drugim pacjentem. Słuchałam. Współodczuwałam. Nie wiedzieli, że kiedy tak siedziałam, udając, że całą uwagę skupiam na ich problemie, mój syn ode mnie odchodził. Traciłam go.

Spodziewałam się, że weekend będzie trudny po tym wybuchu lana. Cisza okryła dom niczym całun. Odczuwałam nawet pewną ulgę, że mam ten chwilowy urlop od sędziowania. Nie można odmówić Ianowi praw do wyrażania własnych uczuć, ale jest zbyt emocjonalny. Pozwoliłam, by Alden zapadł w głąb biblioteki, a Ian ukrył się w swoim pokoju. Sama zajęłam się sprzątaniami pracowni, choć – skoro używam najczęściej farb wodnych – nigdy nie ma tu bałaganu. Poskładałam do pudełka częściowo zużyte szkiełeczki, umyłam sztywne od farby pędzle. Sądziłam, że w poniedziałek normalny rozkład zajęć – szkoła, praca – przywróci ład między nami.

Nic nie przygotowało mnie na decyzję lana. Wróciłam wczoraj do domu o zwykłej porze, wiedząc, że będzie zimno i ciemno. Włączyłam ogrzewanie, zapaliłam niektóre światła. Na kuchennym stole leżała wyrwana z zeszytu kartka, starannie złożona na pół. Z wierzchu było po oczach słowo „mama”, Ian, mówiąc „wybieram tatę”, rozumiał to dosłownie.

„Kochana mamo!

Przepraszam, że nie powiedziałem Ci tego osobiście. Nie mogę ryzykować, że będziesz próbowała mnie odwieść od tej decyzji. Przeprowadzam się do taty. Zgodził się.

Nie mogę mieszkać z nim pod jednym dachem. Kiedy się wprowadzał, obiecałaś, że wszystko będzie inaczej, że będziemy normalną rodziną. Ale w normalnej rodzinie dzieci nie czują się opuszczone. Nie mogę znieść tych jego wymyślnych potraw. I tego, że ile razy zrobię coś nie tak, to mnie poprawia albo przynajmniej znacząco patrzy. I dlaczego on zawsze musi cię dotykać, kiedy ja jestem w pobliżu?

Wiem, że nie było łatwo, kiedy mieszkaliśmy z tatą, ale tata przynajmniej nie zachowuje się, jakby był ideałem. Nie nalewałby jak gdyby nigdy nic herbaty i nie pakowałby naszych ciuchów, udając, że nic się nie stało i że gównem nie śmierdzi.

Nie mogę tu mieszkać. Po prostu to dla mnie za trudne. Nie wiem, jak Ty to wytrzymujesz, ale ja nie muszę. Wiem, że nie będziesz zadowolona, że mieszkam u taty, ale muszę trochę odetchnąć.

Wiem, że nie cierpisz klótni, i przepraszam za tę akcję w Dziękczynienie. Wiem, że chciałaś, żeby ten wyjazd nas połączył i w ogóle. Może na to nie wyglądało, ale się starałem. Naprawdę. Choć może nie tak, jak bym mógł. Tak czy owak, tak będzie lepiej dla wszystkich. Jutro zadzwonię.

Całuję Cię, Ian”

Zawsze był taki cichy i wycofany. Zamykał się u siebie albo siedział w dawnym pokoju Harry'ego. Czy gdyby nie ten list, w ogóle zwróciłabym uwagę, że go tu nie ma? Przycisnęłam list do piersi i ruszyłam schodami na górę. W pokoju lana wszystko wyglądało niemal tak jak zawsze. Pasiasty dywanik zarzucony był brudnymi sztukami odzieży, łóżko jak zwykle nieposłane. Zniknął tylko laptop. Prostokąt czystego miejsca na zakurzonym blacie był jedynym śladem, że niedawno tu stał. Ian wybrał Harry'ego.

Ta burza zbierała się wokół mnie od dnia, gdy zmusiłam Harry'ego, żeby się wyprowadził. Prawie dwa lata minęły, nim wreszcie wybuchła.

Patrzyłam na ich pożegnanie, stojąc w oszklonych drzwiach biblioteki, która wychodziła na ogród. Byłam przekonana, że moja obecność jest zbędna.

– Pozwól, żebym z tobą poszedł – powiedział Ian. W rękach trzymał niewielkie pudło z rzeczami Harry'ego. Z jednej strony wystawał oprawiony w ramki węglowy szkic i róg albumu z fotografiami.

Harry cisnął na ziemię worek żeglarski. Wziął pudło z rąk Iana, postawił je obok worka i położył mu ręce na ramionach.

– Nie wiem, co bym dał, żebym mógł cię ze sobą zabrać. Kurczę... albo żebym mógł cofnąć czas i nie popsuć wszystkiego, kiedy tu mieszkałem. Ale, synu... ja dopiero zaczynam się leczyć. Nie mogę obiecać, że znowu nie nawalę.

– Powiedziałeś, że nigdy więcej tego nie zrobisz. A ja ci wierzę. Harry opuścił ramiona, Ian założył ręce na piersi, jakby ochraniał serce, i wsparł się plecami o frontowe drzwi.

– Nie złość się na mamę. Stara się jak może. – Harry zagarnął Iana w objęcia, odrywając od drzwi. – Jak się pozbieram, będziesz mógł mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcesz. – Uścisk obejmował dwa klepnięcia w łopatki.

– Dokąd idziesz?

– Na razie mieszkam na jachcie, dopóki się nie ochłodzi. Będę szukał czegoś do wynajęcia. W każdym razie zostaję w Wenonah. Blisko ciebie. I mamy.

Harry poszedł, Ian tego dnia przyknął do połowy drzwi do mnie. A wczoraj je zatrzęsął. W dniu, kiedy zdecydował się przeprowadzić do Harry'ego.

Może Ian nadal wierzy w ojca. Ale ja w stosunku do Harry'ego Hayesa pozostaję agnostyczką.

Nie jestem pewna, czy Ethan wiedział, co mam na myśli, gdy mówiłam, że tego tak nie zostawię. Nie mógł wiedzieć, że ustalenie prawdy stało się moją obsesją. Chyba dlatego, że mu nie powiedziałam.

Kiedy poszedł do pracy, zaparzyłam świeży dzbanek kawy i rozłożyłam się z robotą na kuchennym stole. Przygotowałam spiralny notes, bloczek samoprzylepnych kartek i zabrałam się do roboty. Piorunem sporządziłam dwie listy: co już zrobiłam i co jeszcze muszę zrobić, żeby śledztwo wreszcie ruszyło. Rozmawiałam z Janie; nic nie widziała i nie słyszała. Odwiedziłam panią Dwyer: ona też nie wniosła nic nowego. Czytałam o analizie drobin lakieru i o ludziach, którzy uciekają z miejsca wypadku. Jedyne przypadki, kiedy po tak długim czasie znaleziono sprawcę, to te, kiedy sam ujawnił się albo kiedy ktoś, kto o czymś wie, zaczął mówić. Już wiedziałam, co należy zrobić. Sprawię, żeby ta historia wciąż była żywa. Wykorzystam moją umiejętność budzenia współczucia i w ten sposób zwiększę szanse, że ktoś poczuje się na tyle winien, iż zrobi jakiś ruch.

Pojechałam do redakcji „Globe”. Postanowiłam poprosić Melanie Reynolds, najtwardszą absolwentkę wydziału dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia, jaka kiedykolwiek opuściła jego progi, aby napisała artykuł o ucieczkach z miejsca wypadku i wykorzystyła w tym celu moją historię. Melanie sporo mi zawdzięcza: pomagałam przy końcowych egzaminach. Trudniej jej będzie odmówić, gdy stanę przed nią osobiście.

Choć była dopiero dziesiąta rano, jechałam w korku aż do rozwidlenia w Braintree. Przyczyn mogło być wiele: od wypadku po deszczyk, który spryskał przednią szybę mojego auta.

Pragnęłam, żeby to nie był wypadek.

Objechałam parking trzy razy. Dość tego! Zaryzykowałam próbę nielegalnego zaparkowania koło wejścia, ale podszedł ochroniarz. Jeśli Melanie będzie musiała czekać, zezłości się i nie da mi miejsca na kolumnie, odprawi mnie z kwitkiem. Znaczący, że pchałam się przez te korki tylko po to, żeby nie mieć gdzie zaparkować i żeby apatyczny ochroniarz kazał mi się zabierać?

– To gdzie mam zaparkować, jak pan myśli? – spytałam. – Jestem umówiona z Melanie Reynolds i nie mogę się spóźnić. – Zacisnęłam dłonie na kierownicy.

– Parkuj pani, gdzie chcesz, byle legalnie. – Ochroniarz pozostał niewzruszony.

W tym momencie dostrzegłam, że zwalnia się miejsce. Udało się – zdążyłam je zaklepać, choć ochroniarz zwlekał, jak mógł z usunięciem się z drogi.

Kiedy weszłam do holu, natknęłam się na dwóch innych. Nawet nie drgnęli, tylko oczy im się poruszyły. Jeden, śmiertelnie znudzony, stał przy drzwiach jak wycięty z tektury. Drugi, który siedział przy biurku na de lśniące ściany z fałszywego marmuru, rzucił opryskliwie:

– Nazwisko.

Nawet nie podniósł głowy. Przeglądał podpięte metalowym klipsem papiery.

W tym momencie podwójne drzwi rozchyliły się, zmuszając znudzonego do ruchu. Wybiegła Melanie.

– Tessa!

Ucisnęła mnie mocno i od razu odstepiła, żeby na mnie spojrzeć. Wszystko, co robiła, było szybkie. Nawet uśmiech błyskawicznie ustąpił miejsca wyrazowi troski.

– Jak się masz?

Całe szczęście, że nie oczekiwała odpowiedzi. Byłam już zmęczona wymyślaniem możliwych do przyjęcia odpowiedzi.

– Chodź, idziemy do mnie. Musimy pogadać.

Złapała mnie za rękę i pociągnęła. I zanim jeszcze wyszliśmy z holu, już zgodziła się przyjrzeć sprawie. Ruszyliśmy po schodach do jej biura, piętro wyżej. Usiadłam w obrotowym fotelu i z wdzięcznością przyjąłam papierowy kubek wody. Zadbłam o pusty żołądek, nie wlewając w siebie kolejnej porcji kawy.

– Nie mogę nic obiecać, bo to nie zależy ode mnie. Na pewno mogę zrobić research i przedstawić wydawcy. Macie ze sobą sporo wspólnego. Jeśli dostanie rzetelne informacje i ożłopie się kawy, to kto wie, może się zgodzi.

Zadzwoił telefon i Melanie – siedziała po turecku w fotelu – wykręciła się, żeby sprawdzić, czy to ktoś na tyle ważny, żeby mógł przeszkodzić nam w rozmowie. Zignorowała go. Ale ja nie potrafiłam ignorować innych reporterów, którzy kręcili się w redakcji. Dzwoniły inne telefony, prowadzono głośne rozmowy. Gdybym tak mogła zamknąć oczy... a po ich otwarciu znalazła się na posterunku policji w Wenonah Falls.

– Nie przejmuj się, jeśli to wypadnie szokująco. Ważne, żeby był tekst. – Drzwi do holu wciąż otwierano i zamykano, do środka wpadały zimne poddmuchy. Mocniej związałam pasek od płaszcza i podłożyłam ręce pod siedzenie, żeby je rozgrzać.

Poszło dużo łatwiej, niż myślałam... Jasne, potrzebowałam jej, a ona była mi dłużna, nie musiałam błagać. Powoli okazywało się, kto naprawdę jest moim przyjacielem.

– Jeśli nie obawiasz się szoku, to może powinnaś zwrócić się do telewizji. Wystarczy, że pokażą cię w CNN czy Fox, i masz jak w banku: policja weźmie się do roboty – powiedziała Melanie.

– Chyba nie jestem gotowa do czegoś takiego. A zresztą Ethan na pewno by nie chciał. Cała nadzieja w tobie.

59. dzień Bez Abby

Niełatwo było znowu iść na wizytę do Celi po tygodniu przerwy. Z nią jest jak z gimnastyką: człowiek nie ma ochoty ćwiczyć, choć wie, że wyjdzie mu to na zdrowie. Niechętnie sięgnęłam do klamki, przekonana, że lepiej wykorzystałabym czas, idąc do Caulfielda. Nie zdążyłam nacisnąć, gdy drzwi same się otworzyły: Celia odprowadzała młodą dziewczynę, która właśnie wychodziła.

– Zapraszam, pani Tesso. Troszkę jestem dziś spóźniona.

Biurko, zwykle tak uporządkowane, pokrywały rozrzucone bezładnie teczki pacjentów. Dwa miesiące już do niej chodzę i nigdy nie było opóźnienia... Usiadłam na zwykłym miejscu, usiłując wymyślić coś, o czym mogłybyśmy porozmawiać.

– Jak tam Święto Dziękczynienia? – spytała.

– Boże, to już całe wieki temu. – Za żadną cenę nie chciałam wracać do tego tematu. – Chyba w porządku. Niewiele pamiętam, jako że Rosemary ma bardzo dobry gust, jeśli chodzi o wino. Zesztywniała. Nachyliła się ku mnie.

– Gra z alkoholem, kiedy się jest w żałobie, jest niebezpieczna. Z początku może się jawić jako łatwa ucieczka. Ale szybko okazuje się, że jest źródłem cierpienia dla ludzi, którzy nas otaczają... i rodzi nowe problemy, które domagają się rozwiązania.

Pobladła. Rysy jej się napięły. Spróbowałam rozluźnić atmosferę, rzucając moje zwykłe: „Biedna Rosemary, na nią zawsze spadają wszystkie pośmiertne święta”, ale nie wyglądało, żeby znalazła w tym coś zabawnego.

– Mówiła pani, zdaje się, że zeszłoroczne Dziękczynienie też było trudne. Bardzo zaważyła śmierć waszej matki, prawda? – Otworzyła teczkę, żeby sprawdzić, czy dobrze pamięta. – Może warto przyjrzeć się temu dokładniej, zwłaszcza że wkrótce czeka nas Boże Narodzenie.

No nie... Doczekać się wprost nie mogę, żeby zacząć analizować moje wyjątkowe zdolności w dziedzinie psucia świąt. Zwłaszcza że Celia ewidentnie uważa, iż prawdopodobieństwo, że popsuje Boże Narodzenie, jest wysokie.

Zanim się spostrzegłam, już opowiadałam jej o mamie. Jednego dnia była zdrową, sprawną sześćdziesięciolatką, drugiego już nie żyła. Jak zwykle poszła rano pobiegać. My z Rosemary wymówiliśmy się tym razem, już nie pamiętam dlaczego. Po południu znalazłam ją na kanapie. Nagła śmierć na skutek ataku serca, powiedziano. Żadnych sygnałów ostrzegawczych. Żadnych czynników ryzyka.

W mojej rodzinie pełno jest złamanych serc.

– Wszystko robiłyśmy razem: mama, Rosemary i ja. Była dla nas raczej jak siostra... Tata odszedł, kiedy Rosemary miała cztery lata, a ja dwa. Nie pamiętam go. Ale o mamie myślę codziennie.

Celia zmięknęła – na tyle, na ile to w ogóle możliwe w jej przypadku. Ale muszę oddać jej sprawiedliwość: czuję, że mnie naprawdę słucha. Gdyby jej płacono od smutnej historii, mogłabym być jedyną, klientką.

– Mama zawsze dobrze mówiła o ojcu, kiedy o niego pytałyśmy. „Po prostu nie nadawał się do życia rodzinnego, ale zawsze będę go kochać za to, że dał mi was”. Tak mówiła. – Odchyliłam głowę na oparcie fotela.

– Proszę opowiedzieć mi więcej o waszym wspólnym życiu – powiedziała Celia.

– Moi znajomi uważali, że albo mamy szczęście, albo jest z nami coś nie tak, skoro mieszkamy tak blisko siebie. Ale każdy nam zazdrościł, że tak się we wszystkim zgadzałyśmy. Nigdy nie było żadnej sprawy, która by nas podzieliła. Kiedy dołączyli Kevin i Ethan, jeśli coś się zmieniło, to na lepsze. Mama pokochała zięciów, a oni pokochali ją. Gdy skarżyłam się czasem na Ethana, zawsze trzymała jego stronę.

Zwróciłam szkliste spojrzenie na Celię.

– Wiem, że to brzmi, jakbyśmy stanowiły jedyną zdrową rodziną w tym kraju... ale byliśmy szczęśliwe.

Nie pozwoliła mi iść dalej ścieżką wspomnień.

– Wierzę, że łączyła was silna więź. A jak to się stało, że pokłóciliście się z Rosemary w zeszłoroczne Dziękczynienie?

– Rosemary uważała, że należy z tym wszystkim skończyć. Nasza matka umarła, więc trzeba też zlikwidować jej dom i pozbyć się rzeczy. Mówiła, że to zbyt bolesne utrzymywać dom w takim stanie jak przed jej odejściem.

– To tak jak z pokojem Abby – wtrąciła Celia.

– Ona miała pełnomocnictwo do rozporządzania nieruchomością. I nie pytając mnie o zgodę, wystawiła dom na sprzedaż. „Nie sądziłam, że możesz mieć coś przeciw”, tak tłumaczyła, ale dobrze wiedziała, jak ja to odbiorę. Nie wymazuje się ot, tak sobie czyjegoś życia. Nie oddaje się ani nie sprzedaje obcym ludziom czegoś, z czym jesteście związani uczuciowo.

Celia skrzywiła się lekko i zdałam sobie sprawę, że mówię zbyt głośno; ściszyłam głos.

– Chciałam pobyć jeszcze w tamtej rzeczywistości. Zanurzyć twarz w ubraniach mamy, poczuć jej zapach. Poczekać, aż będę gotowa. Zresztą nie wiem... może nigdy się nie jest gotowym. Ale nie trzeba się spieszyć z ostatecznym pożegnaniem. A Rosemary się pospieszyła. Nie ukrywałam, że jestem wściekła. Powiedziałam jej o tym w Dziękczynienie.

Przez długą chwilę wpatrywała się we mnie w milczeniu. Przełknęła ślinę, jakby bolało ją gardło.

– Pani Tesso... bardzo pani współczuję. Straciła pani dwie bliskie osoby, i to w tak krótkim czasie. Wiem, że trudno przeboleć utratę córki, nie mając wsparcia ze strony osoby, na którą przywykła pani liczyć najbardziej.

Przez moment miałam wrażenie, że mówi o sobie. Nie czułam się jednak na siłach, by dążyć problem, więc przyjąłam, że to współczucie.

Chciałam być zła na Celię. Ale sprawiała dziś wrażenie jakby kruchej. Zmęczonej. Nie miała na sobie zwykłego sweterka w stylu doktora Rogersa ani perełek na szyi, a w rajstopach leciało jej oczko. Taki wygląd pasowałby do mnie, ale to była Celia.

Streściła w jednym zdaniu moje podłe życie. Współczuła mi. Chciałam być na nią wściekła, ale nie mogłam.

Może mi pomaga, choć z pewnością nie w taki sposób, w jaki zamierzała.

Poniedziałek, 5 grudnia, godz. 17.00

Przyszedłam do szkoły za wcześnie. Typowy dla mnie przymus punktualności. Odwołałam dwa ostatnie spotkania; jeden pacjent był zawiedziony, drugiemu ulżyło. Zaparkowałam na chodniku naprzeciw głównego wejścia i czekałam, z żalem wspominając dni, kiedy mogłam wejść, poprosić o zwolnienie go z lekcji i patrzeć, jak inne dzieci wybiegają matkom na spotkanie, Ian miał dziś wizytę u dentysty, ale nie chciał, żebym go zwalniała. Powiedział, że poprosi Harry'ego o prośbę na piśmie. Dziesięć minut, piętnaście... Ile mam jeszcze czasu, zanim będę musiała zadzwonić do recepcjonistki i uprzedzić o spóźnieniu?

Usłyszałam dobiegający z budynku dźwięk dzwonka. Drzwi otworzyły się i tłum minidorośliwych wypadł na zewnątrz. Trudno było rozróżnić twarze pośród tych szokujących strojów. Jedni mieli na sobie wystrzępione dzinsy i obszarpany podkoszulek; inni starannie zaplanowali dziwaczny wizerunek: spodnie tak obszerne, że starczyłoby ich dla trojga, czarne, nabijane ćwiekami obróżki, nieprzyzwoicie krótkie spódniczki, ewidentnie włożone ze świadomym zamiarem przyciągania spojrzeń.

Musiałam zobaczyć się z Ianem. Nie widzieliśmy się od Dziękczynienia. Wyszedł jako jeden z ostatnich. Towarzyszył mu ostrzyżony na zero mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi tatuaż na przedramionach. Co się dziwić, że młodzież chodzi zimą bez płaszczy, skoro nawet dyrekcja się nie pofatyguje, żeby dać dobry przykład... Dyrektor Castigan coś tłumaczył, spojrzenie Iana zdawało się mówić: „Skończ już wreszcie”. Spojrzenie, które zaczynało być mi dobrze znane.

Na schodach stała Lacey z futerałem od gitary w ręce. Jakiś chłopak, niższy od niej o dobrych kilka centymetrów, wspierał się o jej ramię, najwyraźniej zainteresowany flirtowaniem. Sarnie oczy Lacey szukały Iana. Skinął jej głową i rzucił „cześć”. Wyraźnie rozczerowana pomachała mu wstydliwie ręką i zwróciła spojrzenie na chłopaka.

Opuściłam szybę, by dać Ianowi sygnał, żeby podszedł. Nie chciałam mu robić wstydu przed kolegami. Uniósł brwi zaskoczony. Dobiegł mnie głos dyrektora: „To do zobaczenia jutro”. Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Odprawiony przez Castigana Ian przebiegł jezdnię i wskoczył do samochodu.

– Co ty tu robisz?

– Masz dziś wizytę u dentysty. Zapomniałeś?

– Dzwoniłem rano do ciebie. Powiedziałem Ałowi, żeby ci przekazał, że wizyta odwołana. W piątek tata miał wiadomość na sekretarce.

Zdjął plecak i cisnął go na podłogę. Przystojny, choć rozczochrany, miał na brodzie i górnej wardze ślad zarostu. Plama z ketchupu na podkoszulku, za lekka kurtka... Ledwie mi się udało powstrzymać, żeby nie wskoczyć w rolę matki. Ktoś tu źle grał rolę ojca.

Przemilczałam dziurawą pamięć Aldena czy – jak zapewne widział to Ian – jego złośliwość. Nie powinnam się była martwić, że będzie zły: jak to on, z miejsca mnie rozbroił cmoknięciem w policzek.

– Odwieszysz mnie do domu? A przy okazji powiedz, co u ciebie. – Jednym płynnym ruchem chwycił pas i wpiął go w klamrę.

Miałam ochotę powiedzieć: „U mnie fatalnie, synu. Kocham cię. Tęsknię za tobą. Nie chcę, żebyś mieszkał z dala ode mnie. Alden nigdy nie będzie dla mnie ważniejszy niż ty. Jeśli wrócisz, powiem, żeby się wyprowadził. Wróć, proszę”. Ale nie powiedziałem tego, zaczęłam się wygłupiać.

– U mnie wszystko dobrze. A co tam u ciebie? Wydawało mi się, że dyrektor Castigan czegoś do ciebie chciał. O czym rozmawialiście?

Wyrzął przez okno.

– Mówił, żebym przestał opuszczać szkołę.

– Opuszczasz szkołę? Czy z ojcem coś nie tak? – Jasne, czego mogłam się spodziewać po Harrym. Ja bym nigdy nie dopuściła, aby Ian opuszczał lekcje, kiedy mieszkał ze mną.

– Skąd. Po prostu ostatnio źle się czułem. Tata wiedział, że zostaję w domu. Tylko zapomniał napisać usprawiedliwienie. – Twarde spojrzenie Iana mówiło jasno: ręce precz od ojca. – Czasem mam gorączkę i brzuch mnie boli.

– A teraz? – Dotknęłam jego czoła, Ian odtrącił moją rękę.

– Mamo, nic mi nie jest. Możemy już jechać? – Rzucił okiem w stronę Lacey. Stała tyłem do nas. Jakby czując wzrok Iana, odwróciła się i zaczęła iść w naszą stronę. – Jedźmy, proszę.

Ruszyłam.

– Następnym razem zadzwoń do mnie, kiedy się źle poczujesz. Zawiozę cię do lekarza.

Myślałam, że jesteś mądrzejszy... Zdrowia nie wolno lekceważyć.

Lacey, przechodząc, skinęła nam głową.

– Czy ty i Lacey nadał... Jakoś nie widywałam jej ostatnio?

– Mówiłem ci, że to nie jest moja dziewczyna. Nie ma czasu i to wszystko.

Podkręcił radio. Ja je ściszyłam.

– Jak tam w pracy? – spytał.

– Młyn, jak zawsze o tej porze roku. Wiele osób walczy z poczuciem, że wszyscy wokół są szczęśliwi, tylko oni smutni.

Zdecydowanym ruchem wyłączył radio. Nie mówiłam o nas, ale siłą rzeczy uwaga kojarzyła się z naszą rodziną. Byłam ciekawa, o kim zacniemy mówić najpierw, o Harrym czy o Aldenie.

Który z nich pochłonie nas na tyle, że odwrócimy uwagę od siebie nawzajem?

To ja powinnam zacząć pierwsza. Ale Ian, niezawodny rozjemca, mnie uprzedził.

– Mamo, tata jest w porządku. Tym razem naprawdę przestał pić. W tym tygodniu trzy razy był w AA. Poznałem jego sponsora. Gość też żegluj.

Nadzieja w jego głosie zaboląła mnie.

– No to dobrze. – Zabrzmiało to nieprzekonująco nawet dla mnie. – Wiesz, mogłabym cię zaprowadzić na mityng AAteen. Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś mógł pogadać, co przeżyłeś w związku z ojcem.

Na chwilę przymknął oczy. Musiałam skoncentrować się na prowadzeniu, ale i tak nie miałam wątpliwości, że jego lekki ton to fasada.

– Nie chodzi tylko o ojca. Wiedziałam, że ma na myśli Aldena.

– Zaufaj czasowi. Kiedy naprawdę poznasz Aldena, przekonasz się, że to przyjemny człowiek. Mądry, odpowiedzialny, łatwy we współzyciu.

– Łatwy we współzyciu? Chyba żartujesz. Ale mam... ja nie chcę rozmawiać o Alu. Teraz mieszkam u taty. Od początku go nie lubiłem... i dalej nie lubię. To w ogóle nie ma nic wspólnego z jakimiś głupotami, że niby dzieci chcą, żeby rodzice znowu się zeszli. Wy z tatą spapraliście sprawę już dawno.

Nie mogłam zaprzeczyć, Ian miał rację.

– Oboje mogliście się bardziej starać – dodał. – Słyszałem te wszystkie wasze kłótnie o to, że powinniście pójść na terapię.

Skręciłam w ulicę, gdzie mieszkał Harry.

– Nieważne, już i tak za późno – powiedział Ian. – Wysłaś za tego dziwnego Ala. Nie wrócę tam, choćby nie wiem co.

– Powinieneś dać mu szansę. Naprawdę może być inaczej. – Po wszystkim, co wyrzucił z siebie Ian, stać mnie było tylko na snucie marzenia o idealnej rodzinie z udziałem Aldena.

– Mamo, ja nie zmienię decyzji. Kocham cię. Będziemy się widywać. Ledwie widziałam drogę przez łąki. Ale nie mogłam pozwolić, żeby Ian widział mój płacz.

– W jaki sposób będziemy się widywać? Co ze świętami? Masz zamiar mnie karać, bo nie stałam biernie i nie patrzyłam, jak twój ojciec się stacza?

Zahamowałam. Byliśmy na miejscu. Co za ulga, że nie muszę się już koncentrować na jeździe, Ian podniósł plecak.

– Nie, nie mam zamiaru cię karać. Możemy razem coś robić. Na przykład pójść czasem na hamburgera.

Musiałam się skrzywić.

– Tak, mamo, na hamburgera... i megaporcję frytek. – Wrócił mu swobodny uśmiech. – A co do świąt... Może coś wymyślimy następnym razem, dobra?

– W porządku – zgodziłam się. – Zacznijmy od hamburgera i frytek. Tylko we dwoje, ty i ja. Kiedy i gdzie?

Jeśli hamburgery są w stanie przywrócić mi syna, to mogę jeść i hamburgery. Zjem wszystko, byleby nie stracić lana.

62. dzień bez Abby

Nowy puchowy materacyk był tak miękki i przytulny, że poranne wstawanie stawało się jeszcze trudniejsze niż zwykle. Ostatnio, gdziekolwiek się obróciłam, wszędzie czekał Ethan z jakimś prezentem. W zeszłym tygodniu dostałam kobaltowobłękitny, ręcznie dziergany sweter. Wczoraj – ten materacyk. Spowijał mnie w ciepło... Czy te miłe starania były po to, żebym zapomniała o czekającej nas mroźnej rzeczywistości pierwszych świąt bez Abby? A może próbował mnie przekupić, żebym nie sypiała w łóżku Abby?

Nie miałam ochoty na śniadanie, ale zdołałam się zmobilizować, żeby coś mu przyrządzić.

Odsunęłam filiżankę słabej kawy i zaczęłam przerzucać gazetę. Ethan poproszył jajka pieprzem. – Co byś powiedziała, żeby wyskoczyć do Kalifornii? Odwiedzilibyśmy moich rodziców, złapali trochę słońca... – Oczywiście, chodzi o święta, choć nie wymówił tego słowa. – Powiedziałem już Chuckowi, że jeśli przyjedziemy, zatrzymamy się w hotelu. Głównie chodzi mi o to, żeby się stąd wyrwać na trochę.

Nie powiedziałam, co naprawdę myślę: „Odbiło ci? Trudno o gorszą perspektywę niż odwiedziny u twoich rodziców. Nawet nie pamiętają, biedaki, kim jesteśmy. I ten dom opieki pełen starych, chorych, samotnych ludzi... A potem święta u twojego brata. Nie mam nic przeciw Chuckowi, lubię go. To Camy nie mogą znieść. Już widzę jej pełną współczucia minę. Och, Ethan... Jechać czy zostać, jeden szajs. Tylko taki żałosny wybór mamy w tym roku”.

– Jest to jakiś pomysł. Zastanowię się. – Skubnęłam rozek grzanki. Nawet tego kawałeczka nie mogłam przełknąć. – A jeśli coś się zdarzy w śledztwie, kiedy nas tu nie będzie?

Teraz on wolał przemilczeć to, co naprawdę myśli.

64. dzień Bez Abby

Ręce zaczęły mi się trząść, kiedy po odebraniu telefonu okazało się, że to Melanie. Od tygodnia robiła research i chciała się ze mną spotkać. Zamarłam. Bałam się mieć nadzieję.

– Nie przejmuj się tak. Nie wiem nic o wypadku Abby, czego byś sama dotąd nie wiedziała. Ale chyba mam pomysł na tekst, który powinien wsadzić kij w mrowisko. Muszę go z tobą obgadać.

Dzwoniła z Bostonu, ale natychmiast zgodziła się przyjechać. Umówiliśmy się na pierwszą.

Kiedy otworzyłam drzwi, nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Melanie trzymała w objęciach najbardziej choinkową choinkę, jaką w życiu widziałam.

Podawała mi ją. Wonne igliwie osypało się na moje kaptcie. Parę igieł utkwilo w futerku jej wysokich botków.

– To drzewko ciebie potrzebuje – powiedziała.

Uścisnęłam ją razem z drzewkiem. Posypały się igły. Wreszcie weszła.

– To już początek grudnia, trzeba pomyśleć o świątecznej dekoracji. Jeśli się ma taki ładny dom, nie ma wyjścia... Och, przepraszam, ale ze mnie świnią.

Zatuszowałam jej gafę.

– Pamiętasz, jak udekorowałaś nasz pokój w akademiku, kiedy wyjechałam? Sama, w pojedynkę rozwiesiłaś wszystkie światła. Ciekawe, czy studenci w Greycliff dalej to robią... A może przyjęli tyle głupich zasad, że cała frajda zniknęła. Zatrudniłabym ciebie do dekoracji domu, ale wolę, żebyś zajęła się artykułem.

Powiesiłam jej puchową kurtkę na wieszaku i usiadłyśmy naprzeciw siebie w pokoju. Tekst

zaplanowany przez Melanie miał być o prowadzeniu po pijanemu. Nie powiedziała mi nic, czego bym sama nie wiedziała o sprawcach wypadku, którzy uciekają z miejsca zdarzenia.

– Znalazłam strony, które mi polecałaś, i rozmawiałam z kolegą prawnikiem. Potwierdził, że najczęściej uciekają pijani.

Zadzwoił telefon, ale zignorowałam go. Zależało mi tylko na jednym: usłyszeć, co ma mi do powiedzenia Melanie.

– Idź, odbierz.

Spuściłam nogi na podłogę, poszłam do kuchni i zerknęłam na ekranik.

– To Ethan, później oddzwonię. Rozmawiałaś już z Caulfieldem? Pokręciła głową, skubiąc nitkę w swetrze; przestała, kiedy zaczęło się pruć.

– Nie można się do niego dostać... I nigdy nie oddzwania, jeśli zostawi się wiadomość. Nie martw się, dostanę stanowisko policji. Muszę go przycisnąć. Każdy policjant, któremu wspomniałam jego nazwisko, przewraca oczami.

Zaczęła mi streszczać swój pomysł na artykuł.

– Wiem, że chciałabyś, żeby głównym tematem była Abby, ale jeśli mam ci pomóc – najlepiej jak potrafię – to musi kupić pomysł wydawca.

– Zrób, jak uważasz. Ufam ci.

Wyciągnęła rękę i pogładziła mnie po ramieniu jak przyjaciółka, choć nadal mówiła jak dziennikarka.

– Przejrzałam rejestr spraw. Liczba aresztowań za jazdę pod wpływem alkoholu w Wenonah i okolicy wzrosła w ciągu ostatnich dwóch lat. Chciałabym zacząć od niewyjaśnionego przypadku Abby, a potem przedstawić psychiczne portrety sprawców, którzy uciekają z miejsca wypadku. Ponieważ większość z nich to prowadzący po pijanemu, mogłabym w końcu zaakcentować wzrost liczby takich przypadków w tych stronach. Tessa, to jest szeroki kadr. Dobrze wiemy, i ty, i ja, że mogło być zupełnie inaczej. Najlepsze, co mogę zrobić, to skierować światło na Caulfielda.

Siedziałyśmy bez ruchu chyba całe wieki. Ale tak naprawdę upłynęła nie więcej niż minuta, gdy doszłam do wniosku, że nie mam zbyt wielu opcji. Jeśli Caulfield wypadnie źle, może ktoś inny przejmie śledztwo.

– Masz jakieś nazwiska? – spytałam. – Jest jakiś recydywista?

– O tak, jest paru.

Sięgnęła do skórzanej torby stojącej na podłodze i wyjęła dwie kartki spięte spinaczem. Podała mi je. A więc stało się... Nie rozpoznałam żadnych nazwisk. I wtedy do mnie dotarło. Nie chodziło już wyłącznie o skierowanie reflektora na to przestępstwo czy na niezdolność Caulfielda do jego wyjaśnienia. Możliwe, że patrzyłam na nazwisko skurwiela, który zabił Abby. Zdążyłam dobiec do łazienki, zanim zwymiotowałam.

Piątek, 9 grudnia, godz. 17.00

Wczoraj wieczorem byliśmy z Ianem na obiedzie, jeśli można tak to nazwać. Spotkaliśmy się w Birch Tavern i zjedliśmy po gumowatym kawałku mięsa i garści frytek.

Przyszłam pierwsza i zajęłam miejsca w niszy blisko otwartej kuchni. Przy drzwiach jest za zimno, Ian pojawił się wkrótce. Uścisnęliśmy się. Zawsze był kochającym dzieckiem, nawet w miejscach publicznych nie krępował się okazywać uczuć.

Złapał menu i otworzył na stronie „Zrób sam własnego hamburgera”.

– Chętnie byłabym cię podwiozła – powiedziałam. Nie podniósł wzroku.

– Lubię chodzić piechotą.

Nadal przeglądał poszczególne pozycje, choć było niemal pewne, że zamówi to co zawsze. Nie chciałam krytykować Harry'ego, a jednak złapałam się na tym, że to robię.

– Ojciec cię nie podwiozł, tak? W takim razie zdaje sobie sprawę, że może mieć wielkie kłopoty, gdyby usiadł za kierownicą bez prawa jazdy. Ale odkąd to twój ojciec uważa, że zasady są stworzone również dla niego? – Pokręciłam głową i zaśmiałam się współczująco, żeby zatuszować swoją oschłość. Oboje dobrze wiedzieliśmy, że ani prawda o Harrym, ani to, że go krytykuję, nie są zbyt zabawne.

Ian westchnął. Spróbowałam jeszcze raz.

– Przepraszam. Oczywiście powiedz mi, jeśli jeździ. – Przerwałam, żeby mógł odpowiedzieć.

Milczał, więc zmieniłam temat: – Jak myślisz, co powinnam zamówić?

Nie ośmieliłam się spytać, co jada i ile godzin śpi, bo już zaczęłam nie tak jak trzeba i nie chciałam zaognić sytuacji. Jak mizernie wyglądał! Okropnie. I te cienie pod oczami... Głowę dam, że Harry w ogóle nie zwraca uwagi na to, co on je.

Ian skończył swoją porcję i zaczął podskubywać moją, więc moja troska chwilowo zmaląła.

Zdeprymowana niewłaściwym początkiem zaczęłam pytać o naukę. Odpowiadał tak samo jak wtedy, kiedy po niego przyjeżdżałam do szkoły. Mgliście mówił o zajęciach i stopniach i zdałam sobie sprawę, że wcale nie jest pewne, czy idzie mu lepiej niż w poprzednim semestrze.

Ian mieszkał z Harrym od dwóch tygodni. Do świąt też pozostało niewiele więcej, a ja dotąd nie kontaktowałam się z Harrym. Podczas tamtej pierwszej rozmowy z Ianem sporządziłam w myśli listę spraw, które powinniśmy omówić: jak śpiera, co je, no i święta.

Nie umiem sobie wyobrazić tych świąt. Można by zaprosić Harry'ego. Poradziłabym sobie z tym. Ale Alden się nie zgodzi. Już dziś był przecież urażony, że wolałam hamburgera z Ianem od naszego czwartkowego wieczoru przy winie.

– Cóż, to dość oryginalne – skomentował, gdy powiedziałam mu o swoich planach. Mój syn wyprowadził się z jego powodu, a on ośmiela się ironizować! Nie, nie jest dla mnie spokojnym portem w czasie szalejącego sztormu. Jest kolejną falą.

Ian mi nie powie, czy Harry'emu zdarza się prowadzić bez prawa jazdy. Nie da mi powodu do nalegania, żeby wrócił do domu, czy do rzucania kalumnii na Harry'ego. Sama sobie świetnie z tym radzę, bez niczyjej pomocy.

Zostałam zmajoryzowana przez mężczyzn.

Miałam przed sobą Iana, a jedyne, o czym mogłam myśleć, to nieobecni. Udało mi się zatrzymać na chwilę spojrzenie na moim synu, gdy rozglądał się po sali. Ciekawe, jak by to było, gdyby na jego miejscu siedziała dziewczyna. Nastolatka o jasnych włosach i wyrazistych oczach. Takich jakie ma Tessa.

Znów stanęła mi przed oczami. Jej obraz pojawiał się i znikał, równie nieobliczalny jak ona sama. W dzień i w nocy. W pracy i w domu.

Lekcje. Koledzy. Lacey. Jeśli do rozmaitych zmartwień związanych z Ianem dołożyć niepokoje Tessy, o których mówiła na dzisiejszym spotkaniu, to miarka zaczyna się przebieierać. Najwyższy czas spotkać się z Harrym. Prawdę mówiąc, już dawno należało to zrobić.

Tessa mówiła dziś, że zgodnie z ustaleniami jej koleżanki dziennikarki pora wypadku nie ma znaczenia. Alkoholicy siadają po pijanemu za kierownicą nie tylko wieczorem. Wiem o tym aż za dobrze.

Całe szczęście, że Tessa patrzyła przez okno, kiedy przyspieszyło mi serce i zaczęły pulsować żyły na szyi. Okalające park uliczne lampy rzucały chwiejne cienie. Skorzystałam z tej chwili przerwy, żeby odzyskać oddech. Nie miałam pojęcia, że ten wypadek zdarzył się tak wcześnie rano... Siłą woli wyrzuciłam z głowy obraz Harry'ego. Choć tyle razy widziałam, jak mój pijany eksmałżonek wali się rano na łóżko, śmieszne byłoby sądzić, że on ma coś wspólnego ze śmiercią Abby. Mężczyzna, którego znałam, nie wytrzymałby nawet pięciu minut, gdyby zdarzyło się mu coś tak strasznego – natychmiast opowiedziałby komuś. A poza tym, jak twierdził Ian, Harry od dłuższego czasu pracował w Boatworks. I podobno był w trakcie zdrowienia. Znowu.

Kobieta rozsądna bierze w takiej sytuacji telefon i dzwoni, żeby ustalić termin spotkania. Przyniosłoby jej to ulgę. Kobieta, która kieruje się sercem, waha się. Trudno jej żądać od tego organu, by pomieścił jeszcze więcej niż to, co już usiłuje dźwigać.

Poniedziałek, 12 grudnia, godz. 8.00

Wczoraj padał obfity śnieg, tak jakby pogoda chciała mnie wytrącić z decyzji, żeby spotkać się z Harrym. Umówiliśmy się w lokalu. Ani mój dom, ani jego nie stanowiły neutralnego terytorium, jakiego potrzebowaliśmy. Złapałam się na tym, że czekam na dzwoneczki, które obwieszczają przybycie Harry'ego do kawiarni Betty Ann.

Stłumiłam ciepłe uczucie, jakie mnie ogarnęło, gdy wszedł. Otrzeptał śnieg z granatowego marynarskiego płaszcza, otrząsnął wilgoć z blond czupryny. Był ostrzyżony tak, jak lubię, nie za krótko przy uszach. Wyglądał lepiej niż ostatnio – porządniej, zdrowiej. Na policzki powrócił mu kolor. Możliwe, że Ian mówił prawdę, iż przestał pić. Uchwyciłam jego spojrzenie, gdy wypatrywał mnie wśród gości, tak jakby chciał mnie na nowo odnaleźć.

Nie zdejmując płaszcza, wśliznął się na miejsce. Nigdy nie przepadał za staruszką zimą... Usiadł przygarbiony, zatarł dla rozgrzewki ręce i odchylił się na oparcie.

– Ale pogoda – zauważył.

Rozpostarłam dłonie na stole i przykryłam ją drugą, żeby powstrzymać drżenie.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Harry. Mamy wiele do omówienia. Cieszę się, że i ty jesteś tego zdania. Spróbujmy zrobić to bez kłótni, dobrze?

– Ja nigdy nie zaczynam pierwszy, C. Ale to takie fajne, że po prostu nie potrafię się oprzeć. – Nachylił się i zaprezentował jeden ze swoich olśniewających uśmiechów.

Pokręciłam głową i westchnęłam.

– Żartowałem. – Podał mi menu. – Też chciałbym pogadać bez kłótni.

Drażnił się ze mną jak dawny rozkoszny Harry, a nie nowsza, poważniejsza wersja Harry'ego. Kelnerka bez pytania postawiła przed nim filiżankę kawy. Trzy śmietanki w plastikowych pojemniczkach, dwie porcje cukru... Zamieszał. Patrzyłam, jak siorbie ten ulepek.

– Wiem, że to niezdrowe. No, ale nie chcesz chyba, żebym się pozbył wszystkich wad? –

Zaśmiał się. – Tak.. Pewnie byś chciała. Możesz mi pożyczyć okulary? To menu jest niemożliwe.

Popchnęłam w jego stronę futerał z okularami.

– Czy ja coś mówię?

– Te twoje wielkie piwne oczy mówią, C. Myślisz, jak on może pić taki ulepek? – Pociągnął kolejny łyk.

– Porozmawiajmy o lanie. – Nie podobało mi się, że Harry mówi o moich oczach, ani to, że wie, o czym myślę.

– Dla lana zrobię wszystko – powiedział Harry. – O co chodzi?

– Wygląda mizernie. Gotujesz posiłki czy kupujesz jedzenie na wynos? I co ze szkołą? Powiedział, że ma sporo nieobecności. Nie uważasz, że opuszcza się w nauce? – Sama nie wierzyłam, że przeszłam wprost do sedna. W żołądku miałam motylki. Chyba podkrecono w lokalu kaloryfery. Ledwie mogłam się skoncentrować, taki tu był ruch i gwar.

– Celia, przestań nim po cichutku sterować. Wszystko jest w porządku. Je i śpi, na litość boską. Cały wieczór siedzi w pokoju, to co innego może robić, niż odrabiać lekcje? – Włożył moje okulary do futerału, zatrzasnął z hałasem i popchnął w moją stronę.

– Równie dobrze może siedzieć na tym całym MySpace. Powiedziałam, że nie wolno mu zakładać profilu, a potem ty powiedziałeś, że może. Powinniśmy być zgodni w takich sprawach.

– Na przemian zanurzałam i wyjmowałam torebkę herbaty. Musiałam coś robić z rękami. Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, o czym jeszcze chciałam porozmawiać?

Harry podniósł głos.

– Słuchaj, C, robię co mogę. Staram się utrzymać w pracy i wróciłem na terapię. On ma piętnaście lat, na miłość boską! Chcesz, kurczę, żebym go prowadził za rączkę?

– Harry, ciszej, proszę. Ja ciebie nie atakuję. Cieszę się, że znowu chodzisz do AA. Ale on naprawdę potrzebuje, żeby mu czasem podać rękę. Być może bardziej, niż możesz mu to zapewnić. Powinien wrócić do mnie.

Nigdy nie byłam dobrą pokerzystką... Wyciągnęłam kartę za wcześnie. Tylko pojawienie się kelnerki powstrzymało Harry'ego przed wybuchem. Rozprostował barki, otulił się szczelnie płaszczem, zamówił dla nas pełne cholesterolu śniadanie. Ja też coś zamówiłam; zrezygnowałam z pierwotnego zamiaru, żeby wypić herbatę i uciec. Kelnerka wrzasnęła w głąb kuchni, przekazując nasze zamówienie.

– Oczywiście to tylko jedna z możliwości. Twoim zdaniem, jak powinniśmy postąpić? – spytałam.

Harry odzyskał spokój. Nakrył dłonią moją dłoń. Szorstka od tylu lat pracy przy jachtach, była tak znajoma, że jej dotyk rozczulał i ranił zarazem.

– Wiem, czego byś chciała. Ale w tej chwili Ian woli być ze mną. Nieważne dlaczego. Nie będę kłamać: bardzo się cieszę, że mam go przy sobie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zgoda? Cofnęłam rękę, bo czułam w niej prąd. Jeszcze raz powstrzymałam łzy. Przyniesiono nam jajka i zajęliśmy się jedzeniem. Wiedziałam, że musimy jeszcze porozmawiać o świętach.

– Harry, może chciałbyś przyjść do mnie... to znaczy do domu... na świąteczne śniadanie?

Wygląda na to, że śniadanie to coś, co dobrze nam wychodzi. – Uśmiechnęłam się. – No, chyba że masz inne plany.

– Wydaje mi się, C, że w naszym wypadku cztery osoby to zbyt wielki tłum. Nie sądzisz? Nie jestem pewien, czy Al i ja jesteśmy gotowi, żeby wspólnie obchodzić święta... zwłaszcza w naszym domu.

– Nie, Harry. Ałdena nie będzie.

Ledwie to powiedziałam, już wymierzyłam sobie mentalnego kopniaka. Zachowuję się jak Ian, kiedy wypraszał sobie późniejszy powrót albo więcej śmieciowego jedzenia... Czy ja upadłam na głowę? Będę musiała pozbyć się z domu nowego męża, żeby zrobić miejsce dla poprzedniego...

Harry uniósł brew; tkwiący w nim diabeł zawęszył, czując, że może zabawić się na koszt Aldena.

– W takim razie załatwione, przyjdę. Z łanem. Nie zostanę zbyt długo. Tylko nie podawaj do stołu procentów, dobra?

– Och!

– Żartowałem, C. Jezu, gdzie twoje poczucie humoru?

– Harry, jeśli chodzi o temat „ty i picie”, to nie ma w nim dla mnie nic zabawnego. – Wstałam.

Winyłowe pokrycie kanapy skrzypnęło. – Czekam w pierwszy dzień świąt o dziesiątej. Do zobaczenia. Muszę iść.

I po raz drugi w ciągu tych wszystkich lat, które spędziliśmy razem, to ja byłam tą, która kończy.

69. dzień Bez Abby

Trzy razy przerzuciłam sobotni „Globe”, choć Melanie powiedziała, że tekst nie ukaze się wcześniej niż osiemnastego. Nie wiem, dlaczego moje nadzieje ożyły. Co da jeden artykuł? Nigdy jeszcze się tak nie nudziłam. Mogłabym czytać kartki kondolencyjne, które wciąż nadchodziły, ale kartki przypominały mi o tym, co powinnam robić o tej porze. W zeszłym roku pisałam życzenia świąteczne. Wkładałam do kopert jej zdjęcie, to w granatowej aksamitnej sukience i w tej głupiej mikołajowej czapce na głowie. W tym roku nie będzie żadnych świątecznych kartek. I żadne też nie przychodzą. To znaczy dostaliśmy parę z napisem „Serdeczne życzenia”. Ale żadnego „Wesołych Świąt” czy „Szczęśliwego Nowego Roku”. No i oczywiście żadnych fotek małych dzieci w mikołajowej czapce.

Postanowiłam ubrać przyniesione przez Melanie drzewko. Zeszłam do piwnicy po światełka i trochę łańcuchów. I właśnie tam znalazł mnie Ethan w kilka godzin później, kiedy wrócił z pracy.

– Wystraszyłaś mnie, Tesso. Światła pogaszone, wołam cię, żadnej odpowiedzi...

I dopiero wtedy zobaczył, że tonę we łzach i smarkach. W mojej ręce, jak przymarznięta, tkwiła ramka do fotografii, którą Abby przyozdobiła drzewko w zeszłym roku u Rosemary.

– Odłóż to, kochanie. Chodźmy stąd.

– Nie. Chcę to powiesić na choince. Pomóż mi, dobrze? Pomóż mi, proszę.

Wybraliśmy pojedynczy sznurek świateł, jakąś gwiazdę i bombki w kształcie dzwoneczków, zdjęcie Abby i ubraliśmy naszą żalną choineczkę. Odstąpiliśmy o krok, żeby popatrzeć na wyniki naszych niemrawych starań.

– No cóż – powiedział Ethan. – Wygląda dokładnie tak, jak ja się czuję.

Kolejne łzy – jego, nie moje – i Ethan podszedł do choinki. Najwyraźniej zamierzał ją wynieść do piwnicy.

– Nie, nie, zostaw. Chcę ją tu mieć. Wyniesiemy po świętach. Postawił więc z powrotem materialny symbol naszych byle jakich świąt na stoliku za sofą. Jeszcze tylko trzynaście dni i po wszystkim.

71. dzień bez Abby

Przejrzałam listę chyba z tysiąc razy i nazwiska dwunastu recydywistów znam już na pamięć. Lincoln Barnes. David Callahan. Neil Ford. Harry Hayes. Janet Howard. Paul Larkin. Zaledwie połowa. Te nazwiska wyryły mi się w mózgu. Widzę je we śnie. Kiedy obudziłam się dziś rano, przewinęły mi się przed oczami niczym neonowe napisy na Times Square.

Nie schodzą mi z myśli. Nie mogę powiedzieć Ethanowi czy Rosemary, że mam tę listę, bo powiedzą, że zwariowałam. Jest tylko jeden sposób, żeby stamtąd wyszły. Muszę mieć na papierze dane tych ludzi, jakieś informacje o nich. Jeśli staną się realni, chyba mi to pomoże. Pomoże nienawidzić ich mniej. Albo bardziej.

Dysponuję listą od tygodnia, ale nic z nią dotąd nie zrobiłam, bo szanse, że chodzi o któregoś z tych ludzi, są absurdalnie małe. A jednak ciągnie mnie do niej niczym Abby do czekolady.

Jeszcze raz poszłam do biblioteki, nie do publicznej w Wenonah, tylko do Thomasa Crane w Quincy. Jest tam bogatsze archiwum prasy. Mając do dyspozycji zbiory biblioteczne i internetowe dane na temat aresztowań w okręgu Plymouth, tchnę życie w każde z nazwisk na mojej liście.

Lincoln Barnes, lat dwadzieścia. Syn wpływowego dewelopera, Lincolna seniora. Aresztowany w lutym po raz trzeci po spowodowaniu groźnego wypadku. Balonik pokazał dwa i jedną dziesiątą promila. Na szczęście nikt nie zginął ani nie został ranny, ale jako trzykrotnemu recydywiście groziło mu pół roku więzienia i utrata prawa jazdy na osiem lat. Wyobrażam go sobie, jak siedzi przy stoliku obrony, czyściutki i porządny, w granatowej marynarce i oliwkowych dokersach, i bawi się kartą płatniczą. Jego prawnik zdołał jakoś zatuszować dwa pierwsze wypadki. I jaki wyrok dostał? Zero więzienia i zakaz ubiegania się o licencję przez pół roku. Znowu jest w Yale, gdzie pewnie pije na umór, żeby uczcić pomyślny obrót sprawy.

David Callahan, lat osiemdziesiąt dwa. Pamiętam jego przypadek. Wjechał w tłum opuszczający boisko po meczu, naprzeciwko szkoły. Potrącił kilka osób z tej samej rodziny; wszyscy wyładowali w szpitalu z różnymi obrażeniami, choć nie zagrażały ich życiu. Z pewnością wspomnienie samochodu, który pojawia się nagle nie wiadomo skąd i szarżuje na nich, miażdży i łamie kości, jest na dłuższą metę straszniejsze i bardziej bolesne niż strzaskana noga czy obolały kark.

Oskarżono go o jazdę pod wpływem alkoholu, jazdę niebezpieczną oraz spowodowanie poważnych uszkodzeń ciała na skutek jazdy nieostrożnej. W miarę jak czytałam, ogarniała mnie coraz większa wściekłość. Callahan został zwolniony z aresztu za kaucją w wysokości tysiąca dolarów. Tysiąc dolców za przejechanie całej rodziny! Wieki trwało, zanim znalazłam informację o stanie jego sprawy. W końcu... Kochany David stanął już przed najwyższym sędzią. Zmarł w sierpniu, czekając na rozpoczęcie procesu.

Neil Ford, lat pięćdziesiąt osiem. Właściciel Clean Closets, firmy pralniczej w Corcoran Village. Zaliczywszy dwa przypadki aresztowania za jazdę pod wpływem alkoholu, zgodził się na miesięczną kurację w zakładzie zamkniętym. Po leczeniu wytargował pół roku aresztu domowego, byle tylko uniknąć mamra. Bardzo trudno było odszukać jego historię. Adres – łatwo.

Zostało mi dziewięciu recydywistów. Szukanie informacji o tych trzech pierwszych przestępcach zajęło mi cały dzień. Tylko raz zadałam sobie pytanie, po co to robię. Nie mam pojęcia, czy któryś z tych skurwieli jest sprawcą. Aż się gotuję, kiedy o nich czytam. Tak jakbym potrzebowała pomocy, jeśli chodzi o gniew... Ale nie mogę się powstrzymać. Muszę coś robić. Bezczyność to nie wyjście.

Nagle usłyszałam szept:

– To pani, Tesso?

Celia. Powinam była od razu wiedzieć. Kto oprócz niej mówi jeszcze szeptem w bibliotece?

– Nie wiedziałam, że pani tu bywa. – Nie spuszczać z niej oczu, zamknęłam notatnik. Niczym nastolatka przyłapana na czytaniu świerszczyka część papierów przykryłam, inne schowałam do torby.

– W środy po pracy spotykam się tu z mężem. Chodzimy na irlandzki obiad do Finnegana, naprzeciwko biblioteki. A pani co tu robi, wróciła pani do pracy?

Ma nienaganną sylwetkę. Dopiero teraz zauważyłam, że jest dużo wyższa niż ja. Prawda, podczas spotkań zwykle siedzi.

– Nie... Czasem mam ochotę wyjść z domu, a nie lubię spotykać znajomych. Wolę unikać współczucia. – Spojrzałam na zegar nad stanowiskiem informacji.

– W takim razie nie chcę przeszkadzać. Biegnę.

Celia już wychodziła, gdy zobaczyłyśmy obie chłopczyka może sześciolatniego, który dźwigał oburącz stos książek z obrazkami. Dmuchnął, żeby odgarnąć włosy z czoła.

– Możemy to poczytać, psze pani?

Celia przykucnęła, odgarnęła mu włosy ręką i pomogła ułożyć ładunek, tak by mógł go donieść

na miejsce. Podniosłam dwie książeczki o dinozaurach, które wysunęły się na podłogę, i podałam chłopcu.

– Cześć, Bailey – powiedziała Celia. – Wybrałam już książeczki do czytania na dziś, ale na zakończenie możemy przeczytać także coś twojego. Zgoda?

Kiwnął głową i grzywka znowu opadła mu na czoło. Znowu ją zdmuchnął i poszedł ze swoim naręczem do czytelnicy dziecięcej.

Celia odstąpiła o krok. Przebiegła wzrokiem po tym, co zostało na stoliku.

– Troszkę pomagam w miarę możliwości. Lubię...

Kiedy schowałam papiery do torby, rozluźniłam się. Teraz spięłam się znowu: za chwilę padnie słowo „dzieci”.

– Naprawdę muszę już iść. Nie chcę trafić w korek na 3A. Do zobaczenia w piątek.

Dobrze, że Celia mi przerwała. Gdyby nie to, nie zdążyłabym wrócić do domu przed Ethanem. Jedno kulawe wyjaśnienie, dlaczego siedzę w bibliotece, wystarczy jak na jeden dzień. Trudno byłoby mi znów skłamać.

Czwartek, 15 grudnia, godz. 8.00

Unikałam tematu, dopóki mogłam. Wczorajszy wieczór – Ian miał przyjść na kolację – był moją ostatnią szansą, żeby powiedzieć Aldenowi o świętach, Ianowi pomysł świątecznego śniadania z rodzicami bardzo się spodobał. Niestety, wiedziałam, że Alden nie będzie podzielał jego entuzjazmu. Skoro już raz napłatałam, nie mogłam pozwolić, żeby dowiedział się o naszych planach od Iana. To musiało wyjść ode mnie.

Ćwiczyłam swoją rolę w kuchni. Chodziłam tam i z powrotem i powtarzałam szeptem tekst.

Wszystko jedno – jakkolwiek bym powiedziała, wypadło nieuprzejmie i bezdusznie. Weszłam do biblioteki i usiadłam naprzeciw niego na otomanie.

– Alden, narobiłam bigosu, Ian chciałby spędzić w święta trochę czasu z obojgiem rodziców. No a... Harry nie czuje się komfortowo w towarzystwie nas obojga.

Alden spojrzał na moje ręce. Wykręcałam je nerwowo.

– Myślę, że i tobie niespecjalnie by to odpowiadało – ciągnęłam. – Może byłbyś tak miły i zniknął na godzinę czy dwie w świąteczny ranek?

Zniknął... Czy ja naprawdę poprosiłam mojego męża, z którym jestem niespełna sześć miesięcy, żeby zniknął w czasie świąt?

Alden umieścił zakładkę w książce, zamknął ją i spojrzał mi prosto w oczy.

– Celio, gdzie twoim zdaniem mam pójść? Wystarczy, że nie będzie mnie rano, czy może potrzebna jest dłuższa nieobecność? – Pogładził zarost i zszedł dłońmi na kark.

– Źle mi to wyszło. Nie chciałam być gruboskórna. Zaprosiłam ich, zanim zdążyłam pomyśleć. – Splotłam ręce i zacisnęłam je z całej siły.

Jak na mężczyznę bezdziejnego protekcjonalny uśmiech miał dość dobrze wytrenowany.

– Jesteś dorosła. Nie sądzisz, że zachowujesz się niedojrzale? Mam nadzieję, że zmienisz decyzję. Sytuacja będzie niezręczna, rzecz jasna, ale z pewnością możesz to zrobić. Naturalnie, pod warunkiem że będziesz chciała.

– Mogę, ale nie chciałabym, aby pomyśleli, że to ty odpowiadasz za zmianę planu. – Rozplotłam ręce i wygładziłam brzeg spódnicy. Odwołanie się do jego rozsądku było lepszą taktyką.

Wziął do ręki książkę, dając sygnał, że rozmowa zakończona.

– Mogę popracować przez ten ranek nad moją ofertą pracy, pod warunkiem że się zgodzisz, żebym pełnił na wydziale więcej niż jedną funkcję. Odpowiada ci to?

– Myślę, że tak – powiedziałam. Kiedy ćwiczyłam w kuchni, planowałam, że na zakończenie pocałuję go w nagrodę. Fakt, że starał się mnie przekupić, uniemożliwił to.

Znajdowałam się w pozycji linoskoczka, przy czym Alden stał po jednej stronie liny, a Ian i Harry po drugiej. Najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby spaść. Problem w tym, że nie było zabezpieczającej siatki.

Piątek, 16 grudnia, godz. 15.00

Trzeba oddać Aldenowi sprawiedliwość, że powitał Iana w drzwiach.

– Mam nadzieję, że jesteś głodny. Twoja matka przygotowała tyle jedzenia, że można nakarmić oddział wojska.

Ian zachowywał się tak, jakby nie widział wyciągniętej ręki Aldena.

– No... nic nie jadłem na lunch. Mogę jeść.

Miałam nadzieję na wzajemne przeprosiny. Ale najwyraźniej zbyt wiele już czasu upłynęło od

Dziękczynienia.

Obiad upłynął w znośnej atmosferze. Alden jadł. Ian jadł. Ja dziobałam. Rozmowa utykała, momentami więdła, Ian na pewno nudził się, zmuszony słuchać opowiadań Aldena o jego nadambitnych studentach i o staraniach, żeby uzyskać stanowisko dziekana. Nie chciałam, by wieczór był nudny do końca, więc gdy Alden sięgnął po swoja, książkę, poszłam do holu i wyjęłam z szafki talię kart.

Kiedyś, kiedy jeszcze byliśmy wszyscy razem, grywaliśmy we wszelkie możliwe karciane gry. Wista, remibrydża, tysiąca. Wieczorem na jachcie, zmęczeni po całym dniu pływania i żeglowania, dzieliliśmy się na dwa zespoły, Ian był zawsze w moim. Siadaliśmy przy rozkładanym stoliku, a ja rzucałam monetą, żeby ustalić, kto wybierze rodzaj gry. Muzyka nocy to był śmiech: cienki i basowy. Najbardziej śmialiśmy się z dramatycznych min i gestów Harry'ego, kiedy przegrywał. Tylko ja wiedziałam, że nigdy nie starał się wygrać.

Położyłam karty na kuchennym stole.

– Może zagramy? Macie ochotę?

– O, dobra! Masz jeszcze to truskawkowe kakao z piankami? – Ian otworzył pudełko z kartami i potasował je.

– Jasne, że mam. Trzymam je dla ciebie.

Gra przeciwko dwóm okazała się łatwiejsza, niż przypuszczałam. A jednak to, co dobre, trwało krótko, jak często w moim życiu.

– Czasem chciałbym, żeby wszystko było tak jak dawniej – powiedział Ian. – Wszyscy byli tacy szczęśliwi. No wiesz, kiedy ona...

Oszklone drzwi prowadzące do biblioteki zatrasnęły się głośniejsz, niż było to konieczne.

– No cóż, chyba Al ma mnie dosyć jak na jeden wieczór. Zrobiło się późno. Muszę iść.

– Dokończmy grę. Po prostu będziemy się zachowywać trochę ciszej.

– Mamo... kiedy mieszkałam tu, to zawsze mówiłaś: pora do łóżka, jutro idziesz do szkoły.

Spoko... Możemy się spotkać jutro po szkole i pójść razem na zakupy, co ty na to? Pomogłabyś mi wybrać coś dla taty. Masz coś przeciw?

Aż podskoczyłam w duchu. Pojawiała się szansa, żeby widzieć się z nim dwa dni z rzędu.

– Nie, absolutnie. Faktycznie, tacie trudno coś kupić. Pamiętasz? Kiedy go pytałam, co by chciał na Gwiazdkę, zawsze odpowiadał: skarpetki i bieliznę.

– Dalej tak mówi.

Zniżyłam głos do szeptu, tak jakby w sąsiednim pokoju znajdował się Harry, nie Alden.

– Być może któregoś roku powinniśmy mu kupić pocerowane. O trzeciej w moim gabinecie?

Ian spakował grę. Ja pozbierałam kubki.

– W porządku.

Harry Hayes, lat pięćdziesiąt cztery. Asystent menedżera w Sea Change Boat, pracuje na miejscu, w porcie Wenonah Falls. Przyłapany na rogu koło przedszkola Jasna Przyszłość; był to jego drugi przypadek jazdy pod wpływem alkoholu. Nie próbował się bronić, przesiedział miesiąc w więzieniu, potem zaliczył kolejny miesiąc terapii. Utrata prawa jazdy na dwa lata, bez możliwości odwołania się, bo mieszka na tyle blisko miejsca pracy, że może chodzić piechotą. Uzyskałam kolejny adres.

Od chwili, gdy Ethan wyszedł do pracy, do czasu spotkania z Celią zdążyłam sprawdzić tylko jedną osobę z mojej listy.

Te nazwiska mają wielką moc. Potrafią odciągnąć mnie od opróżniania zmywarki czy od czytania poczty. Ilekroć próbuję coś zrobić, wołają mnie ci ludzie bez twarzy, tak jakby chcieli mi opowiedzieć swoje historie. Historie, które wciągają mnie w świat, gdzie ludzie troszczą się bardziej o butelkę niż o pracę, żonę, dzieci.

Tego ranka zmusiłam się, by to przerwać. Ubrałam się lepiej niż zwykle, jako że umówiłam się z Rosemary na lunch. Listę włożyłam do torby. Nie ruszam się bez niej z domu. Gdyby znalazł ją Ethan, zadawałby mi pytania, na które nie jestem gotowa odpowiadać. Nie wiedziałabym, jak zacząć, bo sama nie potrafię wyjaśnić, co właściwie robię ani dlaczego ta sprawa zaczęła mnie tak prześladować.

– Ślicznie pani dziś wygląda – powiedziała Celia.

Granatowe spodnie i podkoszulek pod szyję raczej trudno zakwalifikować jako śliczne. No, ale jak dotąd Celia musiała myśleć, że jedyne ciuchy, jakimi dysponuję, to portki od dresu.

Postawiłam torbę na podłodze i usiadłam.

Spodziewałam się, że Celia wspomni podczas sesji o naszym spotkaniu w bibliotece. Jej dyskrecja wzmogła moje poczucie winy, mimo że nie zrobiłam nic złego. Jak dotąd.

Zdecydowałam się na test. Może, jeśli jej powiem o liście, cała ta sprawa przestanie mnie tak absorbować.

– Dwa razy dzwoniłam do Caulfielda w tym tygodniu. Nie oddzwonił.

Nie cierpię siedzieć z nogami na podłodze. Tymczasem obcisłe spodnie nie pozwalały mi ich podwinąć pod siebie. Założyłam nogę na nogę. Po chwili je rozplotłam.

– Przez dwa miesiące ja i Ethan spotkaliśmy się z Caulfieldem cztery razy i pięć razy dzwonił mi i jedyne, co wiemy, to to, że ma dowód w postaci drobin lakieru z miejsca wypadku. Nie wiemy, czy ma to jakieś znaczenie dla śledztwa ani czy istnieje jakiś podejrzanym. Nie podał nam nawet przyczyny jej śmierci. Czy naprawdę to my będziemy musieli spytać o wyniki sekcji zwłok?

– Nie leży to w zakresie mojego zawodu, ale czy nie pomyśleliście, żeby zwrócić się do przełożonego tego policjanta? Rzeczywiście, nie brzmi to zbyt dobrze. – Założyła ręce na piersiach, tak jak ja.

Rozluźniłam się, gdy Celia wyszła poza zakres swojego zawodu, cokolwiek to, do diabła, znaczy. Poczulałam, że naprawdę troszczy się o mnie, tak jak o małego Bailey'a z biblioteki. Przez ułamek sekundy byłam zdecydowana powiedzieć o liście i o tym, co z nią robię. Zamrugłam – ona zeszytniała, a na twarz powróciła maska profesjonalistki. Tak jakby jej emocje były sterowane przyciskiem włącz – wyłącz. Ciekawe, czy zawsze jest taka dobra w jego używaniu.

– Ethan był u szefa policji, faceta nazwiskiem O'Brien. Powiedział, że zaangażowano policję stanową. Caulfield mówił mi o tym już miesiąc temu. To chyba jakaś specjalna jednostka,

nazywa się CARS. Kolizje, analizy, rekonstrukcja i coś tam jeszcze. Na podstawie wszelkich danych z miejsca wypadku wnioskuje o jego przebiegu. Powinnam sama do nich zadzwonić. Nieudacznika Caulfielda już skreśliłam.

– Chyba tak. Ma pani wszelkie prawo angażować się na tyle, na ile pani ma ochotę – odparła Celia.

Torba się przechyliła i wylądowała na mojej stopie. To lista usiłuje na nowo przyciągnąć moją uwagę.

75. dzień Bez Abby

Nie mogę przestać tego czytać.

„Bezpieczne ulice: kwestia opinii Melanie Reynolds Wenonah Falls, Massachusetts. – Grupa Safe Streets opublikowała wczoraj doroczną listę najbardziej niebezpiecznych dla pieszych stanów. Massachusetts figuruje na miejscu dwudziestym, co nie jest zbyt alarmujące dla władz lokalnych, choć nie stanowi też powodu do dumy. Jednak matka zabitego niedawno dziecka, czteroletniej Abigail Anny Gray, inaczej widzi tę sprawę.

– Nie obchodzi mnie, co mówią raporty. Moja córeczka nie była bezpieczna w biały dzień na ulicy odległej o parę przecznic od domu. Policja niewiele zrobiła, żeby ująć człowieka, który potrącił moje dziecko, i tym samym dała przyzwolenie, by morderstwo uszło bezkarnie – mówi Tessa Gray, do niedawna dziennikarka freelancerka.

Z danych Narodowego Zarządu Bezpieczeństwa Ruchu wynika, że 55 procent wypadków, w których pieszy ginie w rezultacie potrącenia przez samochód, zdarza się w bezpośrednim sąsiedztwie. Tak więc miejsca, które obywatele uważają za najbezpieczniejsze, jeśli chodzi o spacer, w rzeczywistości okazują się najbardziej niebezpieczne.

– Wenonah zawsze było i nadal będzie bardzo bezpieczną miejscowością – twierdzi detektyw Hollis Caulfield z posterunku w Wenonah Falls, który prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Abby Gray. – Serdecznie współczujemy rodzicom dziecka, ale tego rodzaju wypadki zawsze są trudne do wyjaśnienia, zwłaszcza gdy brak naocznych świadków.

Mała Abby zginęła rankiem piątego października na Beach Rose Lane. Przy tej ulicy znajduje się przedszkole, do którego uczęszczała. Wkrótce po powrocie dzieci z placu zabaw nauczycielka, Janie Beck, zauważyła brak Abby i wybiegła, by jej szukać. Dziecko leżało nieprzytomne na poboczu jezdni. Natychmiast przewieziono je do szpitala South Shore, gdzie lekarze stwierdzili zgon. Zespół śledczych pod kierunkiem detektywa Caulfielda twierdzi, że ślady opon na jezdni sugerują, iż przyczyną wypadku była nadmierna prędkość. Detektyw Caulfield odmówił komentarza na temat innych dowodów, jakie zgromadzono.

Policyjne dane ujawniają alarmujący wzrost aresztowań za jazdę pod wpływem alkoholu, zwłaszcza w Wenonah Falls. Detektyw Caulfield przyznaje, iż wiele jest w Wenonah wykroczeń związanych z nadużywaniem alkoholu, ale twierdzi, iż wiązanie tego faktu ze śmiercią małej Gray jest bezpodstawne. – Bądź co bądź wypadek miał miejsce o dziesiątej rano – dodaje.

A jednak prawie jedna czwarta wszystkich wypadków z udziałem nietrzeźwych kierowców, gdzie sprawca zbiegł, zdarzyła się w ciągu dnia. Według danych NHTSA* [National Highway Traffic Safety Administration – Krajowy Zarząd Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego (przyp. tłum.)] ponad 70 000 obywateli USA zginęło w katastrofach spowodowanych jazdą po pijanemu. Średnio co pół godziny ginie w ten sposób jedna osoba, przy czym istotny procent tych wypadków ma miejsce w ciągu dnia. Ich liczba z roku na rok rośnie. NHTSA podaje, iż wypadki samochodowe związane z nadużyciem alkoholu to najczęstsza przyczyna zgonów dzieci w wieku od 2 do 14 lat.

– Śledztwo w sprawach, gdzie dochodzi do ucieczki sprawcy z miejsca wypadku, to wyścig z czasem – twierdzą eksperci z grupy lobbingowej Bezpieczne Ulice. – Im dłużej zajmuje policji znalezienie osoby odpowiedzialnej za spowodowanie wypadku, tym trudniej zgromadzić właściwy materiał dowodowy pozwalający przedstawić oskarżenie.

Detektyw Caulfield, zapytany, czy policja ma jakiegoś podejrzanego, odpowiada: – Nie śpieszyłbym się ze wskazywaniem palcem na konkretną osobę. Potrzebujemy czasu, aby przeanalizować materiał dowodowy. Również trzeba liczyć się z tym, że być może nigdy nie dowiemy się, jaka była przyczyna wypadku i kto go spowodował.

– Nie chcę i nie zamierzam zaakceptować niewiedzy – replikuje pani Gray. – Mieszkańcy Wenonah powinni być oburzeni, że jakiś tchórz przejechał dziecko i zostawił je na poboczu. A jeszcze bardziej powinien ich oburzać fakt, że policja nie wierzy we własne siły i dopuszcza możliwość, iż sprawa nie zostanie wyjaśniona. Nieważne, czy kierowca był pijany, czy nie – tak czy owak, ktoś przejechał dziecko i nawet się nie zatrzymał. Kto wie, do czego jeszcze jest zdolny taki człowiek?

Na zakończenie publikujemy apel pani Gray do tajemniczego kierowcy, którego czyn na zawsze zmienił jej życie:

– Zabiłeś człowieka. Moją śliczną, jedyną córeczkę. Na pewno dręczy cię sumienie. Ujawnij się, proszę. Kimkolwiek jesteś, proszę, ujawnij się.

Każdy, kto dysponuje jakimiś informacjami na temat tego wypadku, proszony jest o powiadomienie policji (tel. 781-555-66-29) lub Melanie Reynolds (tel. 617-555-99-87)”.
76. dzień bez Abby

Obudził mnie świergot telefonu. Zamarłam. Jestem w takim stanie, że od razu myślę o tragedii. Dobrze, że Ethan był jeszcze w łóżku i odebrał. Szybko zrozumiałam, że dzwoni O'Brien.

– Spotkać się? Doskonale – mówił Ethan. – Wtorek pasuje. Nie, nie ma potrzeby z nią uzgadniać. Będziemy oboje.

Patrząc mi w oczy, odłożył słuchawkę. W twarzy miał mieszaninę strachu i nadziei.

– Szef – powiedział. – Mamy się spotkać. – Położył się z powrotem, ale oczy miał utkwione w przestrzeń. – Myślę, Tessa, że potrzebny jest nam prawnik.

Przebiegł mnie dreszcz. Przekręciłam się na bok, żeby lepiej widzieć Ethana.

– Kochanie, ta sprawa to jedno bagno – ciągnął. – Caulfield jest do niczego i O'Brien będzie próbował to odkręcić. Melanie potraktowała Caulfielda łagodnie w tym tekście, ale dała mocny sygnał ostrzegawczy. O'Brien gotów jest nas słuchać. Potrzebujemy kogoś, kto będzie reprezentował nasze interesy.

Wstałam i podeszłam do krzesła przy oknie. Chciałam widzieć Ethana bez konieczności wykręcania szyi. Chyba za szybko to zrobiłam, bo kiedy usiadłam, zakręciło mi się w głowie. Prawniki...

Niczym w błysku staroświeckiego flesza mignął mi obraz: starannie przygotowane konferencje prasowe, nasze twarze – jej twarz – w lokalnych wiadomościach... Poczułam mdłości.

Wiedziałam, że będzie o wiele gorzej, zanim będzie lepiej. Jeśli w ogóle.

– Jak myślisz, czemu zadzwonił tak wcześnie? – spytałam.

– Myślę, że jeśli będą odpytywać jego lub Caulfielda w związku z artykułem Melanie, będzie mógł powiedzieć mediom, że spotyka się z nami rutynowo. „Kolejne spotkanie w celu omówienia postępów śledztwa mamy zaplanowane na najbliższy wtorek”. Próbuje ratować tyłek.

Tessa, co ci jest? Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– A jak mam wyglądać? Za dużo się na mnie zważyło, i to o świcie.

Z jednej strony miałam ochotę wrócić do łóżka. Z drugiej – tkwiąca we mnie dziennikarka nie mogła się doczekać, żeby zacząć formułować pytania do O'Briena. Wreszcie coś się działo.

– W porządku, załatw prawnika.

Poniedziałek, 19 grudnia, godz. 18.00

Przyprószona śniegiem i podświetlona blaskiem lamp zieleń Verity Park przypomina dziecięcy rysunek. To jeden z najładniejszych zimowych widoków; jego węglowy szkic leży w szufladzie mojego biurka. Tylko od czasu do czasu ośmielałam się do niej zajrzeć. Dziś zdobyłam się, żeby to zrobić.

Miałam tę akwarelę przed oczami, zanim jeszcze wyjęłam ją z teczki. Pociągnięcia pędzla zostawiły ślad w mojej głowie, nie tylko na papierze.

Patrzę na nią, nie wierząc, że to już prawie święta. Jeszcze jedno... Pamiętam dokładnie, gdzie była, kiedy malowała te drzewa, przybrane purpurowymi i miedzianymi bombkami, ze złotą gwiazdą na czubku. Siedziałyśmy koło siebie na wysokich stołkach w pracowni, a ja uczyłam ją, jak posługiwać się pędzlem z sobolego włosia, najlepszego do malowania popękanych gałęzi starych drzew. Kiedy skończyła malować obrazek, podarowała mi go. Teraz jest to mój skarb. Ten weekend przyniósł mi bezcenny dar: zakupy z łanem. W centrum handlowym przewalały się tłumy, ale nie przeszkadzało mi to – byliśmy razem. Sprawił mi wielką frajdę; kupił Harry'emu prezent: skarpetki i bieliznę.

Ceną było nie tylko to, co zapłaciłam za ten zakup.

Aldenowi nie spodobało się, że wychodzę. Chciał mi zrobić niespodziankę – kupił bilety na jakiś francuski film, który idzie w Corcoran Village. W sobotę przy śniadaniu zdystansował się – jadł zasłonięty płachtą „New York Timesa”. Nie przeszkadzało mi to i nie robiłam mu wymówek.

Niech mnie ignoruje dopóty, dopóki sam nie uzna, że dość.

Przy obiedzie, jeśli się odezwał, to lodowatym tonem.

– Pamiętasz chyba, że ja nie przywiązuję wagi do świąt. Właściwie nigdy nie przywiązywałam. Tak że nie spodziewaj się po mnie fałszywych uniesień i hojnych podarunków. To nie mój styl. Nie potrafię powiedzieć, czy mówił prawdę, czy wciąż był na mnie zły, że wychodzę z łanem.

– A ja zawsze uwielbiałam święta – powiedziałam, decydując się na unikanie kontaktu wzrokowego. Niewiele poza tym rozmawialiśmy. Dał mi jasno do zrozumienia, że nadchodzący tydzień to nie będą juwenalia.

Przez najbliższych kilka dni będę pracować jak zwykle. W czwartek zrobię sobie wolne, żeby zdążyć z przygotowaniami do świąt. Piątkowy grafik pozostanie niezmienny, bo paru pacjentów, o których się martwię, ma wizyty właśnie w piątek. Tessa przede wszystkim.

Wiem, że będzie chciała porozmawiać o artykule we wczorajszym „Globe”. Nawet mnie trudno było przeczytać tekst, a potem z nikim o tym nie rozmawiać – co zresztą stanowi jeden z najtrudniejszych elementów mojego zawodu. Kiedyś, po wizycie trudnego pacjenta, spróbowałam potraktować Aldena jako słuchacza. Odprawił mnie.

– Chyba nie czuję się komfortowo, Celio, kiedy łamiesz zasadę dyskrecji. Czy nie masz jakiejś koleżanki czy kolegi po fachu, kogoś, z kim mogłabyś omawiać takie rzeczy?

Wiedząc, że i tym razem otrzymam podobną odpowiedź, przeczytałam artykuł i zachowałam go dla siebie. Zastanawiałam się, czy ta publikacja może stanowić dla niej realną pomoc. Może ujawni się ktoś, kto coś wie? Czasem ludzie tego nie robią, bo sądzą, że zrobił to już ktoś inny. Wróciłam myślą do naszej piątkowej rozmowy. Czują się ze mną niezręcznie. Była bardziej na dystans, częściej unikała kontaktu wzrokowego. Mówiąc, bawiła się kosmykiem włosów i patrzyła przez okno.

Nie przypuszczałam, iż może zaliczać się do pacjentów, którzy denerwują się, jeśli spotykamy się przypadkowo poza gabinetem. Tessa? Taka bezpośrednia, impulsywna, w doskonałym kontakcie z własnymi uczuciami? Chyba chodziło o coś innego. Gdy bawiła się włosami,

przypomniał mi się jej gest, kiedy tam, w bibliotece, chowała papiery. Wepchnęła je do torby szybko, niedbale, tak jakby miała coś do ukrycia. Nie nawiązywałam do tamtego spotkania. Nie chcę stwarzać dodatkowego dystansu między nami. Potrzebuje mnie, a ja pragnę jej pomóc. Mówiła o śledztwie. Chwyta się tego tematu niczym liny zwisającej nad przepaścią. Przytrzymałam jej tę linę. Nie zdaje sobie sprawy, że nie uratuje jej to przed upadkiem, bo nie sposób trzymać się liny non stop. Tak jak niewiele na dłuższą metę pomoże trzymanie się akwarelowego obrazka.

Sformułowałam pytania. Ethan znalazł prawnika nazwiskiem Pat Benedict. Zadzwoił do mnie dziś rano i powiedział, że po południu mamy z nim pierwsze spotkanie. Dopiero gdy znaleźliśmy się w urzędowej w stylu art deco kancelarii, okazało się, że Pat to kobieta.

Choć dzieliło ją od nas ogromne biurko, i tak było jasne, że nogi ma do uszu i jest wyższa nie tylko ode mnie, ale i od Ethana. Wyciągnęła długie ramię i uściśniła mi rękę, a drugą przykryła moją dłoń.

– Cieszę się, że mogę panią poznać, pani Gray. Bardzo pani współczuję z powodu tej straty. Zastanówmy się, czy możemy wspólnie uzyskać dla państwa jakieś odpowiedzi. Proszę usiąść. Usiadłam w skórzanym fotelu, który mnie pochłonął. Byłam dzieckiem siedzącym w fotelu dorosłego.

– Długo rozmawiałam dziś rano z pani małżonkiem. Jesteśmy w pełni zgodni co do dalszego postępowania, ale chciałabym usłyszeć także pani opinię. Co pani zdaniem mogłabym dla was zrobić? – Wsparła łokcie o biurko, splotła długie palce i złożyła na nich podbródek. Nie przeszkadzała mi jej poufałość. Nie przeszkadzał mi jej profesjonalizm. Trochę mnie niepokoiło, że jest w pełni zgodna z Ethanem.

– Zapłacę każdemu dowolną kwotę za ustalenie, kto zabił moją córkę. Nawet pani. Chcę spojrzeć w oczy temu człowiekowi. I chcę wiedzieć, dlaczego to zrobił.

– Przepraszam, Pat. Tessa wiele przeszła. Były z Abby nierozłączne. – Ethan wziął mnie za rękę. Pat opuściła ramiona – Nie szkodzi – stwierdziła łagodniejszym tonem. – Nie mam pani za złe sceptycyzmu co do moich możliwości działania. Zależy mi na rozwiązaniu sprawy tak samo jak wam.

Wiedziałam, że nie powinnam wyładowywać mojej frustracji na tej pięknej nieznajomej. To typowe dla mnie – zacząć od antypatii i obserwować, czy będzie miała siłę, żeby mnie pokonać.

– Nie miałem kiedy przekazać Tessie wszystkiego, o czym rozmawialiśmy – powiedział Ethan. – Może chciałabyś opowiedzieć jej o Hugh?

– Bardzo chętnie, ale to spotkanie nie dotyczy mnie. Chodzi o was i Abby.

Ethan skinął głową, zachęcając Pat, by kontynuowała.

– Być może będzie to dla pani pomocne. Wiem z własnego doświadczenia, co pani przeszła. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, przeżyłam wypadek samochodowy, zderzenie boczne. Mój brat Hugh miał wtedy dwanaście. Jechaliśmy samochodem moich rodziców, ja prowadziłam. Potracił nas pijany kierowca. Hugh zginął na miejscu. Kierowca tamtego samochodu wyszedł bez jednego zadraśnięcia. Dostał siedem lat. W tej chwili jest na wolności.

Momentalnie i ja znalazłam się na jednej płaszczyźnie z nią Ethanem. Płaszczyźnie, na której nikt by nie chciał się znajdować, gdyby tylko miał wybór.

– To dlatego zajęła się pani naszą sprawą?

– Zrobię, co tylko będę mogła, żeby ustalić, jak to było z Abby. – Nie będę kłamać: to, co ustale, może się okazać dla was niezbyt miłe. Możecie nie mieć żadnej satysfakcji z tego, że znacie odpowiedź. Ale rozumiem, że chcecie ją poznać.

Im więcej mówiła o czekającym nas spotkaniu z O'Brienem, tym bardziej ją lubiłam. Abby i Hugh nas połączyli. Nie mogłam oderwać oczu od fotki na półce, wyzierającej zza jej fryzury w kolorze agatu. Z fotki patrzyła na mnie Pat, tylko o piętnaście lat młodsza. Obejmowała za ramiona szczupłego chłopca z wyraźnymi oznakami zespołu Downa; w de widniała plaża w Wenonah.

Kiedy Pat uznała, że jesteśmy gotowi do jutrzejszego spotkania, uściśnięliśmy sobie ręce i

wyszliśmy.

– Niezła maszyna, co? – zagadnął Ethan.

– Nie mogłeś znaleźć jakiegoś starego piernika z cygarem w zębach? Naprawdę ktoś traktuje poważnie taką ślicznotkę? – Och, ten jego nieodparty uśmiech. – Ale jest naprawdę mądra – dodałam. – I zaangażowana. Myślę, że mogę jej zaufać.

Pocałował mnie w policzek.

– Ty jesteś ładniejsza – szepnął. – A co do niej... Pytałem ludzi. Wszyscy mówią, że jest skuteczna.

Zrobiło mi się głupio, że potrzebuję jakichś zapewnień. Wzięłam go pod rękę i ruszyliśmy do windy. Mamy prawnika!

79. dzień bez Abby

Caulfield się nie pokazał. Kiedy weszliśmy z Ethanem do środka, zobaczyliśmy O'Briena. Sekretarka szykowała się do notowania; ruch obronny, pomyślałam w tamtej chwili. Był też jakiś policjant z postawionym na żel jeżem w stylu magazynu „GQ” i dwudniowym zarostem; sprawiał wrażenie niemal podekscytowanego tym, że się tu znajduje. Spojrzawszy na niego, przypomniałam sobie – to on podniósł moją torbę tamtego dnia, kiedy wkurzyłam się na Caulfielda.

– Witam państwa. Nazywam się Jack North. Przejmuję prowadzenie śledztwa.

Wydałam ciche „och!”. Był taki młody! I przechodził wprost do sedna, bez tych wszystkich typowych dla policji z Wenonah Falls formalności, które zdążyliśmy poznać i znienawidzić.

– Detektyw Caulfield za parę tygodni przechodzi na emeryturę – pospieszył O'Brien – a że śledztwo wciąż trwa, pomyśleliśmy, że najlepiej będzie włączyć Jacka od razu.

– Nie chciałam być niegrzeczna – powiedziałam. Albo może i chciałam. .. ale Jack jest taki młody, że nie wiem, czy potrafi zawiązać sobie sznurowadła, a co dopiero prowadzić śledztwo. Wkroczyła Pat ze swoim prawniczym zdecydowaniem. Uściśnęła wszystkim rękę, powtarzając przy tym imię każdego z obecnych, po czym z hałasem postawiła teczkę na stole i usiadła obok mnie. Wybór miejsca był elementem strategii: najpierw duża Pat, potem mała Tessa, potem Ethan.

Nasza strona stołu wyglądała na potężniejszą. Po tamtej stronie byli nieciekawy O'Brien i dzieciak detektyw.

– Detektyw North wygląda młodo, pani Tesso, ale – to poza protokołem – Pat rzuciła wymowne spojrzenie sekretarce – wolimy go niż Caulfielda. Zaczynamy, dobrze?

Było jasne, że to Pat Benedict tu rządzi i że mężczyźni już ją znają. North kiwnął głową zadowolony, że rzuciła mu kość.

– A zatem... – O'Brien zająknął się – myślę, że chcieliby państwo zapoznać się ze stanem śledztwa?

Jack, któremu komplement Pat wyraźnie dodał wigoru, zaczął:

– Współpracujemy w tej sprawie z CARS... kolizje, analizy...

– Państwo Gray doskonale wiedzą, co to jest CARS i jaką funkcję pełni – przerwała Pat.

– Tak jest... A zatem – podjął – ludzie z CARS przeanalizowali ślady opon i niewielkie drobiny szkła, jakie znaleziono na miejscu wypadku. Ślady opon są krótkie i nie dają jednoznacznej odpowiedzi co do ich rodzaju. Szkło nie najwyższej jakości, standard. Utworzono listę możliwych pojazdów. Niestety, jest długa.

Zawahał się i w pauzę wskoczyła Pat.

– Czy to wszystko, jeśli chodzi o materiał dowodowy z miejsca wypadku?

O'Brien wyraźnie był w defensywie.

– Mieliśmy też niewielką próbkę drobin lakieru. – Zawiesił głos, po czym dodał niemal szeptem:

– Chwilowo straciliśmy ją z oczu.

– Wyjaśnijmy – powiedziała Pat. – Jak to: straciliście ją z oczu? Zgubiliście materiał dowodowy z miejsca wypadku, w którym zginął człowiek?

Miałam ochotę skrócić własnoręcznie kark kolejnemu policjantowi.

– Jestem przekonany, że Jack ją odzyska, jeśli damy mu szansę wyprostowania spraw. – O'Brien wziął głęboki oddech, usiłując przejść do ofensywy. – Jutro zamierza spotkać się z naszym człowiekiem w CARS, żeby ustalić, czy jest jeszcze coś, co mogłoby przynieść postęp w sprawie.

– To bardzo niedobrze, panie komendancie – skomentowała ostrym tonem Pat. – Czy to robota Caulfielda? – Podniosła głos, a z ust prysnęła jej odrobina śliny. Oboje z Ethanem zaniemówiliśmy.

– Przykro mi – kajał się O'Brien. – Zapewniam państwa, że dołożę wszelkich starań, aby zbadać te nieprawidłowości. Mimo wszystko nie wierzę, by analiza drobin lakieru mogła coś wnieść do sprawy. Funkcjonariusze, który oglądali próbkę, twierdzą, że drobiny były mikroskopijne. Tak czy inaczej, czy odpowiada państwu, że śledztwo przejmie detektyw North i spróbuje ustalić, czym dysponujemy i co jeszcze możemy zrobić w tej sprawie?

Czy mieliśmy wybór? Usunięto Caulfielda, pojawili się Pat i Jack. Skinęliśmy głowami i w tym momencie poczułam, że temperatura w pomieszczeniu wzrosła. Płomień gniewu ostatnio buzował raczej we mnie, tym razem jednak emanował ze stalowo-błękitnego garnituru Ethana. Usta miał wydęte, a kostki palców zbieleły, tak mocno ścisnął blat konferencyjnego stołu. Nigdy go takim nie widziałam. Co do mnie, to byłam dziwnie spokojna. Już wiedziałam, że śledztwo zostało nieodwracalnie sparane.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że do tych przykrych wiadomości muszę dołożyć kolejną – ciągnął O'Brien. – Mamy wyniki sekcji zwłok. Jeśli państwo wolą, możemy o tym pomówić następnym razem.

– Państwo Gray są gotowi do wysłuchania wiadomości na ten temat, panie komendancie. Chyba że od wczoraj zmienili decyzję. – Pat opuściła rękę pod stół, znalazła moją i uścisnęła. Spojrzała na mnie, potem na Ethana. Oboje skinęliśmy głową.

Głos Jacka, gdy zaczął mówić, brzmiał raczej jak głos lekarza, który przekazuje złą wiadomość, niż policjanta.

– Państwa córeczka... Abby... zmarła na skutek urazu głowy. Prawdopodobnie od uderzenia głową o jezdnię. Miała trochę powierzchownych obrażeń związanych z potrąceniem przez samochód, ale nie były one przyczyną zgonu. Bardzo mi przykro.

Nie wiem, czy ktokolwiek mówił coś więcej. Jedyne, co słyszałam, to uderzenie głowy mojego dziecka o bruk.

Piątek, 23 grudnia, godz. 8.00

Dom wygląda pięknie. Rozciągnęłam niezliczone sznury lampek wokół poręczy, drzwi i kominka. Światła rzucają cienie we wszystkie strony i biblioteka przypomina kościół. Na stołach i półkach ustawiłam kompozycje z gałązek ostrokrzewu i iglaków. Ostatnim razem zdołałam tak dom, kiedy jeszcze byliśmy razem z Harrym. Ian to zauważył. Jest tak jak dawniej. Prawdziwe święta.

Zrobiłam już wszystkie zakupy spożywcze. Pozostało mi tylko zapakować prezenty. Dziwnie się czułam, kupując prezent dla Harry'ego. Biedak musi przecież coś dostać, skoro go zaprosiłam...

Schowałam prezent głęboko w szafie – nie ma potrzeby, by kłuił w oczy Aldena.

Starałam się ze wszystkich sił być miła dla Aldena, a on odpłacał mi tym samym. Może mamy po prostu trudny moment. To oczywiście trochę przewrotne z mojej strony tak się podniecać perspektywą świątecznego śniadania z Ianem i Harrym, skoro są to pierwsze święta z moim nowym mężem.

Wczoraj wieczorem z wyprzedzeniem wręczyłam Aldenowi prezent ode mnie: wytworną teczkę, którą parę tygodni temu podziwiał w katalogu. Zjedliśmy kolację przed kominkiem. Podałam jego ulubioną włoski makaron i otworzyłam owocowego merlota.

– Bardzo słusznie, Celio. Wygląda na to, że podziwiał na ciebie świąteczny nastrój. No i energii ci nie brakuje. – Szerokim gestem ręki wskazał na pokój.

Doceniał moje starania, choć wątpię, żeby do końca pogodził się z moim pomysłem co do świątecznego śniadania.

– Przyjemnie wygląda, prawda? Starałam się znaleźć jakiś sposób, żebyście obaj byli zadowoleni: i ty, i Ian. Dziękuję ci jeszcze raz, że się zgodziłeś na ten układ w pierwszy dzień. Naprawdę to doceniam.

Zmienił temat – może wciąż czuł się zraniony, że zaprosiłam Harry'ego, a może niezręcznie mu było rozmawiać o moich uczuciach. Przerzuciłam się na jego prezent, bo na tym terenie czuł się swobodniej.

– Cieszę się, że ci się podoba. Chciałam, żeby nasze pierwsze wspólne święta były pamiętne.

– Teczka jest znakomita pod każdym względem. A jeśli dostanę stanowisko, to nowy dziekan wydziału będzie miał u boku idealną żonę, a w ręce – idealną teczkę.

– Być może wezmę dla siebie tę starą – powiedziałam. – Chyba podoba mi się bardziej niż nowa.

GODZ. 16.00

Tessa przyniosła z sobą tyle bolesnych emocji, że w gabinecie niemal zabrakło miejsca dla nas obu. Nie chciała usiąść; stała, patrząc w okno.

– Chwileczkę. Za bardzo jestem zła, żeby siedzieć. Spotkaliśmy się dziś z komendantem O'Brienem. Co za dupek!

Nie cierpię brzydkich słów, starałam się uspokoić ją, zniżając głos.

– Możemy zacząć od czegokolwiek, co pani odpowiada.

– Caulfield zgubił dowody! Czy to normalne?! Próbkę lakieru, jedyną rzecz, która ułatwiłaby identyfikację sprawcy. O'Brien dał mu kopa, i dobrze, ale zastąpił go jakimś młodziakiem, z mlekiem pod nosem! To jakiś cyrk, a nie śledztwo!

Wskazałam jej fotel. Usiadła, jak zwykle podwijając nogi pod siebie.

– Mówiła pani, że zaangażowaliście prawnika. Jak pani sądzi, będzie w stanie wam pomóc?

– Prawniczkę. Nasz prawnik to kobieta, Pat Benedict. Zna ją pani? Odparłam, że nie. Poprosiłam, żeby opowiedziała mi więcej o tym spotkaniu. Znowu popatrzyła za okno. Choć była odwrócona ode mnie, widziałam, że jej gniew rozplywa się we łzach. Pozwoliła, by płynęły, nawet nie próbując ich ocierać.

Najpierw odpowiadała mi ta cisza, dystans, jaki dzielił nasze krzesła i ciała. Ileż to razy miała miejsce wcześniej podobna sytuacja? A potem zlekceważyłam zawodowy kodeks i podeszłam do niej. Objęłam ją, i pozwoliłam, by płakała jak dziecko.

Poczekaliśmy, aż sama poczuje, że dosyć. Potem podałam jej pudełko z chusteczkami i wróciłam na miejsce.

Kilka minut trwało, zanim się pozbierała, opanowała oddech i odzyskała głos. Nie popędzałam jej.

– Naprawdę... strasznie mi przykro, pani Celio, że zniszczyłam pani sweter. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Ja nie płaczę dlatego, że spaprał śledztwo. Jestem w proszku, bo powiedzieli nam, jak zginęła.

Nie wiem, która z nas była bardziej zdziwiona: Tessa czy ja. Bo kiedy mi powiedziała, i ja sięgnęłam do pudełka z chusteczkami.

Opędziliśmy z Ethanem święta wraz z Abby.

Była dziesiąta, kiedy zaczął mnie błagać, żebym rozpakowała mój prezent.

– No chodź... Nie mogę się już doczekać. Albo ci się strasznie spodoba, albo go znienawidzisz. Nie zniosę dłużej niepewności.

Wsparłam się na łokciu, podciągnęłam kołdrę pod pachy i wzięłam do ręki pięknie opakowany pakiecik. Było jasne, że to płyta DVD – nie starał się tego zamaskować. Kiedy zdjęłam opakowanie, zobaczyłam, że okładkę zdobi moje ulubione zdjęcie Abby. Podniosłam wzrok na Ethana: miał wachlarzyki w kącikach oczu, usta leciutko uchylone. Czekał, usiłując odczytać moją reakcję.

– Co to? – spytałam drżącym głosem.

– Zebrałem wszystkie nasze filmy i połączyłem je w jeden. No wiesz, z muzyką i w ogóle. Nie jesteś na mnie zła? Jak myślisz... Miałabyś ochotę obejrzeć go ze mną? Czekałem na ciebie. Nie zamierzałam milczeć. Nie chciałam, by choć przez chwilę wątpił, że to najslodszy i zarazem najbardziej gorzki prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Ale zaparło mi dech. Chwilę trwało, zanim go odzyskałam.

– Boże. To cudowne. Chyba umrę, jak będę oglądać... Ale chcę, zaraz.

Objął mnie tak mocno, że niemal bolało. Kiedy mnie puścił, pocałowałam go. Głęboko. Z uczuciem.

Zbiegliśmy na dół ochoczo niczym Abby w zeszłe święta, ciekawa, co jej przyniósł Święty Mikołaj. Na stole stały dwa nakrycia; serwetki i bieżniki zdobił taki sam wzór z gałązek ostrokrzewu. Pośrodku widniała miska świeżych owoców, tort kawowo-cynamonowy i niewielka quiche, pocięta na trójkąty. Na bieżnikach stały dwa nowe identyczne kubki, też miały motywy świąteczne: tradycyjne cukierki w kształcie laski. Ethan włożył DVD do odtwarzacza.

Czekaliśmy.

I pojawiła się ona.

Biegała po podwórku, z fruującymi blond lokami. Sukieneczka przypominała odwrócony tulipan. Śmiała się, robiła miny do kamery. Żyła.

Po tej cudnej czołówce, do wtóru piosenki *Zamek na lodzie*, zaczął się właściwy film. Pokazywał nasze życie z Abby – od samego początku. Ja w ciąży koło naszego samochodu, wielka i niezgrabna. Dumna z kolosalnego brzucha, wypinałam go jeszcze bardziej. „Poród” – powiedziałam, a Ethan dodał zza kamery: „Jedziemy do szpitala”.

Cały film trwał trzy godziny. Obejrzeliśmy go trzykrotnie. Za pierwszym, razem cały czas płakaliśmy, ściskając się za ręce. Za trzecim już śmialiśmy się przez łzy. Jak dobrze było być razem z nią.

Pierwszy raz nie poszliśmy w święta do kościoła. Ani nie spotkaliśmy się z rodziną. Ani nie zjedliśmy obfitego świątecznego obiadu. Ani nie otwieraliśmy licznych paczek z prezentami. To były nasze pierwsze święta bez Abby i wypadły lepiej, niż kiedykolwiek bym przypuszczała. Dając mi ten prezent, Ethan postawił na szali nasz związek. I za to go kochałam.

Poniedziałek, 26 grudnia, godz. 9.00

Święta wypadły wspaniale. Z początku było trochę nerwowo, bo zależało mi, żeby Alden w porę wyszedł, a nie mogłam go ponaglać. Nie chciałam, żeby spotkali się z Harrym twarzą w twarz. Wiedziałam, że to popsułoby cały dzień. Ze względu na lana zależało mi, żeby w Boże Narodzenie było inaczej niż w Święto Dziękczynienia.

Alden spakował swoją nową teczkę i opuścił dom około wpół do dziesiątej. Lekki pocałunek w usta świadczył, że już mi wybaczył prośbę o zniknięcie. Wyszedł jak w zwykły roboczy dzień – do pracy.

Już z nogą i ręką we wnętrzu swojego lexusa odwrócił się i zawołał: „Wesołych świąt!”

Wcześniej życząc smacznego, powiedział, żebym zostawiła sobie trochę miejsca na obiad. Miał wrócić tuż po dwunastej.

Ian i Harry zawsze się spóźniają, miałam więc czas na wyjęcie moich prezentów i rozpalenie ognia. Dziesięć po dziesiątej wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak brną przez śnieg, który spadł tej nocy. Ian niósł torbę na zakupy, Harry włożył obie ręce do kieszeni płaszcza. Pogrążeni w rozmowie kompletnie nie zwracali uwagi, że obserwuję ich z okna.

Weszli, wnosząc ze sobą podmuch zimna. Miałam już gotowy dzbanek gorącej czekolady, Ian wrzucił sobie garść pianek, Harry uwieńczył swój kubek czapką domowej bitej śmietany.

– Chcecie usiąść przy kominku, żeby się ogrzać, czy jesteście na tyle głodni, żeby od razu siadać do stołu? – spytałam.

Harry zerknął na lana. Ian spojrzał na mnie. Nie chciałam, żeby nasz wspólny świąteczny ranek był skalany choćby śladem niezręczności.

– To może przegryźmy coś niecoś, rozpakujmy prezenty, a potem wrócimy do jedzenia – zaproponowałam. – Co wy na to?

– Dla mnie nie ma sprawy – przemówił w końcu Harry. – A nie upiekłaś przypadkiem mojego ulubionego tortu, C, tego kawowego ze śmietaną i cynamonową posypką? Chyba czuję zapach. Próbowałam powstrzymać uśmiech, który, czułam, wpelza mi na twarz.

– A jakże, Ian też za nim przepada.

Zabawne, że głupi kawowy torcik potrafi połączyć członków rodziny. Zaskakujące, że tak łatwo nam się rozmawiało. Gadaliśmy o nieznaczących sprawach – o jedzeniu, o śniegu... Rozmowa była błaha, i ta błahość była przyjemna.

Choć słowa ślizgały się po powierzchni, to prezenty – nie. Pozwoliłam, by Ian podarował Harry'emu skarpetki i kalesony. Kiedy je kupowaliśmy, myślałam, że będzie to zabawny prezent, ale w chwili wręczania stał się dziwnie intymny. Harry, dziękując Ianowi, popatrzył na mnie i jego usta wygięły się w półuśmiechu.

– Nareszcie dostałem to, o czym zawsze marzyłem. A skoro już o tym mowa... proszę, C. Coś, o czym zawsze marzyłaś ty.

Podał mi nieduże, płaskie pudełeczko, ewidentnie opakowane przez niego.

– Harry, nie musisz mi dawać prezentów. Wystarczającym prezentem jest to, że świętujemy Boże Narodzenie we troje i że tak dobrze się dogadujemy.

– No, dalej, otwórz. Nie rób z igły widel. To tylko prezent.

Cały Harry... Udaje twardziela, żeby osłonić wrażliwość. Powiedziałam „dziękuję” i rozpakowałam oklejone taśmą pudełeczko.

Nie wierzyłam własnym oczom. W środku, na wiśniowym aksamicie, spoczywały dwa kamienie: rubin i szmaragd, połączone złotym łańcuszkiem. Naszyjnik matki, który zawsze chciałam mieć, ale nigdy nie zdecydowałam się kupić go sobie.

Nawet ja zdawałam sobie sprawę, że mam otwarte usta. Ian rozumiał znaczenie tego prezentu – wiedział, że jego urodzinowy kamień to szmaragd, a jej – rubin. Nie powiedział ani słowa, tylko poderwał się, żeby pomóc mi zapiąć łańcuszek na szyi.

– Przepiękny, Harry – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło. – Naprawdę. Dziękuję ci. – Nakryłam naszyjnik dłonią, przyciskając go do piersi.

– No wiesz... Wiedziałem, że sama go sobie nie kupisz. Znasz mnie – zawsze o dzień spóźniony i o dolara za krótki... Cieszę się, że ci się podoba. No dobrze, a Ian? Masz coś dla chłopaka? Choć miałam dla Iana kilka prezentów, trudno było o lepszy moment, by wręczyć te, które przewidziałam dla nich obu. Niemal podbiegłam do drzewka, wzięłam do ręki dwa identyczne pakiety i podałam każdemu z nich.

– Otwórzcie równocześnie, bo to jest to samo. Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Harry i Ian popatrzyli sobie przez chwilę w oczy, po czym, niczym dwaj mali chłopcy, na wyścigi rozpakowali prezenty. Teraz to Harry'ego zatkało.

Harry wyjął swoją żeglarską kurtkę, wstał, żeby ją przymierzyć, i powiódł dłonią po wyhaftowanym czarnym jedwabnym napisie „Słoneczna załoga”, Ian zrobił to samo.

Pięć lat po tym, jak Harry zwabił mnie na pokład swojego jachtu, nasza powiększająca się rodzina zaczęła potrzebować większej łodzi. Nowsza wersja była dłuższa i bardziej przestronna – wymarzona łódź Harry'ego. Prowadził ją sprawnie, jakby pływał na niej od zawsze. Oboje ją uwielbialiśmy. A jednak widząc, jak nowi właściciele „Tak jak lubisz” – jachtu, na którym odbyliśmy naszą pierwszą randkę – odpływają nim w siną dal, mieliśmy wrażenie, że zamykamy album ze zdjęciami, ciężki od wspomnień.

– Harry, ostatni raz zabrakło ci słów, kiedy żegnałeś się z jachtem. – Poglądziłam rękaw jego nowej kurtki. I całkiem jakbym dotknęła gorącego pieca, natychmiast cofnęłam rękę.

Ian patrzył to na mnie, to na Harry'ego, tak jakby sprawdzał, czy te odcumowane emocje mogą popsuć kolejne święta.

Wprowadziłam nasz statek na bezpieczne wody za pomocą jedzenia.

– No dobrze, czyli prezenty to był w tym roku hit. Zobaczmy, czy i ze śniadaniem udało mi się równie dobrze. Zdejmij kurtkę, Ian. Chyba nie chcesz jej poplamić bekonem, zanim jeszcze będziesz miał szansę włożyć ją na jachcie.

Reszta poranka minęła nie wiadomo kiedy. Niczym Kopciuszek zdałam sobie sprawę, że już prawie dwunasta. Alden, który na drugie imię powinien mieć Precyzja, lada moment wróci do domu. Choć nie miałam ochoty kończyć naszego spotkania przy świątecznym stole, wiedziałam, że powinnam uszanować poświęcenie Aldena i nie ucierać mu nosa widokiem mojej szczęśliwej rodziny. Rodziny, która w tym momencie najwyraźniej go nie obejmowała.

Zacząłam zbierać porozrzucane pudełka, dając w ten sposób Harry'emu i Ianowi mało subtelny sygnał, że pora się zbierać do wyjścia, Ian poskładał papiery, a Harry napełnił zmywarkę. Nie przypominam sobie, kiedy to robił ostatnim razem. Obaj poruszali się sprawnie, bez konieczności popędzania. Wyszli tak samo jak przyszli, brnąc piechotą przez śnieg, rozmawiali z ożywieniem. Patrzyłam w ślad za nimi przez okno i marzyłam, by mogli zostać cały dzień.

Kiedy pojawił się Alden, wciąż jeszcze promieniałam po przeżyciach tego ranka. Pozwoliłam, by sądził, że to radość z powodu jego powrotu.

– Kto wie, Celio, czy nie złagodzisz mojego sceptycyzmu wobec tych komercyjnych świąt. Twój entuzjazm jest dość zaraźliwy. W takim razie bierzmy się do obiadu, dobrze?

Niczym bukiet kwiatów wręczył mi butelkę bordeaux. Otworzyłam, nalałam nam po kieliszku i zaczęłam popijać, żeby ukryć niechęć do przyjmowania pokarmu. Choć na myśl o jedzeniu czułam grożący mi atak morskiej choroby, byłam gotowa zapłacić nawet taką cenę za to, że udało mi się pogodzić potrzeby moich obu rodzin.

Część 2

Zima serca

dzień 89.

. Nowy Rok. To samo stare życie. W sylwestra zawsze idziemy z Emanem do Rosemary i Kevina. W tym roku było inaczej niż zwykle. Nienawidziłam każdej chwili tego wieczoru. Z ekranu nowego plazmowego telewizora buchał debilny wrzask tłumów zgromadzonych na Times Square. Przysiadłszy na kuchennych stołkach, patrzyłyśmy z Rosemary, jak Kevin i Ethan siekają i smażą. Proces zabijania czasu był w ich wykonaniu nieskuteczny. Przez całe godziny dręczył mnie zapach czosnku, zanim pojawiło się na stole jedzenie. Gdy wreszcie wzięłam widelec do ręki, dostałam mdłości. Miałam wrażenie, że jest nas o wiele więcej niż czworo, tyle energii mnie kosztowało integrowanie się z rodziną. Powinnam była odmówić bardziej zdecydowanie, ale Rosemary zagrała na poczuciu winy.

– Tesso, nie możesz złamać tradycji. Nie możemy zacząć Nowego Roku bez ciebie i Ethana. Postaram się położyć Matthew wcześniej i spędzimy fajny wieczór tylko we czworo. Żadnych dzieci.

– Ale przecież urzędowałaś Dziękczynienie. Nie masz już potąd przyjmowania gości?

– No to możemy pójść gdzieś na kolację, jeśli wolisz. Tyle że w lokalu zawsze jest tak głośno... no i sporo kosztuje. A na drogach pełno szaleńców. Będę się bez ustanku martwić, czy wrócimy do domu w jednym kawałku.

Nie chciała otwierać rany. Zwykle, nic nieznaczące słowa, ale mnie zraniły. Dawniej, na początku, zdarzało się, że osoba, która je wypowiadała, natychmiast chciała je cofnąć, uświadomiwszy sobie ich znaczenie. Teraz byłam jedyną osobą, która czuła ruch ostrza.

– Może dajmy sobie po prostu z tym spokój? Mielibyście z Kevinem romantyczny wieczór we dwoje, a ja bym poszła do łóżka. Nie cierpię patrzeć, jak kupa pijaków gapi się na tę świecącą kulę, która zsuwa się po metalowym pręcie na Times Square.

– Nasi chłopcy będą rozczarowani. Przecież wiesz, jak lubią przyrządzać chińskie zarcie.

Nie powiedziałam jej tego, co najważniejsze: że przeraża mnie myśl o wkroczeniu w Nowy Rok. Najbardziej ze wszystkiego chciałam, żeby czas zatrzymał się w przeddzień piątego października, kiedy posłałam Abby do przedszkola. Nie miałam ochoty witać toastem tego, co miało być moim pierwszym pełnym rokiem w roli matki bez dziecka.

dzień 92.

Już zaczynałam się wkurzać, że nie ma żadnych wiadomości, gdy zadzwoniła Pat. Wymyśliła sposób, żeby ożywić zainteresowanie mediów naszą sprawą. Jutro w południe zwołuje konferencję prasową. W dniu, kiedy mija trzeci miesiąc od śmierci Abby.

– Wiem, że będzie dla was bolesne, ale sama pani powiedziała, że trzeba obudzić w ludziach współczucie. Musimy włączyć w sprawę media, bo to nam pomoże skłonić ludzi do przekazywania informacji, jeśli je mają. Musimy bez przerwy naciskać na policję. Sama wie to pani najlepiej. Straciliśmy mnóstwo cennego czasu.

– Wątpię, czy będę w stanie coś mówić.

– Nie będzie pani musiała. – Pat zmiękała. – Ja będę mówić, Jack będzie mówić. Poprowadzi konferencję O'Brien.

– Może pani wstąpić, żeby wziąć parę fotek Abby? Chciałabym, żeby pokazali w telewizji trochę

nowych.

dzień 93.

Zemdlałam. North skończył właśnie przekazywać mediom, jak skąpy mają materiał dowodowy i w jaki sposób ludzie mogą nam pomóc, gdy osunęłam się na ziemię. Kiedy się ocknęłam, kadr wypełniało morze ludzkich twarzy i nie mogłam skojarzyć, gdzie jestem. Dość prędko odnalazłam twarz Ethana – mieszaninę miłości i zatroskania – ale spekulacje dziennikarzy były nieuniknione.

– To musi być stres.

– Myślicie, że to pierwszy raz, kiedy usłyszała, że mają niewiele dowodów?

Ponad gwar wybił się mocny głos Pat.

– Wszystko w porządku. Po prostu nic dziś nie jadła. Proszę zejść nam z drogi.

W ogóle nie czułam, żeby moje stopy dotykały podłogi, kiedy Ethan i Pat prowadzili mnie do pobliskiej sali. Wyglądało na to, że konferencja się skończyła. Z mokrym ręcznikiem na czole i szklanką wody w drżącej ręce spytałam Pat o wrażenia.

– Chyba dobrze poszło, jak pani sądzi?

– Jeśli tylko z panią wszystko dobrze, Tesso, to jestem bardzo zadowolona – odparła. –

Konferencja to będzie główna wiadomość w serwisach lokalnych, a może nawet przebije się do centralnych.

Dobrze, że byliśmy z nią i Ethanem jedynymi osobami w tym pomieszczeniu, bo każdy inny uznałby ją za pozbawioną uczuć. Ale ja ją rozumiałam.

Ethan nie wrócił tego dnia do pracy. W milczeniu jechaliśmy do domu; odtwarzałam w myśli przebieg dnia. Zapomniałam, że siedzi obok mnie, dopóki się nie odezwał.

– Nie chciałabyś wstąpić na cmentarz?

Omali się nie roześmiałam, tak dziwnie to zabrzmiało, ale nie chciałam go zranić. Parę miesięcy temu zapytałby, czy nie mam ochoty na drinka. Dziś proponował spacer na grób naszej córki.

– Nie, ale ty idź, jeśli czujesz, że ci to pomoże. Podrzuć mnie do apteki Morgana, muszę coś kupić. Wrócę piechotą, załapię trochę świeżego powietrza.

– Nie. Nie pozwolę ci iść piechotą po tym, jak zemdlałaś. Albo stres tak na ciebie podziałał, albo jesteś chora.

Powinien był wiedzieć, że nie do mnie taka mowa.

– Przestań mną rządzić, Ethan. Rób swoje, a ja będę robić swoje. Podrzuć mnie do apteki. Po drodze kup jakieś jedzenie na wynos. Kiedy wrócisz, obejrzymy razem wiadomości. Kupiłam co trzeba w aptece. Od razu wiedziałam, co powinnam zrobić. Dziwne, że Ethan nie pamiętał ostatniego przypadku, kiedy przydarzyło mi się omdlenie.

Znowu powtórzyła się sytuacja, gdy po powrocie do domu zastał mnie skamieniałą z nieożywionym obiektem w ręce. Poprzednio ścisnęłam pokolorowaną przez Abby ramkę do zdjęć. Tym razem siedziałam na kanapie i patrzyłam na ekran telewizora, gdzie widać było twarz Abby, a potem mnie samą, osuwającą się podczas konferencji prasowej na podłogę. Przez cały czas trzymałam w ręce paleczkę, która w kilka minut przed przekroczeniem przez Ethana progu pokoju zmieniła kolor na niebieski.

Piątek, 6 stycznia, godz. 17.00

Tessa jest w ciąży.

Kiedy mi o tym powiedziała, odruchowo sięgnęłam do naszyjnika. Przez te dwa tygodnie, odkąd podarował mi go Harry, przywykłam już traktować go jako amulet. Odkąd mam naszyjnik, moi mężczyźni nie stwarzają żadnych problemów. Gdyby biżuteria była w stanie uchronić Tessę od ciężarów, jakie niesie ze sobą rola matki i żony, dałabym jej ten wisiołek.

– Cholera jasna... Przez dwa lata staraliśmy się z Ethanem o dziecko i nic. A teraz ciąża? To mało, że ironia losu, to okrucieństwo!

Znowu chodziła tam i z powrotem po gabinecie, a ja siedziałam na brzeżku krzesła. Tym razem nie próbowałam jej skłonić, żeby usiadła. Myślałam, co mam powiedzieć.

– Z pewnością ma pani wiele do przemyślenia i uporządkowania. Moją rolą jest pani w tym pomóc.

– Ethan zaczął płakać, kiedy zrozumiał. Trzymałam w ręce patyczek umoczony w siuśkach, a on krzyczał z radości. Jest w ekstazie, a ja nie potrafię się nawet cieszyć.

– Potrzebuje pani trochę czasu. W tej chwili przytłacza panią kłębowisko najrozmaitszych emocji. Z czasem przywyknie pani do tej myśli. Czy powiedziała już pani o tym komuś oprócz Ethana?

– Nie. Boję się. Ludzie pomyślą, że jestem okropna. Sama bym tak pomyślała na ich miejscu. Nie da się zastąpić jednego dziecka drugim. O Boże...

Jęknęła i padła na wyściełane krzesło, podciągając kolana pod brodę. Drobne, szczupłe ciało pozwalało jej na to – tuszę miała dopiero przed sobą.

– Może powinna pani przez jakiś czas wstrzymać się z rozpowszechnianiem tej wiadomości.

– Dlaczego? Na wypadek, gdybym straciła i to dziecko? Świetna rada, pani Celio, prawdziwy dowód zaufania.

– Miałam na myśli, że powinna pani dać sobie czas, żeby uporządkować własne uczucia. Nie musi pani nikomu nic wyjaśniać. Chcecie z mężem tego dziecka i najważniejsze, abyście oboje zdali sobie z tego sprawę.

Głowa opadła jej na kolana.

– Chce pani tego dziecka, prawda? Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie wiem, pani Celio. Nie wiem, czy chcę.

Ja wiedziałam, że chcę lana. Od pierwszej chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży.

Choć nie był to mój świadomy wybór – tak szybko, po dwóch latach – znaczyło to tylko, że nasza rodzina stanie się kompletna szybciej, niż myślałam. Bardzo pomocna była świadomość, że Harry wpadnie w zachwyty.

Powiedziałam mu o tym bez fanfar, któregoś wieczoru po kolacji. Jak zwykle, ja sprzątnęłam ze stołu, a on załadował zmywarkę. Pospolite okoliczności zaowocowały niezwyklejmi wiadomościami.

– Będziemy musieli zlikwidować ten bałagan w pokoju na górze. Jeszcze dużo czasu, ale wolę to zrobić wcześniej, zanim będę taka gruba, że nie zmieszczę się w drzwiach. Pomalujmy ściany na dowolny kolor, byle nie na różowy; czuję, że to będzie chłopiec.

Bez ostrzeżenia porwał mnie w ramiona i okręcił jak w tańcu. Wiwatował tak głośno, że złękłam się, że ją obudzi. Po cichu nie miałabym nic przeciw temu. Przyjemnie byłoby włączyć i ją do naszej radości.

Tessa nie będzie mogła w przyszłości radośnie wspominać, jak podzieliła się nowiną z mężem. Wiadomość o drugim dziecku została skażona. Mówiła, a ja słyszałam jej historię jako echo

mojej własnej, choć brzmiała trochę inaczej. Pierworodna córka utracona. Przyszłość kryjąca w sobie nadzieje związane z drugim dzieckiem. Nie w tym rzecz, czy to drugie dziecko zdoła ją zmienić; rzecz w tym, czy jedno dziecko wystarczy.

– Ethan doprowadza mnie do szafu. Opróżnił szafki z kawy i wody sodowej; jedyne, co znalazłam dziś rano, to okropna ziołowa herbata. Poszłam po talerz, a on skoczył jak zbiek i sam mi go podał, żebym nie sięgała na górną półkę. Wiem, że to objaw troski, ale muszę postawić go do pionu.

– Słuchaj, Ethan... Rozumiem, że bardzo cieszysz się z tego dziecka. Wiem, że starasz się być miły, troskliwy i tak dalej. Ale musisz z tym skończyć, bo jeśli nie, to ci powiem, kto naprawdę jest ojcem.

Popatrzył na mnie wzrokiem szczeniaka, którego właściciel trzępnął po nosie. Czasem potrafię być małpą.

– Żartowałam. Ale masz mnie zostawić w spokoju. Zaliczyliśmy już to, jak byłam w ciąży z Abby. Już wtedy doprowadzałeś mnie do szafu, a teraz podejrzewam, że może być jeszcze gorzej.

– Nic na to nie poradzę. To cud. W życiu bym nie pomyślał, że znowu mogę być szczęśliwy. – Zgniół mnie w uścisku po raz tysięczny, kładąc dłoń na moim płaskim brzuchu.

Mój stan emocjonalny to mieszanka rozmaitych rzeczy, ale nie ma wśród nich radości. Jasne, on może szaleć ze szczęścia... To ja mam rano mdłości, to ja w ciągu dnia jestem rozdrażniona, a w nocy – wyczerpana. A najgorsze dopiero przed nami.

Nie do wiary, że on już wszystko zostawił za sobą. Czasem bywa taki nieskomplikowany. Utrata Abby – smutek. Tessa w ciąży – radość. A ja nie chcę zamykać drzwi za przeszłością i iść naprzód. To tak, jakby Abby nigdy nie istniała. To, które się urodzi, nigdy nie pozna swojej siostry.

Chcę chłopca. Nie będę mieć wrażenia, że to dziecko jest zamiast. Błękit, a nie róż. Malutkie dzinsy, a nie sukieneczki. Auta, a nie lalki. Byłoby inaczej, a inaczej mogłoby być w porządku. Nie wiem, czy potrafię kochać to dziecko tak, jak kochałam Abby.

Wczoraj Celia obiecała mi, że tak.

– Kiedy weźmie pani swoje drugie dziecko w ramiona, wszystko się zmieni. Nawet pani nie podejrzewa, do jakiej miłości jest pani zdolna – powiedziała.

Wciąż sięgała ręką do szyi, na której miała naszyjnik, a nie perełki. W końcu włożyła go pod sweter.

– Kiedy malutkie paluszki zaciskają się wokół naszego palca, każde dziecko staje się nasze. – Oczy jej zabłyśły. – Pokocha pani to dziecko, pani Tesso. Znowu otworzy pani serce.

Waham się pomiędzy nadzieją, że ma rację, a lękiem, że ją ma.

Poniedziałek, 9 stycznia, godz. 8.00

Trochę mnie mdli dziś rano. Jestem strasznie podatna na sugestie, Ian chorował przez cały weekend. W sobotę Harry zadzwonił, żeby odwołać nasze plany.

– Przez całą noc puszczał pawia. Teraz już ma się dobrze, jest tylko osłabiony i nie ma ochoty na jedzenie. Nie pójdzie dziś z tobą na obiad, to pewne.

– Ale przecież powiedziałaś, że ma się lepiej. Myślisz, że to zatrucie? A może wychodził wieczorem z kolegami?

– Cała ty. Od razu zakładasz, że się nawalił. Dobrze by było, żeby choć raz na jakiś czas wyszedł z domu. Chłopak non stop siedzi w necie, nic poza tym.

– Mówiłam ci, że nie powinien wchodzić na te strony. To uzależnia, a przy tym nie masz pojęcia, z kim rozmawia.

– I ty mówisz, że to ja nie potrafię sobie odpuścić? Być może jutro będzie w lepszej formie. Dopilnuję, żeby do ciebie zadzwonił.

Ponieważ wczoraj nadal nie był w formie do wyjścia, postanowiłam sprawdzić, czy nie mogłabym jakoś pomóc.

Harry pracował w swoim gabinecie, więc łatwiej mi było zaryzykować. Podłoga w salonie zasłana była stronicami niedzielnej gazety. Na stoliku do kawy stał talerz z okruchami grzanek i szklanka niskoprocentowego piwa imbirowego.

Pokój lana sprawiał wrażenie, jakby chorował znacznie dłużej niż przez weekend. Przegnałam go na kanapę i zaczęłam doprowadzać otoczenie do ładu. Ubrania, czyste i brudne, zdawały się mieszkać na stałe raczej na podłodze niż w szufladach. W pokoju był taki odór, że styczeń nie styczeń, otworzyłam okna, żeby przewietrzyć.

Powłokłam świeżą pościel, odkurzyłam podłogę elektroluksem, pościelałam kurze i posortowałam odzież na czystą i brudną. I wtedy znalazłam jego dziennik. Nie miałam pojęcia, że go prowadzi. Powiodłam dłonią po okładce ze sztucznej skóry. Tej okładki dotykały jego ręce, gdy myślał o tym, co dla niego najważniejsze... Chciałabym się dowiedzieć, co, ale nie odważyłam się zajrzeć.

Gdybym zaryzykowała, mogłabym się dowiedzieć, czy Harry pije, czy nie. Czy Ian nadal przyjaźni się z Lacey. Czy uzależnił się od Internetu, czy jest to tak niewinna rozrywka, jak zdaje się sądzić Harry. A może napisał, że nienawidzi Aldena? Albo mnie?

Byłoby to takie łatwe... Tylko jedna stroniczka, nie więcej. Nie zaglądając do środka, uchyliłam okładkę i powiodłam dłonią po stronie. Wirując, opadła na podłogę. Natychmiast ją rozpoznałam. To Harry wybierał tę pożegnalną kartę. Nie wiadomo dlaczego uważałam, że powinno to być coś religijnego. Gołąbek wzbijający się ku niebiosom. Święta Teresa, patronka dzieci. Ale Harry wybrał coś innego: czerwony krąg zachodzącego słońca nad spokojną równiną oceanu.

Powiedział, że ona też by to wybrała. Choć nie podobała mi się jego decyzja, trudno było się spierać: tak, to właśnie by wybrała.

Zaskoczyło mnie bicie własnego serca. Podniosłam kartę i włożyłam na powrót do dziennika. Zamknęłam go. Zawsze boję się, że ktoś może przeczytać mój. Nie narażę na szwank mojej bliskości z Ianem. Nie daję mi żadnych powodów do tego, żebym naruszała jego prywatność. Nie muszę się upewniać co do słuszności moich podejrzeń ani wiedzieć o nim więcej, niż sam jest gotów przede mną ujawnić. Włożyłam dziennik do szuflady z bielizną, oglądając się na drzwi, czy nie przyłapie mnie na tym Ian lub Harry.

Z czystym sumieniem opuściłam czysty pokój i zajrzałam do lana. Może jest jeszcze coś, co mogłabym dla niego zrobić.

- Masz ochotę na rosół? Przyniosłam ze sobą wszystko co trzeba, mogę ugotować.
 - Mamo, nie chce mi się jeść. Daj już sobie spokój i wracaj. Wszystko jest okej. Chciałbym tylko jeszcze trochę poleżeć.
 - To może wezwać lekarza? Chodź, pomogę ci przejść do łóżka. A potem ugotuję ten rosół. Będziecie mieli z ojcem na obiad. A może przebrałbyś się w czystą piżamę?
 - Mamo, ja nie mam czterech lat – powiedział zirytowany, choć nie wściekły. – Zostaw mnie, okej? Chcę być sam.
- Odgarnęłam mu grzywkę z czoła. To, co powiedziałam, tylko pogorszyło sytuację:
- Nie zamierzam ci się naprzykrzać, ale to chyba normalne, że chcę się zaopiekować własnym dzieckiem.
- To już widać nie było niańczenie, tylko tłamszenie, bo wybuchnął:
- Przestań! Nie jestem żadnym dzieckiem. Może lepiej idź się zająć tym przerośniętym dzieckiem, które masz w domu!
- Mówił na tyle głośno, że wywabił Harry'ego z pracowni.
- Hej, stop, kolego. Chory jesteś czy zdrowy, nie wolno ci mówić do matki w ten sposób. Możesz już iść, C. Ian zadzwoni do ciebie, kiedy wstanie... – podniósł głos, bo Ian właśnie mijają nas oboje – żeby cię przeprosić.
- Wysłałam od Harry'ego z podwinętym ogonem. Wieczorem, kiedy czytaliśmy z Aldenem, Ian wykonał ojcowskie polecenie.
- Cześć, mamo. Sorry za dzisiejsze. Źle się czułem... i nie mogę znieść tego niańczenia. Rozumiemy się?
 - Jasne. Nie będę cię więcej traktować jak dziecko. Może za dużo sobie pozwalam. Mam nadzieję, że nie jesteś zły, że posprzątałam ci pokój.
 - Nie, nie jestem zły. Po prostu przykro mi, że widziałaś cały ten bajzel. Nie musiałaś sprzątać w szufladach. – Zawahał się przez chwilę i zrozumiałam, że mówimy o dzienniku.
 - Powkladałam tylko rzeczy do środka, ale to, co już tam leżało, pozostawiłam nietknięte. Więcej nie będę zaglądać. Znadto szanuję twoją prywatność.
 - Przepraszam, że byłem dla ciebie niemiły. Przecież chciałaś mi tylko pomóc.
 - Kiedy chłopak ma piętnaście lat, matka powinna raczej poczekać, aż ją o tę pomoc poprosi.

Wtorek, 10 stycznia, godz. 8.00

Nie do wiary, że znam Aldena dopiero rok. Zaskoczyliśmy wielu naszych znajomych, pobierając się w pół roku od pierwszego spotkania. Najpierw były wyprawy do muzeów; po nich przyszły egzotyczne kolacje. Zapoznał mnie z kuchnią malajską i kreolską. Zabierał do teatru i filharmonii. Kiedy po eksperymentalnej wersji *Kandyda* mi się oświadczył, nie namyślałam się długo. Lubił sprawiać mi przyjemność, dbał o mnie; więcej nie potrzebowałam o nim wiedzieć. Kolejny krok wydawał się w pełni logiczny. Czuliśmy się dobrze razem; pomyślałam, że może być też opoką dla lana.

Już od paru miesięcy Alden planował coś szczególnego na rocznicę naszej pierwszej randki. Nie oczekiwałam Bóg wie jakiej uroczystości; zaskoczyło *mnie*, kiedy wczoraj przyjechał do mnie do pracy.

Otworzyłam drzwi do poczekalni, sądząc, że jest pusta, a tymczasem siedział w niej on. W garniturze z tenisu, z bukietem herbacianych róż w ręce. Tak jak wtedy, wstał i wręczył mi go, tyle że tym razem kwiatom towarzyszył pocałunek.

– Najpierw pomyślałem, że pójdziemy na obiad do Pierre's, ale potem uznałem, że powinno to być coś bardziej pamiętnego.

Wyjął z kieszeni dwa bilety do opery i ułożywszy je w wachlarzyk, potrzymał mi przed oczami, tak żebym mogła przeczytać: Mozart, *Wesek Figara*.

– Na dziś? Och, jak to miło z twojej strony.

– Zadowolona? Nie masz nic przeciw temu, że wrócimy późno do domu, choć to dzień roboczy?

– Naturalnie że nie. Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu uczczenia tej rocznicy.

Mięśnie twarzy Aldena wygładziły się, postawa stała się mniej oficjalna. Wówczas zdałam sobie sprawę, że się denerwował. Poświęcił czas, żeby wymyślić dla mnie niespodziankę, i martwił się, że nie zaakceptuję tej propozycji ad hoc, bez żadnego wyprzedzenia czasowego. Choć nie lubił publicznego okazywania uczuć, pocałowałam go jeszcze raz. Pozwoliliśmy sobie na chwilę czułości w bądź co bądź mojej poczekalni i poza nami dwojgiem nie było tu nikogo. On też pocałował mnie mocno, stojąc wraz ze mną w oknie z widokiem na Verity Park.

Konferencja prasowa była w zeszły czwartek. Od tego czasu przemknęła przez gorącą linię Wenonah Falls co najmniej setka telefonów. Pat zadzwoniła, żeby mnie uprzedzić: sprawa oficjalnie znalazła się z powrotem w świetle jupiterów.

– Chcę, żeby pani wiedziała: kiedy włączy pani telewizor czy weźmie do ręki gazetę, z dużym prawdopodobieństwem może się pani natknąć na wzmiankę o Abby – powiedziała. – Ponieważ dyspozycje idą z góry, niektóre lokalne media wyznaczyły dziennikarzy, którzy pilnują sprawy i reagują na każdą informację.

– To chyba dobrze, prawda? Im więcej mediów, tym więcej wiadomości. Ile z nich jest wiarygodnych?

– Większość to humbug. North z kolegami przeczesują je i wyłapują te, w których może być ziarno prawdy. – Urwała. – Pani Tesso, wiem, że on wygląda młodo, ale skończył trzydziestkę i jest naprawdę dobry. To jego szansa, żeby się pokazać, więc będzie się starał, dla pani i dla siebie samego.

Wyglądało, że sporo wie o ambitnym detektywie. Ale ja chciałam wiedzieć więcej o doniesieniach prasowych.

– Czy może mi pani powiedzieć, z czym dzwonią ludzie? Płacimy pani za to, żeby nas pani informowała o tym, co dla nas ważne – rzuciłam pierwsze pytanie testujące.

– Podają wszelkie możliwe marki samochodów. Niektórzy wymieniają nazwiska konkretnych osób. Kiedy się pogrzebie dokładniej, okazuje się, że zwykle stoi za tym osobisty problem informatora. Wie pani... trudny rozwód, utrata pracy. Albo jakiś chłopak chce wpakować w kłopoty innego chłopaka. Policjanci potrafią oddzielić ziarno od plew. Szukają istotnych wątków.

– Proszę posłuchać, Pat. Najwyraźniej jesteście z Jackiem dosyć blisko. Nawet jeśli nie zna pani jeszcze tych istotnych wątków, z pewnością potrafi znaleźć sposób, aby dowiedzieć się co trzeba.

– Nie pozwolę, żeby kolejna osoba pogrywała sobie ze mną. – No więc powie mi pani, czy będę musiała dręczyć Northa?

– Dopadła mnie pani. – Zaśmiała się lekko. – Między detektywem Northern a mną nic nie ma. Nie znaczy to, że nie wiem, jak uzyskać potrzebną informację. Musi mi pani zaufać. Kiedy będę mogła powiedzieć, co mi wiadomo, powiem. Jeśli czegoś nie mówię, to znaczy że mam powód. Nie będę pani traktować jak dziecko, wiem, że pani tego nie cierpi. Musi mi pani obiecać, że nie będzie się wtrącać w śledztwo. Zgoda?

Znalazłam sposób, żeby mówić, ale nic jej nie obiecałam. Nikomu nic nie będę obiecywać.

Sto dni. Przeżyłam sto dni bez Abby. Pogoda drwi sobie ze mnie: jaskrawe słońce i dość wysoka jak na styczeń temperatura. Powinno być zimno i ciemno, podobnie jak zimno i ciemno jest we mnie. Przez cały ranek dotykałam jej rzeczy. Kolejno brałam do ręki lalki Barbie, żeby zobaczyć, jak je po raz ostatni ubrała. Jej ulubiona, imieniem Trixie, miała na sobie przejrzystą nocną koszulkę z dekoltem i wyglądała tak, jak sugerowało imię – jak kociak. Pod koszulką sterczały plastikowe piersi: główny powód, dla którego byłam przeciwna tym głupim lalkom. Rosemary, która nie ma córki, zwykła mawiać: „Daj spokój, Tessa. Wszystkie dziewczynki w wieku Abby bawią się tymi seksistowskimi zabawkami. Musisz się z tym pogodzić. Przestań się,

na litość boską, dręczyć wyimaginowanym problemem, że zacznie się głodzić. Będziemy się martwić, jak będzie miała trzynaście lat”.

Abby nigdy nie będzie miała trzynastu lat. Ma cztery. Od stu dni ma cztery. I przez resztę mego życia będzie mieć cztery.

Poniedziałek, 16 stycznia, godz. 8.00

Wszystko tak dobrze się układało. Rozmawialiśmy z Harrym spokojnie, Ian i Alden nie pokłócili się od Dziękczynienia. Znalazłam sposób, by zdusić płomień walki, który tak często wybuchał między mężczyznami, których kocham. A potem Harry i Alden się spotkali. To spotkanie było gorsze niż wszystkie dotychczasowe razem wzięte.

Ponieważ Harry nadal nie mógł prowadzić, a znowu zrobiło się zimno, pomyślałam, że jeśli podrzucę im trochę zakupów, zasili to oliwną gałąź między nami.

– Alden, zostań w samochodzie, a ja zaniosę im te torby, dobrze? To tylko chwilka. A potem pojedziemy do kościoła i na śniadanie gdzieś w knajpce. – Mówiłam lekkim, pogodnym tonem. Nie przewidywałam jakichkolwiek obiekcji.

– Skoro już zrobiłaś zakupy, Celio, to zgadzam się. Ale proszę, nie rób z tego zwyczaju. On jest dorosły. Powinien poczuć na własnej skórze skutki swojego postępowania. Jeśli zakupy w styczniu stanowią dla niego problem, moim zdaniem jest to słuszna kara. Zwłaszcza po tym, co przez niego przeszłaś.

Z perspektywy czasu oceniam, że powinnam była przewidzieć brak entuzjazmu ze strony Aldena, ale ku memu zaskoczeniu okazało się, że i Harry nie jest zachwycony.

– Co cię sprowadza, C? Umówiliśmy się chyba, że zadzwonisz, jeśli będziesz chciała widzieć się z Ianem. Mam w domu bajzel. – Głos miał zniżony, a drzwi zaledwie uchylił. Nie zaprosił mnie do środka.

– Przyniosłam wam trochę jedzenia. – Uniosłam plastikowe torby. – W tę pogodę trudno iść piechotą na zakupy. No i pomyślałam, że może Ian miałby ochotę pójść z nami do kościoła, a potem na śniadanie? Chętnie go zabierzemy.

– Sam mogę, psiakrew, zrobić zakupy. Wiem, że chłopak jest chudy, ale potrafię zadbać, żeby miał co włożyć do ust. A co do kościoła, to szczęśliwej drogi. Jeszcze nie wstał.

Miałam dobre intencje, a na trzy osoby dwie uznały je za obraźliwe. Przyniosłam do kościoła moje niezamierzone złe uczynki, modląc się, żeby był to tylko mały objazd na drodze do pokoju w mojej tak zwanej rodzinie. Ale tak się nie stało. Najwyraźniej objazd będzie długi.

Po mszy poszliśmy z Aldenem na śniadanie do Betty Ann. Zamówiliśmy omlety i pieczywo kukurydziane – i wtedy zadzwonił znajomy dzwonek. Podniosłam głowę: do kawiarni wchodzili Harry i Ian. Harry rozejrzał się, wypatrując wolnego miejsca. Dwa niezręczne spojrzenia strzeliły w stronę naszej wnęki i z powrotem do drzwi.

– Chodźcie do nas, proszę. Przy naszym stole jest dużo miejsca – powiedziałam.

Alden popatrzył na mnie, jakbym straciła rozum. Ale Ian jest moim synem. Nie będę siedzieć w restauracji przy innym stoliku niż moje dziecko, bo dwóch dorosłych facetów nie potrafi się zdobyć na cywilizowaną formę kontaktu.

Szybko jednak przypomniał sobie zasady etykiety, którą tak umiejętnie posługuje się w miejscach publicznych. Wstał i wyciągnął rękę do Harry'ego. Harry skinął głową, ignorując wyciągniętą dłoń, i zajął miejsce obok mnie. Alden usiadł, Ian rzucił Harry'emu ostre spojrzenie i przycupnął na rogu po stronie Aldena, jak najdalej od niego. Z miejsca wiedziałam, że popełniłam wielki błąd.

– Co byś powiedział na solidne śniadanie? – zwróciłam się do Iana. Alden przybrał ton serdeczno-familiarny. Czyżby sądził, że uda mu się zagrać bliskość z Ianem i zrobić w ten sposób wrażenie na Harrym?

– O, Ian lubi solidne śniadanka. To co zjesz, synu? Spróbowałam zatrzeć tę uwagę:

– Idzie kelnerka. Masz ochotę na naleśniki z truskawkami?

– Nie, dzięki. Nie chce mi się jeść. Tata mnie tu zaciągnął, powiedział, że w domu nie ma nic do jedzenia.

– To zabawne – powiedział Alden do lana, patrząc jednak na Harry'ego. – Czy ojciec ci nie powiedział, że moja żona przywiozła wam dziś zakupy żywnościowe?

Serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłam w spojrzeniu lana posępne rozczarowanie.

– Nic nie mówiłeś, że była u nas mama.

– Spałeś, chłopie. Nie miałem kiedy ci powiedzieć. – Harry rzucił Aldenowi ostrzegawcze, gniewne spojrzenie. – Nie chciało mi się wyciągać cholernych garnków. Czy to zbrodnia?

– Nie, to w pełni legalne – odparował Alden. – Po prostu sądzę, że nie należy dorzucać kłamstwa do listy spraw, które już zdążyło się zaprezentować synowi jako wątpliwy wzorzec.

Zaparło nam dech – Harry^{mu}, Ianowi i mnie. Harry powoli się podniósł. Ścisnął lana za ramię, dając mu jasno do zrozumienia, że nie będzie żadnych naleśników. Chyba powstrzymał się ze wszystkich sił, żeby zapanować nad odruchami ciała. Nie zapanował nad głosem.

– Słuchaj no, koleś: ty nie masz syna. Owszem, masz żonę, która – na wypadek, gdybyś zapomniał – . kiedyś należała do mnie. Nie zawsze zachowywałem się jak należy, nie da się ukryć. Ale nie odgrywaj tu jedynego sprawiedliwego, skoro tak się pośpieszyłeś, żeby ją nam zabrać. Spadamy, Ian.

Kelnerka sprawiała wrażenie, jakby oglądała tę scenę wcześniej. Postawiła przed nami zamówione jajka z takim hałasem, że zagłuszył trzaśnięcie drzwiami.

– Czy potrzebują państwo czegoś jeszcze?

Głupie pytanie. Potrzebuję jeszcze mnóstwa rzeczy. Ale jej chodziło o jedzenie.

Zawsze, lubiłam doktora Hilliarda. Ma wygląd dziadka i to pozwala mi ufać, że dysponuje wszelkim niezbędnym doświadczeniem. Nawet jeśli muszę włożyć stopy w ten idiotyczny przyrząd męskiego pomysłu, potrafi sprawić, że czuję się tak, jakbym była wszędzie, tylko nie tu, gdzie jestem – obnażona i wyeksponowana. Odpowiada mi, że bada mnie doświadczonymi dłońmi, ale rozmowę zostawia na później. Kiedy znów mam na sobie majtki.

– Dziękuję za kwiaty i za kartkę kondolencyjną. To wiele dla mnie znaczy – powiedziałam. – Przyznaję, że nie od razu ją przeczytałam. Długo nie byłam w stanie czytać kondolencji, aż do niedawna.

– Naprawdę jest mi bardzo smutno, kiedy umiera dziecko, któremu pomogłem przyjść na świat. W pewnym sensie są to także moje dzieci. – Rzucił spojrzenie na bank fotografii.

Wystarczy spojrzeć na pasiastą ścianę pokrytą zdjęciami dzieci i człowiek mu wierzy. Jego dzieci. Dzieci jego dzieci. Dzieci pacjentów.

– Cieszy się pan czy raczej smuci, że będzie przyjmować moje kolej. na dziecko?

– Każde życie jest bezcenne. Abby była skarbem, i to dziecko też będzie. Wydanie dziecka na świat to zawsze niełatwa sprawa. Oznacza to, Tesso, że będziesz miała mnóstwo zadań do wykonania.

– To prawda. Sama czuję się przytłoczona.

– Będę z tobą szczery, dziecko – zaczął. – Niepokoi mnie wpływ, jaki może mieć na dziecko twój obecny nastrój. Z każdym dniem coraz silniejsze są związki między ciałem i umysłem matki a rozwijającym się dzieckiem. Nie mówię, żebyś przestała być w depresji, to niemożliwe. Zależy mi jednak, żebyś miała nad tym kontrolę.

– Nie będę przyjmować antydepresantów. Brałam przez pierwszy miesiąc, ale tylko dlatego, że Rosemary je we mnie wmuszała. Nie miałam siły z nią walczyć. Ale raz na tydzień chodzę na terapię.

– Czy te spotkania ci pomagają?

– Niechętnie to przyznaję, ale tak. Terapeutka, chociaż trochę sztywna, troszczy się o mnie... i pomaga mi mówić o sprawach, o których chyba nie odważyłabym się rozmawiać z nikim innym.

– To świetnie. Niełatwo znaleźć dobrego terapeuty.

– Tak samo jak dobrego lekarza?

Uśmiechnął się, ukazując idealne uzębienie. Ciepło, jakim promieniał, i serdeczna troska o mnie sprawiły, że przez chwilę żałowałam, iż nie jest moim ojcem.

– Masz jakieś pytania, zanim pójdziesz ustalić termin następnej wizyty?

– Tak... ale proszę nie myśleć, że to trwały problem. To się zdarzyło tylko raz... i jeszcze nie wiedziałam wtedy, że jestem w ciąży.

– Śmiało. Nie masz pojęcia, jakie wyznania miały miejsce w tym gabinecie.

– Upiłam się w Dziekczynienie. Czy jednorazowe nadużycie alkoholu mogło uszkodzić płód? Otworzył kalendarz i liczył dni długim wskazującym palcem.

– Powiem tak: pozostaw to zmartwienie w tym gabinecie. Nie istnieje coś takiego, jak bezpieczna ilość alkoholu, jaką można wypić w czasie ciąży, ale stało się. Biorąc pod uwagę sugerowaną datę poczęcia, byłaś w ciąży zaledwie parę dni, góra tydzień. Alkohol jest najbardziej niebezpieczny trochę później, kiedy rusza galopem rozwój mózgu dziecka. Najważniejsze, żeby nie pić teraz. Znam cię, Tesso, więc wiem, że zrobisz wszystko co należy, żeby dziecko było zdrowe.

Termin następnej wizyty mam w lutym. Termin porodu – latem. Wyszłam z gabinetu z przekonaniem, że doktor Hilliard przeprowadzi mnie bezpiecznie od jednej daty do drugiej.

dzień 109.

Ethan krzyknął na mnie tak głośno, że drgnęłam i otworzyłam oczy. Zdrzemnąłam się w bujanym fotelu Abby. Pokręciłam głową, żeby usunąć ból karku. Musiałam chyba na chwilę odplynać.

Wiedziałam, że nie przyjdzie tu do mnie, więc ruszyłam ku schodom. Stał na podeście piętra. Szczęki miał zaciśnięte, w ręce kartkę papieru.

– Co to jest, do diabła?

W głowie mi zawirowało. Gdzie ja zostawiłam listę i notatnik? Na pewno wepchnęłam wszystko z powrotem do torby konduktorki i zostawiłam w pracowni.

– Tessa, dlaczego ty zawsze wszystko musisz robić sama?

– Zaraz ci wytłumaczę. – Zamilkłam, bo nie miałam pojęcia, jak się wytłumaczyć z prywatnego śledztwa, które prowadzę.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? – Ja...

– Chętnie bym z tobą poszedł. To przecież także moje dziecko.

Ostatnie słowa wsiąkły w tapetę w jodełkowy wzór; zszedł po schodach do pokoju. Ruszyłam za nim. Padł na kanapę, rzucając na stolik mój ciężowy arkusz.

Usiadłam w fotelu pod oknem. Dobrze, że nie powiedziałam mu o liście. Jeszcze nie musi wiedzieć.

– Nic nie straciłeś. To rutynowe badanie. Przed tobą jeszcze mnóstwo innych wizyt.

– Nie o to chodzi! Mogłaś powiedzieć: Hej, Ethan, idę dziś do lekarza. Czy to naprawdę taki problem?

Miał minę małego chłopca, którego na gimnastyce nie wybrano do gry w piłkę. Położył rękę na czole i zamknął oczy. Bardzo się starał, żeby nie wybuchnąć. Nie darowałby sobie, gdyby na mnie krzyknął, kiedy jestem w ciąży. Zresztą jak nie jestem w ciąży, też na mnie nie krzyczy.

– Nie zamierzałam cię odrzącać – powiedziałam. – Po prostu potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić.

– A moje potrzeby się nie liczą? Pomyślałaś o tym chociaż raz? – Wstał z kanapy i nie mówiąc więcej ani słowa, wyszedł.

Nie cierpię, kiedy w ten sposób zamyka temat.

Poniedziałek, 23 stycznia, godz. 16.00

Z notatnikiem w jednej ręce i piórem w drugiej spisywałam jak zwykle wiadomości z sekretarki. Nagle gabinet wypełnił niemożliwy do pomylenia głos Harry'ego.

– To ja. Zadzwoń do mnie po pracy. Muszę ci coś powiedzieć.

Mówił obojętnym, bezbarwnym głosem. Nigdy nie lubił się usprawiedliwiać... Tak mi się śpieszyło, żeby oddzwonić, że odsłuchiwałam pozostałe wiadomości piąte przez dziesiąte.

Słuchając czwartej z kolei wiadomości z liceum, zdałam sobie sprawę, że Harry nie dzwonił po to, żeby obalić mury.

Sekretarka z liceum chciała umówić mnie albo Harry'ego na spotkanie z dyrektorem. Powiedziała tylko, że dyrektor chce z nami porozmawiać na temat lana.

Wyłączyłam sekretarkę i zadzwoniłam do Harry'ego.

– Sea Change Boatworks. Harry Hayes, słucham.

– Odsłuchiwałam twoją wiadomość. I ze szkoły w sprawie lana.

– Mówiłem, żebyś zadzwoniła po godzinach. – Głos miał burkliwy, jak zawsze, gdy rozmawiał w pracy, a klienci wpatrywali się w niego, czekając, aż skończy. – Mam pilne zamówienie.

– Jest styczeń, na litość boską. Co to za pośpiech?

– Już dzwoniłem do szkoły. Umówiłem nas jutro na drugą.

– W środku dnia? Nie mogłeś ustalić bardziej dogodnego terminu? Powiedzieli, o co chodzi?

– Nie musisz przychodzić. Pewnie będzie coś o tym, że pracuje poniżej możliwości i stać go na więcej. Sam to załatwię. – Powiedział coś, czego nie dosłyszałam, i zdałam sobie sprawę, że mówił do kogoś innego.

– Oczywiście że przyjdę. Po prostu mogłeś się lepiej zastanowić nad porą, to wszystko. Będę musiała zmienić pacjentom terminy, a z tak niewielkim wyprzedzeniem... no, będzie trudno.

– Jasne, jasne. Jeżeli możesz przyjdź, jeśli nie możesz, odpuść. Zadzwoń do mnie później. Muszę kończyć, mam klientów.

Klik. Sygnał.

Nie cierpię takiego przerywania rozmowy. Miałam jeszcze sporo do powiedzenia i zamierzałam wydusić z Harry'ego coś więcej.

Ian odebrał po pięciu sygnałach. Mówił charakterystycznym głosem usiłującym zamaskować senność.

– Mówi mama. Spałeś? – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to jak oskarżenie. – Jest piąta po południu.

– Zdrzemnąłem się przy lekcjach. Ta chemia działa jak pigułka nasenna. Pan Gordon powinien opatentować swój wynalazek.

– Ze szkoły zadzwonili do taty i do mnie. Dyrektor Castigan chce się z nami jutro spotkać. Nie wiesz, dlaczego?

Gdybyśmy rozmawiali przez komórkę, pomyślałabym, że urwał się zasięg.

– Ian? Jesteś tam?

– Tak... jestem. Jest zły, bo mam trochę nieobecności. Wciąż mówi, że stać mnie na więcej.

Ciekawe, jak jemu by szło, jakby miał chemię z tym facetem... z panem Gordonem.

– To dlaczego nie spotykamy się z wychowawcą albo z nauczycielem, skoro chodzi o stopnie?

Spotkanie z dyrektorem sugeruje coś poważniejszego, tak czy nie?

– Nie wiem. Chciałbym, żebyście mi wszyscy dali święty spokój. Szkoła. Tata. Jak jeszcze ty się przyczepisz, nie wytrzymam.

– Chcemy ci tylko pomóc.

– To żadna pomoc, jeśli się na mnie krzyczy. Za tydzień koniec semestru. Powiedz wszystkim, żeby się ode mnie odczepili. Postaram się.
– Nikt na ciebie nie krzyczy. Martwimy się, bo uczelnie biorą pod lupę każdy kolejny rok. Nie ma tu zbyt wielkiej przestrzeni na błąd.
– Uczelnie – powiedział ze znużeniem. – Może lepiej, mamó, żeby się zabrał do nauki. Zadzwoń później.
Klik. Sygnał.
Po raz kolejny więcej miałam do powiedzenia, niż dane mi było wypowiedzieć.

Środa, 25 stycznia, godz. 8.00

Nigdy w życiu nie byłam wzywana do gabinetu dyrektora, żeby dostać naganę. Siedząc wczoraj, miałam nieodparte wrażenie, że oboje z Harrym będziemy skarceni za złe rodzicielstwo.

Obawiam się, że nie pomoże postawienie nas do kąta.

Gabinet szczelnie wypełniały książki, papiery, stopy teczek, choć okazał się większy, niż można się było spodziewać.

Dyrektor Castigan włożył dziś ubranie stosowne do funkcji niż ostatnim razem. Ciekawe, czy celowo zadbał o przykrycie wytatuowanych przedramion i włożenie krawata, czy wtedy, przed paroma tygodniami, miał wolne.

– Państwo Hayes? Witam.

– Hayes to ja. Była żona nazywa się Reed – powiedział Harry.

– Przepraszam, pani Reed. – Nie podniósł się ani nie podał nam ręki. Nie sądzę, żeby nasze nazwiska miały dla niego jakieś znaczenie.

– Tak czy inaczej, wezwaliśmy dziś państwa, żeby podzielić się naszym niepokojem w związku z Ianem. – Wskazał ręką siedzącą w kącie wychowawczynię lana, pannę Lapin. Zapragnęłam w duchu, żeby dyrektor Castigan zamienił się z nami miejscem, tak by to on miał kłopot.

– Jak państwo wiedzą, Ian jest niezwykle bystrym młodzieńcem, z wielkim potencjałem osiągnięć. Ostatnio ma kłopoty z frekwencją. Czy dzieje się coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Czym chcieliby się państwo z nami podzielić?

Ścisnęłam w rękach torebkę. Nie miałam do powiedzenia nic, co mogłoby stanowić wyjaśnienie, dlatego więc przemówiłam, pozostaje dla mnie tajemnicą.

– Wiemy, że wcześniej Ian miał niezbyt dobre stopnie i że stać go było na więcej, ale w tym semestrze trzymamy rękę na pulsie. Prawda, Harry?

Harry spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił: cicho bądź. Siedział na krześle zarezerwowanym dla złych rodziców i drapał się w głowę. Nie tylko ja byłam zaskoczona. Dyrektor Castigan westchnął i zapewne pomyślał; znowu rodzice, którzy o niczym nie mają pojęcia.

– W takim razie jest to jeszcze bardziej niepokojące, bo Ian ma D ze wszystkich przedmiotów oprócz angielskiego. Nie przychodzi na lekcje nawet kiedy jest w szkole, co ostatnio nie zdarza się zbyt często. Dwanaście dni nieobecności.

Już miałam spytać, czy ostatnio znowu był nieobecny, kiedy wtrącił się Harry.

– W zimie dużo chorował, to wszystko. Przeziębienia, grypa, rozumie pan. Nic dziwnego, że został w tyle, nawet jeśli się starał.

Jasne: Harry usprawiedliwiał lana. Zdecydowałam się zburzyć pozorowaną jedność, choć dobrze wiedziałam, że go to zdenerwuje.

– Panie dyrektorze, domowa sytuacja lana uległa zmianie. Na początku semestru przeprowadził się do ojca. Nie zamierzam dyskredytować Harry'ego, ale chciałabym wiedzieć więcej o pana

niepokojach, tak bym mogła mu pomóc. Nawet na odległość.

– Dzięki, C. Wepchnęłaś mnie pod autobus.

– Co mówią o jego postępach nauczyciele? – spytałam. Niewątpliwie dyrektor Castigan nie po raz pierwszy miał do czynienia z podobną sytuacją.

– Zdaniem nauczycieli Ian nie jest tym samym chłopcem co w zeszłym roku. Powiem wprost: wydaje nam się, że Ian jest w depresji. Ta powtarzająca się absencja i nie dość dobre oceny to sygnały poważniejszego problemu. Sądzymy, że należałoby skonsultować się z psychiatrą. Być może powinien przyjmować leki. – Panna Lapin potwierdzała skinieniem głowy każde słowo dyrektora.

Konsultacja psychiatryczna. Przyjmowanie leków. Ci ludzie z zewnątrz – pracownicy oświaty, nie lekarze – twierdzą, że mój syn jest w depresji. Oni nie mają kwalifikacji, żeby stawiać diagnozę! Ian wiele przeszedł. To tylko stres, a nie żadna depresja.

Harry wyszedł spod autobusu.

– Chwileczkę. Z chłopakiem wszystko w porządku. Jego matka jest terapeutką, ekspertką od depresji. Nie sądzicie państwo, że gdyby syn miał depresję, wiedziałyby o tym? Dziękujemy, że nas państwo powiadomili. Będziemy kontrolować sytuację.

Wstał, więc ja także wstałam. Wstała nawet drobna panna Lapin. Harry wyszedł zdecydowanym krokiem z dyrektorskiego gabinetu, a ja za nim. Poza stukiem obcasów dźwięczało mi w uszach tylko jedno słowo: „depresja”. Ściany korytarza pokrywały plakaty: zbliżały się wybory do szkolnego samorządu. Lacey kandydowała do rady szkoły. Chłopak nazwiskiem Marshall Kirby – na prezesa klasy, Ian był najwyraźniej zbyt przygnębiony, by włączyć się w kampanię.

Spojrzałam na Harry'ego. Wzrok miał utkwiony w drzwiach. Gorączkowy, spieszny krok zdradzał, że się w nim gotuje. Gdybym miała typować, na kogo jest zły, nie postawiłabym na dyrektora, choć źle ocenił Harry'ego jako rodzica. Ani na Iana: nigdy nie widziałam, żeby Harry był na niego wściekły. Postawiłabym na siebie.

dzień 113.

Wiedzieliśmy, że mają przyjść. Niespokojnym krokiem przemierzałam kuchnię, a Ethan szalał z odkurzaczem. Można by pomyśleć, że spodziewamy się agenta nieruchomości, a nie naszej prawniczki i policyjnego detektywa. Usiedliśmy przy kuchennym stole – Pat, North, Ethan i ja – całkiem jakbyśmy w restauracji czekali na pojawienie się kelnera. Nie wysiliłam się, by zaproponować im coś do picia. Podobno mieli dla nas wiadomość. Czułam dziwny podniecający niepokój. Czy byłabym podekscytowana także wtedy, gdyby North powiedział, że kogoś aresztowali?

Ich postawa i nachylenie głów sugerowało, iż uważają wiadomość za dobrą. Kiedy ją jednak usłyszałam, okazało się, że dobra nie jest.

– Zidentyfikowaliśmy dwie osoby, które mogą wchodzić w rachubę.

– North podniósł dwa palce.

Pat wyjęła notatki.

– Jedna to mężczyzna dwukrotnie zatrzymany za jazdę pod wpływem alkoholu. Właśnie zakończył odwyk. Wiadomość pochodzi od jego eksmałżonki.

Niby w meczu tenisowym, przejął piłkę North.

– Problem w tym, że po przesłuchaniu go nie mam jasności, czy wchodzi w grę, czy nie.

Kryminolodzy badają jego samochód. Kiedy skończą, będziemy wiedzieć więcej.

– Jak się nazywa? – Ethan wyjął mi to pytanie z ust. Słyszałam tykanie kuchennego zegara.

– Neil Ford. Mieszka w Wenonah Falls.

Znałam to nazwisko. Neil Ford figurował na liście recydywistów, którą przekazała mi Melanie. Był właścicielem Clean Closets w Corcoran Village. Nie pisałam słowa ani o nim, ani o liście. Leżała, bezpiecznie schowana, w mojej szufladzie z bielizną. Niczym uzależniona dokładnie wiedziałam, kiedy dotykałam jej po raz ostatni: trzy dni temu.

– A ta druga osoba? – spytałam.

– Młodzik. Dwadzieścia jeden lat, nazywa się Niceo Julian. Ma na koncie dosyć długą listę pomniejszych wykroczeń. – North mówił z pamięci. – Jego szef twierdzi, że piątego spóźnił się do pracy. Był roztrzęsiony, miał śliwkę pod okiem i wgniecenie na karoserii. Utrzymuje, że zaliczył niegroźną stłuczkę. Kryminolodzy badają również jego samochód.

– Kiedy będziecie wiedzieć coś więcej? – Ethan lubił precyzję czasową.

– Jeśli jest pan człowiekiem wierzącym, na pańskim miejscu modliłbym się o cierpliwość i trochę szczęścia. Potrzebne są dane kryminologiczne, aby udowodnić bez cienia wątpliwości, że to jeden z tych wozów. Żeby aresztować kogoś z podejrzanych, musimy dysponować śladami DNA i pewnymi dodatkowymi danymi sytuacyjnymi, które świadczyłyby przeciw niemu.

– W takim razie czekamy – powiedziała Pat. Tak jakbyśmy dotąd robili coś innego.

dzień 115.

Zmienia mi się ciało. Jeśli poczęłam to dziecko tamtego wieczoru, kiedy kochaliśmy się z Ethanem po raz pierwszy po utracie Abby, to jestem w dziewiątym tygodniu. Lubię myśleć, że to wtedy. Nigdy nie czułam się z Ethanem tak blisko, odkąd zaczął się ten koszmar.

Podczas ciąży moje piersi osiągnęły szczyt formy – trochę dlatego, że kiedy nie jestem w ciąży, praktycznie nie istnieją. Brzuch mi się już leciutko zaokrąglił; przypomina to rośnięcie ciasta. Z Abby długo nic nie było widać, aż nie mogłam uwierzyć, iż spodziewam się dziecka; jedynie

mdłości mi o tym przypominały. Celia powiedziała, że kiedy była w ciąży z synem, już po ośmiu tygodniach zaczęła nosić ciążowe ubrania. Łatwo i chętnie dzieli się ze mną różnymi szczegółami na temat swojej ciąży i macierzyństwa. Co do mnie, to przez ostatnie trzy miesiące sporo schudłam, więc trochę potrwa, zanim będę potrzebować specjalnych ciuchów.

Nie mogę nosić tych, do których wzdychałam przez niemal pięć lat. Spodnie za kolano, bladofiołkowe w białe kwiaty. Turkusowa spódniczka – biodrówka. Dżinsy, wygodniejsze niż którekolwiek z tych zwykłych. Nie, nie potrafię włożyć na siebie rzeczy, które nosiłam podczas ciąży z Abby. Przechowałam je nie wiadomo po co.

W zeszłym tygodniu mdliło mnie trochę mniej i rzadziej miałam zawroty głowy. Wstaję teraz wolniej, żeby ciśnienie krwi nadążało za ruchem, i lepiej się odżywiam. To ważne, by Ethan widział, że dbam o siebie. Im więcej jem i sprawiam wrażenie, że wychodzę na spacer, tym chętniej daje mi spokój. Nie jestem, jak on, podekscytowana i gotowa, by znowu stworzyć rodzinę. Nie jestem też zazdrosna. Tylko o tym przecież zawsze marzył. Nigdy nie sądziłam, że mężczyzna może pragnąć ojcostwa równie silnie jak kobieta macierzyństwa.

Pamiętam, jak powiedziałam mu, że jestem w ciąży z Abby. Nazajutrz wrócił do domu obładowany prezentami. Usłyszałam, że podjeżdża, i wyszłam mu naprzeciw z zamiarem molestowania, żebyśmy poszli na obiad do lokalu.

– Zamknij oczy. – Uśmiechnął się tajemniczo.

Kiedy je otworzyłam, teczka stała na ziemi u jego stóp, a ręce trzymał za plecami – Ence pence, w której ręce?

– Co ty wyprawiasz? – Roześmiałam się. Wiedziałałam, że za chwilę wydarzy się coś fajnego.

– Och, no dobrze. I tak będziesz musiała sprawdzić w obu. – Był trochę zmieszany. Wyciągnął ręce i pokazał.

Dwa pudełka. Jedno opakowane w bibułkę tęczową, drugie w niebieską. Usiadłam na ławce koło drzwi, a on wcisnął się obok.

Najpierw otworzyłam to lżejsze. W pudełku był królik przytulanka w kolorze kakao. Ucisnęłam go, a potem Ethana.

– Mięciutki, prawda? Nie ma żadnych guzików ani nic, co mogłoby jej zrobić krzywdę. I wiedziałam, że kolor ci się spodoba. Przypomina mi Tootsie Roli.

– Tootsie Rabbit – poprawiłam. – A co jest w drugim pudełku? Tylko mi nie mów, że to rękawica bejsbolowa.

Podał mi pudełko niebieskie. Kiedy podniosłam wieczko, zobaczyłam w środku drewniany model okrętu.

– Piękny. – Położyłam głowę na ramieniu Ethana i powiodłam ręką po okręcie. – A jak będziemy mieć chłopca, który lubi króliczki, albo dziewczynkę, która uwielbia statki?

Wiedział, że robię sobie żarty. Był specjalistą w ignorowaniu moich drwin.

– Będą mieć jedno i drugie. Albo zrobimy sobie więcej dzieci. – Pogładził mój brzuch, pocałował w szyję.

Dziś po wizycie u Celi postanowiłam, że tym razem to ja będę dawać prezenty. Tak naprawdę to Celia podsunęła mi ten pomysł. Powiedziała, że wcale nie musimy z Ethanem reagować identycznie na to dziecko. Używała takich słów jak „podróż” i „przyszli rodzice”. Szłam do drzwi, kiedy położyła mi rękę na ramieniu.

– Zwłaszcza po tej stracie powinna pani dać sobie czas, żeby dotrzeć do punktu, w którym poczuje się pani gotowa do bycia matką. A Ethan niech podróżuje we własnym tempie. Jest pani inteligentną kobietą, Tesso, więc wiem, że potrafi pani znaleźć sposób, żeby mógł skanalizować swój entuzjazm bez – jak to pani mówi – wkurzania pani.

Kiedy z ust Celi padło słowo „wkurzanie”, o mało nie parsknęłam śmiechem. Stłumiłam odruch,

bo nie chciałam jej wprawiać w zakłopotanie. Wypluła to z siebie, niczym Abby, kiedy pierwszy raz spróbowała brokułów. Nie powiem, ujęła mnie tym, że stara się wytworzyć między nami jakąś więź, używając słów z mojego słownika, żeby nazwać rzecz po imieniu. Ostrych, ciętych. A rada była celna.

Po drodze do domu wstąpiłam do Papier's Stationers. Abby miała swój dzienniczek niemowlęcia; to dziecko też zasługuje na taką książeczkę. Tyle że nie ja będę ją prowadzić. Pozwolę Ethanowi rejestrować jego podróż w czasie. To pierwsza rzecz, którą kupiłam dla mojego drugiego dziecka.

Kiedy wręczyłam ją Ethanowi, można było pomyśleć, że podałam mu żywe dziecko. Wyciągnął rękę z dziennikiem, żeby przyjrzeć się okładce, tym wszystkim gwiazdkom i księżycom, pokrywającym ją z góry na dół.

– Chcesz, żebym ja to robił? – spytał. – Jesteś pewna? To znaczy... z największą przyjemnością, ale czy jesteś pewna?

Nie drażniłam się z nim. Nie chciałam pomniejszać znaczenia tego gestu.

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Otworzył dziennik.

– Zobacz, jaką refleksją się zaczyna. „Wkrótce urodzi się twoje dziecko. Pisz, co czujesz w związku z tym. Na pewno napiszesz mnóstwo miłych rzeczy. Każde dziecko zasługuje na miłość i akceptację”.

Zamknął dziennik i położył go na blacie. Nie chciał, żeby łyzy splamiły stronę. Może wcale nie tak łatwo będzie mu zacząć.

Sobota, 28 stycznia, godz. 14.00

Oglądając się za siebie, przekręciłam klucz w zamku. Położyłam rzeczy na biurku, a przy okazji potraściłam talerz z cukierkami, które trzymam dla pacjentów. Miętówki rozsypały się po podłodze, a ja poczułam się jeszcze bardziej niepewnie. Byłam sama w całym budynku. Inne biura już zamknięto, nie miałam umówionych pacjentów. Zostawiłam drzwi otwarte, żeby nie czuć się jak w klatce. Ekskluzywny widok z okna dziś nie wystarczy, żeby odzyskać spokój. Przyszłam tu z zamiarem zadzwonienia do Aldena. Powiem mu, że muszę podgonić pracę papierkową. Prawda jest taka, że nie mogę z nim rozmawiać o tym, co zaszło u Harry'ego. Jeszcze nie teraz. Potrzebuję czasu, żeby pozbierać myśli, zanim wrócę do domu. Nie jestem pewna, czy słusznie postąpiliśmy, fundując Ianowi taki zimny prysznic. Można sobie wyobrazić – otwiera oczy i widzi nad sobą rodziców, którzy na dzień dobry robią mu mycie głowy...

Przyszłam do Harry'ego o jedenastej. Tak jak przypuszczałam, Ian wciąż jeszcze był w łóżku.

– No, chłopie, pora wstawać. Przyszła mama. Chcemy z tobą pogadać.

Spod puchowej kołdry ukazała się jego ładna twarz. Na widok nas obojga wyraz senności ustąpił miejsca zdziwieniu. Podniósł się, podciągając kołdrę do piersi.

– Co się stało? – Patrzył na Harry'ego, ale pytanie skierowane było do mnie.

– Ubierz się, proszę, i spotkajmy się w kuchni – powiedziałam. – Musimy porozmawiać.

– Pozwólcie mi chociaż wpaść do łazienki. – Znów zerknął na Harry'ego.

Wyszedł. Harry został. Dobiegł mnie niemożliwy do pomylenia odgłos szeptu: Harry mówił coś po cichu do Iana. Nie zdołałam rozróżnić słów.

Usiedliśmy przy kuchennym stole, Ian w nieskończoność układał plasterki śmietanowego sera na przyniesionej przez mnie bagietce. Harry ukrył twarz za kubkiem z kawą. Oczywiście następny ruch należał do mnie.

– Tata i ja byliśmy na spotkaniu z dyrektorem Castiganem i panną Lapin. Z pewnością o tym wiesz.

– Powiedzieli, że mam przestać się opieprzać, tak?

– Wolalabym, żebyś wyrażał się poprawnie. Mamy do omówienia trochę trudnych spraw i chciałabym, żebyśmy traktowali się nawzajem z szacunkiem.

– Przepraszam – wybełkotał z pełnymi ustami.

– Idąc na spotkanie, spodziewałam się usłyszeć, że za mało pracujesz i stać cię na więcej.

Wygląda jednak na to, że szkoła dopatruje się czegoś poważniejszego. – Splotłam dłonie. – Uważają, że jesteś w depresji.

Przełknął, co miał w ustach, i cisnął połowę bagietki na talerz, posmarowanym w dół.

– W depresji? – Powiedział to głośniej, niż było trzeba. – To, że nie jestem cały w skowronkach, kiedy wchodzę do klasy, nie znaczy, że wpadłem w depresję! Ciekawe, czy inny w mojej sytuacji piałby z radości.

– A co jest niewłaściwego w twojej sytuacji? – spytałam. Harry był dziwnie milczący, ale w gwałtownym spojrzeniu, jakie rzucił Ianowi, odczytałam ostrzeżenie.

Ian wstał z zamiarem wyjścia.

– Spytaj taty. Na pewno ci opowie, co tu jest nie tak.

– Siadaj, chłopie. Jeszcze z mamą nie skończyliśmy. – Harry pchnął Iana z powrotem na krzesło.

Mówił z nietypowym dla siebie opanowaniem. – Wiemy, że spapraliśmy ci życie. Jasne?

Zdajemy sobie sprawę, że marni z nas rodzice. Ale, jeśli nie chcesz, żeby cię uważali za

depresyjnego, musisz się pozbierać. Zacząć chodzić na lekcje. Przestać marnować czas na siedzenie w Internecie. Wstawać o normalnej porze, do diabła. Jeśli weźmiesz się w garść, nie będziemy musieli zrobić tego, czego od nas chcą. Oczy lana przepełniły się łzami, już gotowymi się przelać.

– A czego chcą? Położyłam dłoń na jego ręce.

– Chcą, żeby pójść z tobą do psychiatry. I żebyś się leczył, jeśli okaże się to potrzebne – powiedziałam najłagodniejszym tonem.

Chwilę trwała cisza.

– Może i powinienem. – Schylił głowę i na stół skapnęły dwie idealnie okrągłe krople.

– Jezu, chłopie... Daj spokój. Wyprostuj sprawy w szkole i tyle. Mówiłem ci, nie chcemy, żeby ktoś się wtrącał w nasze sprawy i komplikował je jeszcze bardziej. Nie każdy potrzebuje prania mózgu czy pigulek, żeby wrócić do formy.

Ubodła mnie ta uwaga. Złośliwość była wymierzona prosto we mnie. Ian rozprostował plecy.

Wyglądało na to, że Harry pomógł mu otrząsnąć się z użalania nad sobą.

– Masz rację, nic mi nie jest. Wszystko będzie dobrze.

– Chwileczkę, panowie. Nie możemy tak po prostu udawać, że wszystko jest w porządku, Ian, czy nadal jesteś na mnie zły, że kazałam ojcu się wyprowadzić? Możesz mi powiedzieć prawdę.

– Nie wałkujmy tego od nowa – włączył się Harry. – Nic mu nie jest. Miał po prostu trudny okres, odkąd pobraliście się z Aldenem. A potem ta przeprowadzka do mnie... Ale da sobie radę. Czas wszystko leczy, prawda, C? Po prostu jest wrażliwy, no i dużo na niego spadło ostatnio.

Przykro mi, stary – zwrócił się do lana. – Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

Po tych słowach to ja, zła matka, musiałam walczyć z napływającymi do oczu łzami.

Poniedziałek, 30 stycznia, godz. 9.00

Weekend, który zaczął się źle, skończył się jeszcze gorzej. Kiedy wróciłam w sobotę do domu, Alden czekał na mnie w kuchni, sztywno wyprostowany na krześle. Ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy.

– Czy ty celowo każesz mi czekać, Celio, czy w ogóle nie myślisz? Wiesz, jak ważny jest dla mnie ten obiad z dziekanem i jego żoną.

– Straciłam rachubę czasu. A kiedy wyszłam z gabinetu, nie mogłam znaleźć komórki. Za parę minut będę gotowa. – Położyłam torebkę na blacie, na chwilę przymknęłam oczy i odwróciłam się do niego. – A może wolisz, żebyśmy pojechali osobno? Spotkalibyśmy się na miejscu. Podniósł się z krzesła i wygładził zmarszczki przy wewnętrznych szwach spodni.

– Ja wiem, czego chcę. A ty, Celio? Odpowiada ci jazda osobno? A może ze względu na potrzebę zachowania pozorów powinniśmy jednak pojechać wspólnie?

Nie podjęłam wyzwania. Nie zniósłabym kolejnej przykrej rozmowy, w której byłabym nie tylko złą matką, ale i złą żoną.

– Wiem, że oboje wolimy jechać razem, więc jeśli zdobędziesz się jeszcze na odrobinę cierpliwości, za chwilę będę gotowa.

Nie czekałam na odpowiedź. Bez pośpiechu ruszyłam po schodach do mojego pokoju. Po drodze przystanęłam. Po obu stronach holu widniało dwoje przeciwległych drzwi. Jeśli otworzę jedno, zobaczę, ile zostało w tym pokoju po lanie. Jeśli drugie, stanę twarzą w twarz z życiem, które wymazałam. Przyłożyłam palec do ust i złożyłam pocałunek najpierw na jednych, potem na drugich drzwiach. Nie odważyłam się otworzyć żadnych.

Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, niewiele potrzebowałam czasu, żeby zdecydować, co na

siebie włożyć. Nie musiałam robić wrażenia na Ruthefordach. Na uroczystościach wydziałowych dziekan nie poświęcał mi zbyt wiele uwagi, a jego żona dawała do zrozumienia, że się dla niej nie liczę. Wybrałam suknię w kolorze wina, bo nie wymagała prasowania, i wyjęłam ze szkatułki na biżuterię naszyjnik, który dostałam od Harry'ego. Opłynął mi szyję jak woda. Przeczesałam włosy, szybko pociągnęłam szminką usta i zesłam na dół. Alden stał w przedpokoju z przerzuconymi przez ramię płaszczami, swoim i moim. Bez słowa podał mi torebkę i wyszliśmy. Po drodze i podczas obiadu starannie odmierzał kierowane do mnie słowa, tak jakby wymagały racjonowania. Nie zanadto, tak żeby w oczach Ruthefordów wyglądać na szczęśliwą parę, ale wystarczająco, abym wiedziała, że nią nie jesteśmy. W drodze powrotnej wewnątrz auta wypełniało to, czego nie wypowiedział. Dopiero gdy podjeżdżaliśmy do domu, zdecydował się wyemitować parę starannie dobranych słów:

– Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział ten naszyjnik. Skąd go masz? – Chciał usłyszeć, jak mówię to na głos; wiedziałam, że zna odpowiedź.

Nakryłam naszyjnik dłonią, żeby zaczerpnąć z niego siłę do tej rozmowy. Alden utkwił wzrok w dwu drogich kamieniach. Nawet nie przypuszczał, jaka jest ich prawdziwa wartość.

– Dostałam go na święta od Harry'ego.

W czasie obiadu z Ruthefordami mój mąż wziął mnie na konwersacyjną dietę. Kiedy powiedziałam mu o naszyjniku, uznał, że pora na głodówkę.

dzień 120.

siedziałam przy oknie i jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w krople deszczu, zbierające się w kałuże wzdłuż ulicy. Dwa ubiegłe poranki spędziłam na czytaniu kart i listów z kondolencjami. Dwa miesiące trwało, zanim do mnie dotarło, że w moim pokoju gromadzą się całe tony współczucia. Trzy miesiące – zanim zapragnęłam tę korespondencję przeczytać; cztery – zanim było mnie na to stać.

Jak każdy, kto zawodowo ma do czynienia ze słowem pisanim, nie mogłam się oprzeć, żeby nie oddzielić dobrych tekstów od złych. Podłogę zasłały kwieciste przysłowki i pozbawione przecinków zdania. Ulgowo traktowałam je tylko wtedy, kiedy pochodziły od przyjaciół. Przez cały czas towarzyszyła mi myśl o wykorzystaniu tych listów jako materiału do książki albo artykułu na temat żałoby.

Z punktu widzenia pisarski nietrudno było podzielić je na kategorie. Kategoria pierwsza: listy stanowiące dowód, że ludzie są niewrażliwi i nie wiedzą, co naprawdę znaczy strata. Wypełniały je zdania tak wytarte, że niemal miałam ochotę odpisać autorom, aby nigdy więcej ich nie wypowiadali: „Z czasem ból zmaleje. Czas leczy rany”. Albo: „Na pewno będziesz jeszcze miała dziecko i życie znów nabierze sensu”.

Nawet zanim stało się TO, nigdy bym nie napisała czegoś podobnego i po przeczytaniu nie włożyła do koperty, aby zanieść na pocztę. Jak można myśleć, że taki tekst może pomóc kobiecie, która do końca życia nie przestanie tęsknić za swoim dzieckiem? Nie przestanie nawet zastanawiać się, kim jest człowiek, który usiadł za kierownicą auta, aby zmasakrować jej życie? Kategoria druga: listy stanowiące dowód, że ludzie są dobrzy, mili i empatyczni. Pocięchą była świadomość, iż istnieją osoby, które rozumieją, co to znaczy stracić dziecko. Zdarzało się, że całkiem nieznanymi poświęcali swój czas, żeby zwrócić się do mnie ze słowami wsparcia.

Wiedzieli, jakie słowa chcę usłyszeć, bo sami stracili Teddy'ego, który umarł na raka, czy Lizę, która padła ofiarą nagłej śmierci łóżeczkowej. Nikomu bym nie powiedziała, co czułam, czytając te listy – może tylko matce Teddy'ego czy ojcu Lizy.

Cały dzisiejszy dzień spędziłam zastygła w bólu. I było mi z tym dobrze.

dzień 121.

Ethan obudził mnie pocałunkiem i spytał, czy nie poszłabym z nim na spacer, zanim pojedzie do pracy. Już zaczął się ubierać. Podciągnęłam kołdrę i skrzywiłam się.

– Za wcześnie.

– Obiecasz mi, że pójdziesz później? Pod koniec tygodnia ochłodzi się i nie będziesz miała ochoty wychodzić z domu. – Zaciągnął zasłony, dając mi tym samym pozwolenie na pozostanie w łóżku.

– Skoro mowa o wychodzeniu, to może zobaczyłabym się z Northern – powiedziałam. W pokoju było teraz mroczniej, a Ethan zawiązywał sznurowadła, więc trudno mi było odczytać wyraz jego twarzy. – To już prawie tydzień, odkąd powiedział nam o tych dwóch facetach.

Neil Ford. Dziesiątki razy, siedząc na tym łóżku, odczytywałam na liście jego nazwisko.

Przejrzałam ją też pod kątem Juliana Niceo, ale tego nazwiska na niej nie było.

– Nie mam pojęcia – zastanawiałam się głośno – czy czas płynie dla nich w innym tempie niż dla nas, czy celowo trzymają nas na dystans.

Ethan skończył wiązać drugie sznurowadło i dopiero wtedy się odezwał.

– A co z Caulfieldem? Biorą się do tego bajzlu, którego narobił, czy liczą, że nie będziemy naciskać?

Usiadłam. Odbiegła mnie senność. Ethan wytrzeszczył oczy na strój, który na sobie miałam. Nie potrzebował nic mówić, podarty podkoszulek sam krzyczał: Tessa, dość!

– Nie zadzwonię do Northa. Zobaczę, jaka będzie jego reakcja, gdy zjawię się bez uprzedzenia. W nosie mam, że Pat się może, zezłościć. – Mogłam po prostu pójść i już, ale nie chciałam, żeby Ethan znowu był na mnie wściekły. Choć raz mu powiedziałam, co mam zamiar zrobić, zanim to zrobiłam.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł? – spytał. – Mogę darować sobie spacer, gdybyś miała ochotę.

– Jeśli mam być szczerą, wolę pójść sama. No wiesz, wśliznąć się, powęszyć, co się tam dzieje. Jeśli pójdziemy oboje, zrobi się z tego jakby większa sprawa. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Wstałam i wyjęłam z szuflady świeży podkoszulek. Niczym cyrkowy magik błyskawicznie zdjęłam jeden i włożyłam drugi. Ruszył ku mnie, kiedy byłam naga, ale lepiej umiałam gasić jego zainteresowanie, niż on wzbudzać moje. Przemknęłam pochylona obok niego i wrzuciłam kompromitujący podkoszulek do koszyka z praniem.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Zadzwonisz do mnie później, żeby powiedzieć, jak poszło? –

Wyciągnął ramiona po platoniczny uścisk. Tyle, owszem, mogłam mu dać.

Przynajmniej jedno dobrze zrobiłam. Powiedziałam mu. A i tak zrobię swoje.

Gdy dotarłam na posterunek w Wenonah, policjantka na dyżurce skierowała mnie od razu do biura. Kiedy jest się matką dziecka, które zginęło w wypadku, ma się najwyraźniej pewne przywileje. Doszłam do połowy sali, kiedy przez szklaną ścianę dostrzegłam dwóch policjantów sprzątających gabinet Caulfielda.

Nagle poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Drgnęłam i odwróciłam się, żeby zobaczyć twarz Jacka Northa.

– Witam, pani Gray. Nie chciałem pani przestraszyć, myślałem, że słyszała pani, jak szedłem.

Wstąpi pani, porozmawiamy? – Wskazał drzwi sali konferencyjnej.

Miał na sobie granatowy blezer, z szyi zwisał mu identyfikator. Oglądając się na gabinet Caulfielda, weszłam za nim.

– Cieszę się, że pani wpadła. To dla nas dodatkowa mobilizacja – powiedział. Za każdym spotkaniem wypadał dorosłej.

– Dlaczego funkcjonariusze sprzątają biuro Caulfielda? Zdawało mi się, że idzie na emeryturę dopiero pod koniec kwietnia. I dlaczego on sam tego nie robi?

Staliśmy w drzwiach. Pomieszczenie było ciemnawe, oświetlone tylko jedną żarówką.

– Może wcale nie pójdzie na emeryturę. Zostało przeciwko niemu wszczęte oficjalne dochodzenie. – North wskazał ręką stół i podsunął mi krzesło. – Nie mówię nic, czego nie powiedziałaby pani mój szef, O'Brien. Bardzo serio traktuje ten zaginiony materiał dowodowy i parę innych spraw.

Powiedział mi to wprost, bez owijania w bawełnę. Jego twarz była pierwszą uczciwą twarzą, jaką spotkałam w tym mrocznym miejscu. Ta uczciwość sprawiła, że przez moment zawahałam się, zanim wyładowałam na nim swój gniew na Caulfielda.

– Dlaczego ja zawsze muszę się dowiadywać dopiero wtedy, kiedy was naciskam? Czy to naprawdę dochodzenie, czy ścierna? – Cisnęłam torbę na stół; poleciała dalej, niż zamierzałam. North wyciągnął rękę i przytrzymał torbę. Nie próbował mnie uspokoić.

– Naprawdę, pani Gray. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych tym się zajęło. Może trochę potrwać, zanim będziemy wiedzieć coś więcej. – Chwilę milczał, bynajmniej niestropiony moją

furią. – Ma pani absolutną rację. Ktoś powinien... Ja powinienem był panią poinformować wcześniej.

Wiedział więcej, a ja wiedziałam, że potrafię go skłonić do mówienia. Ze swoim brakiem doświadczenia i poczciwym charakterem nie był dla mnie żadnym przeciwnikiem.

– Proszę mi przynieść kawy. Prawdziwej mocnej kawy. A potem pogadamy o tym, co pan wie. Zasluguje na to, by znać szczegóły.

Łatwo mi z nim szło. Od razu ruszył do drzwi.

– A jak pan wróci, proszę mi mówić Tessa. A o mojej córeczce – Abby. To nie tylko ofiara w nierozwiązanej kryminalnej zagadce. – Usiadłam. – To moje dziecko.

Kawa musiała chyba stać na piecu od wtorku. Popijałam ten szlam, a North opowiadał mi, co zrobił Caulfield, żeby spać dochodzenie. Po zaginięciu próbki lakieru, znajdującej się pod pieczę Caulfielda, North porozmawiał z pierwszymi osobami, które ten już przesłuchał, oraz z policjantami, którzy pobierali materiał dowodowy z miejsca wypadku. Stwierdził, że brakuje paru zdjęć z oględzin zwłok, jak również zapisu przesłuchania pani Dwyer. Nie byłam pewna, czy zamierza powiedzieć mi o wszystkich swoich działaniach. Nie zamierzałam go stopować.

– Nie dziwię się pani irytacji i oburzeniu, pani Gray... pani Tesso, temu, że jest pani po prostu wściekła. Ale proszę mi wierzyć, jeśli działania detektywa Caulfielda okażą się sprzeczne z prawem, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. O'Brien jest bardzo szanowany.

– „Wściekła” nawet w przybliżeniu nie oddaje stanu moich uczuć. Jak, do diabła, mam wam teraz wierzyć?

– Mogę tylko powiedzieć, że nie spocznę, dopóki nie ustalę, jak było. Zależy mi na tym niemal tak samo jak pani.

– Niech pan nawet nie próbuje porównywać swojego pragnienia z moim. – Zamknęłam oczy; nie mogłam patrzeć na tę świeżą twarz i beztroską fryzurę. Kiedy je otworzyłam, wytrzymałam moje spojrzenie. Nie bał się kontaktu wzrokowego.

– Chciałabym panu wierzyć. Proszę mi jednak powiedzieć, czy nie jest za późno na ustalenie sprawcy?

– Nie. Mam jeszcze parę możliwości. Policja nie spuszcza z oczu tych dwóch podejrzanych, nieformalnie oczywiście. Czekamy na wyniki analizy kryminologicznej ich samochodów. Znajdę tę zaginioną próbkę lakieru i zdjęcia z oględzin zwłok. No i jako dobry katolik, skontaktowałam się z moim starym przyjacielem Świętym Antonim. – North uśmiechnął się. – Porozmawiam jeszcze raz z panią Dwyer. Choć to osoba wiekowa, może pamiętać coś, co w swoim czasie uznano za nieistotne. – Zszedł oczko niżej na skali entuzjazmu. – Nie poddam się, i pani też nie powinna.

– Poddam się dopiero wtedy, kiedy mi pan to poleci. – Zdobyłam się na uśmiech. – A zresztą... nie poddam się nawet wtedy, kiedy mi pan poleci. – Zmieniłam ton na poważny: – Naprawdę muszę się dowiedzieć, jak zginęło moje dziecko.

– Wiem. Ja też. – Wstaliśmy równocześnie z miejsc, dzielił nas tylko stół. – Pani Tesso... mam nadzieję, że nie uzna pani tego za wtrącanie się... ale kiedy ma pani termin porodu?

Cofnęłam się zaskoczona. Skąd on wie?

– W sierpniu. – Położyłam rękę na brzuchu. – A skąd pan wie, że jestem w ciąży?

– Mam siostrę, która urodziła sześcioro dzieci. Ona też tak kładła rękę na brzuchu. Po raz pierwszy zauważyłam to dziś, kiedy przestraszyłam panią, podchodząc z tyłu. To pewnie instynkt... Ochroniać płód, kiedy czuje się jakiegokolwiek zagrożenie. Pani dziecko ma szczęście, że będzie pani jego matką.

Mruknęłam „dziękuję” i wyszłam. Nic więcej nie było do powiedzenia. Dopiero w holu pierwsze łzy skapnęły mi na sweter.

A gdyby... Tak mawiają spece od meteorologii: A gdyby padał śnieg, a nie deszcz? Śmieszne pytanie, doprawdy, skoro pada deszcz, a nie śnieg. A gdyby piątego października padało i grupa nie wyszłaby na plac zabaw, tylko została w sali?

Celia powiedziała, że zadajemy sobie pytania typu „a gdyby”, kiedy chcemy zrozumieć swoją sytuację. To tak jak z punktami odniesienia na mapie: musimy zakotwiczyć umysł w miejscu, gdzie jesteśmy, żeby móc zaakceptować drogę, którą podążamy.

– A jeśli North naprawdę zdoła to wyjaśnić? – spytałam. – To znaczy, jeśli kogoś aresztuje? – Z każdym tygodniem coraz mniej czasu zabierało nam dotarcie na miejsca. – Chciałabym, żeby tak się stało, ale nie wiem, czy jestem na tyle silna, aby udźwignąć proces czy kolejne doniesienia mediów Oczy Celi zajaśniały.

– Nie wiem, Tesso, czy znam osobę silniejszą niż pani. Pani determinacja to potężne narzędzie. Naprawdę można go pani pozazdrościć. W tej chwili używa go pani, aby przygotować się na to, z czym przyjdzie się pani skonfrontować.

Siedziałam zwinięta w fotelu, w moich ulubionych dresowych spodniach i bluzie z kapturem. Celia też wyglądała dziś na rozluźnioną. Porzuciła swój mundurek terapeutki: miała na sobie spodnie, tak jak ja. A jednak sprawiała wrażenie zmęczonej. Może ma dość słuchania moich jęków? – przemknęło mi przez głowę.

– Teraz, kiedy sprawę prowadzi North, czuję się pewniej. Bardziej mu ufam. Jest młody, ale ma ciąg. Nie sądzę, żeby chciał wyjaśnić sprawę tylko dla poprawy swojej pozycji czy dla rozgłosu. Wydaje mi się, że chce to zrobić dla mnie i dla Abby.

Nigdy nie wspomniałam jej o liście, więc nie było sensu mówić, że spoczywa w mojej szufladzie z bielizną w nadziei, że za pomocą tej staroświeckiej metody North wyjaśni sprawę.

– Powiedział, że zrobi, co tylko w jego mocy. I że nie jest za późno.

– To dobra wiadomość. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby mówiła pani o zaufaniu. A nad czym North teraz pracuje?

– Ma dwóch podejrzanych. Teraz nazywa się ich osobami z kręgu podejrzeń.

– Mężczyźni, kobiety? – Rozplotła nogi i wyciągnęła przed siebie.

– Chyba nie powinnam o tym mówić. North prosił, żeby nie rozmawiać z nikim o szczegółach. Z wyjątkiem Ethana. Nie wiem, czy dlatego, że mogłabym popsuć dochodzenie, czy przestraszył się, że powiedział za dużo.

– Może pani spokojnie podzielić się ze mną szczegółami. Nasze rozmowy zawsze były i pozostaną ściśle poufne. – Niczym kobieta na zakupach, którą przyciągnęła okładka brukowca, Celia chciała wiedzieć więcej.

– Nie żebym pani nie ufała... Po prostu nie czuję potrzeby, aby wnikać w szczegóły. Zabawne – spotkałam Northa zaledwie kilka razy, ale zaczynam mieć zaufanie do jego sposobu działania. Celia odchyliła się na oparcie i wydeła usta.

– Proszę pamiętać, że jeśli kiedykolwiek zechce pani podzielić się szczegółami, jestem gotowa wysłuchać.

– Mam tylko jedno pytanie. A jeśli North złapie tego drania... jak ja się wtedy będę czuła?

Piątek, 3 lutego, godz. 17.00

Być może powinnam pojechać do Bostonu i zaliczyć parę galerii na Newbury Street. Nie ma po co śpieszyć się do domu. Krótkie, skąpo odmierzane słowa ze strony Aldena irytują mnie i przygnębiają. Jego zachowanie sprawia, że zaczynam tęsknić za sytuacją, kiedy dom należał tylko do mnie – i kiedy mieszkał w nim Ian.

– Podaj mi śmietankę. Musimy kupić szampon. – Otwiera usta tylko wtedy, gdy trzeba przekazać tego typu treść.

Wiedział, że wkracza na trudny teren, kiedy postanowił się ze mną ożenić, Ian nie ukrywał, że za nim nie przepada. Na krótko przed wprowadzeniem się Alden zapewniał, że jego cierpliwość i dobra wola z czasem sprawią, że obaj się dogadają. Myślałam, że wyważenie i pragmatyzm Aldena będą czynnikiem stabilizującym domową atmosferę. Tymczasem brak porozumienia między nim a łanem zwiększył napięcie. Gdybym podjęła rozmowę na ten temat, obawiam się, że zaczęłabym krzyżeć: „Jeśli naprawdę mnie kochasz, powinieneś mi pomóc zachować bliskość z synem! Mamy konflikt czy nie, zrób pierwszy krok i zaproś go do nas albo przynajmniej nie utrudniaj mi widywania się z nim sam na sam!”

Gdybym teraz zadzwoniła i zaproponowała, byśmy pojechali do miasta oboje i spędzili tam beztroski wieczór, pewnie chętnie by do mnie dołączył. Ale czy rozmawialibyśmy ze sobą po partnersku, jak mąż i żona, czy stalibyśmy obok siebie, osobno, patrząc na rezultat cudzej umiejętności przelewania uczuć na płótno?

Co poradziłabym pacjentce, gdyby jej małżeństwo wyglądało tak jak moje? Czy kierowałabym się rozumem i powiedziała: „Związki idealne nie istnieją. Nie należy podejmować pochopnych decyzji. Proponuję, aby rozważyła pani możliwość skorzystania z małżeńskiej terapii”. Czy przemówiłabym od serca: „Wygląda, że to pani jest wspólnym mianownikiem moich małżeńskich niepowodzeń. Pani intuicyjnie wyczuje, co powinna zrobić”.

Bo jest jeszcze Harry. Rozmawia oszczędnie, zarówno bezpośrednio, jak i przez telefon. Wczoraj wieczorem zadzwoniłam, żeby się dowiedzieć, jak idzie łanowi z nowym korepetytorem.

Próbowałam pogadać o błahostkach, spytałam nawet o pracę, ale nie dostałam odpowiedzi.

Bardzo się starałam, aby rozmawiać niedbałym tonem; Harry nawet nie próbował. Kiedy w końcu przekazał słuchawkę łanowi, był na tyle uważny, by zakryć dłonią słuchawkę, zanim wrzasnął: Ian, matka dzwoni!

No i jest Ian. Opowiedział mi ze szczegółami o tym chłopaku, Robercie, którego zatrudnił Harry, by pomagał mu w lekcjach. Zgodnie z tym, co mówi, Robert to ramol, ale idzie wytrzymać, Ian najwyraźniej pogodził się z tym, że musi mieć korepetytora. Starałam się go podbudować, chwając za dotychczasowe wysiłki, po czym zaproponowałam mu zasłużoną chwilę wytchnienia.

– Może spędzilibyśmy ze sobą trochę czasu w ten weekend? Pojechalibyśmy do Bostonu, w Instytucie Sztuki Współczesnej jest nowa wystawa. A potem połazilibyśmy po Boylston Street.

Co ty na to?

– Nie mogę. Obijałem się w tym semestrze, muszę trochę nadrobić, żeby rozumieć to, co teraz przerabiamy.

– Będziemy tylko we dwoje, ty i ja. Pojedź ze mną, obojgu nam się należy trochę rozrywki.

– Dobra, spytam tatę i oddzwonię. Mogę już iść?

Kiedy skończyliśmy rozmowę, moim jedynym towarzyszem pozostała samotność.

Alden się boczy. Jest na mnie zły o naszyjnik i o wszystko, co wiąże się z moją rodziną. Harry zachowuje dystans. Jest zazdrosny o Aldena; dał temu wyraz wtedy przy śniadaniu. Kłopoty z Harrym nie są dla mnie nowością; mój związek z nim jest równie skomplikowany jak węzły

żeglarskie, które wiąże na olinowaniu swoich jachtów. Niespodziankę stanowi dystans ze strony lana.

Nawet kiedy zmusiłam Harry'ego do wyprowadzki, wybaczył mi. Nie zdziwiłabym się, gdyby miał pretensję. Dziecko oczekuje, że matka wszystko zrobi jak należy. Stworzy mu bezpieczne życie w pełnej rodzinie, a nie w uszkodzonej. Matka nie powinna dopuścić, aby stało się coś złego.

Ian wyprowadził się z domu, a teraz odsuwa się ode mnie coraz dalej. Mój syn, wrażliwy i rozszczępiony na dwoje. Szkoła, dwa domy, ojciec, matka, ojczym. Czas spędzony z Harrym albo ze mną. Z trudem usiłuję poskładać w całość kawałki swojego życia. Niektórych elementów układanki nie sposób znaleźć, a inne po prostu nie pasują.

Życie powinno być łatwiejsze, lana i moje. Gdyby każdy z zainteresowanych nie miał w sobie tyle egoizmu, wszystko by się ułożyło. Jak mogę być matką, jakiej potrzebuje mój syn, jeśli całą energię wysysają ze mnie dwaj mężczyźni niezdolni dostrzec, że Ian jest najważniejszy?

Mam dosyć tracenia cennej energii na chodzenie na paluszkach wokół Aldena i jego uczuć. I wokół humorów Harry'ego. Ostatni raz pozwoliłam tak się potraktować. Albo włączą się do gry i pomogą łanowi, albo niech schodzą mi z drogi, żebym mogła pomóc ja.

Poniedziałek, 6 lutego, godz. 8.00

Nie cofnę się. Nie ustąpię. Jestem zdecydowana, zrobię wszystko, żeby przywrócić rodziną jedność. Talerze nie od kompletu też mogą tworzyć ładną zastawę. Porozmawiam z każdym z osobna. Postanowiłam zacząć od mężczyzny najbliższego – w sensie bliskości przestrzennej.

Alden sprawdzał prace. Siedział przy biurku, które znalazło czasowe schronienie w alkwie obok biblioteki; posprzątanie mojej pracowni okazało się trudniejsze, niż myślałam. Musiałam mu przerwać. Pora, by ogłosić zawieszenie broni i pogadać o tym, co dzieje się między nami.

– Nie będę udawać, że wszystko jest porządku – powiedziałam. – Jeśli w jakikolwiek sposób uraziłam twoje uczucia, biorę za to pełną odpowiedzialność. Musimy oczyścić atmosferę.

– Nie wiem, o czym mówisz, Celio. Byłem ostatnio trochę milczący, ale nic poza tym. Jeśli o mnie chodzi, wszystko jest w porządku.

– Proszę, nie utrudniaj sprawy jeszcze bardziej. I tak jest dostatecznie trudno. Poczujesz się urażony, że przyjąłem ten naszyjnik od Harry'ego. Tak naprawdę przeszkadza ci samo istnienie Harry'ego. Ale on jest ojcem lana i musimy wymyślić jakąś formę pokojowej koegzystencji. Dla dobra wszystkich, a zwłaszcza lana.

Parsknął sztucznym śmiechem i odsunął okulary na czubek głowy.

– Chyba nie sądzisz, że przejmuję się kawałkiem taniej biżuterii? Nie jestem takim sentymentalnym głupkiem jak...

– Stop, Alden. Właśnie o tym mówię. Nie będę tolerować oskarżeń ani z twojej strony, ani ze strony Harry'ego czy lana pod adresem kogokolwiek w tej rodzinie. To nasza rodzina, nawet jeśli nie jest doskonała.

Gwałtownie podniósł głowę i złapał okulary w samą porę, bo spadłyby mu z głowy.

– Tak jest, twoja także – mówiłam. – Jeśli zamierzasz w niej pozostać, musisz znaleźć sposób pogodzenia się z faktem, że na pierwszym miejscu jest Ian. A to się równa znalezieniu sposobu na to, aby zachowywać się w sposób cywilizowany wobec Harry'ego. – Zdałam sobie sprawę, że założone ręce sygnalizują gniew i brak elastyczności, więc je opuściłam.

Zdarzało się już, że Alden wybierał milczenie. Nigdy jednak nie widziałam, by zabrakło mu słów. Starannie nałożył skuwkę na czerwony długopis, powoli odsunął krzesło i wstał. Gdybym

miała zgadywać, jaki będzie jego następny ruch, powiedziałabym: płaszcz, klucze, drzwi. A on podszedł do mnie, ujął moją dłoń i podniósł do ust.

– Od czego mam zacząć?

GODZ. 16.00

Wysłuchałam siedmioro pacjentów, którzy opowiedzieli mi swoje nieporównywalne historie.

Mogę teraz kontynuować własną.

Nadal rozmawiamy z Aldenem. Nie rozplataliśmy jeszcze wszystkich nitek cierpienia, jakie zamotały się w ciągu naszego krótkiego życia we dwoje. Nie daję się ponosić nerwom, ale i nie waham się w dążeniu, żeby zrozumiał: na pierwszym miejscu jest Ian. Na drugim nie ma nikogo, nawet mnie. Alden obiecał, że będzie się starał jeszcze bardziej.

Następnym członkiem rodziny, którego należało zaokrętować na ten statek pokoju, był Ian.

Harry'ego zostawiłam na koniec.

Zostawiłam Aldenowi solidną porcję kurczaka, aby miał co jeść, kiedy wróci z wydziałowego przyjęcia, od uczestnictwa w którym udało mi się szczęśliwie wykręcić, a sama pojechałam do Harry'ego, żeby zabrać lana na jakąś przekąskę.

Pora była dość wczesna i w Birch Street Tavern, mimo soboty, panował względny spokój, Ian wcisnął się w kąt swojej ulubionej niszy. Długie rękawy podkoszulka sprawiały wrażenie, jakby amputowano mu dłonie; kaptur skrywał śliczne, zbyt długie włosy.

– Jestem głodna jak wilk, a ty? Jak się czujesz? Skrzywił się na ten przejaw matkowania.

– Mamo, czy nie możemy pogadać o kryzysie energetycznym albo o twoich pacjentach? Dość mam tego, że każdy wciąż mnie pyta, czy nie jestem chory, głodny albo zmęczony. Zdechnąć można od tego ciągłego powtarzania: nic mi nie jest.

– W porządku. Postaram się więcej cię nie zdręzczać pytaniami o szkołę czy samopoczucie.

Zwłaszcza że jest coś innego, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

– Tak? A co? Strasznie serio wyglądasz. – Wyprostował się. – Coś złego? Znowu pokłóciliście się z tatą?

– Chciałabym najpierw coś zamówić. Potem chętnie ci opowiem, co mi leży na sercu.

Gdy czekaliśmy na kelnerkę, związał i rozwijał papierową serwetkę, po czym podarł ją na strzępy.

Przyniesiono zamówione dania. Już miałam zacząć, gdy Ian mnie wyprzedził.

– No to o co chodzi?

– Wielkie nieba, naprawdę udało mi się przyciągnąć twoją uwagę. – Rozłożyłam serwetkę na kolanach.

– Kiedy ostatnio miałaś ze mną do pogadania, byłem w depresji.

To nie ostatni przypadek naszej rozmowy, ale go nie poprawiłam. Miał prawo do własnych uczuć, a jego irytację usprawiedliwiałam.

– Jeszcze nie rozmawiałam z twoim ojcem, ale z pewnością to zrobię. Najpierw chciałam pogadać z tobą.

– Jezu, mamo... Lepiej powiedz od razu, co zrobiłem.

– Chciałabym ustalić parę podstawowych zasad dla naszej czwórki. Wiem, że nie przepadasz za Aldenem, ale jesteśmy teraz rodziną i musimy się zachowywać jak rodzina.

Wypuścił powietrze.

– To wszystko? Słuchaj, mamo, ja nie chcę tej rozmowy. Mówiłem ci już, to twój problem. Ja nie muszę mieć z nim do czynienia, jeśli nie mam ochoty.

– Musisz, Ian. Wiem, że to niełatwe dla ciebie. Dla mnie też nie. Alden jest moim mężem i

zarówno ty, jak i twój ojciec, musicie zacząć się zachowywać z szacunkiem wobec nas obojga.

– Nie chcę być przykry dla ciebie... Po prostu nie lubię gościa.

– Te wszystkie kąśliwe uwagi, fruujące tam i z powrotem między tobą, Aldenem i twoim ojcem... Nie przyszło ci do głowy, że mnie to rani? Ilekroć jesteśmy razem, mdli mnie ze strachu, że któryś z was znowu zacznie.

– Nie zamierzam cię ranić, mamó. Po prostu za dużo tego wszystkiego jak dla mnie. Muszę pilnować, żeby tata chodził na mityngi. Mam szkołę na głowie. Nie wytrzymuję, kiedy muszę jeszcze mieć do czynienia z Alem.

– Nie musisz pilnować ojca. Jest dorosły. A ty masz korepetytora. I zawsze możesz porozmawiać ze mną. Pozwól, żebym ci pomagała. – Mój ton stał się błagalny.

Opuścił głowę. Spod tego głupiego kaptura nie widziałam jego oczu, ale wiedziałam, że wypełniły je łzy. Podałam mu serwetkę. Oboje krępowaliśmy się płakać w miejscu publicznym. Ian starał się pozbierać, a ja miałam wrażenie, że w oknie mignął mi Alden. Siedzieliśmy jednak z Ianem w głębi sali i musiało mi się przywidzieć. Spojrzałam na zegarek: bez wątpienia został mu jeszcze do wysączenia co najmniej jeden kieliszek meriotta na wydziałowym przyjęciu.

Brzęk talerzy stłumił odgłos wydmuchiwania nosa. Ian szybko otarł oczy.

– W porządku, mamó. Skoncentruję się na szkole i postaram się być miłszy dla Ala. A jeśli z nim rozmawiałaś, to może przestanie mnie wciąż poprawiać. Będę się starać bardziej niż dotąd.

– Wspaniale. Muszę jeszcze porozmawiać z twoim ojcem. On też odgrywa w tym wielką rolę. – Umilkłam. – Synu... chciałabym, żebyś się z kimś zobaczył.

Kelnerka przyniosła zamówione dania i odeszła do innej grupki. Klientów przybywało, poziom hałasu narastał. Po chwili dokończyłam:

– Sam powiedziałaś, że masz dużo na głowie. Czasem profesjonalista... ktoś spoza rodziny... może skuteczniej pomóc rozeznąć się w uczuciach, połapać się w tych dorosłych problemach. Znowu opuścił głowę i nie usłyszałam, co powiedział. Chcę wierzyć, że było to „tak”.

Teraz do Harry'ego.

dzień 126.

Podejrzliwa mina Rosemary polegała na uniesieniu jednej brwi i kącika ust. Zrobiła ją, kiedy wyszliśmy razem na lunch. Ona zamówiła białe sauvignon, ja – sok grejpfrutowy z wodą sodową i plasterkiem limonki.

– A nie pinot? – zadrwiła. – W takim razie jedno z dwojga: albo kac, albo ciąża.

– Jezu, Rosemary... Poczekał na oficjalne powiadomienie!

– Jasny gwint, Tessa! Nie podpuszczaj mnie. Naprawdę?

– Mogę cię prosić o nierozgłaszanie tego? Na razie niech to będzie tajemnica, okej?

To się nazywa dyskrecja... Rosemary zerwała się z krzesła i uściskała mnie tak mocno, że o mało nie zwała mojej ciężarnej osoby na podłogę. Już kiedy wchodziłam, miałam wrażenie, że ludzie na mnie patrzą. Teraz, po spektaklu Rosemary, nie było wątpliwości: gapili się.

– Kiedy się dowiedziałeś? Czy Ethan wie? O Jezu, dziecko...

– Obiecuj mi, że nie będziesz się wściekać. Tyle muszę w sobie przetrwać... Zachowuję się teraz zupełnie inaczej, niż gdyby zdarzyło się to wcześniej.

– Dlaczego miałabym się wściekać? Co takiego straszego zrobiłaś? – Pociągnęła łyk wina. Nie wiedziała, biedaczka, co zamierzam powiedzieć.

– Nic takiego właściwie. Po prostu wiem o tym od jakiegoś czasu. Ethan oczywiście też wie. Nie powiedziałam ci wcześniej, bo sama nie wiedziałam, co tak naprawdę czuję. Przykro mi to mówić, ale nawet się nie ucieszyłam. To tak, jakby Pan Bóg bawił się mną czy coś... O niczym innym nie marzyłam pięć miesięcy temu, a teraz...

– Pomożemy ci się z tym uporać. – Rosemary wyciągnęła szczupłe ramię i wzięła mnie za rękę. – I Ethan, i ja. Będziesz wspinała matką dla tego dziecka, tak samo jak byłaś dla Abby. – Ucisnęła mocno moją dłoń.

– Dzięki, że nie czujesz się urażona, że nie powiedziałam ci wcześniej. Dobrze, że zostało jeszcze trochę czasu, bo sama na razie nie wiem, jak to będzie. W jednej chwili zżera mnie tęsknota za Abby i koncentruję się na śledztwie, w drugiej – kupuję te okropne ciężowe witaminy i bieliznę o dwa numery większą. – Chwyciłam luźny pasek od spodni.

– Nie obraż się, ale mam tysiąc pytań na temat dziecka. Od jak dawna?

– W tej chwili jedenaście tygodni. Nie przejmuj się, że mnie urazisz – po tym, co przeszłam, wytworzyłam sobie dosyć twardą skorupę.

Uśmiech Rosemary zbladł. Choć w życiu by się do tego nie przyznała, zabolalo ją, że dopiero teraz odkryłam swoją tajemnicę. Opowiedziałam jej co mogłam o dziecku, niewiele większym w tej chwili niż moja pięść, po czym mówiłam o spotkaniu z Northern.

Lunch z Rosemary był taki jak zawsze. Plotkowałyśmy, płakałyśmy, nawet się śmiałyśmy.

Nieważne, że zdarzają się między nami starcia – jest moją siostrą i kocham ją. Jaka szkoda, że to dziecko już straciło swoją siostrzyczkę.

dzień 128.

Dziś spotkałam się z Pat. Zadzwoiła z wiadomością, że musimy się skontaktować osobiście. Poszłam do niej do kancelarii, tuż obok budynku sądu. W holu roilo się od przystojnych, dobrze ubranych gogusiów; w wypasionym biurze prawnika spotykają się chirurgowie plastyczni i gwiazdy.

Nie sposób pomylić poczekalnię Pat z poczekalnią Celi. W gigantycznych wazonach stały

świeże kwiaty, nowoczesne meble były torturą dla pleców. Czekałam najwyżej pięć minut, gdy wyszła Pat, aby mnie powitać. Kiedy wstałam, na ułamek sekundy zatrzymała wzrok na moim brzuchu.

– Czyli że North pani powiedział – zauważyłam. Pat przechyliła głowę i zrobiła zdziwioną minę.

– Tak, jestem w ciąży – powiedziałam, kładąc dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu.

– Powinna pani być detektywem, Tesso. Proszę wejść, pogadamy u mnie.

Nie przeszła za biurko. Ja usiadłam tam gdzie poprzednio, a ona – na miejscu Ethana.

– Skąd pani wiedziała, że wiem? – spytała.

– Pat... Ludzie patrzą kobiecie na brzuch tylko wtedy, kiedy myślą, że jest w ciąży, albo kiedy uważają, że jest za gruba.

– Ach tak... Ale proszę nie mieć mu za złe. Pewnie myślał, że i tak już wiem. Jak się pani czuje? Skrzyżowała swoje perfekcyjne nogi. Nigdy bym nie włożyła takiej krótkiej spódniczki jak ona.

– Lepiej. Mniej mnie mdli w tym tygodniu i nie jestem taka zmęczona jak kiedyś.

– Cieszę się, że dobrze się pani czuje. To znaczy... pogodziła się pani z sytuacją? Cieszy się pani, tak?

– Pracuję nad tym. – Zdjęłam kurtkę i położyłam na kolanach. – Kiedy dziecko zaczyna się poruszać, trudno zachować obojętność... Natura.

– Słyszałam o tym od koleżanek.

– A pani? Chciałaby mieć dzieci w przyszłości? – Jakoś tak mi się wyrwało. – Nie musi pani odpowiadać, Pat. Ostatnio nie panuję nad językiem. A tak nie cierpiałam, kiedy mnie ktoś pytał, kiedy będziemy mieć drugie dziecko.

– Nie przeszkadza mi, że jest pani bezpośrednia. Właśnie to w pani lubię. Jasne, chciałabym mieć dziecko. Ale muszę najpierw znaleźć dawcę.

– Dawcę? Czy myśli pani o...

– Nie – przerwała mi z uśmiechem. – Męża, Tesso. Też jestem otwarta i bezpośrednia, zapomniała pani?

– North jest całkiem, całkiem – zauważyłam.

– Sama pani powiedziała, że wygląda na siedemnaście lat. Mam dwie zasady, jeśli chodzi o randki. – Pat uderzyła dwoma palcami w dłoń. – Po pierwsze, nigdy nie spotykam się z kimś, kto wygląda młodziej niż ja. Po drugie, z kimś, kto jest ode mnie szczuplejszy.

Roześmiałyśmy się. Biorąc pod uwagę kontekst naszej znajomości, nigdy bym nie pomyślała, że mogę śmiać się razem z Pat Benedict.

Recepcjonistka lekko zapukała do drzwi. Przeprosiła, że przeszkadza, i podała Pat karteczkę z wiadomością, chyba telefoniczną. Kiedy wyszła, wróciłyśmy do prawdziwej przyczyny naszego spotkania.

– Zależało mi na spotkaniu twarzą w twarz zamiast zwykłej telefonicznej aktualizacji stanu sprawy, bo chciałam zobaczyć, jak się pani czuje. A poza tym mam niestety wiadomość, którą chciałam przekazać pani osobiście.

– No, chyba to nie jakaś tragedia? – Zaśmiałam się nerwowo. – Czy może być coś gorszego niż to, co już się wydarzyło?

– Wygląda na to, że Caulfield ma kłopoty. Wiem, że Jack przekazał już pani, że toczy się przeciw niemu śledztwo w związku z niewłaściwym sposobem prowadzenia sprawy Abby.

– Tak... Dowiedziałam się sama, bez niczyjej pomocy. Jakbym nie chodziła na posterunek, mogłabym w tej chwili słyszeć o tym po raz pierwszy. – Kurtka zsunęła mi się z kolan, ale nie fatygowałam się, aby ją podnieść.

– Przykro mi. Ma pani rację, mój telefon był niepotrzebny, skoro już pani tam była. – Schyliła się po kurtkę, wstała i powiesiła ją na wieszaku koło otwartych drzwi. Wracając, zamknęła je, co

stanowiło dla mnie sygnał, że będzie jeszcze gorzej.

– Możemy przejść do sedna? Proszę mi po prostu powiedzieć, co jest grane. – Ścisnęłam poręczę fotela, nie miałam już kurtki, do której mogłabym się przytulić.

– Z początku sądzono, że nie przykładał się do sprawy, bo mu przestało zależeć na wynikach. Wkrótce emerytura, rozumie pani... Ale dziś wyszło na jaw coś innego. Kiedy trochę pogrzebali, okazało się, że jakoby wziął łapówkę. Zatrzymano jakiegoś starego żeglarza za jazdę pod wpływem alkoholu, a Caulfield odwiózł gościa do domu i puścił wolno. Coś mi się zdaje, że nie zobaczy złotego zegarka na pożegnanie. – Znowu usiadła obok mnie, założyła nogę na nogę i wygładziła spódniczkę.

Najbardziej ze wszystkiego pragnęłam w tej chwili, żeby zamiast ścisnąć poręczę fotela ścisnąć Caulfielda za gardło. Czułam przemożny impuls, żeby stąd uciec, ale moje ciało zapomniało, co to ruch.

– Co za skurwiel. Od pierwszej chwili wiedziałam, że jest w nim coś zgniętego. A Ethan błagał, żeby dać temu arogantowi szansę... Trzeba było zaufać własnemu nosowi i domagać się przekazania sprawy komuś innemu. Też mówiłam sobie, że to chodzi o emeryturę. Boże, a jak on coś ukrywa w związku ze sprawą Abby?

Pat chciała mi położyć rękę na ramieniu. Strząsnęłam ją, tak jakby to był owad.

– Proszę mnie nie dotykać. – Mówiłam za głośno jak na tę przestrzeń.

– Rozumiem, że to dla pani przykre, ale nie wiemy, czy to odosobniony przypadek, czy może kryje się za tym coś więcej. Musimy poczekać na wyniki śledztwa.

– Chyba nie sądzi pani, że Caulfield popełnił tylko jeden błąd, prawda? Kiedy się podniesie kamień, przeważnie siedzi tam wąż. Proszę mi powiedzieć prawdę. Jest bardzo źle?

– Nie wiem. Większość policjantów i prawników uważa, że Caulfield jest po prostu leniwy. Wciąż pojawiają się pogłoski, jakoby miał na sumieniu kolejną sprawę tego typu, ale jak dotąd nic mu nie udowodniono.

– No super. To teraz wezmą pod lupę wszystko, co kiedykolwiek spapał. Nikogo nie będzie obchodzić Abby. Żeby go szlag...

– Nie jest tak źle. Tak czy owak, Caulfield już nie zajmuje się sprawą. – Odważyła się dotknąć mnie jeszcze raz. Tym razem nie odtrąciłam jej ręki. – O'Brien sprawdza Caulfielda, ale North zajmuje się wyłącznie sprawą Abby. Bardzo mu zależy, żeby ustalić, jak było.

Zza drzwi dobiegały odgłosy dzwonka. Aparat wymiaru sprawiedliwości działał bez zmian.

– Co robi teraz North w sprawie Abby? Da radę coś ustalić czy już za późno?

– Wiem, że czeka już pani bardzo długo i wciąż nie widać końca. Nie ma zbyt wielu dowodów, to fakt. Myślę jednak, że przyjdzie czas, kiedy się dowiemy. Rozumiem, że jest pani na mnie wściekła, gdy mówię o uczuciach zamiast o faktach, ale ja mu ufam. Dowiemy się.

Zerknęła na zegarek i przeprosiła mnie, że musi lecieć. O pierwszej musiała być w sądzie. Nie upłynęła nawet godzina, a z niemal szczęśliwej kobiety, która oczekuje dziecka, sama zmieniłam się w niemowlę.

– Wiem, uważa pani, że nic się już nie da naprawić – powiedziała Pat. – Ale ja jestem innego zdania. Jack nie odpuści.

Powiedziała: Jack, nie: North. Może naprawdę coś wie.

Piątek, 10 lutego, godz. 8.00

Z Harrym nigdy nie szło łatwo. Wczorajszy wieczór nie stanowił wyjątku. Wpadłam po pracy, głównie aby poznać nowego korepetytora, aczkolwiek miałam również zamiar wziąć Harry'ego na stronę i poprosić, żeby dołączył do pokojowego układu między Aldenem, Ianem i mną.

– Cześć, C. Wchodź. – Harry cmoknął mnie w policzek. Gest był automatyczny i najwyraźniej dopiero po chwili Harry zdał sobie sprawę z niestosowności tego półpocałunku. To powitanie stanowiło część naszej wspólnej przeszłości i przywołało na chwilę dawne uczucia. Poszedł do kuchni; ja z płonącymi policzkami zostałam w holu.

Co do Roberta, to Ian miał rację: był troszkę ramolowaty. Okulary w grubych ciemnych oprawkach przypominały ochronne gogle używane przez naukowców podczas doświadczeń. Książki i zeszyty pedantycznie ułożone według klucza. Będzie w szoku, kiedy mój impulsywny syn zdecyduje się naruszyć ten porządek.

– Witaj, Robercie. Jestem matką Iana. Wszyscy bardzo sobie cenimy twoją pomoc dla niego. Robert wstał. Nogi miał ugięte, ręce w dziwnym geście rozłożone na boki. Uderzył się o stół i syknął. Przez chwilę nie mógł się zdecydować: wyciągnąć na powitanie rękę czy nie.

– Och... pomagam wielu uczniom, którzy mają kłopoty. Miło mi panią poznać, pani Hayes.

– Reed – sprostowaliśmy jednogłośnie wszyscy troje. W ślad za głosem wyłonił się z kuchni Harry.

Tym jednym słowem ujawniliśmy całokształt naszej sytuacji rodzinnej – rozwód i moje powtórne małżeństwo.

– Nazywam się teraz Reed – powiedziałam.

– Och... przepraszam – zająknął się mózgowiec.

Ian, ekspert w dziedzinie omijania połamanych gałęzi swojego drzewa rodowego, szybko odzyskał rezon.

– Wielkie rzeczy. Nie ma o czym gadać. Lepiej wróćmy do nauki, okej? Zaczynam być głodny, chętnie bym coś przegryzł niedługo.

– Naturalnie, róbcie swoje – poparłam. Nie zamierzałam im przeszkadzać.

Zajrzałam do salonu i z ulgą stwierdziłam, że nie ma tam Harry'ego. Gabinet to lepsze miejsce do rozmowy – będziemy tam mieć więcej prywatności.

– Masz chwilkę, Harry? – spytałam, stając w progu. Harry, przy biurku, pochyłał się nad górą papierów; pewnie jak zwykle szło o sprzedaż jakiegoś katamarana czy jachtu. – Chciałabym omówić z tobą parę spraw.

Okręcił się na krześle.

– O co chodzi? Siadaj i mów, co masz na wątrobie. Nie musisz stać w progu.

Kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie przerwałby pracy, aby wysłuchać, co mam do powiedzenia. Podobała mi się ta zmiana: moi mężczyźni mieli ochotę mnie słuchać! Przez całe życie ja byłam tą, która słucha; teraz przyszła pora na mówienie.

Usiadłam na wielkiej sofie w kremoworóżowy wzór, którą kupiliśmy niegdyś do naszego pierwszego mieszkania. Choć trochę wytarta, wciąż wyglądała bardzo dobrze obok wielkiego dębowego biurka Harry'ego.

Popatrzył, jak przesuwam ręką po masywnej poręczy sofy.

– Chyba powinienem dać nowe pokrycie. Ale lubię staruszkę taką, jaka jest.

– Są rzeczy, które najlepiej wyglądają, kiedy są podniszczone. – Myślami byłam w przeszłości, w bloku, gdzie mieściło się nasze mieszkanko. Ja podtrzymywałam sofę z dołu, a on z góry, i z

wysiłkiem taszczyliśmy ją po schodach; przystawaliśmy co kilka stopni, żeby złapać oddech i poprawić chwyt. Trwało to chyba z godzinę. Kiedy wreszcie wylądowaliśmy na podeście naszego piętra, padliśmy na sofę, zanosząc się ze śmiechu. Nie zawsze było między nami tak trudno jak dziś.

Teraz stała tu, nieco postarzała, podobnie jak dwoje ludzi, którzy niegdyś byli jej właścicielami. Siłą oderwałam oczy od sofy i mój wzrok padł na ścianę. Dziwne, że nie zauważyłam tego od razu po wejściu... Tak dobrze mi znana akwarela – wielkie bałwany fal i kłębiaste burzowe chmury – wisiała, oprawiona, nad biurkiem Harry'ego.

– Nigdy mi się nie znudzi na nią patrzeć – powiedział.

Miałam wrażenie, że porwała mnie fala z obrazka – podwodny prąd wsteczny ciągnął mnie w głąb.

– Dlaczego właśnie ta? Tyle w niej... złości. – Spojrzałam Harry'emu w oczy, co spotęgowało intymność tej chwili. Za wszelką cenę chciałam uniknąć patrzenia na obraz.

– Daj spokój. Jest lepsza niż jakikolwiek fotorealistyczny malunek w tych twoich książkach. Dla mnie to twoja najlepsza praca.

Jedyne, co pamiętałam w tej chwili, to dzień, kiedy malowałam pusty, pozbawiony łodzi ocean. Nie mogłam sobie przypomnieć, po co tu przyszedłam, o czym zamierzałam z Harrym porozmawiać.

– Chciałam ci podziękować, że znalazłeś dla Iana korepetytora. Jak myślisz, czy to coś da?

– Pewności nie ma. Ian mówi, że jak dotąd Robert pomaga mu tylko w odrabianiu lekcji.

Pierwszy test jest zdaje się w przyszłym tygodniu. Mogłabyś sprawdzić? Wiesz, że nie za bardzo się na tym znam.

– Doceniam, że mnie o to prosisz. Ty dopilnujesz, żeby korepetytor nadal przychodził, a ja się zajmę wynikami. To wspaniałe, że ze sobą współpracujemy.

– Zawsze łatwo było cię zadowolić. – Przegarnął dłonią włosy i odchylił się na oparcie tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił się wraz z krzesłem.

Kiedy złapał równowagę, uchwyciłm się prawdziwego powodu, dla którego siedziałam w pracowni Harry'ego otoczona naszymi rzeczami.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś coś jeszcze dla mnie zrobić.

– Strzelaj, jestem w dobrym nastroju. Chłopak lepiej wygląda, nie sądzisz?

– Tak, rzeczywiście. Ale chodzi mi o coś więcej. Obawiam się, że może to nie być dla ciebie łatwe.

Nie wiem, czy mówiłam za cicho, czy może naprawdę przyciągnęłam jego uwagę. Znowu nachylił się ku mnie, wspierając łokcie na kolanach.

– O co chodzi? – spytał, ściągając brwi.

Wyglądał niczym Ian przedwczoraj w tawernie – zaciekawiony, ale ostrożny. Tak rzadko mówię o swoich pragnieniach, że moich mężczyzn to zaskakuje?

Wyprostowałam się i próbowałam wytworzyć klimat zaufania. Nie chciałam, by odniósł wrażenie, że czegoś żądam. Harry nie lubi, kiedy się od niego wymaga, nie cierpi przymusu. Jego reakcja na moją następną propozycję mogłaby być całkiem nieoczekiwana.

– Chciałabym, żeby Ian poszedł na terapię.

Podniósł wzrok na obraz, zatonął spojrzeniem w morzu. Czekałam bez drgnienia.

– Sama mówiłaś, że wygląda lepiej. Może damy mu, powiedzmy, miesiąc? Niech się na razie skoncentruje na szkole.

– Mogę to rozważyć, o ile zgodzisz się na coś innego. Chciałabym, abyśmy wszyscy – ty, Ian, Alden i ja – bardziej niż dotąd przyłożyli się do tego, jak ze sobą rozmawiamy. Ze względu na Iana powinniśmy przestać się kłócić.

– Ożeż! To faktycznie może być trudne. Mówiąc między nami, ten Alden to zapięty pod szyję kawał sk...

– Harry... Właśnie o tym mówię. Nie możesz się o nim tak wyrażać przy mnie. To mój mąż. – Nie chciałam go zranić, stwierdziłam fakt. Harry cofnął gwałtownie głowę, zupełnie jakby dostał w twarz. – Nie chcę, żebyś mówił o nim w ten sposób w obecności lana. Nie byłabym ani trochę zaskoczona, gdyby to twoja antypatia wobec Aldena zabarwiła opinię, jaką ma o nim Ian.

– Och, daj spokój. lana stać na własne opinie i poglądy. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że facet naprawdę jest dupkiem, tylko ty tego nie widzisz?

Wstałam.

– Nie będę z tobą w ten sposób rozmawiać. Harry także wstał.

– Jasne, nie będziesz. Uciekniesz od tej rozmowy, tak samo jak uciekłaś od łodzi. I ode mnie. Jak jest trudno, Celia sobie idzie.

– Jeśli potrzebujesz się wygadać, idź do terapeuty. – Ledwie padły te słowa, od razu ich pożałowałam. Wyciągnęłam argument, który był zdartą płytą z naszej małżeńskiej kolekcji. Burzliwą rozmowę przerwał odgłos chrząknięcia. Odwróciliśmy równocześnie głowy. W holu stali Robert i Ian. Twarz Roberta wyrażała skrepowanie. Twarz lana mówiła: mam tego potąd.

Środa, 15 lutego, godz. 8.00

Wczoraj wieczorem już w progu powitał Aldena leśny zapach grzybów, zmieszany z aromatem wina. Potrawka cieleca, musujący zinfandel i truskawki w czekoladzie to był mój walentynkowy prezent dla niego.

– Celio... Jak znalazłaś czas, żeby przyrzucić coś tak wyjątkowego? Myślałem, że masz dziś pacjentów.

– Skończyłam trochę wcześniej, żeby zdążyć do Harvest Market po zakupy. A gotuję z pamięci. To jedno z moich popisowych dań. Nie przyrządzałam ci go jeszcze?

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że kiedy przygotowywałam je ostatnio, nawet jeszcze nie znałam Aldena. Dobrze, że zmienił temat.

– Kiedy siadamy do stołu? Mam jeszcze coś niecoś do zrobienia.

– Dwadzieścia minut i mogę podawać. Przyjdź do biblioteki, gdy będziesz gotów. Nakryję przed kominkiem. Na początek możemy wypić drinka.

– Będę za dziesięć minut.

Nie tylko posiłek był obfity, konwersacja także. Alden wylizał sos do ostatniej kropli, posługując się bagietką jako łyżką. Cud, że choć tyle uwagi poświęcił jedzeniu, potrafił zarazem tyle powiedzieć. Gdyby istniał guzik, za pomocą którego wybiera się tempo mówienia, dałabym głowę, że wybrał najwyższe.

Sprzątnęłam ze stołu talerze i poszłam po truskawki, a Alden dorzucił dREW do kominka. Kiedy wróciłam, przed moim talerzykiem deserowym widniał powód nerwowej paplaniny mojego męża.

– Zgodziliśmy się chyba, że nie będzie żadnych prezentów. Powiedziałeś, że to święto to komercjalizm w najgorszym wydaniu.

– Może trafił mnie swoją strzałą pewien skrzydlaty chłopczyk. Rzeczywiście, zawsze uważałem, że to głupie wyrażać uczucia na komendę w wyznaczonym dniu. Dopóki nie pokochałem ciebie. Widziany przez powłokę łez obraz Aldena stał się nieostry. Sięgnęłam po jego dłoń, on sięgnął po paczuszkę. Z uśmiechem popchnął ją w moją stronę.

– Otwórz.

Kształt i wielkość z miejsca mi powiedziały, że to biżuteria. Rozwiązałam szkarłatną wstążeczkę i lekko uniosłam wieczko. Oczarowanie prysło. W pudełeczku na wiśniowym aksamicie widniał wyszukany diamentowy naszyjnik. Wyraz twarzy nie od razu zdradził moje uczucia.

– Niezwykły, prawda? Pozwól, że pomogę ci zapiąć.

– Niezwykły, fakt. Nawet... powiedziałabym... ekstrawagancki. Musiałeś zapłacić za niego fortunę. – Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w morze diamentów osadzonych w kunsztownym serduszku, wielkości raczej szkła powiększającego niż monety.

– Warto było zapłacić, żeby zobaczyć twoją twarz. Zaskoczyłem cię. – Zatarł ręce.

– Tak, jestem zaskoczona. Jest taki... – Zawahałam się, modląc się w duchu o właściwe słowa. – Ojej. Po prostu... Kiedy będę miała okazję włożyć coś tak... . wytwornego?

– Nie podoba ci się – powiedział. Jego uśmiech zgasł.

– Podoba mi się, jest śliczny. Tylko... nie chcę być niewdzięczna, ale zastanawiam się, czy mogę nosić tak olśniewającą biżuterię. Nie wiem, czy coś takiego do mnie pasuje. Proste ozdoby są bardziej w moim stylu. Na przykład sznurek pereł czy... – Nie powiedziałam: naszyjnik Harry'ego, ale bystry umysł męża wypełnił tę lukę.

Alden przymknął na chwilę oczy, po czym jak džentelmen, którym był, uratował nastrój wieczoru.

– Rozumiem, Celio. Przyjmij ten gest ekstrawagancji jako wyraz moich uczuć. A naszyjnik możesz wymienić na coś prostszego.

– Tak też zrobię. Pamiętaj, proszę, że zarówno gest, jak i sam naszyjnik uważam za nadzwyczajne.

Gdy jedliśmy truskawki, jedynym dźwiękiem, jaki nam towarzyszył, było trzaskanie ognia na kominku. Nieświadomie znalazłam guzik, zwalniający jego tempo mówienia. Tyle że nie zamierzałam wyłączyć fonii całkowicie.

Zgodziliśmy się z Ethanem: żadnych prezentów, tylko jakieś smaczne danie i czas, żeby pogadać. Zadzwoiłam do Rosemary po przepis na gulasz z wołowiny. Chyba potrafię wrzucić do garnka garść składników; niewiele tu można spać.

– A może lepiej przyjdźcie do nas na obiad? Mam mnóstwo jedzenia – powiedziała.

– Nie, dzięki. Mieliśmy z Ethanem kolejną kłótnię gigant o pokój Abby. Jest równie uparty jak ja, ale w życiu się do tego nie przyzna. Moja oferta rozejmu to coś jadalnego na walentynki. To łatwe, tak? Wiesz, że nie jestem Julią.

– Na tyle łatwe, że powinnaś mi pozwolić, żebym to zrobiła za ciebie. A ty się w tym czasie zdrzemiesz. – Rosemary zaczynała być naprawdę dobra w wyszukiwaniu pretekstów, aby przyjść i mnie w czymś wyręczyć.

– Wyluzuj. Potrafię ugotować gulasz. Czemu mnie traktujesz, jakbym miała pięć lat? – Czułam, że chodzi o coś więcej.

– Chcę ci tylko pomóc. Ethan mówi, że to wszystko trochę ciebie stresuje.

– Jezu, Rosemary... Znowu się namawiacie za moimi plecami? – Czułam, że rośnie mi ciśnienie.

– O czym mówiliście?

– W piątek Ethan poszedł z Kevinem po pracy na piwo. Kevin spytał, jak się czujesz. Tyle. Przystań się denerwować, na Boga. – Pauza na drugim końcu linii świadczyła, że z namysłem dobiera słowa. – Wiem, że ostatnio nie było ci łatwo. Cała ta sprawa jest nie do pomyślenia. Ale kocham was oboje. I o oboje się martwię. Ethan jest dla mnie jak brat, a też mu nie jest łatwo. Dobrze, że to były wszystkie siostrzane rady, z jakimi odważyła się wystąpić.

– No dobra, to teraz podyktuję ci przepis. Idź po papier i ołówek, poczekam. A może wolisz, żeby ci przesłać emailem?

Straciłam zainteresowanie dla gulaszu.

– Rosemary, co z Ethanem? Jak on się czuje? Chyba nie myślisz, że go tracę, prawda?

– Tessa... Nie stracisz go, nawet gdybyś się starała. To skarb. Powinnaś tylko być dla niego miła, i to wszystko.

Miła... Nie takie to łatwe, jak kiedyś.

Przymierzyłam cztery różne stroje, zanim znalazłam jeden, w którym nie wyglądam jak kielbasa. Muszę się wreszcie przełamać i kupić sobie jakiś ciężowy ciuch. Nakryłam stół w jadalni: dwa miejsca obok siebie z widokiem na malowniczy pejzaż za oknem. Zapaliłam dwie wysmukłe karbowane świece. Kiedy wrócił do domu, powitałam go w drzwiach pocałunkiem i butelką piwa.

– Ślicznie wyglądasz. Co tak ładnie pachnie, czy to ty? – Pocałował mnie w szyję, tak jakby zamierzał mnie napocząć.

– Przyrządziłam dla nas kolację; na deser niemieckie ciasto czekoladowe. – Przesadnym gestem wypięłam brzuch. – Skoro wkrótce i tak będę gruba, mogę tyć z przyjemnością.

– Mam coś dla ciebie. Wiem, że nie było przewidziane, ale nie mogłem się oprzeć.

Przeszedł do kuchni. Postawił teczkę na blacie, a ja zamieszałam gulasz. Przymocował kokardę, która odpadła z płaskiego pudełeczka, i podał mi je. Rosemary miała rację: nie ma drugiego takiego jak Ethan.

W środku była podwójna ramka na zdjęcia z napisem u dołu: „Nasze dzieci”. Z lewej strony widniało moje ulubione zdjęcie Abby: to, na którym śpi z paluszkami w buzi. Po drugiej stronie Ethan przykleił niebieską karteczkę samoprzylepną, na której napisał: „Brat lub siostra Abby – zdjęcie wkrótce”.

Objęłam go ciasno ramionami, a on szepnął mi do ucha:
– Nigdy jej nie zapomnimy. Zawsze będzie w naszej rodzinie.

dzień 135.

Różniły się nie tylko rozmiarami brzucha, ale i wyrazem twarzy. Radość, strach, apatia. Gekawe, czy i po mnie tak samo widać, co czuję?

W dwunastym tygodniu ciąży miałam rutynowe badanie. Był ze mną Ethan – jego twarz wyrażała nadradość. W poczekalni zauważyłam jeszcze dwóch mężczyzn. Starszy przerzucał kolorowe magazyny; u stóp miał teczkę za trzysta dolarów, a kanty na spodniach tak ostre, że mogły skaleczyć. Mało mnie obchodził ten handlowiec, który przyszedł tu prawdopodobnie po to, aby przekonywać doktora Hilliarda, że powinien zalecać pacjentkom jego rewelacyjny krem na hemoroidy.

Moją uwagę przyciągnął przyszczaty, wystraszony nastolatek, jak się domyślałam – przyszły ojciec. Co go pociągnęło w dziewczynie – że była ładna czy łatwa? Kochali się czy muszą tu siedzieć, bo przed dwoma miesiącami hormony uruchomiły w nich najlepsze, czym dysponują? Właśnie układałam w myśli ich historię, gdy pielęgniarka wezwała nas do środka. Ethan zerwał się niczym Wańka-wstańka. Jego entuzjastyczna gotowość uczestnictwa zaczynała mnie irytować. Zaprosiłam go w chwili słabości, zaraz po tym, gdy dał mi w prezencie tamtą ramkę. Ale może skoro wzięłam go z sobą na tę wizytę, to kilka następnych będę mogła zaliczyć w pojedynkę.

– Zapraszam na stół, pani Gray – powiedziała pielęgniarka, kiedy zostałam zważona i zmierzono mi ciśnienie. – Podać pani rękę?

Pokręciłam głową. Już byłam na górze.

– Przyniosła pani mocz do analizy? Skinęłam głową.

– Cudownie. W takim razie proszę spokojnie poczekać na doktora. Sprawdza grafik, będzie za moment.

Chciała być uprzejma, ale przesadziła w tym zachwycie nad siuszkami. Uśmiechnęłam się. Pielęgniarka wyszła.

– Nie rozbierasz się? – spytał Ethan. – Zapomniałem już, jak wygląda taka wizyta. – Był w nastroju do rozmowy, a ja marzyłam, żeby mieć to już za sobą.

– Hilliard sprawdzi mi tylko brzuch i pogada z nami. Wielka nowina jest taka, że być może będziesz mógł posłuchać bicia serca.

Zanim zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się doktor Hilliard. Podał Emanowi rękę.

– Cieszę się, że cię widzę, Ethanie. Przyjmij moje kondolencje. Jakże się trzymasz? – Doktor Hilliard znakomicie potrafił wywołać u pacjentów wrażenie, jakby byli jedyną parą, jaką kiedykolwiek miał pod opieką.

– Troszeczkę lepiej, skoro będziemy mieć dziecko. Proszę mnie źle nie zrozumieć: tęsknię za Abby bardzo, ale zależy mi, żebyśmy znowu byli rodziną. – Ścisnął mnie za rękę; oddałam uścisk. Nie dlatego, że dzieliłam jego zachwyt; chciałam, żeby go zabolalo. Skrzywił się, a doktor Hilliard podszedł do mnie.

– No, to teraz zobaczymy, jak się miewa wasze dziecko. Są jakieś problemy, Tesso?

– Z ciążą czy z Ethanem? – zaryzykowałam żarcik, żeby nieco oczyścić atmosferę.

Doktor Hilliard się roześmiał.

– Może zacznijmy od ciąży.

– Czuję się dobrze. Jestem tylko bardziej pobudzona od jakichś dwóch tygodni. – Pogładziłam

brzuch. – Nie jest za duży jak na trzy miesiące?

– Może troszkę, ale jesteś szczupła, a to twoja druga ciąża, i najpewniej będzie przebiegać inaczej. Więcej się dowiemy, kiedy cię zbadam.

Podtrzymał mnie za ramiona, a ja się położyłam. Zręcznym gestem uniósł mi koszulę i zaczął delikatnie masować zaokrąglający się brzuch. Ethan obszedł stół dookoła, żeby lepiej widzieć, co doktor robi. Nakryłam dłonią jego dłoń: chciałam go jakoś przeprosić, że byłam dla niego przykra. Nie chciałam popsuć mu tego przeżycia, nawet jeśli sama wolałabym znajdować się teraz gdzie indziej.

Żel był ciepły, a bicie serca głośne. Nosiłam w sobie życie. Ethan zapłakał. Potem zapłakałam ja. Jestem pewna, że z innego powodu.

Kiedy otarło mi żel z brzucha i wszystko jakby wróciło do normalności, oślepił mnie nieoczekiwany cios: Ethan wyjawiał prawdziwy powód, dla którego chciał tu przyjść.

– Panie doktorze, martwię się, czy Tessa zdoła nawiązać więź z tym dzieckiem. Tak tęskni za Abby że dotąd sypia czasem w jej łóżku. Jest w wielkim stresie.

Obciągnęłam koszulę i złapałam krawędzie stołu, żeby wstać. Nie mogłam tak spokojnie leżeć, podczas gdy dwóch facetów zastanawiało się, czy potrafię nawiązać więź z dzieckiem, czy nie! Właśnie dlatego czułam się wciąż tak podle, że mogłam się okazać zbyt dobra w nawiązywaniu tej więzi... Ethan uparcie patrzył na doktora Hilliarda: nie odważył się na kontakt wzrokowy ze mną.

– Posłuchaj, Tesso – zaczął doktor. – Choć jestem pewien, że z czasem zaakceptujesz tę ciążę, troska Ethana jest uzasadniona. Chciałbym ci zrobić USG. Pomoże nam to określić datę porodu i lepiej ocenić wielkość macicy, a i obraz dziecka, jak sądzę, może się okazać pomocny.

Wciąż siedziałam na stole, z dłonią na brzuchu.

– Niepokoi się pan, że jest za duży? Położył dużą dłoń na mojej małej.

– Tylko troszeczkę. Myślę, że w twoim przypadku USG jest wskazane. Chciałbym zrobić wszystko, co możliwe, aby zyskać pewność, że za pięć do sześciu miesięcy będziesz trzymać w ramionach zdrowe dziecko.

– Jakie mogą być przyczyny tego, że Tessa ma większy brzuch, niż powinna? – Emanowi załamał się głos.

Doktor Hilliard mocniej ścisnął moją dłoń.

– Jest parę możliwych komplikacji, ale żadnej z nich nie podejrzewam u Tessy. Najpospolitsza przyczyna tego, że macica jest większa niż zazwyczaj, to ciąża mnoga.

Wyrwałam rękę.

– Mnoga? Chyba pan, kurczę, żartuje!

– Tessa... – upomniał mnie Ethan, po czym zwrócił się do doktora Hilliarda: – Przepraszam za żonę. Sam pan widzi, jakie to wszystko dla niej trudne.

– Nie ma potrzeby przeproszać, Ethanie. Twoja reakcja jest typowa, Tesso. Gdybym miał się pokusić o opinię, powiedziałbym, że moim zdaniem nosisz jedno dziecko. Aby uśmierzyć twój lęk, zapiszę cię na USG na jutro albo pojutrze. Czy tak będzie dobrze? – Spojrzał na mnie oczami, które stopiłyby nawet górę lodową.

– Świetnie – odparłam.

– Doskonale – powiedział Ethan.

– Coś jeszcze? – spytał doktor Hilliard.

Miałam ochotę spytać: czy nie dość, że mogę nosić więcej niż jedno dziecko? Ale tylko pokręciłam głową.

Wzięła do ręki czarnobiałe zdjęcie i uśmiech wypłynął jej na twarz. Celia jest piękna, kiedy się uśmiecha, ale nie robi tego zbyt często. Z czego tu zresztą się cieszyć, skoro ma do czynienia z taką pacjentką jak ja?

– Niektóre kobiety czują ulgę, kiedy dowiadują się, że noszą tylko jedno dziecko – mówiła. – Inne są zawiedzione i smutne. Ciekawa jestem, jakie są pani odczucia.

– Żartuje pani? Ledwie potrafię sobie wyobrazić, że mam jedno, a co dopiero bliźniaki! Jasne, że mi ulżyło.

Doktor Hilliard był na tyle uprzejmy, że wezwał na wizytę lekarzkę radiologa, aby od razu nam powiedziała, czy noszę jedno duże dziecko, czy bliźnięta. Technik wodził mi po brzuchu czarodziejską różdżką, a ja się modliłam, żeby doktor Beryl zrobiła hokuspokus i powiedziała, że jedno. Albo jeszcze lepiej, że utylam, bo nie ćwiczę i jem za dużo ciastek. Doktor Beryl orzekła, że widzi tylko jedno dziecko. Tym razem to ja pierwsza zaczęłam płakać.

– Powiedziała, że brzuch mam troszkę za duży jak na dwanaście tygodni, ale nie ma żadnych powodów do obaw. Wszystko jest tak, jak powinno.

Nie zwierzyłam się Celi z mojego domysłu, że nikt nie opowiedział doktor Beryl całości mojej historii. Przeszłam do innych nowin.

– Spytała, czy chcemy znać płęć.

Celia nachyliła się ku mnie i przez chwilę wyglądała jak każda inna kobieta. Pragnęła wiedzieć i zaczęła sobie wyobrażać ukrytą we mnie realną osobę.

– Chcieliście?

– Jak zwykle ostatnio, Ethan chciał, a ja nie. Doktor Beryl powiedziała, że może powiedzieć tylko jemu albo możemy to przemyśleć i kiedy się zdecydujemy, zadzwonić do niej.

– I co zdecydowaliście?

– Mam potąd tego, że wszystko jest takie skomplikowane, więc powiedziałam: dobra, niech będzie. I powiedziała... To dziewczynka. – Sięgnęłam do pudełka z chusteczkami.

Płakałam, bo jestem w ciąży. Płakałam, bo to dziewczynka. Płakałam, bo pragnęłam, żeby czas się cofnął i żeby ta dziewczynka to była Abby.

Piątek, 17 lutego, godz. 16.00

Skończyłam sesję z Tessą. Dziś była moją ostatnią pacjentką. Nie zabrałam się do porządkowania notatek, tego całodziennego urobku łez. Stałam w oknie i patrzyłam, jak idzie powoli do minivana, zaparkowanego między budynkiem a wejściem do Verity Park.

Skręciła do parku i usiadła na pierwszej ławce. Nie powinna tego robić, było zimno i zapadał zmrok. A ja nie powinnam była śledzić, jak bije się z myślami: ledwie popatrzyłam, zaczęłam uczestniczyć w tej walce.

Nie mogłam oderwać od niej oczu. Wstała po dłuższej chwili, odwróciła się i zerknęła w moje okno. Spotkałyśmy się wzrokiem. Jej spojrzenie mówiło, że nie otrząsnęła się ze smutku. Moje, mam nadzieję – trzymaj się. Otarła oczy i wysiakała nos: zwilgotniały od chłodu na zewnątrz i bólu wewnątrz niej.

Musiałam odejść od okna, bo zadzwonił telefon. Kiedy znów przez nie wyjrzałam, Tessa już poszła.

Mocny, niski głos lana klócił się z jego dziecinnym planem.

– Mamo, jutro twoje urodziny. Chciałbym cię zabrać do kina. Ty będziesz wybierać, a ja płacić. No, chyba że masz już inny pomysł.

– Nie ma dla mnie lepszego pomysłu na urodziny niż spędzić czas z tobą. O której mam wpaść? Koło piątej, szóstej?

– Pomyślałem, że może wyskoczmy trochę wcześniej do miasta, jeśli ci pasuje.

Naturalnie, woli się spotkać w dzień, poza Wenonah. Nastolatek, który w sobotę wieczorem wychodzi z matką, zapłaciłby za to znacznie więcej niż wynosi cena kinowego biletu: ciężki haracz kolegom w poniedziałek w szkole.

Trudno mi sobie wyobrazić lepszy sposób uczczenia moich pięćdziesiątych urodzin. Ciekawe, czy uda mi się przekonać Aldena, aby spojrzął na to z mojego punktu widzenia. To dla niego pierwsze wyzwanie na drodze do pokoju w rodzinie.

Poniedziałek, 20 lutego, godz. 8.00

W dniu urodzin spotkało mnie sporo niespodzianek, Ian zaplanował wyskok do naszego ulubionego kina w Bostonie. Kiedy po niego przyjechałam, otrzymałam pierwszy urodzinowy prezent.

– Wszystkiego najlepszego, C. Wejdz na chwilę. – Harry cofnął się, żeby mnie przepuścić w drzwiach. Uśmiechał się szeroko.

W przedpokoju zobaczyłam lana: siedł do mnie tyłem, na głowie miał kaptur. Odwrócił się i teatralnym gestem ściągnął go, odsłaniając nową fryzurę. Blond loki, które zwykle spadały mu na oczy, były teraz krótsze, rozdzielone z prawej strony przedziałkiem i zaczesane na bok.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Aż biło z niego rozradowanie, czym jeszcze dodawał sobie męskiego uroku. – Podoba ci się?

– Jezu, chłopie, mam nadzieję, że umiesz robić sztuczne oddychanie? Bo zaraz dostanę ataku serca. – Staralam się nie przesadzić z komplementami, ale naprawdę wyglądał wspaniale. – Nie zrobiłeś tego wyłącznie dla mnie. Sobie też się podobasz, prawda? – Położyłam mu ręce na ramionach i obróciłam dookoła, by obejrzeć fryzurę ze wszystkich stron.

– No, jest w porzo. To co, idziemy? Tato, nie widziałeś mojej bejsbolówki?

Wciąż pod wrażeniem jego wyglądu, wyszłam i ruszyłam do samochodu, Ian odwrócił się do

Harry'ego i coś powiedział. Jedyne słowo, które uchwyciłam, brzmiało: nie.

Francuski film bardzo mi się podobał, choć Ian przespał seans. Po filmie zaproponował, żebyśmy wstąpili do domu i zabrali Aldena na kolację. Już do niego dzwonił i uprzedził, że jest zaproszony.

– To teraz po Ala – powiedział z uśmiechem.

Okazało się, że to podstęp. Kiedy weszliśmy do domu, zobaczyłam coś, co w pierwszej chwili uznałam za przywidzenie. W przedpokoju stali ramię w ramię Alden i Harry i uśmiechali się szeroko, wznosząc toast wodą sodową: Alden – w kieliszku, Harry – w puszce.

– Wszystkiego najlepszego – powiedzieli wszyscy trzej jednym głosem. Tylko zakończenia były różne: Celio, mamó i C.

Alden przygotował świeżą tilapię sautee z zieloną sałatą i piure z ziemniaków. Nie miałam wątpliwości, że stół nakrył Harry: z kandelabru zwiisał pęk czarnych i białych balonów, a widelce na czarnych papierowych serwetkach były umieszczone po prawej stronie nakrycia, zamiast po lewej. Choć poprawiałam go w przeszłości wiele razy, nigdy nie nauczył się tej zasady. Ale to, co mnie kiedyś irytowało, teraz było urocze. Natomiast Alden z pewnością potwierdził swoją opinię o Harrym, ale nie dał po sobie nic poznać. Prezent sam w sobie.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, że ta czerń to aluzja do twojego wieku. Pomyślałem, że spodoba ci się dekoracja pasująca do wystroju jadalni. – Harry puścił do mnie oko, tak że tylko ja je widziałam.

– Jestem wzruszona. Nie mogę uwierzyć, że zrobiliście to dla mnie. To twój pomysł, Ian?

– Nie, pomysł był taty. Ja i Al... Obaj uznaliśmy, że jest super.

– Na szczęście Al zaproponował, żeby urządzić fetę tu i że on będzie kucharzem. Pamiętasz, jak zapomniałem o bułkach w piecu i musieliśmy wzywać straż pożarną? – Harry odstawił na blat puszkę z wodą sodową, żeby móc gestykulować, kiedy relacjonował kolejne kuchenne katastrofy. Nawet Alden się roześmiał. Ten wątek w naturalny sposób doprowadził do kolacji.

– Harry, lanie... nalać wam po kieliszku? Otworzyłem butelkę doskonałego sauvignon blanc – zaproponował Alden.

Ian spojrzął na mnie.

– Tata i ja nie pijemy – powiedział ostro. Harry nadał był w beztróskim nastroju.

– Dzięki, Al, ale od dziesiątego listopada jestem trzeźwy. Nawet urodziny C to nie powód, żebym wypił. Wiesz, jest taki drobiazg, który nazywa się „jazda pod wpływem”. – Objął ramieniem lana. – A ja mam pod opieką mojego chłopaka.

– No wiesz, każdy z nas czasem prowadzi pod wpływem, choć nie powinien. Po prostu miałeś pecha, że cię złapali. Nie wiedziałem, że uważasz się za alkoholika. Chodzisz na mityngi? – Unikając z nami kontaktu wzrokowego, Alden włożył do ust kawałek ryby.

Dobrze wiedział o problemie Harry'ego. Za piękne to wszystko było, by uwierzyć, że jest prawdziwe... Tylko czekałam, kiedy wybuchnie bomba z opóźnionym zapłonem.

– Podobał ci się film, mamó? Dla mnie to najlepszy francuski film, jaki widziałem – zagadnął Ian. – Tobie też by się podobał, Al. Coś pomiędzy dramatem obyczajowym a kryminałem.

Miłość łamana przez tajemnicę, prawda, mamó? – Alden chciał wrzucić granat na nasze przyjęcie, Ian chciał przerwać wymianę ognia.

Ian i Harry oddali się pracowitemu układaniu ryby i warzyw w coraz to nowe konstelacje, tak by wyglądało, że jedzą, a ja zmusiłam się, aby jeść naprawdę. Rósł we mnie niepokój. Miałam nadzieję, że Alden nie poczuje się dotknięty, iż nie dbają o przygotowane przez niego danie. Modliłam się w duchu, żeby nie natrafić w rozmowie na kolejną minę.

– Nigdy się specjalnie nie znałem na tych zagranicznych filmach – włączył się Harry. – Za to na prezentach jak najbardziej. Może byśmy przeszli do rozpakowywania prezentów, C? Usiądź

sobie na razie w bibliotece, a my tymczasem sprzątniemy ze stołu. A potem przyjdziemy do ciebie.

Wszyscy trzej wstali. Ja się zawahałam. Próbowałam naprędce wymyślić coś, co pozwoliłoby mi zostać w pobliżu i interweniować w razie potrzeby. Nie miałam ochoty zostawiać ich samych, ale widziałam już w kuchni tort i byłam pewna, że Harry nie odstąpi od tortowo-prezentowego rytuału.

Z ociąganiem przeszłam do biblioteki i usiadłam pośrodku kanapy, wiedząc, że w ten sposób panowie będą zmuszeni usiąść w bezpiecznej odległości od siebie. Pięćdziesiąt urodzinowych świeczek oświetliło drogę z kuchni do biblioteki, Ian niósł ciasto, Harry i Alden szli za nim; wszyscy, fałszując nieco, śpiewali *Happy Birthday*. Wieczór zmierzał do naturalnego końca i wróciła nadzieja, że nic go nie zepsuje.

– To twój ulubiony tort, schwarzwaldzki. Kupiliśmy go z tatą w McGrath's. – Ian podstawił mi ciasto pod nos, a ja bałam się, że je upuści, zanim doniesie do stolika z kawą.

– Całe lata nie kupowałam nic w piekarni McGrath's – zauważyłam. – Weź sobie solidny kawałek, Alden, na pewno będzie ci smakować.

– Dziękuję, na razie nie mogę. Najadłem się. Może później zjem kawałek... z tobą – dodał z naciskiem. To było jak splunięcie w stronę Harry'ego.

Harry sięgnął po pierwszy kawałek.

– W takim razie ja zjem porcję Ala. Na czekoladę i wiśnie zawsze mam miejsce w żołądku. Tylko czekałam, kiedy Alden powie, że Harry nie dostanie deseru, bo nie zjadł obiadu. Nie powiedział jednak nic, natomiast podał mi paczuszkę. Prezent pochodził od lana.

– Nie musiałeś mi nic kupować – zwróciłam się do lana. – Film i nowa fryzura to aż nadto. Ślicznie wygląda, Alden, prawda?

Zamiast na lana Alden zerknął na zegarek.

– Tak, wygląda teraz poważniej. W twoim wieku krótsze włosy są bardziej stosowne. Myślałeś już o wyborze studiów? Co byś powiedział na mój uniwersytet? Mogę cię kiedyś zabrać, żebyś sobie obejrzał.

Miałam nadzieję, że nie widział, jak Ian przewraca oczami.

– Nie, jeszcze o tym nie myślałem. Dopiero jestem w drugiej klasie, mam jeszcze sporo czasu na zastanawianie.

Dostałam od lana kaszmirowy blezer w kolorze koniaku, z małutkimi perłowymi guziczkami, w idealnym rozmiarze. Ciekawe, czy Harry pomagał mu w wyborze i który z nich płacił.

– Wiedziałem, że chodzisz do pracy w swetrze, więc pomyślałem, że może ci się przydać nowy – powiedział Ian.

– Idealny, synu. Strasznie mi się podoba. – Przytuliłam miękką dzianinę do policzka.

Kolejny prezent był od Harry'go: książka opakowana w bibułkę. Po rozwinięciu okazało się, że trzymam w ręce egzemplarz limitowanej edycji *Hrabino Monte Christo*. Kiedy podniosłam oczy, twarz Harry'ego jaśniała niczym świeczki na moim urodzinowym torcie.

– Dodatek do twojej kolekcji, C. Jak ci się podoba?

– Fantastyczny, Harry. Gdzieś ty, na Boga, znalazł to wydanie? – Pieszczotliwie powiodłam ręką po okładce książki. Zawsze uwielbiałam tę powieść.

– Pamiętasz tego księgarza, którego poznaliśmy, kiedy popłynęliśmy w rejs do Newport? Boże, to już ponad dwanaście lat... Nie mogłem zapomnieć tej jego księgarni. No więc zadzwoniłem do faceta, żeby sprawdzić, co tam ma. Też nie wierzyłem własnym oczom. Tak lubisz Dumasa... no więc pomyślałem, że to jest to. Idealny prezent urodzinowy dla C.

– A ja i Summer* [Summer – ang. lato (przyp. tłum.)] też byliśmy z wami w Newport? – spytał Ian.

Ścisnęłam twardą okładkę.

– Ty byłeś – powiedziałam.

– Kto to jest Summer? – spytał Alden z oczami utkwionymi w ostatni prezent, który pozostał na stoliku.

Bez ostrzeżenia uderzyła wichura. Między Harrym a Ianem przeskoczył świetlisty zygzak.

Ciśnienie gwałtownie wzrosło; miałam wrażenie, że wybuchnie mi głowa. Niczym nagła burza wtargnęła do pokoju ona.

Zdołałam jakoś podziękować Harry’emu, wypowiadając parę bezbarwnych słów. Uporczywie przerzucałam kartki książki. Alden, cały skupiony na tym, by ukryć swój prezent między swoimi plecami a oparciem sofy, przeoczył, że w pokoju pojawił się nieoczekiwany gość.

Siedziałam jak skamieniała, niepewna, jak postąpi Harry. Mógł pozostać na głównej scenie i użyć teatralnych efektów, by podelektować się moją nieuczciwością. On jednak nadal koncentrował uwagę na prezentach, Ian siedział w milczeniu, nieporuszony.

– Co tam masz, Al? Nie pokażesz nam? – Harry niemal położył mi się na kolanach, nachylając w stronę Aldena.

– Potem dam prezent Celi. Późno już i zostało sporo do zmywania. – Cofając rękę najdalej, jak mógł, upuścił paczuszkę na podłogę. Harry rzucił się ku niej.

– Nie, Al. Na pewno chciałyby zobaczyć teraz.

Alden zdążył pierwszy. W zamęcie pudełeczko otworzyło się i wypadła karta do miejscowego centrum handlowego, Ian podniósł kartę i podał mi.

– Ożeż! Niezła kasa.

Brnęłam naprzód. Nie miałam prawa skarcić ich za złe zachowanie.

– Co za gest, Alden. Właśnie miałam zamiar kupić sobie parę nowych rzeczy do pracy. Dziękuję.

– Pomyślałem, że skoro twoje urodziny wypadają tuż po Bożym Narodzeniu i walentynkach, to karta będzie praktycznym prezentem. Wybierzesz sobie, co zechcesz, bez ryzyka, że okaże się nie w twoim stylu – wyjaśnił zwięźle. Nie wiem, czy wciąż czuł się zraniony sprawą diamentowego wisiora, czy Harry zbił go z tropu.

Zanim miałam szansę wygładzić sprawę, Harry skorzystał ze swojej przewagi.

– Spaprałeś swój PR, Al. Twoje żarcie wyglądało jak dzieło sztuki z galerii na Surfside Street.

Jesteś na bieżąco we francuskich filmach. Ale tak między nami małżonkami to prezenty nie mają być praktyczne. Mają być fajne, ekscytujące. No wiesz... trochę szalone.

Alden poczerwieniał. Poczulałam na policzku bijący od niego żar.

– Wasze małżeństwo jest zakończone, a nasze trwa i ma się dobrze, więc nie sądzę, żebym potrzebował od ciebie jakichkolwiek rad. Przy okazji: mam na imię Alden, nie Al. Jeśli pozwolicie, posprzątam ze stołu, a wy będziecie mieć czas, żeby się pożegnać.

– Nie tak dobrze, jak ci się wydaje – zadał półgłosem finalny cios Harry.

Tak zakończyło się moje urodzinowe przyjęcie.

Część 3

Wiosenny deszcz

Kiedy po przymierzeniu ostatnich spodni okazało się, że moja talia błaga o nocną koszulę, zrozumiałam, że pora kupić ciężowe ciuchy. Zmieniła się moda, ale głupie nazwy sklepów – nie. W centrum handlowym, między magazynem z bielizną a butikiem z rzeczami dla niemowlaków, natknęłam się na sklep o nazwie „Królik w piecu” czy coś równie bezsensownego. Zdążyłam wybrać naręcze wygodnych spodni i podkoszulków, gdy dotarła do mnie ta rozmowa.

– Słyszałaś? Matka tej dziewczynki, która zginęła koło przedszkola, znowu jest w ciąży. –

Ciężarna trzydziestoparolatka przechyliła głowę i wlała do gardła resztę wody z butelki.

– O Boże, naprawdę? Ja bym chyba nie przeżyła, jakby Robbiemu coś się stało – szepnęła jej nieciężarna przyjaciółka. – Jak ona może tak zaczynać od nowa, skoro nawet nie znaleźli sprawcy...

– Ja bym na pewno nie przeżyła. – Trzydziestoparolatka pogładziła brzuch i zmarszczyła brwi. – Nie uwierzysz, co mi powiedział mój kuzyn Charlie.

Stałam po drugiej stronie stojaka z sukienkami o rozmiarach namiotu i słuchałam, jak plotkarki rozprawiają o moim życiu. Parę ciuchów ześliznęło mi się z ręki na podłogę, ale nie schyliłam się, aby je podnieść: bałam się, że ominie mnie dalszy ciąg. Siłą powstrzymałam się, żeby nie wrzasnąć: zamknijcie się! Wreszcie zeszyły ze mnie i zaczęły gadać o śledztwie. Przynęłam się bliżej do stojaka; choć raz przydało się, że jestem mała.

– Wiesz, Charlie pół roku temu poszedł do policji. Pracował z tym grubym... no wiesz, o kim mówię. Jak można tak upaść? Ale nie o to chodzi. Wyobraź sobie, wszyscy uważają, że ten facet wie, kto to zrobił, i że tego kogoś kryje.

W gardle miałam gulę. Od stania nieruchomo w niewygodnej pozycji bolały mnie plecy.

– Nigdy bym nie pomyślała, że w Wenonah Falls może się zdarzyć coś takiego. Charlie mówi, że jeśli nie ma dowodów, to nic się nie da zrobić – powiedziała ciężarna.

Zaniosłam ciuchy do ekspedientki.

– Później po nie przyjdę. Źle się poczułam.

Nie wiem, czy plotkarki mnie rozpoznały, ale wybiegając ze sklepu, dostrzegłam chyba skruchę na ich twarzach.

Zwymiotowałam na parkingu i ruszyłam do domu. Nie pamiętam, jak jechałam. W głowie miałam tylko jedno: muszę zadzwonić do Ethana, Pat i Northa. Byłam wściekła na siebie, że zostawiłam komórkę na kuchennym blacie. Szczęście, że na sekretarce mrugało czerwone światełko i pierwsze nagranie pochodziło od Pat. Mdlilo już mnie na myśl, że wciąż wyprzedzam o krok moich tak zwanych sprzymierzeńców.

– Proszę zadzwonić do mnie do biura albo na komórkę. Nie jest to przełom, na jaki czekamy, ale bardzo ważne, żeby pani zadzwoniła. Czekam.

To, o czym plotkowały kobiety w sklepie, musiało być prawdą. Nie wiedziałam, gdzie dzwonić najpierw: do Pat czy do Ethana.

– Ethan, przyjeżdżaj do domu. Jak najprędzej.

– Co się stało, kochanie? Coś z dzieckiem?

– Nie, z dzieckiem wszystko dobrze. Ze mną też... a właściwie nie. Ethan, dowiedziałam się czegoś nieprawdopodobnego o Caulfieldzie. Muszę sprowadzić do nas Pat. Przyjeżdżaj.

Rozmawiając z Ethanem, równocześnie wybierałam na komórce numer Pat.

– Zaraz będę. Zadzwon do Rosemary, żeby pobyła z tobą, dopóki nie przyjadę. Obiecujesz?

– Lepiej się pośpiesz. Dzwonię do Pat. – Miałam wrażenie, że zwymiotuję, więc podeszłam do

zlewu. Rozłączyłam się: przyjedzie szybciej.

Na podjazd wjechał saab Pat. Wskoczyła, ledwie zgasł silnik. Tuż po niej pojawił się Ethan.

Spotkałam ich w drzwiach. Znowu przez gulę w gardle nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

– Dobrze, że jesteście oboje. Pogadajmy w środku – zaproponowała Pat.

Przejęła kierownictwo, tak jak właściciel zakładu pogrzebowego, kiedy wybieraliśmy trumienkę Abby. Powiedziała, żeby usiąść. No więc usiedliśmy.

– Mam ważne wiadomości. Detektyw Caulfield zostanie aresztowany dziś po południu.

– On wie, kto zabił Abby; kryje mordercę. – Wstałam i zaczęłam przemierzać pokój.

Ethan zsunął się na brzeg kanapy.

– Chwileczkę. O czym wy mówicie? Tessa, usiądź, proszę.

– Podśledzałam, kiedy dwie kobiety rozmawiały o tym w sklepie. Wie, prawda? – zwróciłam się do Pat.

Pat otworzyła teczkę i wyjęła gruby plik papierów.

– Sąd stanowy przekazał nam akt oskarżenia; Caulfieldowi postawiono kilka zarzutów: przyjmowanie łapówek, współdziałanie w przestępstwach i utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Pierwszy zarzut nie ma nic wspólnego ze sprawą Abby. – Położyła papiery na stoliku.

– A pozostałe? – Usiadłam i wzięłam Ethana za rękę, żeby się zakotwiczyć. Nie czułam ziemi pod nogami.

– Mogą mieć – odparła. – O ile mi wiadomo, istnieją mocne dowody co do zarzutu korupcji i współdziałania. Co do utrudniania to nie muszą mieć potwierdzonych podejrzeń, aby wystąpić z takim zarzutem. Nie wiem.

– Pat, na litość boską! – Ethan mówił teraz tak jak ja. – Proszę mówić po angielsku!

Włożyła z powrotem papiery do teczki i zatrzasnęła zamek.

– Uważają, że Caulfield celowo spaprał sprawę Abby. Nie wiem, czy to znaczy, że zna sprawcę. Może mają wiele dowodów, a może nie. Nie mówią o tym. Ale to nieważne. Taki zarzut mogą sformułować bez dowodów.

Ethan złapał się za głowę. Ja siedziałam, wpatrując się w Pat. Coraz słabiej słyszałam jej głos.

– Pozwoli im to wyciągnąć od niego więcej informacji dotyczących sprawy Abby. Będą mogli przeanalizować podejrzenia bardziej szczegółowo. Zaplanowałam na jutro spotkanie Northa i nas trojga. Tu, jeżeli nie macie nic przeciw, bo...

Zadzwoił telefon. Drgnęłam. Ethan zerwał się z kanapy. Pat wyciągnęła rękę i zatrzymała go.

– Proszę sprawdzić, kto dzwoni, a jeszcze lepiej włączyć pocztę głosową. Mam przeczucie, że media zasypią was prośbami o komentarz. Musimy o tym pogadać. Potrzebujemy trochę czasu.

149.

Tej nocy spałam w jej łóżku czy raczej powinnam powiedzieć: leżałam. Sen nie nadszedł i nawet tego nie chciałam. Nie rzucałam się i nie przewracałam z boku na bok dręczona obawą, że rano wstanę z ciężką od niewyspania głową i czerwonymi oczami. Leżałam, większa niż dawniej, w jej pościeli, której nie prałam od czasu, gdy spała tu po raz ostatni. Usiłowałam odnaleźć jej zapach, ale już się ulotnił. Przyciskając do piersi pluszowego królika Tootsie, myślałam o kolejnym spotkaniu na temat śledztwa. I wtedy poczułam. Całkiem jakby zatrzepotał skrzydełkami uwięziony w klatce ptak, poruszyło się moje dziecko. Wybrało to właśnie miejsce,

żeby się przedstawić.

Przy Abby nie poznałam tego uczucia. Przeoczyłam pierwsze ruchy: nie zdawałam sobie sprawy, że ona usiłuje zwrócić na siebie moją uwagę. Przypominało to pajęczynę na ścieżce: coś czułam, ale nie mogłam nic dostrzec ani dotknąć, choć się starałam.

Nie, sen nie nadszedł, gdy żegnałam się po raz kolejny z jedną córką i witałam z drugą.

150.

Nigdy nie miałam nic przeciw grzecznej telefonicznej prośbie o wywiad, ale dziennikarze po prostu rozłożyli obozowisko na naszym frontowym trawniku. To skandaliczne. Nie mogłam wyglądać przez wychodzące na ulicę okno w jadalnym. Dostawałam szału na widok kwadratowej szczyki i aroganckiej postawy Gaulfielda, którego wciąż pokazywali w wiadomościach. Nalałam więc sobie filiżankę kawy, którą Ethan zaparzył dla Pat i Northa, wymknęłam się do pokoju gościnnego i czekałam. Tam odnalazł mnie Ethan.

– Tylko nic nie mów – zastrzegłam. – Bez kawy przez to nie przejdę.

– W porządku, ale niech to będzie ostatnia. Nie zaparzyłem jej dla ciebie. A jeśli mam być szczerzy, dla nich też nie. Po prostu musiałem coś zrobić.

W ostatnie słowa wtargnął dźwięk dzwonka. Och, gdyby byli to Pat i North. Ale równie dobrze mógł to być kolejny oślizgły reporter.

Pat weszła tanecznym krokiem, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Nie wiedziałam, czy jest wyższa od Northa, czy po prostu bardziej pewna siebie. Nawet z postawionymi na żel włosami North nie dorównywał jej wzrostem.

– Mogłoby być gorzej, gdybyście wyszli na zewnątrz. Spotkajmy się w kuchni.

Ruszyliśmy za nią. Kiedy Pat wydaje komendę, wszyscy słuchają, nawet ja. Usiedliśmy na tych samych miejscach co wczoraj, Ethan rozlał kawę do filiżanek. Pat zaczęła.

– Sytuacja prawna Caulfielda się nie zmieniła. To, co powiedziałam wczoraj wieczorem, jest aktualne.

Położyła ręce na stole, jedną na drugiej, i powiedziała takim tonem, jakby to był tekst roli, którą ćwiczyła:

– Został postawiony w stan oskarżenia. Zaprzeczył wszystkim zarzutom i został zwolniony za kaucją, którą sam wpłacił.

North, który od chwili przyjścia pobrzękiwał w kieszeni drobnymi, nachylił się ku mnie, patrząc też na Ethana.

– Jak sobie z tym wszystkim radzicie?

– Jestem na przemian wściekły i zdruzgotany. – Ethan odgarnął z czoła ciemny lok.

– Nie chcę być nieuprzejma, detektywie, ale terapeutkę już mam. Czy są jakieś nowe informacje? Od tygodni czekamy, że pan potwierdzi lub wykluczy tych dwóch podejrzanych. Czy aresztowanie Caulfielda w tym pomoże, czy jest to jedno wielkie zawracanie głowy?

North głośno zaczerpnął powietrza. Pat splotła i rozplotła dłonie.

– Mamy pewne informacje – powiedziała. – Obawiam się jednak, że nie posuną sprawy naprzód.

– Przestała wykręcać ręce. Pałeczkę przejął North.

– Wiele się dzieje. Ale nie wygląda, żeby to był przełom, na który czekamy.

– Na litość boską, po prostu nam powiedzcie! – Ethan odstawił filiżankę. Kawa chlusnęła na stół. Nikt się nie ruszył, żeby wytrzeć kałużę.

– Ten młodziak, który nas interesował, Niceo Julian... Okazało się, że ma solidne alibi.

Samochód nic nie wykazał i zresztą było to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę pozostałe okoliczności. Chyba państwu mówiłem, że tak naprawdę nigdy go nie brałem w rachubę jako podejrzanego. Neil Ford to inna sprawa.

Przestał pobrzękiwać drobnymi. W pokoju zapanowała cisza.

– Samochód Forda też nie dostarczył żadnych dowodów. Włókien ubrania, włosów czy innego pochodzenia DNA, które wiązałyby go ze sprawą – podjął. – Ale z zeznań świadków wynika, że przebywał w okolicy, kiedy doszło do wypadku. Nie ma alibi, a wcześniej dwukrotnie był karany za jazdę pod wpływem alkoholu. Nie mogę go wykluczyć. Zwłaszcza że poprzednio też został zatrzymany w dzień.

– To zła wiadomość, bo nie macie nic konkretnego. Nadal pan myśli, że to on może być sprawcą? – Z każdym słowem mój głos brzmiał coraz słabiej.

Pat zastopowała Northa ruchem ręki.

– Policja nie dysponuje żadnymi dowodami, które łączyłyby Forda ze śmiercią Abby. Wciąż nie znaleźliście brakującej próbki lakieru ani zdjęć z oględzin ciała. Pani Dwyer nic nie powiedziała. Jeśli sam Caulfield nie zdecyduje się wypełnić pustych miejsc, nic Fordowi nie zrobicie.

Emanowi opadła szczęka.

– Jak to, Pat? Jest pani także prawniczką Forda?

– Oczywiście że nie. – Jej ton złagodniał i wyraz twarzy też, jakby nagle odmłodziła. – Po prostu nie chcę wam dawać fałszywej nadziei. Ważne jest to, co policja zdoła wyciągnąć od Caulfielda. Nie będę kłamać: jeśli on czegoś nie ujawni, to nie ma co się łudzić, że otrzymacie wyjaśnienie, które się wam należy. Być może pora zacząć godzić się z tą możliwością. Bardzo mi przykro.

Wyjęła papierową chusteczkę i wytarła rozlaną kawę. North trwał nieruchomo jak zamary port przed odwilżą. Ethan otarł oczy wierzchem dłoni. Energicznie odsunęłam krzesło i wstałam.

– Możecie się pogodzić, jeśli chcecie... Wszyscy. – Mówiłam opanowanym, ale donośnym głosem, tak żeby słyszano mnie na trawniku. – Ja nie pogodzę się nigdy.

Piątek, 3 marca, godz. 16.00

Tessa bardzo się zmieniła. To już nie młoda matka, przepełniona bólem po stracie córeczki, niepewna, czy równie mocno pokocha swoje drugie dziecko. Ani rozgorączkowana, impulsywna kobieta, która krok za krokiem wyrąbuje sobie drogę przez ciemność życia.

Dziś zobaczyłam zupełnie inną Tessę. Miała na sobie dzinsy i ciemnofioletkowy ciężowy top w łąckę, a włosy skręcone w kok. Nie zwinęła się jak zwykle w fotelu, usiadła wyprostowana. Nie mówiła o Abby ani o dziecku, którego oczekuje. Nie złościła się na męża, siostrę, prawniczkę czy policję. Nie klęła. Była zrównoważona, opanowana. Żywy głaz.

– To koniec – powiedziała. – Myślę, że Pat i North będą już tylko udawać, że coś robią. Tak naprawdę dali do zrozumienia, że nie ma co liczyć. – Schowała dłonie pod uda. Nogi prawie nie dotykały podłogi.

Rzadko przedstawiała sprawy w sposób zawoalowany. Wyprostowałam się. Muszę dotrzeć do jej ukrytych myśli i uczuć. Łatwiej mi poruszać się w obszarze emocji, przynajmniej jeśli chodzi o pacjentów.

– Jestem zaskoczona, pani Tesso. Sądziłam, iż aresztowanie tego detektywa sprawi, że prawdopodobieństwo uzyskania informacji wzrośnie. Skąd pewność, że tak się nie stanie?

– Caulfield nic nie powie. Już po pierwszej naszej rozmowie wiedziałam, że z nim coś nie tak. Sądziłam, że jest po prostu niekompetentny, a nie nieuczciwy. – Siedziała niemal nieruchomo. Chciałam wytrącić ją z tej skamieniałości. Jakiegokolwiek emocje, choćby negatywne, są lepsze niż żadne.

– Niewykluczone że to stres wpływa na pani ocenę sytuacji. Jest przecież szansa, że ten drugi detektyw, ten, któremu pani ufa... pan North... poskłada wszystko w całość, prawda?

– Nie. Straciłam do niego zaufanie. Do Pat też. – Zerknęła na zegarek, a potem spojrzała na mnie chłodno. – Wie pani, nikomu nie można ufać, tylko sobie. Pozwoli pani, że skrócę sesję? Mam coś do załatwienia. – I nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi.

Przeszła obok mnie skorupa Tessy. Szczupłe ciało, lekkie od braku woli i zarazem ciężkie od beznadziei. Znałam tę pustkę. Dzisiejsza Tessa to byłam ja sprzed dziesięciu lat, gdy po otrzymaniu wiadomości, że nic już nie da się zrobić, stałam wsparta o ścianę gabinetu na oddziale onkologii dziecięcej. Wcześniej miałam wolę walki. Potem ją straciłam. Jak Tessa. Pogoda zadrwiła sobie ze mnie tamtego dnia: dawała złudną pewność, że moje życie jest idealne. Harry uczył łana wiązać żeglarskie węzły. Łódź kolebała na falach niczym kołyska poruszana ręką matki. Słońce prażyło, ale lekki wietrzyk przyjemnie chłodził. Wciągnęłam po drabince moją pięcioletnią córeczkę, choć protestowała; z własnej woli nigdy nie przestałaby pływać.

– Poczytam ci, a ty w tym czasie narzucasz obrazek dla tatusia. Bardzo długo już siedzisz w wodzie. – Wzięłam gruby ręcznik w koniki morskie i wycierałam ją, mimo że próbowała się wywinąć.

– Widziałaś, mamusiu, jak ja pływam? Umiem już tak jak tatuś! – Potrząsnęła przyciętą krótko czuprynką, taką samą jak moja, opryskując mnie wodą. Zachichotała i potrząsnęła jeszcze raz. Mocując się z nią, wyczułam nagle w jej brzuszku okrągły twór. Była chuda jak patyk, więc od razu wiedziałam, że nie jest to naturalne; nie powinno się pojawić w ciele mojego dziecka. W trzy dni później usłyszeliśmy z Harrym obco brzmiące słowa, które na zawsze zmieniły nasze życie. „Nefroblastoma anaplastyczna, trzecie stadium. Guz Wilmsa. Pospolita postać raka nerki u dzieci. Najpierw naświetlanie i chemioterapia, potem operacja”.

Człowiekrobot w białym fartuchu napisał nam to na kartce. Wiedział, że po usłyszeniu słowa „rak” przestaliśmy słyszeć cokolwiek. Harry przysięgał, jakoby lekarz powiedział, że nie ma

powodu sądzić, iż nasza córka nie pokona choroby. Utwierdzaliśmy się nawzajem w nadziei, że to trafna diagnoza.

Przez dwa lata wyciągała ramię na oddziale dializ, żeby pielęgniarka mogła włączyć się w przetokę żylną-tętniczą. Codziennie sprawdzaliśmy pulsowanie przetoki, aby się upewnić, że jest drożna. Nie była możliwa kolejna operacja. Dłonie miała nadal silne i rysowanie stanowiło dla niej jedyną ucieczkę przed torturą leczenia. Dorosły nie powinien znosić czegoś takiego, a co dopiero dziecko... Walczyła dzielnie, a my pomagaliśmy jej ze wszystkich sił. Wiedzieliśmy, że nas opuści. Ona też wiedziała.

Ublagała Harry'ego, żeby zabrać ją znów do portu, który kochała najbardziej na świecie. Uważałam, że nie jest to dobry pomysł. Harry pokonał opór mój i lekarzy. Pielęgniarki poparły go: należało jej dać to, czego pragnęła. Razem wszystko przygotowali tak, by na jachcie było jej jak najwygodniej. W mglisty sierpniowy wieczór, gdy słońce zapadało za horyzont, straciliśmy córkę. Kiedy wioził ją ambulans, zeszałam z pomostu i od tamtej pory nigdy na niego nie weszłam.

Poniedziałek, 6 marca, godz. 8.00

Myślę, że spokój można rozumieć dwojako. Jako harmonię i zrozumienie albo jako rezygnację: wycofanie się z walki, zaprzestanie nawet drobnych utarczek. Do dnia urodzin snułam dziecięcą fantazję, że potrafimy się ze sobą porozumieć. Od tygodnia w mojej rodzinie panuje inny rodzaj spokoju: milczenie.

Po wyjściu Harry'ego i lana ułożyłam prezenty na stoliku i zbierałam odwagę, żeby opowiedzieć Aldenowi o mojej córce. Zajęty Harrym nie zwrócił uwagi na pytanie lana o siostrę. Nie zapamiętał jej imienia, bo od dziesięciu lat nie wypowiedziałam go na głos. Nie powiedziałam mu nawet, że istniała. Im dłużej zwlekałam, czekając na moment, w którym najłatwiej będzie zacząć, tym jaśniejsze się stawało, że łatwy moment nie istnieje.

Kiedy weszłam do kuchni, Alden wycierał blaty i układał naczynia w zmywarce. W zlewie odmakwały garnki pełne gorącej wody z czapą piany. Każda domowa praca była dobra, by uniknąć kontaktu ze mną. Kiedy miał przyплыw niechęci do Harry'ego, przestawał się odzywać. Przez ułamek sekundy pomyślałam, że łatwiej by mi było, gdybym nie próbowała podważyć tej niechęci.

– Możesz na chwilę przerwać zmywanie? Powinam ci coś powiedzieć. Muszę.

Nie wiem, co sobie wyobraził, ale oczy rozszerzył mu strach. Wiedział, że to moment decydujący.

– Miałam córkę. Umarła dziesięć lat temu. Miała wtedy siedem.

Cisnął do zlewu trzymaną w ręce gąbkę. Woda chlusnęła mu na koszulę; na piersi, niczym w teście Rorschacha, wykwitła mokra plama. Nie zareagował. Stał i czekał na więcej.

Opowiedziałam mu o raku. O tym, jak ją leczono. O reakcji na chemioterapię, a potem jej braku. O tym, jak dzielnie wspinała się na stół do dializ, uściskawszy przedtem swoją ulubioną pielęgniarkę. Jak przyciskała nienackną ciało do krawędzi łóżka, żeby zrobić miejsce dla lana, kiedy nie mogłam znaleźć nikogo, kto by się nim zaopiekował. Spędzali czas we dwoje na oglądaniu w kółko tych samych kreskówek. Opowiedziałam o naszej nieuzasadnionej nadziei na początku i rozpaczliwej beznadziejności na końcu.

A jednak nie mogłam opowiedzieć mu o niej naprawdę, o tym, co określało jej istotę. O umiejętności malowania oceanu, wykraczającej ponad jej wiek. O dźwięcznym śmiechu, który płynął z pokładu jachtu, gdy tylko dotknęły go jej kształtne stopki. Bałam się ożywić ją na

powrót – w moim sercu i w tym pokoju. Nie wiedziałam, czy potrafię znieść, że Alden słyszy, co mówię, i tak naprawdę nie ma jej obrazu i nie wie, co to znaczy żyć z nią, a potem bez niej. Dlatego byłam klinicznie rzeczowa.

I on także.

I jakby z najgorszych rzeczy, jakie mógł zrobić, wybrał pozostawienie mnie z bałaganem w kuchni w dniu moich urodzin; nagle wyszedł. Z kuchni i z domu.

Od tamtego dnia każdy wieczór spędza w fotelu ze swoimi historycznymi książkami i kieliszkiem porto. Rozmawiamy mało albo wcale.

Jedyny kontakt, jaki mam z łanem, to kiedy dzwonię, aby zapytać go o szkołę i lekcje. O Lacey przestałam pytać.

No i jest jeszcze Harry. Ale nie brałam pod uwagę możliwości kontaktu z nim.

W tej sytuacji weekend nie obejmował żadnych planów wyjścia na lunch czy do kina. Żadnych kolacji z przyjaciółmi czy kolegami Aldena. Pogawędek o wiosennym cieple i przedwczesnym rozkwitaniu krokusów. Zająłam się pisaniem podziękowań za życzenia i przeglądaniem prasy. Kiedy przeczytałam artykuły na temat Tessy i śledztwa, zrozumiałam, dlaczego się zamknęła w sobie. Stracić córkę w przegranej walce z nieubłaganymi siłami natury – tak, to straszne. Dzień za dniem być świadkiem, jak gaśnie wesołe, rozdokazywane dziecko – to okrutne. A jednak, w przeciwieństwie do Tessy, mogłam trzymać w ramionach niknące ciało mojej córeczki i wyszeptać słowa pożegnania. Żadna matka nie powinna się dowiadywać w ciągu paru sekund telefonicznej rozmowy, że jej dziecko nie żyje, bo zabił je ktoś nieodpowiedzialny.

Kusiło mnie, żeby zadzwonić do Tessy. Miałam ochotę przekroczyć mury fortecy, którą zbudowałam, i porozmawiać z nią jak matka z matką. Nie zrobiłam tego. Włożyłam naszyjnik od Harry'ego, ten z urodzinowymi kamieniami moich dzieci, schowałam je pod mięciutkim swetrem, który podarował mi Ian, i usiadłam obok Aldena, który tak samo jak pierwszy mąż wolał spędzać wieczór z kieliszkiem niż ze mną.

Wtorek, 7 marca, godz. 8.00

Jak zwykle we wtorek, miałam spotkać się z łanem na obiedzie. Alden zaskoczył mnie propozycją, że przyrządzi ulubione danie łana: spaghetti z kulkami mięsnymi. Mieliśmy jeść w kuchni. Nie spodziewałam się takiego gestu z jego strony, no i nie skrywaliśmy już przed sobą tajemnic, nabrałam więc nadziei, że zdołamy przebrnąć przez ten jeden wieczór bez konfliktów.

Czekając na łana, zajrzałam do szafek w pracowni. Przełożyłam słoiczek z farbą z jednego pudełka do drugiego, przesunęłam pędzle o parę centymetrów. Była to raczej mała korekta stanu obecnego niż postęp. Nie mogłam odciąć się od tej przestrzeni i od wspomnień. Pomyślałam o Tessie, która nie potrafi nic zmienić w pokoju Abby, i o tym, co zrobiłam ja.

Dwa tygodnie po tym, jak ukradziono mi córkę, zniszczyłam jej pokój, Ian zaczął właśnie uczęszczać do przedszkola. Harry wychodził wcześniej z pracy, żeby go przyprowadzić, bo nie sposób było mi zaufać, że będę o tym pamiętać. Zaczęło się dość niewinnie; nikt nie zauważyłby, że się czegoś pozbyłam, gdybym nie popadła w szaleństwo sprzątanego.

Chciałam napić się wody. Podeszłam do szafki, gdzie stały szklanki, i zobaczyłam jej lekarstwa, czekające w szeregu niczym gotowi do walki żołnierze. Złapałam spod zlewu worek na śmieci i jednym ruchem zgarnęłam do niego całą armię. Przez moment poczułam ulgę. Przeszłam się po parterze, wrzucając do worka jej kapcie, jej książki, jej węgiel rysunkowy. Impuls przerodził się w manię. Ruszyłam po schodach do jej pokoju. Już wiedziałam, co zrobię. Kilka godzin później

wrócili Harry i Ian. Było za późno. Spakowałam jej zabawki do pudełek, obdarłam łóżko z pościeli, świetlisty róż pokoju zniknął pod warstwą białej farby, którą pochlastałam ściany.

– Mamo, nie! – Ian zapłakał.

– Celia, coś ty zrobiła?

Harry próbował odebrać mi pędzel. Wrywałam się, dopóki nie zobaczyłam, że Ian wyjmuję z pudełek całe naręcza jej rzeczy. Twarzyczkę miał zalaną łzami.

– Ona już nie wróci! – krzyknęłam. – Nie mogę patrzeć na to, co po niej zostało!

Harry położył mi rękę na plecach i lekko pogładził, a drugą ujął mnie delikatnie pod brodę.

– C. Ja wiem, że to boli jak cholera, ale w ten sposób nie pocujemy się lepiej. Porozmawiaj z kimś, proszę. Obiecuję, że pójdę z tobą.

– Nie potrzebuję ciebie, nie potrzebuję nikogo! Sama wiem, co mam zrobić.

Odwróciliśmy się. Ian siedział po turecku na podłodze, przytulając do twarzy jej poduszkę, i kołysał się, w tył i w przód, w tył i w przód. Oczy miał zamknięte.

– Ty tego nie robisz – powiedział Harry.

– Pomóc ci? – Pytanie lana przywróciło mnie rzeczywistości. Odwróciłam się. Stał wsparty o framugę drzwi. Nawet przygarbiony bardziej wyglądał na mężczyznę niż na chłopca. Włosy opadały mu na czoło; oddałabym w tej chwili wszystko, by móc podejść i odgarnąć je czułym dotknięciem.

– Właściwie sama nie wiem, co robię. Miałam zamiar wszystko spakować i oddać ten pokój Aldenowi. Ale chyba nie potrafię.

Wszedł. Ogarnął spojrzeniem oprawione prace matki i córki.

– Pozwalałaś nam się tu bawić, pamiętasz? Mieliliśmy swoje przybory. Mówiłaś, że możemy używać wszystkiego, co znajduje się na tej jednej półce.

Otworzyłam drzwiczki szafek i wskazałam półkę, która pozostała taka, jak ją wtedy dla nich przygotowałam.

– Uwielbialiście kopiować moje rysunki przez pergamin, Ian przelotnie musnął palcami kredki, dziecięce nożyczki.

– A ona zawsze podkradała z wyższych półek twoje rzeczy. Pokazywała mi, jak za pomocą odpowiednich pędzelków uzyskiwać różne rodzaje kreski.

– Chyba nie myślisz, że o tym nie wiedziałam? – Z wahaniem położyłam mu rękę na ramieniu. Tamta półka i ten dotyk otworzyły mi go.

– Jak ja za nią tęsknię. To okropne, że nie mogę sobie przypomnieć jej głosu. A ty...

– O, dobrze że jesteś, lanie – rozległ się głos Aldena. – Jesteście gotowi do jedzenia, czy wolicie poczekać jeszcze parę minut? – Zabrakło mu czasowej precyzji, ale jestem pewna, że była to z jego strony próba wyciągnięcia ręki.

Ociągając się, zeszliśmy na dół. Kolacja przebiegała nieszczególnie w każdym sensie tego słowa. Alden był w nietypowy sposób rozgadany, na siłę starał się nawiązać z nami kontakt, Ian grzebał w talerzu widelcem, jak zawsze, gdy nie miał zamiaru jeść. Potem zaczął drobić bułkę. Alden przysunął mu do talerza miseczkę z surówką: jasny sygnał, że ma jeść, a nie bawić się jedzeniem.

– A co myślicie o śledztwie w sprawie zaniedbań tamtego policjanta? – Stuknął palcem w serwetkę lana na stole, sygnalizując, że powinien ją położyć na kolanach, i wrócił do przepoławiania mięsnej kulki. Zerknął na mnie, żeby sprawdzić moją reakcję. W oczach miał pytanie: czy to właściwy temat rozmowy?

– To okropne. Wyobraźcie sobie tylko, jak czuje się ta biedna matka: nie dość, że straciła dziecko, to jeszcze została wciągnięta w całą tę aferę korupcyjną. A przecież chce się tylko dowiedzieć, kto potrafił jej córeczkę i zostawił na jezdni.

– Tak, to okropne, ale widziałem tego policjanta wiele razy i uważam, że nie jest aż tak

odrażający, jak go przedstawiają gazety. Aha, skoro mowa o szkole...

Odłożył sztucce i wstał. Podeszedł do blatu, wziął z niego torbę z napisem „Księgarnia Tradewinds” i podał Ianowi.

– Zbiór zadań z chemii. Mój kolega bardzo ją poleca jako uzupełnienie kursu podstawowego. Pomyślałem, że może ci się przydać.

Ian odłożył książkę i zaczął zbierać talerze.

– Mam dość. A ty nie, mamo? – Spojrzał mi w oczy i wiedziałam, że nie mówi o obiedzie.

– Chwileczkę. – Wyciągnęłam rękę, żeby odebrać od niego naczynia. – Zaraz sprzątnę ze stołu i zagramy w karty. Co ty na to?

– Nie, muszę iść. – Złapał wiszącą na oparciu krzesła bluzę, wciągnął ją przez głowę i nawet nie przyglądził włosów, wyszedł rozczochrany. Nie cmoknął mnie na pożegnanie w policzek. Drzwi trzasnęły. Książka zachybotła się na krawędzi stołu.

– Co mu się, na Boga, stało tym razem? – mruknął Alden i także wyszedł, a ja znów zostałam sama z bałaganem, do którego stworzenia się przyczynił.

Utulona w szlafrok wyszłam na ganek i pomachałam Etanowi. Kiedy odjechał, wróciłam na górę. Wyjmując listę ze schowka – szuflady z bielizną – uświadomiłam sobie, że nie miałam jej w ręku, odkąd uwierzyłam jak głupia, że North rozwikła sprawę. Powinnam była wiedzieć, że jeśli człowiekowi na coś zależy...

Cieężko usiadłam na nieposłanym łóżku. Przeczytałam wszystkie nazwiska i notatki przy nich zrobione. Tak, to jest sposób, żeby uzyskać odpowiedź, której poszukuję.

Odłożyłam listę i ubrałam się. Należało oszczędzać siły na pracę, jaka mnie czekała, zostawiłam więc łóżko nieposłane i zesłam do kuchni. Z notatnika i listy zaczęłam wykreślać nazwiska tych, którzy nie mogli być sprawcami.

Kolejne czerwone linie doprowadziły mnie do Neila Forda. Nie, nie będę działać pochopnie. Chyba nic się nie stanie, jeśli poczekam parę dni? Pogrzebię jeszcze trochę w sieci. A kiedy będę gotowa, złożę mu wizytę. Spojrzę w te przekrwione oczy i będę wiedzieć. Jeśli to nie on, odwiedzę kolejno wszystkich z listy. Czasami człowiek po prostu musi załatwić wszystko sam.

159. 12 marca

Na urodzinowych przyjęciach dzieci i ich matki bawiły się w ciuciubabkę. Były tańce, piosenki, magiczne sztuczki. Oczywiście dawniej. Nie znam nikogo, kto obchodziłby piątą urodziny na cmentarzu.

Ethan, Rosemary, Kevin i Matthew nieśli pięć balonów, dwie puszkę silly string* [Silly string – preparat w aerozolu, który zastyga w powietrzu, tworząc rodzaj wstążki. Chętnie używany przez dzieci do zabawy, zwłaszcza na przyjęciach urodzinowych (przyp. tłum.)] i paczuszkę czekoladowych babeczek z cukierni. Ja niosłam smutek. Na cmentarzu byli inni żalobnicy w różnych stadiach niedowierzania, wpatrzeni w nagrobne płyty, składający kwiaty, ale nikt nie miał w sobie tyle finezji, ile my. Minęliśmy starą kobietę z bukietem farbowanych na niebiesko goździków; mężczyzna, którego trzymała pod rękę, musiał być jej synem, choć miał co najmniej siedemdziesiątkę. Kolejna para to niewątpliwie ojciec i syn. Obaj we łzach, różnili się tylko włosami: jeden ciemno, a drugi jasnowłose. Próbowałam skupić uwagę na czymkolwiek, byle nie na celu naszej wyprawy, odnotowałam, że ojciec obejmuje syna ramieniem. Ich rozpacz była świeża jak nowo wykopany grób.

Mijając nas, utkwili we mnie spojrzenie: chyba wyczuwali identyczne z własnymi emocje. Ciekawe, do kogo tu przychodzili... Na widok niesionych przez Matthew balonów chłopak jęknął. Dobiegło mnie wypowiedziane półgłosem przez ojca: „W porządku, idziemy”.

Dotarliśmy na miejsce. Na płycie leżał bukietek stokrotek. Pewnie od Ethana: często odwiedzał Abby w jej nowym domu.

– Ciociu, a kiedy mam wypuścić dla Abby baloniki? – spytał Matthew. Ścisnął sznurki w obu rączkach i bardzo się starał, żeby utrzymać balony, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

– Poczekaj, aż ciocia się pomodli, dobrze, kochanie? – Rosemary wiedziała, że jestem na przyjęciach opieszalym gościem.

Przykucnęłam obok malca. Przysłonił mi widok jej nagrobka.

– To ty mi powiedz, Mattie, jak ma być. Wolisz najpierw rozpylić silly string czy puścić baloniki? Sam zdecyduj.

No więc najpierw rozpyliliśmy silly string, potem zjedliśmy czekoladowe babeczki, a wreszcie

puściliśmy balony. I dopiero gdy zniknął ostatni, Matthew się rozplakał.
– Zapomniałem jej przynieść prezent...

160.

Obudziłam się dziś rano ze świadomością, że jestem gotowa. Wstałam pierwsza, co stało się dla Ethana powodem nieuzasadnionej radości: uznał, że moja żałoba zaczyna zmierzać w tę samą stronę co jego.

– Cześć, kochanie. – Podszedł z tyłu i objął mnie, kładąc dłonie na brzuchu.

– Mówisz do mnie czy do kogoś innego? – Obróciłam się w kręgu jego ramion i stanęłam twarzą do niego. Uśmiechnęłam się i go pocałowałam.

– Do was obu, rzecz jasna. – Musnął mnie pocałunkiem i rozplótłszy ramiona, sięgnął po moją kromkę pumpernika. – Podzielisz się? Trochę za późno wstałem. A co ty dziś tak wcześnie? Jesteś umówiona do lekarza? – Wygładził krawat i spojrzał mi prosto w oczy. Ethan nigdy nie unika kontaktu wzrokowego.

Nie, nie będę kłamać.

– Robię research. Zamierzam dziś popracować. – Spojrzałam na samotny kawałek grzanki ze wstążkami masła.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, że piszesz coś nowego. Wspaniale! Do jakiego tytułu? – Z twarzy wprost mu biło: „Żona do mnie wraca! Nareszcie!”

– Na razie badam grunt. Nie mam jeszcze za wiele do opowiadania. – Byłam uczciwa, ale nie zamierzałam mówić mu o wszystkim. Na pewno by mnie powstrzymał.

– Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć coś więcej. Jesteś znakomitą dziennikarką i nie ma dla ciebie w tej chwili nic lepszego niż pisanie. Opowiesz mi wieczorem? Muszę lecieć, naprawdę. – Złapał teczkę i wrócił po szybki pocałunek.

Odprowadziłam go do drzwi.

– Wiesz, wolę poczekać, aż będę mieć więcej do powiedzenia. Nie masz mi za złe, prawda? Odłożył teczkę, odwrócił się i położył mi ręce na ramionach.

– Tak się cieszę, że znalazłaś coś, co odwróci twoją uwagę od tej sprawy. Cokolwiek robisz, masz moje pełne poparcie. – Jeszcze raz szybko mnie pocałował, szepnął „kocham cię” i już go nie było.

Otrząsnęłam się z poczucia winy, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi. Może i będzie wściekły w pierwszej chwili, ale kiedy znajdę sprawcę, wybaczy. Ucieszy się. Przełknęłam resztę grzanki i poszłam po potrzebne rzeczy. Pora złożyć wizytę Neilowi Fordowi.

161.

Ile razy przejeżdżałam dotąd koło Clean Closets, pralni chemicznej rodziny Fordów? Co najmniej sto, a może i więcej... Stała między francuską piekarnią a sklepem z winami. Nie zwróciłam wcześniej uwagi na ironię tego sąsiedztwa: mógł pić przed pracą, w czasie pracy i po pracy. Co za wygoda! Zaparkowałam minivana na jedynym wolnym miejscu – naprzeciwko sklepu z winami, sięgnęłam między fotele i wyjęłam plastikową torbę. Z tymi sukienkami nie wiązały się drogie wspomnienia, niemożliwe, by pozostał gdzieś jej włos czy choćby ślad zapachu. Dwie były prosto ze sklepu, nawet metki zwisały jeszcze z tyłu przy wycięciu.

Przydadzą się.

Nie chciałam zmarnować szansy, przespacerowałam się więc ulicą, tam i z powrotem. Mżyło. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „Zapraszamy – otwarte”. Wewnątrz dostrzegłam tylko starszą kobietę, która sprawdzała stan kasy na rozpoczęcie dnia. Na chodniku stało kilka osób; serce biło mi tak głośno, że chyba musieli je słyszeć. Nikt jednak zdawał się nie zwracać uwagi, że już trzeci raz przechodzę przed wejściem do pralni. Wciąż nie było widać Neila Forda, postanowiłam więc, że wstąpię do piekarni i poczekam, aż uspokoją mi się nerwy.

Pogryzałam jakiegoś croissanta, popijałam jakiś sok i oddychałam: wdech – nosem, wydech – ustami. Właśnie powiedziałam sobie, że potrafię to zrobić, gdy przeszedł koło okna piekarni. Ze zdjęć, które widziałam w gazetach i w sieci, znałam tę zniszczoną twarz i zapadłe oczy tak dobrze, że nie mogłam się mylić.

Nie zamierzałam na niego czatować. Będę wzorem opanowania: spokojna, ale nieugięta, mówiłam sobie idąc do pralni. W tym momencie niebo się otworzyło i lunął deszcz. Ludzie ruszyli biegiem, byle szybciej gdzieś się skryć; ja szłam spacerkiem. Za parę minut będę wiedzieć. Pytanie, czy zmieni to coś w moim samopoczuciu.

Położyłam torbę z rzeczami na kontuarze. Kiedy kobieta chciała wyjąć zawartość, pociągnęłam torbę z powrotem ku sobie.

– Czy mogłabym się zobaczyć z panem Fordem? Moja przyjaciółka powiedziała, że to on jest osobą, z którą powinnam porozmawiać.

Spojrzała na mnie podejrzliwie i z silnym akcentem irlandzkim zawołała w stronę kłębów pary, dobywających się z głębi pralni:

– Neilly! Jakaś pani chce z tobą pogadać.

Wyszedł z zaplecza. Zanim mnie zobaczył, wlał do gardła resztę coli z butelki. Kiedy nasze oczy spotkały się, jednym ruchem opróżniłam torbę. Słodkie sukieneczki, pełne falbanek, koronek i marszczeń zasłały kontuar.

Niski głos nie pasował do tego wątego ciała; należał do innego mężczyzny. Być może Neil był kiedyś innym mężczyzną. Miał czujne spojrzenie, jakby zobaczył we mnie trudną klientkę, skora do zrobienia sceny. Nie dostrzegłam w nim przerażenia, którego oczekiwałam. Które mówiłoby, że jest winny – Ja panią znam – powiedział. – To pani jest matką tego biednego dziecka.

Nie poruszył się, nie dotknął sukienek. W oczach kobiety pojawił się błysk, ale milczała.

Spłynął na mnie spokój. Zanim jeszcze to wypowiedział, wiedziałam: to nie on.

– Może pójdziemy gdzieś i pogadamy? Ja tego nie zrobiłem... więc mogę powiedzieć, o co tylko mnie pani spyta. Postawię pani coś do picia. O tu, po sąsiedzku – wskazał piekarnię.

– Dlaczego mam panu wierzyć? – Chciałam go sprawdzić, upewnić się. – Policja panu nie wierzy. Widziano pana tamtego ranka koło przedszkola, nie ma pan alibi i wiadomo o pańskim problemie alkoholowym. Proszę mnie przekonać. – Było nas w pomieszczeniu tylko troje. Czas stanął, nieruchomy jak my.

– To prawda, piję. Nie powiem, że nie. Częściej jestem pod wozem niż na wozie. Rok temu, jak mnie ostatni raz zaarrestowali, odeszła ode mnie żona z córką. Pani, jak ja kocham moją córkę. Mówię prawdę. Nie zabiłem paninej. Może i dalej piję, ale nie prowadzę. Proszę spytać jej – wskazał na kobietę.

Zmarszczki kobiety wygładziły się, tak jakby je rozprasowała buchająca z głębi para.

– Ma swoje kłopoty, o, ma. Ale to nie on skrzywdził pani małą. Wiedziałabym.

Wierzyłam jej. Ale kiedy wyciągnęła rękę i spróbowała nakryć moją dłoń, cofnęłam ją gwałtownie i zaczęłam pakować sukienki do torby. Nie chciałam jej dotyku.

Kiedy wróciła mi pamięć, siedziałam znów w swojej kuchni i odtwarzałam w głowie przebieg

zdarzenia. Chciałam być pewna.
I jestem.

Wtorek, 16 marca, godz. 9.00

Przez trzy dni bawiłam się z wychowawczynią lana w telefoniczną ciuciubabkę, zanim w końcu udało mi się ją dopaść. Mówiła niemal szeptem i zagadką dla mnie było, jak sobie radzi z żywiołowymi nastolatkami, z którymi pracuje na co dzień. Jak w ogóle udało jej się przetrwać. – Dziękuję za oddzwonienie, pani Reed. Chciałam podzielić się z panią informacjami na temat bieżących ocen lana. Od czasu naszej ostatniej rozmowy nie udało mu się ani razu uzyskać lepszej niż C. – Wyobrażałam ją sobie: okulary w grubych oprawkach, za ciemnych i za kanciastych nawet dla babci. – Chwileczkę, pomyłka: z angielskiego otrzymał A. – Powiedziała to poważnie, tak jakby ten jeden dobry stopień mógł go zbawić.

– Pracuje teraz z korepetytorem, którego pani poleciła. Czy nauczyciele wypowiadają się na temat jego pracy? Jeśli się stara, a wyniki są, jakie są, to mamy pewien zespół problemów. A jeśli po prostu nie pracuje, to inna sprawa, nie sądzi pani? – Spróbowałam uporządkować temat. – Jeżeli pani sobie życzy, mogę zwołać radę pedagogiczną, ale nauczyciele twierdzą, że lan pozoruje pracę. – Urwała. – Czy zdecydowaliście już państwo w sprawie terapii lana ewentualnie leczenia farmakologicznego?

Nie, nie zdecydowaliśmy. Ale bierzemy pod uwagę taką ewentualność. Za długo to wszystko trwa... Kiedy skończyłam rozmowę z panną Lapin, zadzwoniłam do Harry'ego.

– Zgoda, bezpośrednia rozmowa będzie najlepsza. Nie, Harry, nie musisz przychodzić do biura, za daleko na piechotę. Wiem, że masz krótką przerwę na lunch. Przyjadę do ciebie do domu. Odwołałam jedną wizytę, dzięki czemu zyskałam czas, żeby po drodze kupić jakieś kanapki. Skręciłam w ulicę, przy której mieszkał: nie widać było, aby szedł. Poczulałam skruchę. Nawet jeśli siedziba Boatworks znajdowała się zaledwie o parę przecznic, należało zaproponować, że go podrzucę.

Sądząc, że może jest już w domu, przeszłam parę metrów ścieżką i zajrzałam przez szybkie w drzwiach do środka. Nie widać było, żeby się kręcił, ale zapukałam. Nie spodziewałam się reakcji, a poza tym wiedziałam, że Harry nie zamyka drzwi na klucz, więc nacisnęłam klamkę. Przecież nie będzie miał mi za złe, jeśli położę kanapki na talerzu i zrobię nam obojgu coś do picia.

W salonie panował straszny bałagan. Gazety, puszki po wodzie sodowej i częściowo otwarta poczta wyznaczały terytorium Harry'ego; powyjmowane z kaset płyty DVD, samotny iPod i ciśnięta byle jak bluza z kapturem wyznaczały część lana. Odruchowo chciałam wprowadzić trochę ładu, ale się powstrzymałam: w pamięci przemknął mi tamten dzień, kiedy posprzątałam łanowi jego sypialnię. Może nie powinnam była wchodzić? To ich dom, nie mój... I wtedy przypomniałam sobie o dzienniku mojego syna.

A może by tak rzucić okiem? Stałam już na progu. Wśliznęłabym się do pokoju lana i przeczytała stroniczkę czy dwie. Łatwiej mogłabym mu pomóc... A on się nie dowie.

Zerknęłam przez okno na ulicę. Nie widziałam Harry'ego. Położyłam torbę z kanapkami na stole i chyłkiem przeszłam do pokoju lana. Uderzył mnie taki sam bałagan jak w salonie. Wiedziałam jednak, że nie mam zbyt dużo czasu, od razu otworzyłam szufladę z bielizną. Grzebałam pomiędzy kulami skarpetek, paskami zwiniętymi jak węże, spodenkami, podkoszulkami. .. Nie znalazłam dziennika.

Wysunęłam drugą szufladę. Nie ma. Następną. Nie ma. Podeszłam do biurka z laptopem. Mogłabym go włączyć, ale i tak nie weszłabym do jego skrzynki e-mailowej ani na MySpace, bo nie przycisnęłam go dotąd, żeby dał mi hasło. W tym momencie za przysłoniętym żaluzją oknem przesunął się cień. Harry.

Jednym skokiem byłam z powrotem w holu, złapałam torbę z kanapkami i już wolniej weszłam do kuchni.

– O Jezu, Celia... Aleś mnie wystraszyła! Co ty tu robisz? – Rzucił okiem na drzwi wejściowe, a potem na drzwi do garażu, zastanawiając się, skąd przyszłam. Oddech miał przyspieszony.

– Dopiero kiedy weszłam do środka, przyszło mi do głowy, że być może przekroczyłam granicę. Wybaczysz mi? – Bez pośpiechu zajęłam się lunchem. – Pamiętasz, jak się wreszcie zgodziłeś, żeby zamykać dom i kupiłeś ten okropny futerał na klucze? – podjęłam, aby zamaskować zadyszkę.

– Tak... pamiętam. Był toporny, nie dla takiej elegantki jak ty. Kiedy roześmiał się, wiedziałam, że mnie nie nakrył. W czasie lunchu myślałam tylko o jednym: gdzie Ian mógł schować swój dziennik.

Wtorek, 17 marca, godz. 9.00

W gabinecie panuje chłód. Otuliłam się szczelnie swetrem i podkreśliłam kaloryfer o parę stopni. Za trzy dni kalendarzowa wiosna, ale pogoda wciąż niewiosenna.

Wyjęłam siedem teczek, które będą mi dziś potrzebne. Układając je zgodnie z grafiką, pamiętałam, żeby odwrócić nazwiskiem do spodu, tak by nikt nie mógł odczytać nazwisk pacjentów. Każdemu należy się dyskrecja.

Wczoraj Harry był otwarty na moje propozycje. Bez walki zgodził się ze mną, że pora, aby Ian poszedł do psychiatry. Kiedy spotkamy się tu dziś po ostatniej sesji, spróbujemy na podstawie moich materiałów ułożyć listę możliwych problemów. Harry od razu zdecydował, że on pójdzie z Ianem na pierwszą wizytę. Najwyraźniej przejmuje się sprawą. Uważam, że to ja powinnam pójść, ale niech Bóg broni, żebym miała się z nim spierać. Tak łatwo się zgodził, że Ian potrzebuje pomocy... Nie trzeba go denerwować. Gdybym wdała się w małostkowy spór o pierwszeństwo, mogłby zmienić zdanie. Po zakończeniu sesji z Tessą razem stawimy czoło depresji Iana.

O mało Celi nie powiedziałam. Nie miałam takiego zamiaru, ale kiedy usiadłam w fotelu i spojrzałam w jej miłą twarz, niewiele brakowało, a powiedziałabym.

Podwinęłam pod siebie nogi, choć coraz trudniej mi ostatnio usiąść w pozycji terapeutycznej.

– Czuję się trochę lepiej. Zrozumiałam, że muszę nabrać dystansu do tej całej sprawy Caulfielda.

Po prostu nie mam na nią żadnego wpływu.

Zaczęła swoją gadkę, jak to pewne rzeczy możemy kontrolować, a innych nie. Jasny gwint...

Dobrze wiem, nad czym nie mam kontroli; nie potrzebuję, żeby mi to mówiła. Ma jednak w sobie coś, co mnie rozmiękcza. Łatwo mi się u niej rozpląkać. Dziś wprawdzie nie płakałam, ale coś mi w środku wzbierało. I o mało nie zdradziłam jej swojego planu.

Już miałam się wygadać, kiedy z poczekalni dobiegły odgłosy kłótni. W pierwszej chwili zignorowałyśmy je, ale hałas wzrastał. Nie zdziwiłam się, że Celia wstała, by sprawdzić, co się dzieje. Zaskoczyło mnie, kiedy zmarszczyła brwi i stanąwszy w uchylonych drzwiach, powiedziała, tak jakby tam rozrabiały jej dzieci:

– Cisza, ale już.

Patrzyła w stronę poczekalni odrobinę dłużej niż to konieczne. Kiedy z powrotem usiadła, jedną ręką ścisnęła poręcz fotela, a drugą przykryła naszyjnik.

– Przepraszam. Na czym skończyłyśmy? Ach tak. Chciała mi pani coś powiedzieć? Słucham.

Ja jednak zdążyłam już zmienić zdanie. Nie opowiem jej o wizycie u Neila Forda ani o tym, co zamierzam robić dalej. Udawała zainteresowanie, ale wiedziałam, że myślami nadal jest w poczekalni.

Powiedziałam, że zamierzamy popracować; niech rozumie to, jak chce. Resztę wizyty odbębniłam. Muszę przyznać, że i mnie trochę rozproszyła ta awantura w poczekalni. Jednym z kłócących się na pewno był mężczyzna: nawet przez zamknięte drzwi docierał jego niski głos. Gdy wychodziłam, nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam okiem na mężczyzn w poczekalni: siedzieli po przeciwnych stronach pomieszczenia niczym wsporniki na przeciwległych krańcach półki pełnej książek. Nie kłócili się już, ale ich gniew nadal był wyczuwalny. Współczułam Celi, że będzie musiała grzebać się w ich sprawach. Co dziwne, jeden z nich wydawał się znajomy.

O dziewiątej byłam już za drzwiami. Zdążyłam przejechać dwie przecznice, gdy zdałam sobie sprawę, że zostawiłam w domu notatnik i listę, a chciałam sprawdzić numer jego domu. Chyba 78, ale nie miałam pewności, więc zawróciłam. Skręciwszy na naszą ulicę, zobaczyłam Rosemary – szła jak zwykle tym swoim zdecydowanym krokiem w stronę domu. Spod sportowej kurtki w kolorze ecru wyglądała turkusowa, ściągana pod biustem tunika na ramiączkach. Pomachała na do mnie.

– Co ty robisz na dworze? Tak wcześnie?

Wysiadłam; musiałam naprędce wymyślić przekonujące wytłumaczenie.

– Chciałam zapłacić parę rachunków na poczcie. Pilnych – skłamałam.

– Od kiedy to Ethan daje ci książeczkę czekową do ręki? – Roześmiała się i wskazując palcem moją rozdartą dzinsową kurtkę, ruszyła w stronę ganku.

– Tym razem się zgodził. – Co jak co, ale Rosemary dziurę w tłumaczeniu i w kurtce zawsze

znajdzie.

– Może daruję sobie dalszy spacer? Wolalabym wejść i pogadać z tobą. Nie powinnam była chodzić tak daleko, jestem bez formy.

– Kłamczucha. Czy ty kiedykolwiek straciłaś formę, chociaż na jeden dzień?

Nie wypadało mi jej poganiać, ale nie opuszczała mnie nadzieja, że ma jeszcze inne sprawy do załatwienia, zanim odbierze Matthew z przedszkola. Na moją miałam tylko ranek. Usiadłyśmy w pokoju gościnnym i popijając podgrzaną kawę, rozmawiałyśmy o wszystkim i niczym. Ostatni raz tak siedziałyśmy tylko we dwie, bez dzieci, kiedy Abby i Matthew poszli do przedszkola. Tego pierwszego dnia Abby wzięła maluszka za rączkę i poprowadziła do wejścia, tak jakby uczęszczała tu od dawna. Pozostawiając Matthew w drzwiach sali maluchów, cmoknęła go w policzek, potem pobiegła korytarzem do swojej. Nie mogę uwierzyć, że Rosemary nadal posyła tam Matthew.

– Lepiej wyglądasz. Naprawdę czujesz się lepiej czy po prostu masz dość gadania o tym wszystkim? – Ujęła kubek w dłonie, tak jakby piła po to, aby je rozgrzać, a nie żeby dostać kofeinowego kopa.

– Tak, chyba lepiej. Długo nie chciałam poczuć się lepiej. Bałam się, iż ludzie pomyślą, że potrafię bez niej żyć. Nie chcę żyć bez niej, ale czy mam jakiś wybór? – Wyglądziłam zmarszczkę tkaniny biegnącą ukośnie w poprzek mojego dziecka.

– Nie chcę się wymądrzać, Tessa, ale czy nie sądzisz, że zasada „zostaw przeszłość za sobą i idź naprzód” została wynaleziona również dla ciebie? – Przynęła podkładkę, odstawiła kubek i położyła mi delikatnie dłoń na brzuchu.

Przykryłam ją swoją dłonią.

– Boję się w coś takiego uwierzyć. Jeśli to zrobię, będę musiała też przyjąć, że istniał powód, dla którego zabrano mi Abby. A nie mogę wymyślić ani jednego. – Wyprostowałam się i podłożyłam sobie poduszkę pod plecy.

– To, że ktoś potrafił Abby i uciekł, bo bał się konsekwencji... Cóż, dowodzi to tylko ułomności ludzkiej natury. Chyba nie sądzisz, że Bóg ma z tym coś wspólnego, prawda?

Gdyby ktokolwiek – no, może z wyjątkiem Ethana – spróbował wejść ze mną na ten cienki lód, wybuchnęłabym.

– Rosemary. Myślę, iż przyjdzie kiedyś taki dzień, że będę mogła rozprawiać z tobą o stosunku między boską wszechmocą a wolną wolą.

W tej chwili nie ma nic, co w moich oczach mogłoby usprawiedliwić fakt, że pijakowi, który zabił dziecko, miałyby to ująć na sucho. – Mój ton świadczył dobitnie, że uważam ten wątek za wyczerpany.

– Przepraszam. Może to dziecko ci pomoże... Nie chciałam cię zdenerwować. Po prostu... A zresztą, nieważne – Wzięła do ręki kubek i utkwiała w nim spojrzenie.

– No co? Chyba nie muszę ci mówić, że nie lubię, kiedy tak się zachowujesz. – Westchnęłam na tyle głośno, żeby poczucie winy skłoniło ją do powiedzenia tego, co zamierzała.

– Nie chcę być samolubna, ale... no wiesz, brak mi ciebie. Zawsze potrafiłyśmy o wszystkim rozmawiać. Pytałam cię o coś i nawet jeśli byłaś zirytowana, obie wiedziałyśmy, że wszystko jest w porządku. A teraz boję się nawet zaczynać, bo może ci się coś nie spodobać. – Wyjęła z kieszeni swojej niepokalanej kurtki paczuszkę chusteczek, wyciągnęła jedną i osuszyła oczy; żeby tusz się nie rozmazał. – Tak strasznie tęsknię za Abby... a na dodatek mogę stracić i ciebie.

– Wytarła nos i rzuciła paczuszkę na stolik.

– Daj spokój, Rosemary. Wiem, że nie jest ze mną łatwo, ale między nami nic się nie zmieniło.

No, pytaj, o co miałaś spytać. Obiecuję, że odpowiem na wszystko. No, dawaj. – Wyjęłam następną chusteczkę i możliwie żartobliwym gestem rzuciłam w jej stronę. – Na wszystko,

naprawdę. – Rzeczywiście zamierzałam, ale nie do końca.

– Twierdzisz, że sprawcą jest jakiś pijak. Zastanawiam się, dlaczego tak się przy tym uparłaś. To znaczy... czy to ci pomaga? Przyjąć, że tak właśnie było, nawet jeśli jest tysiąc innych możliwości? – Z zapartym tchem czekała. Nie zamierzała mnie zdołować, naprawdę chciała wiedzieć.

– W tej chwili pomaga. Spojrzała na zegarek.

– O, kurczę... Muszę lecieć po Matthew. Podrzuć mi do domu, żebym mogła wziąć samochód? Piechotą nie zdążę na czas.

Wstałam i sięgnęłam po kluczyki.

– Zaproponowałabym ci, że go sama przywiozę, ale po prostu nie mogę.

– Nie zamierzałam cię o to prosić. Jeśli mnie podrzucisz, na pewno się nie spóźnię.

W czasie jazdy zwróciła uwagę, że mam niski poziom paliwa. Kiedy dojechałyśmy, wyciągnęła z kieszeni złożony dwudziestodolarowy banknot.

– Weź. Musisz zatankować. Nie chcę, żeby ci zabrakło, kiedy będziesz wracać.

Nie mogłam jej powiedzieć, że celowo mam niemal pusty zbiornik. Była to część mojego planu.

171

Czuję się jak spiskowiec. Najpierw wpadła Rosemary, stopując moją wizytę w poniedziałek. A dziś Ethan został w domu z podwójną diagnozą: przeziębienie i hipochondria. Z trudem dźwignął się w łóżku, żeby wziąć ode mnie kubek zupy – rosółek Abby – miksturę przeciwgrypową.

Mimo że leżał w łóżku, nie odważyłam się pojechać. Cierpliwość nie należy do moich cnót, więc zmuszona czekać dostawałam szału. Wiedziałam jednak, że będę się czuć bezpieczniej, kiedy Ethan znów znajdzie się w pracy, dobre piętnaście minut od centrum. Cały czas rozmyślałam o planowanej wizycie przy Sea Street 78, w domu Harry'ego Hayesa. O ile pamiętam, przejeżdżałam tą ulicą tylko dwa razy, odwożąc Abby do koleżanki, z którą miała się pobawić. Przyjemna okolica: gdzieniegdzie skromne rancza i małe domki, parę minut pieszo od portu. Nie mogłam znaleźć w sieci jego zdjęcia ani jakiegokolwiek informacji o rodzinie. O ile wiedziałam, mieszkał z żoną i dziećmi. Właśnie dlatego był mi potrzebny pusty zbiornik.

Pogrążona w imaginacyjnej podróży na Sea Street, podskoczyłam, gdy zadzwonił telefon.

Złapałam słuchawkę, żeby nie obudzić Ethana, na wypadek gdyby wreszcie zasnął.

– Halo? Czy mogę rozmawiać z panią Gray? – Kobieta miała głos lekko ochrypły, jak Katharine Hepburn; od razu ją rozpoznałam.

– Witam, pani Dwyer. Mówi Tessa.

– Och, mam nadzieję, że nie przerwałam pani jakiegoś zajęcia. – Mówiła bardzo wolno, nie wiadomo czy to z powodu zmęczenia po całym dniu, czy może z powodu parkinsona.

– Ależ skąd. – Postanowiłam, że będę lakoniczna, tak by miała czas powiedzieć, w jakiej sprawie dzwoni.

– Proszę wybaczyć... powinnam była zadzwonić wcześniej, ale źle się czułam. Wizyty lekarskie, leki... Starość jest okropna. – Urwała, żeby złapać oddech.

Miałam ochotę wpełznąć w słuchawkę. Ta kobieta na pewno coś sobie przypominała.

– No, nieważne – podjęła. – Dzwonię, żeby panią do mnie zaprosić po te listy i karty.

Zachowałam wszystkie, co do jednej.

Padłam ciężko na kuchenne krzesło. Ona nic nie pamięta i nigdy sobie nic nie przypomni.

Ołtarzyk na cześć Abby... Byłam u pani Dwyer tylko raz, kiedy pojechałam spytać, czy czegoś nie wie. No jasne, ołtarzyk nie może tam stać w nieskończoność.

– Naprawdę bardzo przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej – ciągnęła. – Ale pomyślałam, że trzeba poczekać na lepszą porę, żeby pani je przeczytała. Jeśli zechciałaby pani...

Teraz mój głos brzmiał ochryple.

– Tak... dziękuję.

– Codziennie się modlę, żeby Bóg dał pani siłę. Żeby zdołała pani sobie poradzić z tą stratą. Ja straciłam moje trzecie dziecko, kiedy byłam w ósmym miesiącu. Jedyne synka. Mam wspaniałe córki, ale nadal tęsknię za moim Georgiem. – Westchnęła. Wiedziałałam, że wspomina tę obietnicę dziecka.

Pogładziłam brzuch.

– A ja jestem w piątym.

– Och, kochanie, nie wiedziałam. Mam nadzieję, że nie przestraszyłam pani moją opowieścią.

– Nie, cieszę się, że mi pani powiedziała. Czasem zbyt łatwo traktuję to dziecko jak oczywistość. Tak strasznie tęsknię za Abby.

– Powiem pani jak matka matce: nigdy pani nie przestanie za nią tęsknić. Ale pokocha pani i to dziecko... czy inne dzieci, jeśli przyjdą. Zobacz pani. – Głos jej cichł, tak jakby wyczerpała już jego resztki.

– Pani Dwyer... czy nie będzie pani przeszkadzać, jeśli mój mąż przyjedzie po te karty, kiedy się lepiej poczuje? Ma grypę, a ja nie jestem w stanie pojechać na pani ulicę. Jeszcze nie.

– Ależ doskonale rozumiem. Niech go pani ode mnie pozdrowi, dobrze? I proszę mnie wcześniej uprzedzić. Często wychodzę... cały czas siedzę u lekarza.

Gdy odłożyłam słuchawkę i podniosłam wzrok, wchodził do kuchni, słaniając się, Ethan, w piżamie nie od pary.

– Kto dzwonił? Wszystko w porządku? – Wydmuchał nos w chusteczkę tak donośnie, że zagłuszyło to moją odpowiedź.

Poniedziałek, 27 marca, godz. 7.00

Alden nie lubi bratków. A ja zawsze uwielbiałam nasycony, głęboki fiolet i złoto ich płatków, zwłaszcza gdy zima była mroźna. Mówi, że ogarnia go niepokój, kiedy czuje na sobie spojrzenia ich kwiatowych oczu. Mnie niepokoi raczej to, że Ian mnie okłamał.

Wczoraj, jak zwykle wiosną, zrobiłam wypad do Four Seasons Nursery. Taszcząc torbę nawozu do kwiatów i dwie ceramiczne skrzynki, wpadłam na ogrodnika, u którego Ian pracował jesienią, Michaela.

– Witaj, Michaelu, jak się masz? Szykuje się dużo roboty na wiosnę, co? – Odstawiłam skrzynki na podłogę; zawsze warto chwilę porozmawiać z szefem swojego dziecka.

– O, tak. Już po Bożym Narodzeniu zaczęli zgłaszać się nowi klienci... W zimie też było dużo zleceń na drobniejsze roboty, nie musieliśmy obawiać się o przyszłość firmy. Jak pani myśli, nie udałoby się namówić Iana, żeby wrócił do nas? To najlepszy młodociany pracownik, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. – Michael schylił się, podniósł skrzynki, wyjął mi z rąk torbę z nawozem i poniósł wszystko do kasy.

Zamurowało mnie.

– Ależ naturalnie, jestem jak najbardziej za. Spróbuję. Muszę ustalić, co się dzieje. – Zdanie zawisło w powietrzu niczym jedna z wiszących w szklarni paproci. Nie wiedziałam, co dalej mówić, Ian mnie okłamał.

Jesienią zapytałam go, dlaczego przestał pracować. Powiedział, że Michael zwolnił ludzi do wiosny, bo ma za mało zleceń.

Zapłaciłam za moje zakupy i zwalczyłam odruch, by skrócić w prawo, do Harry'ego. Nie warto rozmawiać na gorąco; nie przyniosłoby to nic dobrego. Oczywiście będę musiała mu o tym powiedzieć. Doskonały przykład, dlaczego Ianowi potrzebna jest terapia. Ciekawe, czy Harry umówił się już z nim na pierwszą wizytę.

W domu usiadłam w kuchni przy filiżance gorącej herbaty i oddychając głęboko, starałam się uspokoić. Wreszcie wzięłam do ręki telefon. Trzeba do nich zadzwonić. Będę twarda: muszę przyjść, żeby pogadać na ten temat.

– Dobrze się czujesz? – Do kuchni wszedł Alden z książką pod pachą. – Trochę blada jesteś. Wiedziałam, że jego troska jest szczerą, w tej chwili była jednak niepożądana.

– Dobrze, dziękuję. Muszę zadzwonić. Nie będziesz miał mi za złe, jeśli poproszę, żebyś zostawił mnie samą na parę minut? – Zanim jeszcze zadałam to pytanie, wiedziałam, że oddali mnie ono od Aldena na odległość znacznie większą niż ta, która dzieli kuchnię od biblioteki. No, ale ja mogłam złościć się na Iana, bo byłam jego matką. Nie chciałam, żeby Alden słyszał, jak wyrażam się negatywnie o moim synu.

Dzwoniłam i dzwoniłam. Za pierwszym razem zostawiłam wiadomość. Za piątym – odłożyłam słuchawkę, gdy tylko sekretarka zaczęła odtwarzać głos Harry'ego. Mogłam pojechać bez uprzedzenia, ale taka spontaniczność z mojej strony zwykle owocowała kłótnią. Nie, tym razem nie pozwolę, żeby cokolwiek odwróciło moją uwagę od tego, co najważniejsze.

Dlaczego oni nie oddzwaniają? Nie wiedziałam, czy ten skurcz gardła i skręcanie w żołądku jest ze złości, czy z niepokoju. Gdzie oni się podziewają?

GODZ. 17.00

Wreszcie Harry zadzwonił. Dochodziła pierwsza, a ja właśnie brałam do ręki telefon.

Zamierzałam zadzwonić do szkoły – jeśli Ian tam jest, to wszystko w porządku. Usiłując zyskać na czasie, Harry próbował mnie spacyfikować.

– Przychodzę natychmiast po ostatniej pacjentce! Nie możesz mnie odcinać od spraw! On jest także moim synem, a już dostatecznie długo trzymam język za zębami! – Dobrze, że poczekalnia była pusta, bo zdałam sobie sprawę, że wrzeszczę do słuchawki.

– Wykazuj, C. Nikt cię nie odcina ani nie ignoruje. Byliśmy w domu, tylko mieliśmy wyłączone telefony. Wiesz, że nie jestem zbyt dobry w tym odsłuchiwaniu wiadomości. – Mówił cichym, opanowanym głosem.

– Co z wizytą u terapeuty? Jest umówiona? Trzymałam palce skrzyżowane, dopóki nie powiedział: nie.

– Nie miałem wolnej chwili. Ja tu po prostu szału dostaję... Zadzwonię jutro, obiecuję. A z łanem wszystko okej, C. Naprawdę.

Już nieraz dałam się zwieść podobnym zapewnieniom. Nie, on nie zadzwoni. Zaproponował, że to załatwi, ale tak naprawdę nie ma zamiaru zająć się depresją łana. Nigdy nie potrafił radzić sobie z depresją. Ani swoją, ani moją, ani czyjąkolwiek.

– Nie, Harry, nie wszystko jest w porządku. Dlaczego nie chcesz tego przyznać? Nie widzisz, co myśmy mu zrobili przez tę naszą walkę? Jego wychowawczyni mówi, że w szkole jest obecny tylko ciałem. O ile w ogóle. A teraz okazało się, że mnie okłamał! – Krzyczałam.

– Nie tylko on kłamie.

– Mój związek z Aldenem to moja sprawa, a tobie nic do tego. To zbyt skomplikowane. Kto jak kto, ale ty raczej nie masz prawa mnie osądzać. Zapomnij, że miałeś zadzwonić do terapeuty. Ja zadzwonię. Powinnam była wiedzieć od początku, że poza mną nikt tego nie robi. – Z trzaskiem odłożyłam słuchawkę. Nie, nie pozwolę, żeby przez jego niefrasobliwość cierpiało nasze dziecko. Jeśli on nie umie zatroszczyć się o łana, zrobię to ja.

Wtorek, 28 marca, godz. 9.00

Kiedy weszłam dziś rano do gabinetu, na sekretarce mrugało czerwone światełko. Poczułam impuls samolubnej nadziei, że to wiadomości od pacjentek, które odwołują wizytę, bo przytrafiło się im lekkie przeziębienie albo zawiodła opiekunka do dziecka. Nie czułam się na siłach, żeby zajmować się problemami obcych ludzi. Marzyłam o godzinie tylko dla siebie – co za ulga, nikt by nic ode mnie nie chciał! Może mogłabym jakoś dojść do ładu sama z sobą, Wczorajszy wieczór zaczął się od słownej wojny między mną a Harrym i łanem, a skończył obcością między mną a Aldenem. Kiedy przyjechałam o szóstej do Harry'ego, Ian siedział na kanapie z pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą. Sprawiał wrażenie, jakby albo na mnie czekał, albo wpadł w katatonię i nie był w stanie się ruszyć. Harry zakrzętał się, żeby uprzątnąć z kanapy bałagan, tak bym mogła usiąść i ja.

– Zrobić herbaty? A może wolisz coś innego? – Udawał, że to zwykła, standardowa wizyta. Zignorowałam go. Skupiłam uwagę na łanie. Dzinsy miał dziurawe, a podkoszulek z długimi rękawami poprzecierany; trudno było powiedzieć, czy to efekt zamierzony, czy rezultat apatii. W czasie jazdy postanowiłam, że zostawię gniew w samochodzie i spotkam się z łanem na przystanku „współczucie”.

– Przykro mi, że jesteś ostatnio taki przygnębiony. Obiecujemy sobie, że będziemy wobec siebie uczciwi, dobrze? Czy nie zataiłeś czegoś przede mną? – Chciałam dotknąć jego ręki, ale Ian

szarpnął się, jakby złapał go prąd.

Spojrzał na Harry'ego, jak gdyby pytając, czy może mówić. Harry stał za mną, więc nie wiedziałam, jaką wskazówkę mu przekazał.

– Dosyć. Przestańcie. Sądzicie, że nie wiem, że coś przede mną ukrywacie? Ian, spotkałam Michaela. Powiedział, że nie zwalniał ciebie z pracy, sam odszedł. Czemu mi nie powiedziałeś, że nie chcesz tam już pracować? Spodziewałaś się, że co powiem? – Mówiłam błagalnym tonem, jak dziecko, któremu przez nieuwagę przepadła kolejka w grze.

– Tato, pozwól, żebym jej powiedział.

Może mówiłby dalej, gdyby nie włączył się Harry. Przysiadł na poręczy i ścisnął łana za ramię.

– Masz rację. I tak wcześniej czy później się dowie. Spartaczyliśmy sprawę, nie? – Spojrzał na łana, a potem na mnie. – Ian rzucił szkołę.

Zaniemówiłam.

– Ale nie przejmuj się tak. Wczoraj po rozmowie z tobą zadzwoniłem do jednego z łapiduchów z twojej listy. To już załatwione, okej? – Utkwił we mnie spojrzenie, tak jakby oczami mógł mnie przygwoździć do kanapy.

Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju.

– Dość mam słowa, którego ciągle używacie. Nic tu nie jest okej. Ian, jak mogłeś rzucić szkołę? Nawet nie wiem, czy to możliwe... Nie masz jeszcze szesnastu lat! A co ważniejsze, dlaczego? Harry znów próbował wyręczyć łana.

– Przestań, Harry. Chcę, żeby mi odpowiedział Ian. Najpierw skłamałeś, a teraz rzuciłeś szkołę? Mogę sobie tylko wyobrazić, co jeszcze przede mną ukrywasz. Naprawdę jest ci potrzebna profesjonalna pomoc.

Chciałam, żeby mówił, a potem sama go zagadałam. Opadłam na oparcie kanapy. Nie mam już siły, żeby panować nad tym, co robię, Ian się rozplakał.

– Masz rację. Potrzebuję pomocy. Nie potrafię już dłużej trzymać wszystkiego w sobie. – Jak mały chłopczyk otarł oczy wierzchem dłoni.

Harry objął go. Ian schował twarz na ramieniu ojca. Czulałam istniejącą między nimi więź. Choć w skrajnie nieumiejętny sposób, Harry troszczył się jednak o łana.

– Wiesz, C, masz rację. Teraz to widzę. Powinienem był postępować inaczej. Pójdę z nim do lekarza. Nie chodzi teraz do szkoły, ale to nie znaczy, że nie może do niej wrócić, kiedy poczuje się lepiej. Wszystko będzie okej. Damy sobie radę. – Uniósł podbródek łana i spojrzał mu w oczy.

Znów to przeklęte słowo... Trudno uwierzyć, że Ian kiedykolwiek będzie okej – wyglądał na kompletnie zagubionego. Musiałam coś zrobić, cokolwiek, więc zaczęłam od porządku w salonie: ułożyłam czasopisma i gazety, zebrałam szklanki, poskładałam ubrania. Nie obchodziło mnie, czy Harry chce, żebym sprzątała jego bałagan, czy nie.

Zaniosłam naczynia do kuchni. Zlew napelniał się wodą, a Harry obszedł dom i pozamykał drzwi na klucz. Kiedy zamknął te od garażu, wrzucił klucz do kieszeni.

– Wyjdiesz frontowymi. Na pewno cię ucieszy, że postanowiłem zamykać na noc. – Objął mnie ramieniem i choć przed chwilą byłam na niego wściekła, ten znajomy dotyk mnie uspokoił.

Ciepły i silny. – Widzisz, potrafię się zmienić – dodał.

Pocałowałam łana na pożegnanie, powiedziałam Harry'emu, że jeszcze porozmawiamy, i pojechałam do domu, gdzie powitał mnie inny rodzaj niezręcznej ciszy.

Zgodnie z naszym wieczornym rytuałem Alden czytał. Pomyślałam, iż chyba nie zauważył, że już jestem. A potem ciszę przerwały dwa słowa, potwierdzające, że zauważył.

– Cześć, Celio.

Nie spytał, jak się czuję. Nie robił mi wymówek, że późno wróciłam czy że się o mnie martwił.

Ja też nic nie wyjaśniałam.

Weszłam na górę, wzięłam szlafrok i zastanawiałam się chwilę, które drzwi otworzyć. Wybrałam te do pokoju Iana. Nie zapaliłam światła – matka zna pokój swojego dziecka; ściągnęłam narzutę i włożyłam do jego łóżka. Kładąc głowę na poduszce, pomyślałam: ciekawe, ile jeszcze nocy zdołam tak przeleżeć bezsennie w ciemności.

Nikt by mnie dziś nie powstrzymał, choć znaleźli się tacy, którzy próbowali pokrzyżować mi plany. Ulicę i numer domu miałam zapisane w głowie; notes był niepotrzebny. Komórkę wyłączyłam i schowałam głęboko w torbie. Właśnie brałam za klamkę, gdy zadzwonił telefon stacjonarny. Nie chciałam tracić czasu, jednak po czwartym sygnale podniosłam słuchawkę. Ethan nie zastał mnie pod komórką, zaniepokojony może przyjechać do domu... Ale spokojnie, to tylko Pat.

– Cześć, Tessa. Już myślałam, żeby się nagrać. – Mówiła troszkę niepewnie; albo rzeczywiście nie spodziewała się, że odbiorę, albo coś było nie tak.

– O co chodzi? Dziwnie brzmiysz. – Musiałam się streszczać; miałam sprawę do załatwienia.

– Może byśmy wypili kawę? Opowiedziałabyś mi, co ostatnio porabiasz. Ale nie wiem, czy potrafię utrzymać to w tajemnicy przed Ethanem. – Nie miała na myśli zakazanej dla mnie kawy.

– Trochę jestem zajęta. Jeśli masz coś do powiedzenia, to może po prostu powiedz? – Przestałam się nią przejmować. Zdażyłam polubić Pat, ale nie spełniła tego, co obiecała.

– Tessa... Wiemy, że byłaś u Neila Forda. Powiem otwarcie: to nie był mądry ruch. – Chciała mówić dalej, ale jej przerwałam.

– Żadna ze stron nie ma na koncie zbyt wielu mądrych ruchów. Zgoda? Tak, pojechałam do niego, bo chciałam wiedzieć. – Wzięłam oddech. – To nie on.

– Takie samo wrażenie miałam po obejrzeniu wideo z policyjnego przesłuchania. To, co mówi, wydaje się wiarygodne. Ale nie w tym rzecz.

– Wiem. Gdyby miał z tym coś wspólnego, naraziłabym śledztwo, na szwank. Tyle że, jak obie dobrze wiemy, żadnego śledztwa nie ma. Coś jeszcze? Spiesz mi się.

– Zależy mi, byś uwierzyła, że wciąż naciskam na policję. Ale nie chciałabym, żebyś robiła sobie w związku z tym zbyt wielkie nadzieje. – Mówiła teraz nieoficjalnym tonem, jak Pat, z którą się przyjaźniłyśmy.

– To ty robisz sobie zbyt wielkie nadzieje. – Odłożyłam słuchawkę i wyszłam. Pora na mnie. Kolejna przeszkoda miała kolor biało-niebieski. Przejechałam skrzyżowanie i skręciłam w prawo. Byłam już blisko, kiedy zawyła policyjna syrena. We wstecznym lusterku zobaczyłam zbliżający się radiowóz. Pat ich za mną wysłała? Przecież nie wiedziała, dokąd się wybieram... Kiedy radiowóz przemknął obok mnie, zjechałam na pobocze. Odsunęłam szybę i odetchnęłam chłodnym powietrzem. Serce powoli wracało mi z gardła do piersi, a z głowy ulatywały głupie myśli. Nie, odwiedziny u niego w domu to żadne przestępstwo. Zresztą pewnie go nawet nie będzie.

Pozwoliłam, by minęło mnie kilka samochodów, i dopiero po chwili wróciłam na jezdnię. Za niecałe trzy minuty znalazłam się na Sea Street. Parzyste, nieparzyste... Dojeżdżając do numeru 78, zwolniłam. Szybki rzut oka na dom: typowe ranczo. Pewnie ma góra pięć pokoi – za mało jak dla dużej rodziny. Na podjeździe nie było samochodu, ale do domu przylegał garaż.

Zwolniłam jeszcze bardziej. Koła dwukrotnie zabuksowały, wreszcie podjechałam i stanęłam.

Jeśli ktoś wyglądał przez okno, to to, co teraz zrobię, będzie pasować do opowieści. Siedząc, policzyłam do dwudziestu. Zrobię to. Wysiadłam, schowałam kluczyki do kieszeni na piersi dzinsowej kurtki, przerzuciłam torbę konduktorkę ukośnie przez ramię i ruszyłam w stronę domu. Rozejrzałam się: ulica była pusta. Ranek... Porzucone niedbale na trawnikach rowerki, kolorowe plastikowe domki, a także huśtawki na podwórkach świadczyły, że po południu okolicę wypełni dziecięca wrzawa.

Idąc ścieżką, powtórzyłam w myśli mój tekst. Jeśli mam go powiedzieć, musi wypaść naturalnie. Wcisnęłam guzik dzwonka i czekałam. Dziecko kopnęło mnie mocno – pierwsze ostrzeżenie, pierwsza sugestia, abym dała spokój. Z wnętrza domu nie dochodził żaden dźwięk. Obejrzałam się i zadzwoniłam jeszcze raz. Ulica wciąż była pusta, więc zajrzałam przez szybkę w drzwiach. Na pewno ktoś tu mieszkał: w niewielkim, zagraconym pokoju panował bałagan.

Mogłam sobie odpuścić. Nie znalazłam nic podejrzanego. Ale skoro na ulicy nikogo nie ma, może obejdę dom i zajrzę przez inne okno? Zerknę tylko przez to jedno, a potem się zabieram. Podchodząc do garażu, uległam pokusie, żeby do niego zajrzeć. Ten mój przeklęty niski wzrost, szlag by to... Wspięłam się na palce, ale nic nie widziałam. Poszłam w stronę podwórka. A, jednak, w drzwiach garażu jest drugie okno! Przez nie widziałam lepiej. Tak, wewnątrz stał średniej wielkości sedan. Granatowy albo ciemnowiśniowy; za ciemno było, żeby rozpoznać kolor. Czulałam pulsowanie w całym ciele – trochę z powodu bicia serca, a trochę dlatego^ że dziecko kopało. Nie, nie chcę o tym myśleć. Sprawdziłam drzwi: zamknięte. Nieważne, już wiedziałam, co zrobię.

W domu nie ma nikogo. Na ulicy pusto. Schyliłam się, podniosłam kamień i stuknęłam w lewą dolną szybkę – lekko, potem mocniej. Wcale nie tak łatwo tłuc szkło. Sięgnęłam do torby, wyjęłam portmonetkę, a z niej – bez namysłu, jakby szło o kupienie jakiegoś ciucha pod wpływem impulsu – kartę kredytową. Wsunęłam ją między ramę a drzwi. Pokręcając klamką w różne strony, manipulowałam kartą i modliłam się w duchu, by zamek ustąpił. Zanośiłam pierwszą od tyłu miesięcy prośbę do Boga: żeby pomógł mi otworzyć te drzwi, tak bym mogła spojrzeć z bliska na samochód.

I oto znajdowałam się w środku. Za łatwo poszło, pomyślałam. Obeszłam samochód od tyłu. Był wiśniowy, czysty, ani stary, ani nowy. Przesunęłam ręką po dachu: zimny. Auto wyglądało na przeciętne pod każdym względem... z wyjątkiem przedniego reflektora od strony pasażera. Został wymieniony.

Zdjęłam torbę, położyłam na ławce z narzędziami i podeszłam, żeby przyjrzeć się bliżej. Wtem szcęknęła klamka. Odskoczyłam i wpadłam na ławkę: młotki i śrubokręty z trzaskiem rozsypały się po podłodze.

To nie zgrzytnęła klamka w drzwiach, przez które się włamałam. W tych prowadzących z wnętrza domu pojawił się wysoki, znajomy chłopiec. Zaspany i wystraszony. Milczał.

– Zaraz wszystko wytłumaczę. Właśnie koło waszego domu zabrakło mi benzyny. Stukałam i dzwoniłam, ale nikt nie otwierał. O Boże, okropnie to wygląda... Zostawiłam komórkę w domu i... po prostu pomyślałam, że może macie tu gdzieś kanister z benzyną. – Urwałam. – Zostawiłabym kartkę z wiadomością. Naprawdę.

– Nie, tu nic nie ma. Benzyny, znaczy. – Głos mu się łamał, tak jakby okres dojrzewania już czyhał. Chłopak mógł mieć czternaście, piętnaście lat. – Chce pani skorzystać z mojego telefonu? – O, to byłoby świetnie. – Zrobiłam krągły ruch dłonią nad moim dzieckiem. Z dwu powodów, po pierwsze, żeby poczuł się niezręcznie i zaprosił mnie do środka, a po drugie, żeby ją uspokoić. Od paru minut tak wierzgała, jakby miała zamiar wydostać się z tego bajzlu.

– Okej. – Zerknął na mój przypominający piłkę do kosza brzuch. Na cienkiej szyi widać było pulsujące żyły. Otworzył drzwi do kuchni i zaledwie weszliśmy, od razu je zamknął i wsparł się o nie długim, chudym ciałem. Po twarzy przemknęła mu ulga, a język ciała mówił, że zastawia mi drogę do tego wyjścia.

Nowe światło i nerwowy chłopak. Ten sam, którego widziałam na cmentarzu... Zakręciło mi się w głowie. Bez pytania wysunęłam krzesło, padłam na nie i opuściłam głowę między kolana.

– Dobrze się pani czuje, pani Gray? Nie będzie pani rodzić, prawda? – Wystrzeliły pytania, a ja usłyszałam dzwonek w tyle głowy.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? Dlaczego ten samochód ma nowe światło? – Mówiłam stłumionym głosem, ale wiedziałam, że mnie słyszy.

– Wszyscy tu panią znają. Mój tata wymienił światło, bo się spaliło. – Teraz on recytował wyuczony tekst. Nie wierzyłam ani jednemu słowu.

Dźwignęłam głowę, wyprostowałam się i założyłam ręce na piersi.

– Chciałabym się napić. Soku albo czegoś... W głowie mi się kręci. – Chłopak podszedł do lodówki, a ja pytałam dalej: – Twój tata nazywa się Harry Hayes, tak? A ty?

– Tak, to mój tata. On nic nie zrobił. – Pauza. – Ja się nazywam Ian. – Unikał kontaktu wzrokowego, ale podał mi w szklance trochę soku.

Wypiłam duszkiem. Ręka mi się trzęsła, kiedy odstawiałam szklankę. Wsparłam się oburącz o stół i wstałam; nie wiedziałam, jak dojdę do vana. Chłopak znów stał przy drzwiach prowadzących do garażu.

– Muszę wyjść! Przez które drzwi mnie wypuścisz? – krzyknęłam. Wskazał tylne, te na podwórko. Nie spuszczać z niego oczu, ruszyłam.

– Myślałem, że zabrakło pani benzyny – powiedział. Przystanąłam i spojrzałam na niego groźnie.

– Wystarczy, żeby dojechać na policję.

Kluczyki miałam przy sobie, ale torba – i komórka – została w garażu. Nie pamiętam, jak dojechałam do domu. Na sekretarce błyskał numer 3. Nie odsłuchałam. Najpierw telefon do Northa. Nie ma sensu dzwonić do pierwszego lepszego policjanta, za dużo byłoby do tłumaczenia.

– Musi pan przyjechać. Proszę. Mam do pogadania.

– To znaczy, że odsłuchala pani moją wiadomość. – North mówił ze skruchą. – Też chcę się z panią spotkać, ale to nie musi być już. Mogę przyjechać trochę później, po południu?

– To, co mam do powiedzenia, nie może czekać. Znalazłam sprawcę.

Teraz do Ethana. Nie owijałam w bawełnę, co zrobiłam; był wściekły. Oстрыm tonem zagroziłam mu, że odłożę słuchawkę, i powiedziałam, że jego gniew może poczekać.

– Masz natychmiast przyjechać. Musimy nakłonić policję, żeby tam pojechała, zanim pozbędą się samochodu.

Przyjechali w parosekundowych odstępach jedno za drugim: Ethan, North i Pat. Frunęli podjazdem jak ja przed chwilą. Ciekawe, kto powiadomił Pat.

Jeszcze w drzwiach, nie mówiąc „cześć” czy „dzień dobry”, powiadomiłam ich, co odkryłam na Sea Street.

– Mają w garażu samochód ze zdrapanym lakierem z przodu i nowym światłem od strony pasażera. Wiem, że dla was to nie dowód. Jest jeszcze chłopak.

Usiedli w pokoju. North wyjął notatnik i oświadczył urzędowym tonem:

– Pani Tesso, nawet nie chcę mówić, jakie kłopoty może pani mieć w związku z włamaniem. Nie może pani tak po prostu sprawdzać pierwszego z brzegu samochodu. Ludziom zdarzają się stłuczki i wymiana świateł.

– Tak, wiem, że to dla was nieprzekonujące. Ale jest jeszcze chłopak, nastolatek. Ten sam, którego widziałam na cmentarzu w urodziny Abby! Był z ojcem, i obaj płakali! – wyrzucałam z siebie w karabinowym tempie. – Zna moje nazwisko! Głowę dam, że kryje ojca!

– Kochanie, wolniej. – Ethan położył mi rękę na plecach i zaczął masować. Wyszarpnęłam się. On też mi nie wierzył.

– Chwileczkę – włączyła się Pat. – Jack, co możesz zrobić dla państwa Gray? Tessa dobrze wie, że nie należało tak załatwiać sprawy, ale wygląda na to, że powinieneś tam pojechać. Wymyślisz jakiś pretekst, prawda? – Położyła dłoń na jego przedramieniu, poniżej podwiniętego rękawa koszuli. Prosiła o przysługę.

Postanowiłam nie mówić, że może pojechać pod pretekstem zabrania mojej torby, którą zostawiłam w garażu Harry'ego Hayesa.

North pozwolił, by dłoń Pat spoczywała chwilę na jego ręce, po czym znów otworzył notatnik.

– To śliska sprawa. Jeśli pojedę tam w związku z dzisiejszym zdarzeniem, pani Tessie grozi oskarżenie o włamanie. Może zacznę od tego, że sprawdzę, czy nie ma jeszcze jakiejś sprawy, która mogłaby stanowić pretekst do kontroli. Pasuje? Jaki jest adres?

Środa, 29 marca, godz. 17.00

Byłam rozkojarzona, gdy słuchałam pacjentów. Całe popołudnie czekałam na telefon od Harry'ego. Kiedy wreszcie odezwał się, nowiny nie dotyczyły wizyty u psychiatry.

O dwunastej, tak jak się umówiliśmy, zadzwoniłam do Boatworks. Podjęłam decyzję: jeśli do czasu ponownej rozmowy Harry nie zdoła załatwić terminu, sprawę przejmuję ja; idę z łanem na wizytę w trybie pilnym, z powodu nagłego wypadku. Wiedziałam, że to kłopotliwe, ale kilku kolegom i koleżankom wyświadczyłam kiedyś przysługę. Nie będą bawić się w szczegóły. Telefon odebrał szef Harry'ego, Levis.

– Wyszedł koło dziesiątej. Powiedział, że idzie z łanem do lekarza. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Niestety, to coś bardzo poważnego, miałam ochotę odpowiedzieć. Byłam zła na Harry'ego, powinien zachować się przyzwoicie, zadzwonić i mi powiedzieć. No, ale dobrze, że wreszcie to załatwił... Powoli układałamteczki pacjentów i czekałam, zwlekając z wyjściem. Nie chciałam, żeby ominął mnie telefon Harry'ego, a jeszcze bardziej nie chciało mi się wracać do domu i tłumaczyć wszystkiego Aldenowi. Zanim jeszcze podniosłam słuchawkę, wiedziałam, że to Harry.

– No i co z nim? Co powiedział lekarz?

Ton Harry'ego był łżejszy, niż powinien, zważywszy na okoliczności.

– Z łanem wszystko dobrze.

– Wiesz, nie mogę sobie darować. To ja powinnam była z nim pójść. Odwołałabym pacjentów. Mogę z nim porozmawiać? – Nie miałam zamiaru dłużej tłumić uczuć.

– Zasnął. Dałam mu pigułkę nasenną. Chłopak miał dziś trudny dzień, C – mówił, ściszej głoś. Nie wiedział, że nie sposób obudzić kogoś, kto zażył ambien.

– Nie czuję się z tym komfortowo, Harry. Nie powinno się podawać komuś innemu swoich leków. Czy doktor nic łanowi nie przepisał? – Staralam się nie naciskać zanadto; nie chciałam go zrazić.

– Celia. – Zamilkłam. Nazywał mnie pełnym imieniem tylko wtedy, gdy chodziło o coś poważnego. – Opowiem ci o tym jutro, dobrze? Wszystko. Dzisiejszy dzień był trudny dla dzieciaka... i dla mnie też. Pozwól, że trochę poczekam ze zwalaniem tego ciężaru na ciebie. – Głos miał teraz mocniejszy, choć słyszałam w nim rezygnację.

– Szkoda, że nie chcesz mi opowiedzieć. Nadal jesteś na mnie zły, że się uparłam w sprawie terapii? – powiedziałam łagodniej.

– Nie, rozumiem, dlaczego chciałaś, żeby Ian się leczył. Po prostu... wciąż nie wiem, dlaczego nie chciałaś się leczyć sama. Ze mną. Dla nas obojga.

Nie odpowiedziałam. Właśnie o to wałczyliśmy prawie dziesięć lat. Właśnie to nas rozdzieliło i popchnęło go do picia.

– Jesteś tam? – spytał. – Słuchaj, pogadamy jutro. Wszystko ci opowiem, obiecuję. Może mogłabyś wziąć sobie wolny dzień? Spotkalibyśmy się i pogadali.

– Rano mam paru pacjentów, z którymi powinnam się zobaczyć. Resztę mogę wykreślić. O dziesiątej trzydzięci u mnie w biurze? Co ty na to?

– Poczekam na ławce koło wejścia do parku. Jest jeszcze jedna sprawa, C. O wiele za długo czekałam, żeby ci to powiedzieć. – Głos mu jakby drżał, choć Harry łatwo się nie wzruszał. – Powinienem był bardziej się starać, żeby tamto z ciebie wyciągnąć. Zmusić cię, żebyśmy o niej rozmawiali. Powinienem wtedy stawić czoło sytuacji, zachować się jak mężczyzna, nie jak pijak, ale nie potrafiłem. Chcę, żebyś to wiedziała: zmieniłem się. I teraz potrafię.

Minął ułamek sekundy i Harry dodał:

– Kocham cię, Celia. Kocham cię i iana bardziej, niż będziesz w stanie sobie kiedykolwiek wyobrazić.

W słuchawce zapadła cisza. Wiedziała jednak, że wciąż tam jest.

– Nie wiem, co powiedzieć – wydusiłam przez ściśnięte gardło. Pociągając nosem, wyjęłam chusteczkę z dyżurnego pudełka na biurku.

– Nic nie musisz mówić. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała. Zobaczymy się jutro. Dobranoc. To nie będzie dobra noc. Ani wieczór. Nadal go kochałam, ale w domu, w bibliotece czekał na mnie mój drugi mąż.

Czułam się jak w domowym areszcie. Wałęsaliśmy się z Ethanem po domu, czekając na telefon od Northa. Miałam nieodparte wrażenie, że Ethan mnie śledzi. Kiedy poszłam do pracowni, po chwili zajrzał i on.

– Nie będziesz mieć nic przeciw temu, żebym i ja tu popracował, prawda?

Kiedy wchodziłam do łazienki, zaraz słyszałam:

– Wszystko dobrze, kochanie?

Nie przeszkadzało mi jednak, kiedy przyszedł za mną do pokoju Abby. Strasznie się to wszystko wlokło... Szału już dostawałam od tego czekania. Musiałam coś robić. Wyciągnęłam się na jej łóżku i zaczęłam przerzucać karty i listy, które Ethan przywiózł od pani Dwyer.

Stanął w progu i ze smutkiem powiódł wzrokiem po obłokach na ścianach, po jej lalkach i książkach.

– Może chcesz, żebym ci w tym pomógł? Zrobię duży dzbanek kawy i przeniesiemy wszystko na kuchenny stół.

Widocznie Tessa na kofeinie to lepiej niż Tessa na prozacu.

Nie irytowała mnie sztuczna pogodność Ethana, bo miałam wobec niego dług – nie krzychał na mnie za to węszenie. Kiedy dowiedział się o mojej wizycie u Neila Forda i Harry'ego Hayesesa, okazywał mi jeszcze więcej troski. Obchodził się ze mną ostrożnie, jakby w obawie, że mogę się stłuc. Podobne wrażenie sprawiał, gdy po raz pierwszy wziął na ręce Abby.

– Jasne, możemy razem poczytać karty. Ale chyba lepiej będzie, jeśli pogadamy.

Z wahaniem zrobił kilka kroków w stronę bujanego fotela Abby. Opór przed tym pokojem sprawiał, że poruszał się powoli, jakby szedł pod wiatr. Wyciągnęłam rękę, żeby go powstrzymać.

– Nadal jednak liczę na kawę. Zaśmiał się.

– No co? Sam zaproponowałeś.

W kuchni poczuł się swobodniej i nie liczył mi filiżanek. A ja nie odrzucałam żadnych pytań. Opowiedziałam mu o liście, którą w grudniu sporządziła dla mnie Melanie. O tym, jak zrezygnowałam z poszukiwań, gdy pojawił się North, sprawiający wrażenie kompetentnego, a Pat zapewniała, że on znajdzie rozwiązanie. Staralam się znaleźć słowa, żeby mu przekazać, jakie to dla mnie ważne – wiedzieć, co stało się z Abby.

W trakcie rozmowy zaczęłam płakać. Pierwsze łzy, które bez oporu wylałam w jego obecności, były zaraźliwe.

Trzymał mnie w objęciu i głaskał nasze rosnące dziecko.

– Tak mi przykro, że nie mogłaś mi o tym wszystkim powiedzieć. Dobrze, że mówisz teraz. –

Splótł palce z moimi, a drugą ręką otarł papierową serwetką moką twarz.

– Nie mam ci za złe, potrzebowałeś zostawić to za sobą. Ja po prostu nie potrafiłam. Do diabła... nadal nie wiem, czy potrafię. Jakaś częśćka mnie wcale nie żałuje, że ci nie powiedziałam.

Gdybym tego nie zrobiła, dalej moglibyśmy nic nie wiedzieć. – Spojrzałam mu głęboko w oczy o szarych tęczęwkach; musiałam się upewnić, że wierzy w to tak samo jak ja. Abby zabił Harry Hayes.

– Skoro o tym mowa... Obiecuj mi, że nie będziesz się złościć. Chciałbym ci wierzyć, ale potrzeba więcej dowodów, policja też tak uważa. – Czułam, że rozmowa go uspokoiła, że mniej się o mnie martwi. – Tessa... Kiedy pomyślę, że coś się z tobą mogło stać, gdyby sprawy ułożyły się nie tak, jak oczekiwałaś...

Nasze tête-à-tête przerwał gwałtowny werbel: stukano do drzwi. Zerwaliśmy się. Modliłam się,

żeby to był North z dobrymi wiadomościami. Ethan otworzył: w drzwiach stali North i Pat.

– Czy wy zawsze i wszędzie jesteście razem? – spytałam. Spojrzenie, które wymienili, powiedziało mi, że odpowiedź brzmi „tak”. – Nieważne. Byliście tam?

Pat poprowadziła wszystkich do kuchni.

– Usiądźmy.

– Mam trochę nowin, przy czym niektóre z nich nie są dobre – zaczął North. – Będę uczciwy, Tesso, musi mi pani ufać i być cierpliwa. Wiem, że wiele żądam. – Nie zamierzał się ze mną cackać: mówił jak detektyw, i taki mi się podobał. Wyprostowałam się i wzięłam Ethana za rękę.

– Nic jej nie będzie. Proszę mówić. – Ethan ścisnął mi dłoń i po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że być może zdołamy przejść przez najgorsze, jeśli zrobimy to wspólnie.

– Proszę zacząć od złej wiadomości – powiedziałam.

– Nie możemy tam pojechać i dokonać konfrontacji, w każdym razie jeszcze nie teraz. Niepokoi się pani, że on pozbędzie się samochodu. Ale skoro z jakichś przyczyn jeszcze tego nie zrobił, teraz byłby to bardzo głupi ruch. Chłopak już mu na pewno powiedział, że będąc u nich, widziała pani auto. – North trzymał ręce na stole; zakonnice, które go uczyły, mogłyby być z niego dumne. – To, co zamierzamy zrobić z komendantem O’Brienem, to wezwać go na rozmowę. A poza tym po okolicy krążą nasi ludzie.

– Policja może wezwać na przesłuchanie każdego – dorzuciła swoje prawnicze trzy grosze Pat. – Nie są do tego potrzebne żadne dowody. A kiedy tu się pojawi, nawet w towarzystwie prawnika, Jackowi łatwiej się będzie zorientować, co dalej.

– Rozumiem, że właśnie usłyszałam złą wiadomość: to trochę potrwa, a przez ten czas chcecie mnie mieć pod kontrolą. – Nikt nie odpowiedział, wróciłam więc do ostatniej kwestii. Wszyscy czworo wiedzieliśmy, że jakakolwiek byłaby odpowiedź na to pytanie, od niej zależy, czy istotnie będę musiała pozostawać pod kontrolą, czy nie. – Co się stanie, jeśli nie zdołacie udowodnić, że to on?

Ethan ujął mnie łagodnie za podbródek i zwrócił moją twarz ku sobie.

– Może nie wybiegajmy myślą w przyszłość. Pozwólmy, żeby sprawy toczyły się swoim trybem, dobrze?

– W porządku, spróbuję. A pozostałe nowiny? – zwróciłam się znowu do Northa.

– Właśnie w związku z tym nagrałem się wczoraj. Ale wobec wszystkiego, co zaszło, pomyślałem, że można z tą informacją poczekać.

Całkiem zapomniałam o pozostawionych na sekretarce wiadomościach. Ethan odczytał moje myśli.

– Chodziło o spotkanie i rozmowę. Nagrali się też Rosemary i jakiś telemarketer.

– Znaleźliśmy zdjęcia z oględzin ciała i próbkę lakieru – podjął North. – Caulfield nie musiał mieć nic wspólnego z ich zaginięciem. Przyznał się do przyjęcia niewielkich łapówek, ale zeznał pod przysięgą, że nie zrobił nic, co utrudniłoby śledztwo w sprawie Abby. Wychodzi na to, że bardziej grzeszy lenistwem niż nieuczciwością. Nie bez przykrości muszę przyznać, że zaginięcie materiału dowodowego obciąża naszą stronę.

– Gdzie był? – spytał Ethan.

– Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaginęły zdjęcia, rozpoczynaliśmy śledztwo w sprawie dotyczącej przemocy w rodzinie. Przypuszczamy, że w jakimś momencie zarówno zdjęcia Abby, jak i zdjęcia pobitej kobiety znalazły się na tym samym biurku, po czym policjant włożył wszystko do teczki z aktami tamtej sprawy. Dopiero wczoraj, kiedy ponownie podjęto śledztwo w sprawie o pobicie, kolega natknął się na zdjęcia Abby. – Urwał. Czulałam, że nie są to jeszcze wszystkie złe wiadomości.

– To, co muszę teraz powiedzieć, jest trudne do przekazania. – North znowu był jak łagodny

powiew, a nie ostry północny wiatr.

– Mów – zachęcała go Pat. Wiedziała, że jesteśmy na tyle znieczuleni, na ile to możliwe.

– Te dwa zdjęcia to zbliżenia wyraźnego śladu opony samochodowej, biegnącego ukośnie po lewym ramieniu Abby. Wiem, że to brzmi strasznie – i to jest straszne. Niemniej ślad opony i próbka lakieru mogą posłużyć do zawężenia liczby pojazdów, które należy brać pod uwagę. – Złożył ręce na stole. – Mogą potwierdzić lub wykluczyć samochód, który pani widziała. Musi pani tylko dać mi trochę czasu. Dobrze?

Horror. Mała rączka Abby wytatuowana przez samochodową oponę. Miałam nadzieję, że nie doświadczyła bólu, nie cierpiała. A jednak od dawna nie czułam się tak dobrze: jeszcze trochę i to Harry Hayes będzie cierpieć za krzywdę, którą jej wyrządził. – Teraz mogę czekać.

Sobota, 1 kwietnia, godz. 11.00

Czterdzieści osiem godzin temu Harry rozciął więzy krępujące dotąd moje życie. Zanim wyszłam, wyjrzałam przez okno. Tak jak obiecał, siedział na ławce przy wejściu do Verity Park. Już po kilku minutach byłam na miejscu: nie mogłam doczekać się, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– No to mów. Spodobała się łanowi doktor Hall? – Usiadłam obok niego i wzięłam do ręki styropianowy kubek, który mi podał. Ledwie na niego spojrzałam, wiedziałam, że nie przychodzi z wiadomościami o wizycie u psychiatry. Żadnej wizyty nie było.

– Celia, jesteś silną kobietą, wierzę, że będziesz nią także teraz. – Odstawił kubek i zwrócił się do mnie twarzą. – Znienawidzisz mnie, kiedy ci powiem to, co chcę powiedzieć. Ale postaraj się mnie wysłuchać. – Był świeżo ogolony, ubrany staranniej niż do pracy. To zastanawiające. Ścisnęłam w dłoniach kubek.

– Nie byłeś z łanem u lekarza.

– Nie przejmuj się, wszystko będzie z nim dobrze, kiedy ja zejdem z sceny. – Mówiłby dalej, ale westchnęłam.

Znowu, pomyślałam. Wymówki, gra na zwłokę. Dlaczego sprzeciwia się terapii – teraz, kiedy niemal przyznałam, że i ja powinnam była w swoim czasie się leczyć? Czy próbuje się na mnie odegrać za to, że kiedyś odmawiałam?

– Naprawdę trudno to zrobić bez drinka. – Wziął do ręki kubek, ale zmienił decyzję i odstawił go na ziemię. – Odchodzę. Próbuję zachować się odpowiedzialnie. – Spojrzał w bok nie po to, by podziwiać wypielęgowaną zieleń parku czy słuchać krzyku przelatujących nam nad głowami mew.

– Jak to? Dokąd? O Boże, chyba nie zabierasz ze sobą łana? Nie możesz mi zabrać syna! Harry, przerażasz mnie...

Ujął moją dłoń i utkwiał wzrok w obrączce.

– Zrobiłem coś strasznego. Jesienią zeszłego roku jak zwykle upiłem się i potraciłem dziewczynkę Grayów.

Upuściłam kubek. Herbata chlusnęła po ceglanej ścieżce. Harry odkopnął kubek na bok, z dala od moich stóp. Uwolniłam dłoń z jego dłoni. Ręce opadły mi bezwładnie na kolana.

– Harry, nie. – Nie wierzę, błysnęła mi w głowie myśl i zaraz zgasła. Wypowiadał mechanicznie jakieś słowa, nie rozumiejąc, co znaczą! A potem dotarło do mnie to, co powiedział: „potraciłem dziewczynkę” i wiedziałam, że mówi prawdę. Harry zrobił mnóstwo ohydnych rzeczy, ale nigdy mnie nie okłamał.

Nie drgnęłam. Byłam jak bryła lodu, pomimo że grzało słońce. Wstał i przeszedł się tam i z powrotem. Wreszcie stanął przede mną.

– Noc przed wypadkiem spędziłem w jachtklubie, w barze. Późno w nocy Lukę mnie wyrzucił. Poszedłem do samochodu i wyciągnąłem spod siedzenia butelkę cutty* [Cutty stark – marka whisky (przyp. tłum.)]. Zawsze ją ze sobą woziłem. Reszta tej nocy to jedna mgła.

Usiadł i ciągnął swoją opowieść; nie patrzył na mnie. Cały czas kręciłam głową, powtarzając półgłosem: nie, nie.

– Musiałem odpłynąć. Oprzytomniałem kilka godzin później na poboczu drogi, gdzieś między klubem a domem. Nawet wtedy byłem jeszcze mocno pijany. Nie zastanawiałem się długo, ruszyłem do domu.

Zamilkł i spojrział mi prosto w oczy.

– Nie widziałem jej, C. Naprawdę. – Łzy popłynęły mu po twarzy. Nie ocierał ich.

– Zabiłeś ją – usłyszałam, jak wypowiadam ostrym tonem te dwa niewiarygodne słowa. Harry skubał tkaninę spodni. Wyciągnęłam rękę i ścisnęłam go za udo. Jego oczy mówiły, że bardziej niż uszczypnięcie boli go moja odraza.

– Tak – szepnął. – Nie potrafiłem zapanować nad picciem. Nie potrafiłem ci pomóc, kiedy ją straciliśmy. Przeze mnie przeżyliście z Ianem piekło. .. iw końcu straciłem też ciebie. Wiem, że nigdy mi nie wybaczysz. Ale musisz wiedzieć, że piłem nie dlatego, że mi na tobie nie zależało. Zależało mi... i dlatego piłem. Wiem też, że to mój ostatni błąd. Zaraz po rozmowie z tobą idę na policję. Przyznać się.

Mignęła mi w głowie twarz lana.

– Ian wie. To dlatego jest w prozku, tak? Bo musiał ciebie kryć? Mój mały synek... tyle miesięcy żyje z twoją potworną tajemnicą... – Fragmenty naszej rodzinnej układanki w jednej chwili ułożyły się w całość.

– Wiedział od początku – mówił Harry. – To on zajmował się mną, kiedy wróciłem wtedy pijany. Mył samochód, pomagał mi naprawić uszkodzenia. Słuchaj, C... Musimy wydostać go z tego bagna. Ja już spaprałem swoje życie, ale to jeszcze dzieciak. Kiedy się przyznam, będziecie mogli zostawić to za sobą i iść naprzód.

Wszystko przemyślał. No, ale miał kiedy – długo zwlekał... Czy w ogóle zdecydowałby się wziąć odpowiedzialność za to, co zrobił, gdyby Ian się nie załamał?

– Nie mogę uwierzyć, że wciągnąłeś w to naszego syna. Co z ciebie za ojciec?

Pomyślałam o Tessie. Jeśli dowie się prawdy, jej ciężar trochę zelżeje. Ale świadomość, że jest w to wpłątana moja rodzina, przytłoczy ją na powrót.

– Harry, dlaczego? Tyle razy błagałam cię, żebyś nie prowadził po pijanemu! – Podniosłam głos, ale nie miałam siły, żeby podnieść się z ławki.

– W tej chwili jestem trzeźwy i zamierzam zrobić co należy.

W głowie miałam ocean chaotycznych myśli, płynących we wszystkie strony. Harry je przeciął.

– C, idź do lana. Jesteś mu potrzebna. Nie może sobie darować, że pójde do więzienia.

Wstał. Pociągnął mnie za rękę, bym wstała i ja.

– To, co powiedziałem wczoraj, to prawda. Kocham cię. – Ujął dłońmi moją głowę i mnie pocałował. Kiedy skojarzyłam, co robi, wyszarpnęłam się. – Bez względu na to, co czujesz do mnie w tej chwili, ja zawsze będę ciebie kochać. – I nie czekając na odpowiedź, poszedł.

Myślałam o Ianie. Muszę jechać do niego. Żadne z nas nie powinno przeżywać tego w samotności.

Biegiem wróciłam do gabinetu. Jednym ruchem zgarnęłam z biurka do torby portmonetkę, okulary, gazetę. Złapałam kluczyki i pobiegłam do samochodu. Jadąc, zadzwoniłam do niego, ale nie odebrał. Nie zostawiłam wiadomości. Wyobraziłam sobie, jak siedzi bez ruchu na kanapie albo leży w łóżku, pogrążony w jeszcze głębszej niż dotąd depresji. Muszę mu pomóc.

Opowieść Harry'ego, wyryta w mojej głowie, sprawiała, że jechałam ostrożnie. Pragnienie, by znaleźć się przy Ianie, sprawiała, że po chwili jechałam szybko. Wjazd na posesję Harry'ego blokował samochód fundacji Big Sisters. Zirytowana zaparkowałam na chodniku i pobiegłam do wejścia. Drzwi nie zamykali, jak zwykle. Aż tak bardzo Harry się nie zmienił.

W salonie lana nie było. Od razu zauważyłam, że w domu jest posprzątane. Zniknęły stosy gazet, książki stały równo na półkach.

Poszłam do jego pokoju. Po drodze zawołałam syna po imieniu, raz, drugi – niegłośno, żeby się nie przestraszył. Tu też go nie było.

Ruszyłam do kuchni, gnana paniką. Nie mógł być w szkole – rzucił szkołę. To gdzie jest?

Przechodząc obok frontowego okna, zauważyłam, że samochód Big Sisters odjechał, ale wciąż słyszałam odgłos silnika. Na stole w kuchni leżała kartka papieru. Złapałam ją i rzuciłam się ku

drzwiom do garażu. Już wiedziałam, gdzie jest Ian... Nie mogłam sforsować zamkniętych drzwi, a w zamku brakowało klucza. Wybiegłam na podwórko.

Głowa dosięgła bocznych drzwi garażu, jeszcze zanim dosięgły ich stopy. Zamknięte i te. Tak, był tu – widziałam bezwładne ciało mojego syna, przewieszane przez kierownicę samochodu. Samochodu, który zabija dzieci. Złapałam kamień i z całej siły trzasnęłam w lewą dolną szybę. Wsadziłam rękę przez dziurę i otworzyłam. Walnęłam dłonią w przycisk, który podnosił drzwi wjazdowe, i rzuciłam się do samochodu.

Nie czułam pulsu. Nie, nie pozwolę, żeby umarł. Kaszląc, szarpnęłam go i pociągnęłam do drzwi, „Ian! Ian!” – krzyczałam coraz głośniejsze. Bezwładne ciało było ciężkie jak głaz, długie nogi plątały się po posadzce, miałam wrażenie, że trwa to wieki. Ale nie mogło trwać długo, bo drzwi zdążyły się właśnie podnieść do końca, kiedy wyciągnęłam go na podjazd. Świeże powietrze.

Musi odetchnąć świeżym powietrzem, mówiłam sobie. Choć wiedziałam, że nie oddycha.

Przyłożyłam usta do jego ust i tchnęłam w niego moją miłość. Oddychaj, najdroższy, oddychaj, oddychaj. Nie wiem, jak długo pompowałam powietrze w zatrute płuca. W jakimś momencie oderwali mnie od niego ratownicy medyczni.

Nie wiem, kto wezwał pogotowie. Może jedna z tych trzech młodych matek, stojących na podjeździe. Nigdy nie zapomnę tej, która odważyła się mnie pocieszyć.

– Będzie dobrze – powiedziała. – To fachowcy. Wiedzą, co robią. – Wyciągnęła rękę, żeby obciągnąć mi spódnicę, zadartą do pół uda.

Wyglądziłam spódnicę krwawiącą ręką i poczułam w kieszeni list lana. Musiałam go odruchowo włożyć. Dobiegł mnie odgłos kliknięcia: wózek ustawił się w pozycji pionowej, ładowano bezwładne ciało do ambulansu. Nie musiałam czytać listu, żeby wiedzieć, co zrobił mój syn.

Od czterdziestu ośmiu godzin wiem i nie czuję się ani odrobinę inaczej. Harry Hayes się przyznał. Nazajutrz po mojej wizycie w jego domu łobuz poszedł na policję i wyznał Jackowi Normowi, że to on jest sprawcą. Zwlekał do ostatniej chwili, dopóki nie zapędziłam go w kozi róg. Nie miał już wyjścia. Przez te kłamstwa o mało mnie nie wpędził w chorobę psychiczną i o mało nie zabił swojego syna.

To Pat nam powiedziała. Siedziałam przy oknie i patrzyłam na krokusy, które powystawiały z ziemi fioletowe i złote główki. Abby je sadziła – kwiaty, których nigdy nie zobaczy. Ethan drzemał pod poranną edycją „Globe”. Na ścieżce pojawiła się Pat. Bez uśmiechu pomachała mi ręką. North poprosił ją, żeby przyszła. Nie chciał, żebyśmy dowiedzieli się od jakiegoś dziennikarza.

Tyle miesięcy czekałam, by poznać prawdę. Teraz znam. W nocy czwartego października pijany Harry Hayes zasnął w samochodzie na poboczu drogi, a kiedy trochę oprzytomniał, ruszył do domu. Po drodze przejechał Abby. Albo był zbyt pijany, by zauważyć, albo jest tchórzem i bał się zatrzymać, żeby udzielić jej pomocy. Stawiam raczej na to drugie.

Co gorsza, zmusił swojego syna do zachowania tajemnicy. I przez to o mało nie zginęło również jego dziecko. Kiedy Hayes poszedł na policję, jego syn targnął się na życie w tym właśnie garażu, w którym go widziałam, i w tym samochodzie, który stał się przyczyną całego tego cierpienia. Musiał wybierać między tym, co moralnie słuszne, a lojalnością wobec rodzica. Co to za ojciec, który stawia dziecko w tak rozpaczliwie trudnej sytuacji?

Pat mówi, że chłopak jest w złym stanie. Zatrucie tlenkiem węgla uszkodziło mu nerki, a poza tym stale jest podłączony do respiratora. Przez cały weekend modliłam się za niego i za jego matkę. Oni nie powinni płacić za grzechy Harry'ego Hayesa. No, ale Abby też nie powinna... Ani Ethan i nasze dziecko. Ani ja.

Ethan sam zdecydował, że zadzwoni do doktora Hilliarda, żeby spytać o celowość kolejnego USG. Zgodzili się, że po tak stresujących przeżyciach, jakie miałam w tym tygodniu, warto jeszcze raz spojrzeć na dziecko. Kiedyś wkurzyłoby mnie to, że wtrąca się w nie swoje sprawy.

Po tym, co przeszliśmy, nie przeszkadzało mi jakoś, że teraz przejął inicjatywę.

– Biorę wolne do końca tygodnia. – Ethan obrócił się na bok i wsparł na łokciu. Słońce przeświecało przez przejrzyste zasłony w sypialni. – Czuję się okropnie, to jest tak, jakby ona znów umierała. – Otarł łzy rąbkiem prześcieradła.

– Ja też mam takie wrażenie. Wczoraj ledwie się powstrzymałam, żeby nie spać w jej łóżku. – Odwróciłam się do niego i pocałowałam w czoło.

– Cieszę się, że ze mną zostałeś. Potrzebowałam ciebie tej nocy. – I powiedział mi o USG. Nie usprawiedliwiał się, nie przepraszał. Byłam zadowolona, że nie chodzi już koło mnie na paluszkach.

Piorunem zajechaliśmy do szpitala i wjechaliśmy windą na oddział radiologii. Weszłam i wyszłam w rekordowym tempie. Z naszą córką wszystko w porządku, rośnie i jest aktywna. Reszta wizyty okazała się wszystkim, tylko nie wizytą u lekarza. Kiedy opuszczaliśmy oddział radiologii, zobaczyłam Celię. Wychodziła z OIOM-u.

Jej pracownica odwołała naszą piątkową sesję bez podania przyczyny; być może obecność Celi w tym miejscu stanowiła wyjaśnienie. Odwróciła się i mnie dostrzegła. Nie wyglądała na zadowoloną z tego spotkania, mimo to podeszła. Nigdy nie widziałam Celi w takim stanie: była wstrząśnięta.

– Dzień dobry, Tesso. – Ostatnio coraz częściej zwracaliśmy się do siebie po imieniu. Głos miała bezbarwny. – A to na pewno Ethan, prawda? – Nie dodała: „Wiele o panu słyszałam”; w jej zawodzie niekoniecznie byłoby to właściwe. Nie wspomniała też o łączącej nas relacji: kolejne tabu. Nie wiedziała przecież, czy chciałabym odkryć to przez Ethanem.

– Ethan, to jest Celia. – Wyciągnęłam rękę, by podtrzymać ją za łokieć, gdy wsparła się o ścianę. Co ona tu robi? Czy nie będzie nietaktem, jeśli zapytam? Celia nie cierpi szpiegowania. No, ale od kiedy tak pilnie przestrzegam zasad?

– Dobrze się pani czuje?

– Właściwie nie. Nie, nie czuję się dobrze. – Była bardzo blada, wyglądała żałośnie. – Moglibyśmy porozmawiać? Jest tu pokój dla odwiedzających. .. może akurat będzie wolny. Ruszyliśmy za nią. Kiedy weszliśmy, zamknęła drzwi i usiadła. Poczułam się jak na terapii.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała. Wzięła głęboki oddech. Popatrzyła na mnie, na Ethana, znowu na mnie. – Tesso, Ethanie... Mój syn jest bardzo chory. – Urwała. Schyliła głowę, żeby poszukać chusteczki; po plastikowej torbie ze szpitalnymi akcesoriami, którą trzymała w ręce, potoczyły się łzy i wsiąkły w tkaninę spodni.

– Jak mogę pomóc? – W tej chwili zrobiłabym wszystko, aby jej ulżyć; miałam wobec niej dług wdzięczności. W najgorszych chwilach okazała mi serce. Nie pozwoliła mi skończyć. Tak jakby czuła, że jeśli nie powie teraz, nie zrobi tego już nigdy.

– Wiem, iż dowiedzieliście się już, że Harry Hayes przyznał się do zabicia Abby. – Ostatnie słowa wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Harry Hayes to mój były mąż. Ian to mój syn. Miałam uczucie, że trafiła mnie zatruta strzała. Piekący ból. Gwałtowny gniew. Niczym ranne zwierzę uciekłam. Ona mówiła dalej. Nie chciałam słyszeć więcej. Ethan wstał i pobiegł za mną.

182.

Od samego początku walczyłam z chęcią, by żyć. Nigdy nie chciałam umrzeć. Depresja to dla mnie głęboka czerń nocy. Tak, miałam dni bez jednego promyka światła. Tak, myślałam o tym – byłby to dla mnie sposób, żeby się z nią zobaczyć. A jednak nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogę to zrobić naprawdę. Najpierw ze względu na Ethana. Potem ze względu na dziecko. Jej syn to zrobił, Ian, syn Celi, chłopiec, którego widziałam w garażu, przekroczył otchłań między myśleniem o tym a zrobieniem tego naprawdę. Kiedy się dowiedziałam, że jest synem Harry'ego Hayesa, szczerze mu współczułam. Ciężar tego, co zrobił ojciec, był dla niego za wielki, by z nim żyć. Ale świadomość, że jest synem Celi, to dla mnie za dużo. Nie jestem w stanie tego ogarnąć. I zaakceptować.

Siedziałam w kuchni i odtwarzałam w głowie przebieg każdej sesji, szukając tropów. Czy Celia wiedziała, co zrobił Hayes, czy dowiedziała się teraz, jak ja? Jedyne, co pamiętałam, to jej twarz, jej miła twarz, która tak niewiele mogła przede mną ukryć. W najgorszych chwilach płakała razem ze mną. Kiedyś mnie przytuliła. Nie, nie mogła wiedzieć. Jest matką; powiedziałaby mi. Nie miałam już nic do roboty. Nie było żadnej listy do sprawdzania. Żadnych ludzi do rozmów. Żadnych spotkań z policją. Skończone.

Ethan poszedł kupić coś do jedzenia. Ja nie chciałam wyjść. Nie zniosłabym pytających spojrzeń,

osłupiałych twarzy, świeżego współczucia. Postanowiłam przejrzeć resztę listów, które ocalała dla nas pani Dwyer. Listy od jej wychowawczyń. Rysunki od przyjaciół Abby. Niewiele już tego zostało.

I wtedy zobaczyłam tę kartkę. Musiała tam być przez cały czas. Papier był szorstki, nierówny – ofiara wiosennego deszczu. Zawierała tylko parę słów. Nie było wątpliwości, kto jest autorem. Niewyrobionym dziecięcym pismem informował, że to on ją zabił i że przeprasza.

Przeczytałam kartkę trzy razy. Słowa huczały mi w głowie. Z trudem wstałam. Muszę powiedzieć Northowi. Kiedy otworzyłam drzwi, o mało nie krzyknęłam: za drzwiami stał North i właśnie miał zapukać. Przez ramię miał przewieszoną moją torbę konduktorę, którą zostawiłam w garażu Hayesa.

Zamachałam ku niemu trzymaną w ręce kartką. Drugą ręką osłaniałam dziecko.

– To ten chłopak, Ian. To on ją zabił.

Wszedł do pokoju i podał mi torbę. Wciąż zwrócony do mnie twarzą, zamknął drzwi.

– Wiem. Przyszedłem właśnie po to, żeby pani powiedzieć.

Rytm serca na monitorze zwolnił tempo i tak samo zwolnił się i pogłębił oddech: Ian zasnął. Przyćmiłam fluorescencyjną lampę nad łóżkiem i zaciągnęłam żaluzje. Harry skinął głową siedzącemu w holu strażnikowi i zamknął drzwi, Ian leżał spokojnie na boku; jedną rękę miał wyciągniętą wzdłuż ciała, drugą włożył pod poduszkę. Usiedliśmy z Harrym obok siebie. Żadne nie miało ochoty wyjść stąd pierwsze.

Byłam wściekła i zdruzgotana, kiedy mi powiedział, że zabił Abby. A potem się dowiedziałam, że to z jego strony głupia, chybiona próba uratowania naszego syna – i za to znów go pokochałam, równie mocno jak niegdyś, na początku. To, że kocha lana aż tak, związało mnie z nim na nowo, tak jak była związana kiedyś z tamtym jachtem nasza rodzina.

Wziął mnie za rękę i nie odrywając oczu od lana, szepnął:

– To trudne jak cholera, ale tak należało.

Zaledwie przed paroma godzinami – choć równie dobrze mogło to być parę dni – zadzwoniliśmy na policję i powiedzieliśmy prawdę. Jutro detektyw North odbierze zeznanie lana. Dziś musiałam przeczytać jeszcze raz jego list. Wyjęłam go z torby i oparłam głowę o ramię Harry'ego; czytaliśmy po cichu, w półmroku.

„Kochana Mamo, widziałem to, słyszałem to. Bo ja tam byłem. Pora uporządkować bajzel, którego narobiłem. To ja zabiłem Abby, mamo. Czuję się z tym tak strasznie, że nie potrafię dłużej tego znieść.

Zwłaszcza że jej matka jest zdruzgotana, po prostu w proszku. Była tu, dotykała samochodu, który zabił jej dziecko. Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała, że zrobił to tata. A teraz on poszedł na policję i się przyznał. Nie mogę pozwolić, żeby wziął winę na siebie. Nie będę dłużej kłamać.

Ta pani powinna znać prawdę. Co innego słuchać, gdy ludzie mówią, że biega spanikowana po mieście, a co innego zobaczyć ją na własne oczy. Będzie mieć dziecko. Ma prawo wiedzieć. W nocy przed wypadkiem byłem u taty. Wrócił do domu bardzo późno, gdzieś koło czwartej. Pomogłem mu rozebrać się i zatargałem go do łóżka. Nie mogłem już zasnąć, więc zacząłem się szykować do szkoły. Byłem pod prysznicem, kiedy przyszedł mi do głowy ten szaleńczy pomysł: pozbędę się samochodu taty. Jeśli nie będzie mieć auta, nigdy już go nie aresztują. Słyszałem, że chłopaki w Corcoran Village kradną samochody i sprzedają części, żeby mieć na gandzię. Jeżeli od razu pojedę, pomyślałem, to zdążę zostawić tam auto. Ale tata jak zawsze zwłókł się z łóżka, kiedy zadzwonił budzik. Jak to możliwe? Pić całą noc, spać dwie godziny, a potem iść do pracy? Myślałem, że mój plan się zawalił, ale tata uznał, że czuje się bardziej podle niż zwykle. Poprosił, żebym zadzwonił do niego do pracy i go usprawiedliwił.

Po drodze do szkoły ciągle o tym myślałem. Wiem, że to głupio brzmi, ale doszedłem do wniosku, że chyba powinienem przejąć odpowiedzialność i zrobić coś dla tej popaprannej rodziny. Wydawało mi się, że potrafię wybawić tatę z kłopotów – a okazało się, że narobiłem dużo większych, niż kiedykolwiek narobił on.

Zaplanowałem to tak: pokażę się w szkole, a potem wymknę się i wrócę do domu. Pamiętaj, że zawsze po takiej nocy tata był dłuższy czas nieprzytomny. Zrobię tak, żeby wyglądało, że ukradli nam samochód. Pojadę do Corcoran Village, a potem wrócę piechotą do szkoły. Wydawało mi się, że to dobry sposób, żeby tata więcej nie prowadził. Nie chciałem, by zrobił komuś krzywdę. Już wiesz, że wyszło inaczej. Pokazałem się w szkole, ale zacząłem się denerwować.

Przeczekalem dwie lekcje, cały czas przekonując siebie, że powinienem zrobić tę głupotę.

Uwierzysz, że ani razu nie pomyślałem, że może nie powinienem? Kiedy wróciłem do domu, tata wciąż spał jak kamień. Wsiadłem i pojechałem tylnymi drogami w stronę Corcoran Village. Koło przedszkola potrąciłem tę dziewczynkę. Wcześniej jej nie widziałem, mamó. Wszystko było okej, sięgnąłem do schowka po CD, a kiedy podniosłem wzrok, już była na jezdni. Nikt nie kręcił się po ulicy, żadnych samochodów, żadnych dzieci. Chyba nie jechałem za szybko, a jednak nagle ją zobaczyłem. Nie mogłem znaleźć hamulca, a potem było już za późno. Usłyszałem uderzenie i upadła na jezdnię. Jechałem dalej. Kiedy się obejrzałem, leżała tam, tak jakby spała. Patrzyłem w lusterko wsteczne. Czekałem, że wstanie. Wreszcie przy końcu ulicy się zatrzymałem. Żadnych ludzi ani samochodów, pusto. Wpadłem w panikę. Gdybym wtedy był sobą, przysięgam, zatrzymałbym się, żeby jej pomóc. Ale to nie byłem ja. Nie wiem, kim byłem, ale to nie byłem ja.

Ruszyłem. Pojechałem Spring Rose Lane, zrobiłem kółko i wróciłem do domu. Wtedy już wiedziałem, że wymyśliłem coś niesamowicie głupiego. Kiedy jechałem Spring Rose, ktoś musiał ją znaleźć, bo słyszałem krzyk jakiejś kobiety. Powtarzałem sobie, że na pewno nic strasznego jej się nie stało. Wyparłem to i skupiłem się na jeździe. W domu wyczyściłem samochód szmatami, które tata zawsze trzymał w garażu. Widziałem zadrapanie z boku i stłuczone światło, ale powiedziałem sobie, że uderzenie nie mogło być aż takie mocne. Myślałem, że dziewczynce nic się nie stało, więc nikt nie dowie się o moim kretyńskim pomysle. Ale ona zginęła. I to ja ją zabiłem.

Zabiłem dziecko. Czyjaś siostrę.

Pamiętasz, mamó, kiedy byłem mały, pytałem nieraz, na czym polega twoja praca. A ty za każdym razem odpowiadałaś tak samo: »Czasem dla niektórych ludzi życie jest trudniejsze niż dla innych. Ktoś musi im pomóc przez to przejść. Ja jestem tą osobą, która im pomaga«.

Wiesz, mamó, dla mnie życie zawsze było trudniejsze niż dla innych. Ale tym razem to moja wina. Wiem, że starałaś się mi pomóc. Tylko że niektórych rzeczy naprawić się nie da. Ani ty ich nie naprawisz, ani tata. Nie jestem silny. Nie można na mnie polegać. Jestem potworem i nikt nie może mi pomóc. Co to za człowiek, który zabija dziecko, a potem chowa się w swoim pokoju w nadziei, że nikt się nie dowie, a za chwilę chciałby krzyczeć o tym na cały głos, żeby cały świat się dowiedział?

Tata próbował mnie osłonić. Nie złość się na niego, już i tak ma za swoje. Uważa, że to wszystko przez niego.

Tak strasznie jestem zmęczony tym duszeniem wszystkiego w sobie. Nie wytrzymuję już tego. Kiedy przyszła pani Gray, chciałem jej powiedzieć. Wiedziałem, że myśli, że zrobił to tata, i pozwoliłem, by dalej tak myślała. Widzisz, jakim jestem człowiekiem?

Pomóż mi to wyprostować, mamó. Powiedz pani Gray, jak było. Powiedz, że nie chciałem. I że ją przepraszam. Powinienem zrobić to sam, ale jestem za słaby. Będzie jej łatwiej, kiedy się dowie.

Nie mogę wymyślić nic, co choć trochę polepszyłoby sytuację – poza jednym. Tak będzie lepiej – dla wszystkich. Dla pani Gray, dla taty, dla ciebie. Powiedz jej, że jest mi przykro i że żałuję. Tak strasznie, strasznie żałuję.

Kocham cię, Ian”

Dziesięć lat upłynęło, odkąd pozwoliłam sobie na takie łzy. Trzymałam je ukryte w odległym, tajemnym zakątku mojego ja. Kiedy jednak wymknęła się jedna, reszta popłynęła w ślad za nią. Choćbym czytała te słowa nie wiem ile razy, zawsze ranią tak samo. Gdy tylko do mnie dotarło, co zrobił Ian, wiedziałam, że nie pozostaje mi nic innego. W tej sprawie byliśmy z Harrym zgodni: przekazemy list jako dowód w sprawie przeciwko naszemu synowi.

Alden umieścił ostatnią paczkę książek na tylnym siedzeniu lexusa, zamknął drzwi od strony pasażera i ruszył z powrotem do mnie. Stałam w drzwiach.

– To ostatnia – powiedział rzeczowym tonem, tak jakby pakował się do wyjazdu na weekend.

Kopnięciem usunął ze ścieżki dwa odłamki cegły, podszedł i wziął mnie za ręce.

– Przykro mi, że sprawy nie ułożyły się w sposób korzystny dla mnie. Ale naprawdę cieszę się, że Ian ma się lepiej. Wiem, że chcesz go mieć przy sobie.

Uścisnęłam jego dłoń.

– A mnie jest przykro z powodu tylu rzeczy, Alden. – Przełknęłam gulę w gardle. – Może przyjdzie czas, kiedy mi wybaczysz. – Oczy zaszyły mi łzami. Alden sięgnął do kieszeni blezera po chusteczkę.

– Już wybaczyłem. – Podał mi chusteczkę i uśmiechnął się. – Będziesz mi życzyć szczęścia w nowej pracy?

Pod bramę sąsiadów podjechał wóz zaopatrzenia medycznego; kierowca sprawdzał numer na kawałku papieru. Pomachałam do niego – dawałam znać, że to tu. Alden wziął ten gest za sygnał, by odjechać.

W szybkim tempie zainstalowano w pokoju budę z tlenem. Instrukcja okazała się prosta, a kierowca spieszył się do następnego odbiorcy. Wszystko co trzeba zostało przygotowane na powrót lana ze szpitala. Mogłam jechać.

Kiedy wjechałam windą na oddział dializ, Harry już był. Pocałował mnie w policzek.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy go stąd zabierzemy. Gotowa? Dotarliśmy dokładnie na czas – za chwilę miało się zacząć pierwsze z dwu zaplanowanych spotkań.

– W domu wszystko czeka na jego przyjęcie. Będzie mu tam lepiej. – Ścisnęłam w dłoniach torebkę, starając się zamknąć w niej cały swój lęk. – Spotkanie z policją... Nie będzie mu łatwo, prawda? A co dopiero proces. .. Jak on to zniesie, Harry?

Objął mnie ramieniem, a drugą ręką ujął mój podbródek. Palce miał delikatne, ale silne.

– Żyje i wraca do zdrowia, to najważniejsze. Jesteśmy rodziną i będziemy się wspierać. Tym razem się uda.

Ręka w rękę weszliśmy do sali konferencyjnej. W spotkaniu brał udział zespół lekarzy i pielęgniarek – żadna z dawnych – którzy zapewnili, że stan nerek lana ulega poprawie. Raz na tydzień dializa przez jakiś czas. Tlen w miarę potrzeby. Dwa razy w tygodniu terapia z doktor Hall. Zalecenia i terminy kolejnych wizyt lekarskich zapisano na karteczkach. Wkrótce opuścimy ten oddział, aby więcej tu nie wrócić, Ian wyzdrowieje.

Kiedy pielęgniarka wręczyła mi wypis, minął nas policyjny detektyw i skierował się do sali lana. Sześć miesięcy po śmierci Abby Gray, która zginęła z rąk naszego syna, detektyw North odebrał od lana zeznanie i włączył do akt jego list. Ian zeznawał, leżąc na szpitalnym łóżku, w naszej obecności i prawnika; Harry trzymał rękę na jednym jego ramieniu, a ja na drugim. Wszyscy troje zdecydowaliśmy wcześniej, że tak właśnie Ian powinien postąpić. Prawnik został poinformowany o naszym niewzruszonym stanowisku w tej sprawie. Ian opowiedział wszystko, dokładnie tak, jak opisał w liście.

Kiedy skończył, detektyw North podniósł wzrok znad notatek, które cały czas pilnie sporządzał.

– Wiesz już, że nie zostanie wobec ciebie orzeczone dozór kuratorski. Opiekę nad tobą będzie sprawować matka. Mecenas Collins – wskazał na prawnika – poinformuje cię o zarzutach i wyroku.

Ian sprawiał wrażenie silnego. Odtrącił moją rękę, gdy próbowałam osuszyć chusteczką jedyną

łzę, która stoczyła mu się po policzku.

– Kiedy to może być według pana? – Głos, mimo że słaby, brzmiał twardo, po męsku.

Detektyw North wziął ode mnie chusteczkę i podał łanowi.

– Aktu oskarżenia należy się spodziewać w tych dniach. – Traktował go jak dorosłego. – Ze względu na stan zdrowia nie musisz być obecny w sądzie. Procesu nie będzie, ponieważ się przyznałeś. Wyrok zostanie orzeczony mniej więcej po miesiącu. Pan Collins powie ci dokładniej, jaką karę przewiduje kodeks.

Zwrócił się do Harry'ego oficjalnym tonem:

– Panu prawdopodobnie grozi rok, jako że obaj zeznaliście, iż tamtej nocy prowadził pan auto, mimo że nie miał prawa jazdy, a także z powodu złożenia fałszywych zeznań. Radziłbym, panie Hayes, aby wziął pan również dla siebie prawnika, i to dobrego.

– Już wykonałam parę telefonów – powiedziałam. Harry poklepał łana po rękę i szepnął: „będzie dobrze”.

Ian ujął moją dłoń i z wysiłkiem uściskał. Popatrzył na mnie, na Harry'ego, wreszcie zatrzymał spojrzenie na detektywie.

– Wyrok nie ma znaczenia. To jedyny sposób zadośćuczynienia za cierpienie Grayów... i mojej rodziny. Chcę płacić za to, co zrobiłem. Jestem gotów.

Epilog

Właśnie gdy zaczynało się lato

Czwartek, 22 czerwca

Mirielle Caroline Gray urodziła się pierwszego dnia lata o godzinie siódmej dwadzieścia rano. Przyszła na świat osiem tygodni za wcześnie, ale nic nie mogło jej powstrzymać przed wielkim entree. Kiedy zaczęły się bóle, doktor Hilliard próbował opóźnić poród, ale Mirielle już podjęła decyzję. Wystarczająco długo czekała, by dołączyć do naszej rodziny... Dość duża jak na wcześniaka, ważyła dwa kilo i dziesięć deko. Poród mnie wyczerpał, ale wszyscy zachwycali się jej krzepą. No jasne, kto może o tym wiedzieć lepiej niż ja: od momentu gdy ogłosiła swoją obecność, bez przerwy mnie kopała.

Trudno było nie porównywać jej smagłej urody i gwałtownego temperamentu z blond loczkami i anielską łagodnością Abby. Nie kryliśmy z Ethanem tych spostrzeżeń; postanowiliśmy włączyć Abby w ten niezwykły dzień. Znając Mirielle raptem parę godzin, zgodnie stwierdziliśmy: jest odrębną osobą, nie grozi jej, że zniknie w cieniu Abby.

Siedzieliśmy przy niej i rozmawialiśmy ściszonymi głosami, tak by wiedziała, że z nią jesteśmy, ale zarazem by nie bombardować nadmiarem bodźców maleńkiego ciała i duszy. Skórę miała bladą, napiętą na wątłych kosteczkach, ale ruchy nówek i rączek wcale nie były wątłe, owszem, całkiem żwawe. Nadal próbowała się wykopać z przypominającego serwetkę kocyka i pieluszki wielkości chustki do nosa. Kiedy pozwolono mi podjąć próbę nakarmienia córeczki, nie musiałam jej zachęcać: od razu przypięła się do piersi i żarłocznie ssała. Siedzieliśmy z Ethanem z dłonią w dłoni, a ja z Mirielle – serce przy sercu.

Kiedy nie mogliśmy już wytrzymać w pozycji wyprostowanej, dwie pielęgniarki nakłoniły nas, byśmy wrócili do mojego pokoju i trochę się zdrzemnęli. Jedna z nich, o łagodnym, cichym głosie, powiedziała, że Mirielle zostanie dłużej w szpitalu i potrzebni jej będą zdrowi i silni rodzice.

W pokoju zastaliśmy Rosemary. Poprawiała pościel i wstawiała do wazonów kwiaty, które zaczęto już przysyłać.

– Ten wspaniały bukiet to od Pat i Jacka – powiedziała. – A tę przywiedłą piwonię zerwał dla ciebie Matthew, gdy wychodziłam. – Popatrzyła na kwiat z uśmiechem, tak jakby to był Matthew we własnej osobie. – Czy wiedzą już, jak długo Mirielle tu zostanie?

Nie słyszałam, co odpowiedział Ethan – już zasypiałam. Pamiętam tylko, że pomyślałam: bez względu na to, jak długo tu zostanie, kiedy wrócę z nią do domu, wrócę z nadzieją.

PIĄTEK, 21 LIPCA

Musiało być ponad trzydzieści stopni. Niewiele potrzebowała mieć na sobie Mirielle, a i tak ubieranie jej trwało wieki. Zrezygnowałam już ze śpioszków i zdecydowałam się na granatowo-czerwony żeglarski komplecik. Małe nóżki energicznie wierzgały: nie chciała, żeby ją krępował jakikolwiek ciuch. Potem zażądała, żeby ją nakarmić, a z żądaniami Mirielle trudno dyskutować. Karmiąc ją, pomodliłam się w duchu, by na spotkaniu grupy pokazała dziś przyjazną, radosną stronę swojej osobowości.

Kobietom z grupy wsparcia dla osób, które straciły dziecko, z początku trudno było znieść widok mojej ciąży. Dołączyłam do nich w szóstym miesiącu. Nie chciałam, by za każdym razem, gdy zbierają się w sali parafialnej kościoła w Corcoran Village, sprawiać im ból widokiem mojego

wielkiego brzucha; nie chciałam im stale przypominać, że dano mi nową nadzieję, gdy one przychodziły tu, aby rozmawiać, jak to jest, kiedy dawne życie się skończyło. Wszystkie pragnęłyśmy zrzucić z siebie ciężar utraty, poluzować obręcz bólu, który ścisnął nam serca, przynajmniej przez tę jedną godzinę w tygodniu.

Sesje z Celią ewidentnie przestały stanowić dla mnie opcję. Musiałam znaleźć inne miejsce, gdzie mogłabym zanieść mój smutek; wiedziałam, że nigdy nie przestanę tęsknić za Abby. Doktor Hilliard skontaktował mnie z Mary, pracownicą socjalną opiekującą się grupą wsparcia; Mary zapewniła mnie, że chętnie pomoże uczestniczkom przepracować związane z moją ciążą uczucia. Kilka miesięcy później, kiedy przyszła na świat Mirielle, byłam zaskoczona, gdy grupa przysłała mi kwiaty wraz z otwartym zaproszeniem, bym przychodziła z nią na spotkania, kiedy tylko zechcę.

Nieraz myślałam, że mogę znowu natknąć się gdzieś na Celię, ale nigdy bym nie przypuszczała, że mogę spotkać ją właśnie tam – w kościele. Kiedy po wejściu oślepienie słonecznym blaskiem oczy przywykły do panującego w przedsionku mroku, zobaczyłam ją: stała w drzwiach, wahając się, czy wejść do sali. Oślupiałam, a stopy przymarzły mi do parującej wilgocią mozaikowej posadzki. Z Mirielle na rękach i przewieszoną przez ramię torbą, wypchaną niemowlęcymi rzeczami, wpatrywałam się w jej plecy. Ona także stała nieruchomo. Takie to było dotąd przyjazne miejsce dla mnie i dla Mirielle... Celia musiała poczuć mój wzrok, bo nagle się odwróciła; oczy spoczęły na trzymanym przeze mnie zawiniątku. Zamiast służbowego mundurka miała na sobie swobodną letnią sukienkę. Nawet włosy były inne niż zwykle: podwijały się na końcach od wilgoci.

– Gratuluję, Tesso. – Przeniosła wzrok z Mirielle na mnie. Lekki bawełniany tobolek, który trzymałam w ramionach, poruszył się niespokojnie.

– Mary dziś nie będzie? – spytałam. Doceniałam profesjonalizm Celi, ale nie byłam pewna, czy tu zostanę, jeśli to ona ma prowadzić spotkanie. Nie umiałabym w jej obecności powiedzieć grupie to, co zamierzałam. Że troszeczkę lżej mi ze świadomością, że Abby zabił niechcący wystraszonego dzieciaka, a nie pijaka, który zdołał umknąć spod ręki sprawiedliwości.

– Będzie – odparła Celia. – Jestem tu prywatnie, nie zawodowo. – Spojrzała w stronę sali, potem znów na mnie. – Jestem tu jako matka.

– Jak to? Ian?... Przecież słyszałam, że mu lepiej! – Nasza relacja bynajmniej się nie zakończyła: jej mówiono o mnie i o mojej córeczce, mnie – o niej i jej synu. Ian... Chłopiec, któremu nigdy nie życzyłam nic złego, w przeciwieństwie do jego ojca.

Opuściła wzrok i przełożyła torbę z jednego ramienia na drugie.

– Tak, Ian rzeczywiście ma się całkiem nieźle... w sensie fizycznym.

Po czym, jak dawna Celia, która znała moje myśli, czasem na długo zanim sama je sobie uświadomiłam, powiedziała mi, w jakiej roli się tu znalazła.

– Tesso... Nie przyszłam, żeby prowadzić grupę czy żeby opowiadać o laniu, o tym, jak przeżywa wszystko, co się zdarzyło. Dziesięć lat temu straciłam córkę. Miała na imię Summer. Zamiast przepracować mój żal po stracie, tak jak zrobiłaś to ty, pozwoliłam, żeby ocean bólu zalał moją rodzinę i pociągnął ją na dno. – Wyciągnęła rękę, aby dotknąć główki Mirielle, ale rozmyśliła się i cofnęła dłoń, niepewna, czy pozwolę komukolwiek z jej rodziny dotknąć któregoś z moich dzieci.

– Domyślam się, że nienawidzisz nas wszystkich. Nie sądzę, żeby cię obchodziło, co zrobimy czy nie zrobimy z naszymi uczuciami wobec Summer. Nie chciałam wtedy skonfrontować się z jej śmiercią, ale chcę zrobić to teraz. – Podeszła dwa kroki w moją stronę, a zarazem ku wyjściu na zewnątrz. – Mogę znaleźć sobie inne miejsce.

Milczałam. Nie zastanawiałam się nad tym, co robię. Dość miałam analizowania każdej myśli i

uczucia, robiłam to nieustannie od dziesięciu miesięcy. Spojrzałam na Mirielle, aby zaczerpnąć siłę z jej twarzyczki, wzięłam Celię za rękę i weszliśmy razem do sali.